

# Mythago Wood

*One of the true fantasy  
classics of our time.*

WINNER OF  
THE WORLD FANTASY  
AWARD



ROBERT HOLDSTOCK

ROBERT HOLDSTOCK

LAS  
OŻYWIWIONEGO  
MITU

(MYTHAGO WOOD)

Przełożył Michał Jakuszewski

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo: Zysk i S-ka 1996

ROBERT  
HOLDSTOCK

LAS  
OŻYWIONEGO  
MITU

Najlepsza powieść roku  
World Fantasy Award

ZYSKI S-KA

# SPIS TREŚCI

KARTA TYTUŁOWA

COVER

DEDYKACJA

NAWIEDZIŁO MNIE POCZUCIE ROZPOZNANIA...

PODZIĘKOWANIA

PROLOG

**CZĘŚĆ PIERWSZA** LAS OŻYWIONEGO MITU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

**CZĘŚĆ DRUGA** DZICY ŁOWCY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CZĘŚĆ TRZECIA SERCE LASU  
KU WNĘTRZU  
OPOWIADAJĄCA ŻYCIE  
OPUSZCZONE MIEJSCA  
NEKROMANTA  
DOLINA  
SERCE LASU  
KODA

*dla Sarah*  
*cariath ganuch trymlyd bwystfil*

Nawiedziło mnie poczucie rozpoznania... oto było coś, co znałem przez całe życie,  
tylko że o tym nie wiedziałem...

RALPH VAUGHAN WILLIAMS  
komentujący swe pierwsze spotkanie  
z brytyjskim folklorem  
i muzyką ludową

# PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować Allanowi Scottowi, którego *Wstępny kurs anglosaskiego dla przyjezdnych Ellorgaesten*, napisany specjalnie dla mnie, pomógł mi niezmiernie. Dziękuję również Milfordowi – za entuzjazm, który stał się inspiracją dla wizji.

R. H.



# PROLOG

Szanowny Pan  
Edward Wynne-Jones  
College Road 15  
Oxford

Edwardzie, musisz koniecznie wrócić do Oak Lodge. Proszę, nie zwlekaj ani godziny! Odkryłem czwartą drogę wiodącą do głębszych stref lasu. Sam strumień. Wydaje się to teraz tak oczywiste. Trasa wodna! Prowadzi na wprost przez zewnętrzny jesionowy wir, dalej niż spiralny szlak i Kamienny Wodospad. Jestem przekonany, że można go wykorzystać, by dotrzeć do samego serca lasu. Ale czas, zawsze czas!

Odnalazłem lud zwący się *shamiga*. Mieszkają za Kamiennym Wodospadem. Strzegą brodów na rzece, lecz ku memu wielkiemu zadowoleniu chętnie snują opowieści. Nazywają to „opowiadaniem życia”. Opowiadając życie jest młoda dziewczyna, która maluje sobie twarz całkiem na zielono i powtarza wszystkie historie z zamkniętymi oczyma, aby uśmiechy bądź zasepione miny słuchaczy nie stały się przyczyną „zmiany kształtu” relacji. Usłyszałem od niej wiele, lecz najważniejszy był fragment czegoś, co może być jedynie legendą o Guiwenneth. Jest to preceltycka wersja mitu, który, o czym jestem przekonany, ma związek z naszą dziewczyną. To, co zdołałem zrozumieć, brzmi następująco: Pewnego popołudnia, zabiwszy jelenia z ośmioma rosochami oraz odyńca dwukrotnie wyższego niż człowiek, a także oduczywszy cztery wioski złych manier, Mogoch, wódz, przysiadł na brzegu, by odpocząć. Był tak potężny, czynem i budową, że jego głowę na wpół skrywały chmury. Zanurzył stopy w morzu u podnóża urwiska, by je ochłodzić. Następnie

położył się i zaczął się przyglądać dwóm siostram, które spotkały się na jego brzuchu.

Były to bliźniaczki, równie piękne, o równie słodkim głosie i równie biegle w grze na harfie. Jedna z nich jednak poślubiła wodza wielkiego plemienia, a potem przekonała się, że jest bezpłodna. Jej usposobienie stało się tak kwaśne, jak mleko pozostawione zbyt długo na słońcu. Druga siostra wyszła za wygnanego wojownika, którego imię brzmiało Peregu. Rozbił on obóz w głębokich jarach, wśród uschniętych drzew dalekiego lasu, a przybywał do swej ukochanej pod postacią nocnego ptaka. Urodziła ona jego dziecko, które było dziewczynką, lecz ponieważ Peregu był wygnańcem, jej siostra o skwaszonej twarzy przybyła wraz z armią, by zabrać niemowlę.

Doszło do potężnej kłótni oraz kilku starć. Ukochana Peregu nie zdążyła nawet nadać dziecku imienia, gdy nagle siostra wyrwała jej maleńkie zawiniątko spowite w grubą tkaninę i uniosła je nad głowę, pragnąc sama wybrać imię.

Wtem niebo pociemniało i pojawiło się dziesięć srok. Był to Peregu wraz z dziewięcioma towarzyszami od miecza. Ich kształty zmieniła leśna magia. Peregu opadł w dół, chwycił dziecko w pazury i wzleciał do góry, lecz jakiś biegły strzelec strącił go z procy. Dziecko spadało na ziemię, na szczęście pozostałe ptaki złapały je i uniosły ze sobą. Dlatego nadano mu imię Hurfathna, co znaczy „dziewczynka wychowana przez sroki”.

Gdy Mogoch, wódz, patrzył na to wszystko, ogarnęła go wesołość, potem jednak poczuł szacunek dla zabitego Peregu. Wziął w rękę maleńkiego ptaszka i potrząśnięciem przywrócił mu ludzką postać. Bał się, że zmiażdżyłby całe wioski, gdyby wygrzebał mu palcem grób w ziemi, włożył więc sobie martwego wygnańca do ust i wykręcił własny ząb, by posłużył jako pomnik. I tak to Peregu został pochowany pod dużym, białym kamieniem w dolinie, która oddycha.

Nie może być wątpliwości, że jest to wczesna postać opowieści o Guiwenneth. Sądzę, że rozumiesz powód mojego podniecenia. Gdy dziewczyna była tu po raz ostatni, udało mi się zapytać ją o jej smutek. Odpowiedziała mi, że się zgubiła. Nie mogła odnaleźć doliny, która oddycha, i jasnego kamienia jej zmarłego ojca. To ta sama dolina i ten sam kamień. Wiem to. Czuję to! Musimy wezwać ją raz jeszcze. Musimy ponownie wyruszyć za Kamienny Wodospad. Potrzebna mi twoja pomoc.

Kto wie, gdzie i kiedy zakończy się ta wojna? Niedługo zmobilizują mojego najstarszego syna, a wkrótce po nim Stevena. Będę miał więcej swobody, by zbadać las i poradzić sobie ze sprawą dziewczyny.

Edwardzie, musisz przyjechać.

Z serdecznym pozdrowieniem  
George Huxley  
grudzień 1941

# CZĘŚĆ PIERWSZA

*Las ożywionego mitu*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

W maju 1944 roku otrzymałem powołanie i z niechęcią wyruszyłem na wojnę. Przeszedłem szkolenie w Krainie Jezior, po czym przetransportowano mnie do Francji wraz z Siódmą Dywizją Piechoty.

W przeddzień ostatecznego wyjazdu byłem tak zły na ojca za okazywany przez niego brak zainteresowania moim bezpieczeństwem, że kiedy zasnął, podszedłem po cichu do jego biurka i wyrwałem kartkę z notatnika, dziennika, w którym zapisywał wyniki nikomu nie znanej pracy stanowiącej jego obsesję. Fragment nosił jedynie datę „sierpień 34”. Czytałem go wielokrotnie, przerażony jego niezrozumiałością, lecz zadowolony, że ukradłem choć maleńką część życia ojca, która pozwoli mi przetrwać te pełne bólu i samotności czasy.

Notatka zaczynała się pełnym gorzki komentarzem dotyczącym spraw przeszkadzających mu w pracy: zarządzania Oak Lodge, naszym domem rodzinnym, wymagań jego dwóch synów oraz trudności, jakie miał z żoną, Jennifer. (Pamiętam, że matka była już wtedy rozpaczliwie chora.) Ostatni fragment zapadł mi w pamięć ze względu na swą chaotyczność:

List od Watkinsa – zgadza się ze mną, że w pewnych porach roku aura otaczająca las może sięgać aż do domu. Muszę przemyśleć płynące z tego implikacje. Watkins gorąco pragnie poznać wartość mocy dębowego wiru, którą zmierzyłem. Co mam mu powiedzieć? Z pewnością nie o pierwszym mitotworze. Zauważyłem też, że wzbogacenie premitotworowej strefy jest bardziej trwałe, lecz efektowi temu towarzyszy wyraźna utrata przeze mnie poczucia czasu.

Przechowywałem ten kawałek papieru niczym skarb z wielu powodów, zwłaszcza jednak ze względu na to, iż przedstawiał jeden czy dwa

fragmenty sprawy, która namiętnie interesowała mego ojca. Mimo to zamykał się on przed moim pojmowaniem, tak jak ojciec zamykał się przede mną w domu, zresztą jak wszystko, co on kochał i czego ja nienawidziłem.

W pierwszych miesiącach 1945 roku zostałem ranny. Gdy wojna się skończyła, udało mi się pozostać we Francji. Wyjechałem na południe, by wracać do zdrowia w wiosce leżącej wśród wzgórz za Marsylią. Zamieszkałem tam z dawnymi przyjaciółmi ojca. Było to gorące, suche miejsce, bardzo spokojne i leniwe. Spędzałem czas, siedząc na wiejskim placu. Szybko stałem się częścią maleńkiej społeczności.

Listy od mojego brata, Christiana, który po wojnie wrócił do Oak Lodge, przez cały, długi rok 1946 nadchodziły co miesiąc. Były obszerne i pełne informacji, lecz wyczuwało się w nich narastającą nutę napięcia. Stawało się jasne, że stosunki między Christianem a ojcem szybko się pogarszają. Nigdy nie otrzymałem ani słowa od samego staruszka, lecz nigdy też na to nie liczyłem. Dawno już pogodziłem się z faktem, że – w najlepszym razie – traktował mnie z całkowitą obojętnością. Cała rodzina była dla niego tylko przeszkodą w pracy. Poczucie winy wywołane tym, że nas zaniedbywał, a zwłaszcza tym, iż doprowadził matkę do targnięcia się na swe życie, w pierwszych latach wojny przerodziło się szybko w histeryczny obłęd, który potrafił być naprawdę przerażający. Nie znaczy to, że ojciec nieustannie krzyczał. Wprost przeciwnie, większą część życia spędzał na milczącej, skupionej kontemplacji dębowego lasu, który graniczył z naszym domem. Z początku doprowadzające do pasji, ze względu na dystans, jakim oddzielały go od rodziny, wkrótce jednak te długie okresy ciszy stały się witany ze szczerą radością błogosławieństwem.

Umarł w listopadzie 1946 roku na chorobę, która dręczyła go od lat. Otrzymawszy tę wiadomość, poczułem się rozdarty między niechęcią do powrotu do Oak Lodge, które leżało na granicy majątku ziemskiego Ryhope w Herefordshire, a świadomością ewidentnej rozpaczony Christiana. Został

teraz sam w domu, w którym wspólnie spędziliśmy dzieciństwo. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak krąży po pustych pokojach, a być może też przesiaduje w wilgotnym i niezdrowym gabinecie ojca, rozpamiętując godziny odrzucenia oraz woń lasu i kompostu, którą stary przynosił ze sobą przez oszklone drzwi, wracając z tygodniowych wypadów w głąb kniei. Las rozprzestrzenił się na ten pokój, całkiem jakby ojciec nie mógł znieść oddalenia od wybujałego podszycia i chłodnych, wilgotnych polan otoczonych dębami, nawet wtedy, gdy poświęcał symboliczną uwagę rodzinie. Robił to w jedyny sposób, jaki znał: opowiadając nam – głównie memu bratu – historie o starożytnych borach ciągnących się za domem, pierwotnej puszczy złożonej z dębów, jesionów, buków i innych drzew, w której mrocznym sercu (jak kiedyś powiedział) można było jeszcze usłyszeć dziki, poczuć ich zapach oraz je wytropić.

Wątpię, by kiedykolwiek zobaczył takie stworzenie, lecz owego wieczoru, gdy siedziałem w pokoju, z którego roztaczał się widok na maleńką wioskę wśród wzgórz (list od Christiana wciąż trzymałem w dłoni, zmięty w kulę), przypomniałem sobie wyraźnie chwilę, gdy usłyszałem stłumione chrząkanie, ciężkie, powolne kroki jakiegoś leśnego zwierzęcia oraz głuchy trzask łamanych gałęzi. Zwierzę poruszało się ku wnętrzu lasu, w stronę krętej ścieżki, którą nazywaliśmy szlakiem ku głębi. Trasa ta wiodła po spirali aż do samego serca lasu.

Wiedziałem, że będę musiał wrócić do domu, lecz mimo to odwlekałem wyjazd jeszcze niemal cały rok. W tym czasie listy od Christiana przestały nagle nadchodzić. W ostatnim, opatrzonym datą dziesiątego kwietnia, pisał o Guiwenneth i o swym niezwykłym małżeństwie. Napomknął, że zaskoczy mnie śliczna dziewczyna, dla której stracił „serce, umysł, duszę, rozum, umiejętność gotowania i właściwie wszystko inne, Steve”. Wysłałem oczywiście list z gratulacjami, ale później na wiele miesięcy straciliśmy ze sobą kontakt.

Wreszcie napisałem do niego, by go zawiadomić, że wracam do domu i że zatrzymam się w Oak Lodge na kilka tygodni, nim znajdę sobie lokum w którymś z okolicznych miasteczek. Powiedziałem „do widzenia” Francji oraz ludziom, którzy w tak wielkim stopniu stali się częścią mego życia. Podróżowałem do Anglii autobusem, pociągiem, promem, a na koniec znowu pociągiem. Dwudziestego sierpnia dotarłem zaprzęzoną w kuca bryczką do nie używanych torów kolejowych biegnących wzdłuż granicy rozległego majątku ziemskiego. Oak Lodge leżało po jego przeciwległej stronie. Drogą były to cztery mile, lecz prawo przejścia umożliwiło dotarcie na miejsce przez pola i lasy posiadłości. Miałem zamiar udać się do domu najkrótszą trasą. Zacząłem więc – taszcząc ze wszystkich sił swą jedyną, wypchaną walizkę – wlec się wzdłuż porośniętych trawą szyn. Od czasu do czasu zapuszczałem spojrzenie za wysoki mur z czerwonej cegły wyznaczający granicę majątku, starając się coś dostrzec przez półmrok wonnego, sosnowego boru.

Wkrótce las i mur zniknęły. Rozciągały się przede mną ciasne, otoczone drzewami pola, na które dostałem się przez rozklekotany, drewniany przejazd, niemal niewidoczny pod głogiem i oblepionymi dojrzałymi owocami krzewami jeżyn. Musiałem wydeptać sobie przez nie drogę, by opuścić grunty publiczne, a potem dotrzeć wzdłuż wijącego się między wysepkami lasu południowego szlaku oraz strumienia zwanego „bystrym potokiem” do porośniętego bluszczem budynku, który był moim domem.

Gdy ujrzałem w oddali Oak Lodge był późny, bardzo upalny poranek. Gdzieś z lewej strony słyszałem terkot traktora. Pomyślałem o starym Alphonse Jeffriesie, nadzorcy majątku. Wraz ze wspomnieniem jego ogorzalej, uśmiechniętej twarzy pojawiły się obrazy stawu u młyna oraz łowienia szczupaków na wędkę z jego maleńkiej łódki.

Wizja niezmaconej sadzawki prześladowała mnie. Oddaliłem się od południowego szlaku, przechodząc przez sięgające pasa pokrzywy oraz płataninę jesionów i krzewów głogu. Wydostałem się z niej nie opodal



brzegu rozległego, cienistego jeziora. Jego pełne rozmiary skrywał mrok gęstego, dębowego lasu zaczynającego się po drugiej stronie. Płaskodenna łódź, na której obaj z Chrisem łowiliśmy przed laty ryby, była niemal niewidoczna wśród gęstego sitowia porastającego bliższy kraniec stawu. Biała farba złuszczyła się już niemal całkowicie. Choć wyglądało na to, że łódź nie przepuszcza wody, wątpiłem, by utrzymała ciężar dorosłego mężczyzny. Nie poruszyłem jej, lecz pomaszerowałem wzdłuż brzegu i usiadłem na chropowatych, betonowych schodach walącej się przystani. Obserwowałem stamtąd błyskawiczne poruszenia owadów marszczące tafłę wody oraz przemykające od czasu do czasu tuż pod nią ryby.

– Parę kijów i kawałek sznurka... to wszystko, czego trzeba.

Głos Christiana zaskoczył mnie. Mój brat musiał nadejść wydeptaną ścieżką od strony domu, zasłonięty przed moim wzrokiem przez szopę. Zerwałem się uradowany na nogi i zwróciłem ku niemu swą twarz. Szok wywołany jego wyglądem odczułem niemal jak fizyczny cios. Sądzę, że Christian to zauważył, choć zarzuciłem mu ramiona na szyję i obdarzyłem go potężnym, braterskim uściskiem.

– Musiałem znowu zobaczyć to miejsce – wyjaśniłem.

– Wiem, w czym rzecz – odparł, gdy uwolniliśmy się z objęć. – Sam często tu przychodzę.

Na chwilę zapadła krępująca cisza. Przypatrywaliśmy się sobie nawzajem. Wyraźnie wyczuwałem, że nie ucieszył go mój widok.

– Jesteś opalony – stwierdził. – I bardzo wymizerowany. Zdrowy i chory zarazem...

– Śródziemnomorskie słońce, zbieranie winogron i szrapneli. Nadal nie wróciłem do zdrowia w stu procentach. – Uśmiechnąłem się. – Ale jestem zadowolony, że wróciłem i że znów cię widzę.

– Tak – odparł głosem bez wyrazu. – Cieszę się, że przyjechałeś, Steve. Bardzo się cieszę. Obawiam się, że w domu... cóż, jest trochę bałaganu.

Dostałem twój list dopiero wczoraj i nie zdążyłem nic zrobić. Przekonasz się, że wiele się tu zmieniło.

A on przede wszystkim. Niemal nie mogłem uwierzyć, że był to ten sam, ongiś wesoły, dziarski, młody mężczyzna, który wyruszył na wojnę ze swą jednostką w czterdziestym drugim. Postarzał się niewiarygodnie. Włosy miał usiane pasemkami siwizny, co tym bardziej rzucało się w oczy, że pozwolił, by z tyłu i z boków głowy były długie i rozczochrane. Bardzo przypominał mi ojca: to samo nie widzące, roztargnione spojrzenie, zapadnięte policzki oraz pokryta głębokimi zmarszczkami twarz. Jednak to na widok jego sylwetki doznawałem szoku. Zawsze był krępy, muskularnym facetem. Teraz wyglądał jak przysłowiowy strach na wróble: żyłasty, niezdarny i cały czas podenerwowany. Strzelał oczyma na wszystkie strony, lecz jakoś nigdy nie kierował ich na mnie. Do tego śmierdział. Naftaliną – miał na sobie, całkiem świeżą, białą koszulę i szare flanelowe spodnie, które widocznie niedawno wyciągnął z kufra. Czulem też inny zapach... słabą woń lasu i traw. Pod paznokciami i we włosach miał brud. Zęby mu żółkły.

Wydawało się, że w miarę upływu czasu uspokoił się nieco. Trochę się poprzekomarzaaliśmy i trochę pośmiaaliśmy. Okrążyliśmy staw, uderzając w sitowie patykami. Nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że przybyłem do domu w nieodpowiednim momencie.

– Czy to było trudne... to znaczy, ze starym? Końcowe dni.

Potrząsnął głową.

– Przez mniej więcej ostatnie dwa tygodnie mieliśmy tu pielęgniarkę. Nie mogę twierdzić, że odszedł w pokoju, ale zdołała nie dopuścić, by robił sobie krzywdę... albo mnie, jeśli już o tym mowa.

– Miałem zamiar cię o to zapytać. Twoje listy sugerowały, że pomiędzy wami panowała wrogość.

Christian uśmiechnął się ponuro. Popatrzył na mnie z osobliwą miną, lokującą się gdzieś między potwierdzeniem a podejrzliwością.

– Raczej otwarta wojna. Wkrótce po moim powrocie z Francji popadł w kompletny obłęd. Szkoda, że nie widziałeś domu, Steve. Szkoda, że jego nie widziałeś. Przypuszczam, że nie mył się miesiącami. Zastanawiałem się, co jadł... z pewnością nic tak normalnego, jak jajka czy mięso. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że przez kilka miesięcy odżywiał się drewnem i liśćmi. Był w paskudnym stanie. Choć pozwalał, bym pomagał mu w pracy, szybko zaczął być na mnie wściekły. Kilka razy próbował mnie zabić, Steve. Mówię poważnie. To były autentyczne, desperackie zamachy na moje życie. Jak sądzę, miał powód...

Zdumiały mnie jego słowa. Mój obraz ojca zmienił się z zimnego, obrażonego na wszystkich faceta w obłąkańca wrzeszczącego na Christiana i okładającego go pięściami.

– Zawsze sądziłem, że miał dla ciebie trochę serca. To tobie opowiadał historie o lesie. Ja ich słuchałem, ale to ty siedziałeś na jego kolanie. Dlaczego miałyby próbować cię zabić?

– Za bardzo się w to wplątałem.

To było wszystko, co powiedział Christian. Ukrywał coś przede mną, coś o doniosłym znaczeniu. Mówił mi to ton jego głosu i ponury, niemal wrogi wyraz twarzy. Czy posunąłem się za daleko? Trudno było to określić. Nigdy dotąd nie czułem się tak oddalony od własnego brata. Zastanowiłem się, czy jego zachowanie ma wpływ na Guiwenneth, dziewczynę, którą poślubił. Pomyślałem też o tym, w jakiej atmosferze żyje ona w Oak Lodge.

Poruszyłem ostrożnie jej temat.

Christian uderzył gniewnie w porastające brzeg sitowie.

– Guiwenneth odeszła – odrzekł. Zatrzymałem się zdumiony.

– Co to znaczy, Chris? Odeszła dokąd?

– Po prostu odeszła, Steve – warknął gniewnie, przyparty do muru. – Była dziewczyną ojca i odeszła. To wszystko.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Dokąd odeszła? Sądząc po twoim liście, wydawałeś się taki szczęśliwy...

– Nie trzeba było o niej pisać. To był błąd. Zapomnijmy o tym, dobra?

Po tym wybuchu Christiana mój niepokój narastał z minuty na minutę. Z moim bratem naprawdę było coś nie w porządku. Najwyraźniej odejście Guiwenneth przyczyniło się wielce do straszliwej zmiany, którą dostrzegłem. Wyczuwałem jednak, że kryje się w tym coś więcej. Niemniej jeśli sam nie zechce o tym mówić, nie widziałem sposobu, by do niego dotrzeć. Znalazłem jedynie słowa: – Przykro mi.

– Nie ma powodu.

Szliśmy przed siebie, aż dotarliśmy niemal do lasu. Grunt stawał się tu na przestrzeni kilka jardów bagnisty i niebezpieczny, nim zniknął w woniejącej stęchlizną głębi złożonej z kamieni, korzeni i butwiejącego drewna. Było tu chłodno. Słońce przesłaniały bogato ulistnione drzewa. Gęste sitowie kołysało się na wietrze. Przyglądałem się butwiejącej łodzi, która przesunęła się lekko na swej cumie.

Christian podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, nie patrzył jednak na łódź czy staw. Zagubił się gdzieś we własnych myślach. Na krótki moment ogarnął mnie dojmujący smutek na widok spustoszeń, które zaszły w wyglądzie i zachowaniu mojego brata. Rozpaczliwie pragnąłem dotknąć jego ramienia i go uścisnąć. Niemal nie mogłem znieść świadomości, że obawiam się to uczynić.

– Co, u licha, się z tobą stało, Chris? – zapytałem cichym głosem. – Czy jesteś chory?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Nie jestem chory – odrzekł wreszcie i uderzył mocno w purchawkę. Pył rozsypał się i umknął na wietrze. Brat popatrzył na mnie. Na jego udręczonej twarzy odmalowała się rezygnacja.

– W moim życiu zaszło kilka zmian, to wszystko. Przejąłem pracę starego. Być może udzieliła mi się odrobina jego skrytości, jego izolacji.

– Jeśli to prawda, to może powinieneś dać sobie na jakiś czas z tym spokój.

– Dlaczego?

– Dlatego, że obsesja na punkcie dębowego lasu w końcu zabiła starego. Sądząc po twym wyglądzie, podążasz tą samą drogą.

Christian uśmiechnął się półgębkiem. Cisnął do stawu patyk, którym okładał sitowie. Kij wpadł z głośnym pluskiem między pieniste, zielone algi.

– Możliwe nawet, że warto umrzeć, by osiągnąć to, co on próbował osiągnąć... bez powodzenia.

Nie pojmowałem dramatycznej nuty pobrzmiewającej w słowach Christiana. Praca, która tak opętała naszego ojca, polegała na sporządzaniu mapy lasu i poszukiwaniu w nim śladów starych osad. Wynalazł na swój użytek cały nowy żargon, co skutecznie uniemożliwiło mi głębsze zrozumienie jego poczynań. Powiedziałem to Christianowi.

– Wszystko to jest bardzo interesujące, ale nie do tego stopnia – dodałem.

– Robił znacznie więcej niż tylko mapy. Czy jednak je pamiętasz, Steve? Były niewiarygodnie szczegółowe...

Jedną pamiętałem całkiem wyraźnie. Największą. Widniały na niej starannie zaznaczone ścieżki i łatwe przejścia przez labirynt drzew oraz kamiennych wychodni pokładów, polany narysowane z niemal obsesyjną precyzją, wszystkie ponumerowane i zidentyfikowane, a cały bór podzielony na strefy, którym nadano nazwy. Rozbiliśmy kiedyś obóz na jednej z polan położonych blisko skraju lasu.

– Często próbowaliśmy zapuścić się głębiej w puszcę. Pamiętasz te wyprawy, Chris? Niestety, szlak ku głębi po prostu się kończył, a nam zawsze udawało się zablądzić i najeść strachu.

– To prawda – odparł cicho Christian, spoglądając na mnie z pytaniem w oczach. – A gdybym ci powiedział, że to las nie pozwalał nam wejść? – dodał. – Czy byś mi uwierzył?

Popatrzyłem w gąszcz krzewów i drzew spowitych mrokiem. Była tam widoczna skąpana w blasku słońca polana.

– Sądzę, że w pewnym sensie tak było. Nie pozwalała nam zapuścić się zbyt głęboko, bo się go baliśmy, bo jest w nim mało ścieżek, a grunt pokrywają kamienie i głóg... bardzo trudno się tamtędy chodzi. Czy o to ci chodzi? Czy może o coś bardziej złowieszczonego?

– Nie użyłbym słowa „złowieszcze” – odparł Christian, lecz przez chwilę nie dodał już nic więcej. Wyciągnął rękę w górę, by zerwać liść z małego, niedojrzałego dębu. Potarł go między kciukiem a palcem wskazującym, a potem zmiażdżył w dłoni. Przez cały czas wpatrywał się w głęb lasu. – To jest pierwotna, dębowa knieja, Steve, nie tknięta od czasów, gdy cały kraj pokrywały liściaste puszcze złożone z dębów, jesionów, czarnego bzu, jarzębin, głogów...

– I całej reszty – dodałem z uśmiechem. – Pamiętam, jak stary nam je wyliczał.

– Zgadza się, tak było. Stąd aż za Grimley ciągną się ponad trzy mile kwadratowe takiego lasu. Trzy mile kwadratowe oryginalnego, polodowcowego boru. Nie tkniętego, nie zdobytego od tysiącleci – przerwał i wpatrzył się we mnie intensywnie, nim dodał: – Opierającego się zmianom.

– Ojciec zawsze sądził, że są tu dziki – dorzuciłem. – Pamiętam, że jednej nocy coś słyszałem. Przekonał mnie wtedy, że to wielki, potężny, stary odyniec posuwający się skrajem lasu w poszukiwaniu samicy.

Christian pierwszy ruszył z powrotem ku przystani.

– Zapewne miał rację. Gdyby dziki przetrwały gdzieś od czasów średniowiecza, to można by je znaleźć właśnie w takim lesie.

Gdy otworzyłem umysł na owe wydarzenia sprzed wielu lat, cał po cału powróciły wspomnienia, obrazy z dzieciństwa: palący dotyk słońca na podrapanej jeżynami skórze; wędkarskie wyprawy nad staw u młyna; obozy

na drzewach, zabawy, poszukiwania... i nagle przypomniałem sobie Gałęźnika.

Idąc ku udeptanej ścieżce wiodącej do domu, rozmawialiśmy o tym spotkaniu. Miałem wówczas dziewięć albo dziesięć lat. Gdy wracaliśmy nad bystry potok, by wędkować, postanowiliśmy wypróbować nasze kije i sznurki w stawie, w próżnej nadziei, że złapiemy jedną z żyjących w nim drapieżnych ryb. Gdy przykucnęliśmy nad wodą (łódką ważyliśmy się wypływać tylko z Alphonsem), dostrzegliśmy wśród drzew na przeciwległym brzegu jakiś ruch. Była to oszłamiająca wizja, która na kilka następnych chwil przykuła naszą uwagę. Pamiętam, że porządnie się wtedy wystraszyliśmy. Po drugiej stronie potoku stał mężczyzna odziany w brązowy, skórzany strój. Patrzył na nas. Jego talię otaczał szeroki, błyszczący pas. Spiczasta, pomarańczowa broda sięgała mu do piersi. We włosach miał gałązki utrzymywane na głowie przez skózaną opaskę. Spoglądał na nas tylko przez chwilę, po czym ponownie zniknął w mroku. Przez cały ten czas nic nie słyszeliśmy. Zbliżył się i oddalił bezgłośnie.

Biegając do domu, uspokoiliśmy się szybko. Na koniec Christian uznał, że z pewnością był to stary Alphonse, który chciał z nas zażartować. Gdy jednak wspomniałem ojcu, co widzieliśmy, zareagował niemal gniewnie (choć Christian wspomina, że był podekscytowany i krzyczał z tego powodu, a nie dlatego, że był zły, iż zbliżyliśmy się do zakazanego stawu). To ojciec nazwał zjawę „Gałęźnikiem”. Wkrótce po naszej rozmowie zniknął w lesie na prawie dwa tygodnie.

– To właśnie wtedy wrócił ranny, pamiętasz? – Mówiąc to, Christian otworzył przede mną bramę, dotarliśmy już bowiem na teren Oak Lodge.

– Rana od strzały. Cygańskiej strzały. Mój Boże, to był okropny dzień.

– Pierwszy z wielu.

Zauważyłem, że ze ścian domu usunięto większość bluszczu. Budynek stał się szary – małe okna bez zasłon otoczone były ciemnymi ceglami. Pokryty dachówką dach z trzema wysokimi kominami częściowo

przesłaniały konary wielkiego, starego buka. Podwórko i ogrody były zaniedbane i zapuszczone, puste kurniki i budynki dla zwierząt zniszczone i rozlatujące się. Christian naprawdę pozwolił, by dom podupadł. Gdy przeszedłem przez próg, poczułem się tak, jakbym nigdy stąd nie odjeżdżał. Pachniało tu zleżałą żywnością i chlorem. Mogłem niemal dostrzec chudą postać matki krzątającej się przy ogromnym sosnowym stole w kuchni i koty przeciągające się wokół niej na podłodze z czerwonych kafelków.

Christian ponownie zaczął okazywać napięcie. Gapił się na mnie z nerwową miną, która znamionowała u niego niepokój. Pomyślałem, że nadal nie jest pewny, czy ma się cieszyć czy gniewać, że wróciłem do domu tak nagle. Przez chwilę czułem się jak intruz.

– Dlaczego się nie rozpakujesz i nie odświeżysz? – spytał.

– Możesz się zatrzymać w swym dawnym pokoju. Jest w nim pewnie trochę duszno, ale szybko się wywietrzy. Potem zejdź na dół, to zjemy jakiś późny lunch. Gdy tylko skończymy, będziemy mieli tyle czasu na rozmowę przy herbacie, ile dusza zapragnie – mówiąc to, uśmiechnął się. Odniosłem wrażenie, że była to jakaś nieśmiała próba żartu. Mówił szybko dalej, wpatrując się we mnie zimnym, surowym wzrokiem. – Jeśli masz zamiar zatrzymać się w domu na dłużej, lepiej żebyś wiedział, co się tu dzieje. Nie chcę, żebyś się w to wtrącał, Steve, ani w moją robotę.

– Nie pragnę się mieszać w twoje życie, Chris...

– Na pewno? Zobaczymy. Nie zamierzam zaprzeczać, że niepokoi mnie twoje przybycie. Jednak skoro już jesteś... – Jego głos ucichł. Przez mgnienie oka Christian wydawał się niemal zawstydzony. – Cóż, pogadamy później.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Zaintrygowany tym, co powiedział Christian i zmartwiony jego obawą co do mnie, pohamowałem mimo wszystko ciekawość i poświęciłem godzinę na ponowne zbadanie domu od góry do dołu, wewnątrz i na zewnątrz. Dotarłem do każdego miejsca poza gabinetem ojca. Myśl o nim przeszywała mnie jeszcze większym dreszczem niż zachowanie Christiana. Nic się nie zmieniło, poza tym, że wszędzie panował bałagan i nikt tu nie mieszkał. Christian zatrudniał na godziny kobietę z pobliskiej wioski pełniącą funkcję sprzątaczk i kucharki. Przyjeżdżała ona co tydzień na rowerze i przygotowywała mu pasztet lub gulasz, które wystarczały mu na trzy dni. Christianowi nie brakowało płodów rolnych, rzadko więc zadawał sobie trud, by skorzystać z książeczki żywnościowej. Wydawało się, że wszystko, czego mu trzeba, w tym również cukier i herbatę, dostaje z majątku Ryhope, którego właściciel zawsze dobrze traktował moją rodzinę.

Mój dawny pokój wyglądał niemal dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Otworzyłem szeroko okno i położyłem się na kilka minut na łóżko, wpatrując się w zamglone niebo późnego lata widoczne za kołyszącymi się konarami olbrzymiego buka, który rósł tak blisko domu. Jako mały chłopiec niejednemu raz wyłaziłem przez okno, by urządzić wśród grubych konarów tajemny obóz. Drżałem w świetle księżyca, odziany tylko w spodenki. Skulony w tym sekretnym miejscu wyobrażałem sobie mroczne poczynania kręcących się w dole nocnych stworzeń.

Lunch, który zjedliśmy późnym popołudniem, był sutym posiłkiem złożonym z zimnej wieprzowiny, kurczaka i jaj na twardo w ilościach, jakich nigdy nie spodziewałem się już zobaczyć po dwóch latach spędzonych we Francji, gdzie żywność ściśle racjonowano. Rzecz jasna,

zjedliśmy zapasy, które miały wystarczyć Christianowi na kilka dni, nie sprawiał on jednak wrażenia przejętego tym faktem. Zresztą sam grzebał tylko widelcem po talerzu.

Następnie przegadaliśmy parę godzin. Christian wyraźnie się uspokoił, ani razu nie wspomniał o Guiwenneth czy o pracy ojca, ja zaś nie poruszałem tych tematów.

Rozwaliliśmy się w niewygodnych fotelach, które należały do naszych dziadków. Otaczały nas wyblakłe ze starości pamiątki rodzinne... fotografie, hałaśliwy zegar w obudowie z palisandru, kiczowate obrazki przedstawiające egzotyczną Hiszpanię, wszystko to było oprawione w splekane, pociągnięte fałszywą pozłotą drewno i przytwierdzone do tapety w kwiaty, która pokrywała ściany salonu od czasów poprzedzających moje urodzenie. Był to jednak dom. Christian, zapach i wyblakłe dekoracje, wszystko to było dla mnie domem. W dwie godziny po przybyciu wiedziałem już, że będę musiał tu zostać. Rzecz nie w tym, że było to dla mnie odpowiednie miejsce (choć z pewnością odnosiłem takie wrażenie), lecz w tym, że owo miejsce było moje. Nie chodziło o interesowną chęć posiadania, lecz raczej o to, że dom i otaczająca go okolica dzieliły ze mną życie. Stanowiliśmy część tego samego procesu ewolucyjnego. Nawet we Francji, nawet w wiosce na południu, nie uwolniłem się od niego, a tylko maksymalnie oddaliłem.

Gdy stary, ciężki zegar zaczął furkotać i zgrzytać, nim z mozołem wybił godzinę piątą, Christian poderwał się gwałtownie z fotela, wrzucając na wół wypalonego papierosa do pustego paleniska.

– Chodźmy do gabinetu – rzucił.

Podniosłem się bez słowa i podążyłem za nim do małego pomieszczenia, w którym zwykł pracować ojciec.

– Boisz się tego pokoju, prawda?

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Podeszedł do ciężkiego, dębowego biurka i wydobyl z jednej z szuflad wielki, oprawny w skórę tom.

Stałem pod drzwiami, obserwując Christiana. Nie mogłem niemal ruszyć nogami, wahałem się, czy tam wejść. Poznałem książkę, którą trzymał. To był notatnik ojca. Dotknąłem kieszeni z tyłu spodni i portfela, który w niej miałem. Pomyślałem o ukrytym pod jego cienką skórą fragmencie owego notatnika. Zastanowiłem się, czy ktokolwiek, ojciec albo Christian, zauważył brak strony. Brat mi się przyglądał. Jego oczy lśniły teraz z podniecenia. Ręce mu drżały, gdy położył księgę na biurku.

– On nie żyje, Steve. Zniknął z tego pokoju i z domu. Nie trzeba już się bać.

– Na pewno?

Nagle jednak znalazłem siłę, by się poruszyć. Przekroczyłem próg. W chwili, gdy wszedłem do wypełnionego wonią stęchlizny pokoju, poczułem się totalnie stłamszony. Głęboko dotknął mnie chłód tego miejsca, silna, niesamowita atmosfera zdająca się emanować ze ścian, dywanów i okien. Pachniało tu lekko skórą, a także kurzem. Można też było wyczuć słabiutką woń pasty, całkiem jakby Christian podejmował symboliczne próby utrzymania czystości w tej dusznej izbie. Nie panowała tu ciasnota. Pokój nie był biblioteką, jaką być może chciałby z niego uczynić ojciec. Znajdowały się tu książki o zoologii i botanice, historii i archeologii, lecz nie rzadkie wydania a jedynie najtańsze egzemplarze, na jakie udało mu się natrafić. Więcej było książek w miękkich niż w twardych okładkach. Wspaniała oprawa jego notatek oraz wysoki połysk biurka miały posmak wiktoriańskiej elegancji kontrastującej z ubogą pracownią.

Na ścianach, między regałami, wisiały skryte za szkłem zebrane przez niego eksponaty: kawałki drewna, zbiory liści, prymitywne rysunki zwierząt i roślin wykonane podczas pierwszych lat jego fascynacji lasem. Niemal ukryta między regałami i półkami znajdowała się tam ozdobiona wzorem strzała, która trafiła go piętnaście lat temu. Jej lotki były powyginane i bezużyteczne, złamane drzewce sklejone, a żelazny grot zmatowiały od korozji. Mimo to sprawiała śmiertelnie groźne wrażenie.

Gapiałem się na nią przez kilka sekund, wspominając cierpienia starego oraz łyzy, które obaj z Christianem wylaliśmy nad nim, gdy pomagaliśmy mu owego zimnego, jesiennego popołudnia wrócić z lasu, przekonani, że umrze.

Jak szybko wszystko się zmieniło po owym dziwnym, nigdy w pełni nie wyjaśnionym incydencie. Jeśli strzała stanowiła nić łączącą mnie z wcześniejszymi dniami, gdy w umyśle ojca trwały jeszcze pozory troski i miłości, reszta gabinetu promieniowała jedynie zimnem.

Wciąż widziałem siwiejącą postać pochyloną nad biurkiem i zawzięcie piszącą. Słyszałem wysilony oddech, objaw choroby płuc, która go w końcu zabiła. Słyszałem, jak go wstrzymuje, wydając z siebie dźwięk irytacji, zdawszy sobie sprawę z mojej obecności, a potem na wpół rozzłoszczonym gestem każe mi odejść, całkiem jakby żałował mi nawet tego ułamka sekundy swej uwagi.

Jakże podobny do niego wydawał się teraz Christian. Stał za biurkiem, rozczochrany i słabowity. Dłonie skrył w kieszeniach flanelowych spodni, ramiona mu opadły, a całe ciało wyraźnie drżało. Mimo to otaczała go aura niezachwianej pewności siebie.

Czekał, nic nie mówiąc, aż przywyknę do pokoju i pozwolę, by odżyły we mnie wspomnienia i atmosfera tamtych dni. Kiedy podszedłem do biurka, wróciwszy myślą do chwili bieżącej, powiedział: – Powinieneś przeczytać notatki, Steve. Wyjaśnią ci mnóstwo rzeczy. Pomogą ci też zrozumieć, co właściwie robię.

Odwróciłem notatnik w swoją stronę. Przebiegłem wzrokiem po rozwlekłych, niestarannych bazgrołach, wyławiając słowa i zdania. W ciągu kilku krótkich sekund przemknąłem przez lata życia mego ojca. W nienaruszonym tekście słowa były równie pozbawione znaczenia, jak te na ukradzonej kartce. Przywołały z powrotem wspomnienie gniewu, niebezpieczeństwa i strachu. Życie zawarte w notatkach pomogło mi przetrwać prawie rok wojny. Nabrały one dla mnie szerszego znaczenia niż

ich właściwy kontekst. Czułem opory przed zerwaniem tak potężnego połączenia z przeszłością.

– Przeczytam je, Chris. Od początku do końca. Obiecuję. Jednak nie w tej chwili.

Zamknąłem księgę. Zauważyłem przy tym, że dłonie mam wilgotne i drżące. Nie byłem jeszcze gotowy na tak bliskie spotkanie z ojcem. Christian zauważył to i zaakceptował.

Wieczorem rozmowa urwała się dość wcześnie. Opuściła mnie energia. Dało wreszcie o sobie znać napięcie wywołane długą podróżą. Christian odprowadził mnie na górę. Stał w drzwiach pokoju i przyglądał się, jak rozkładam pościel i szwendam się po izbie, zbierając fragmenty swego dawnego życia, śmiejąc się, potrząsając głową i próbując przywołać pełną znużenia nostalgię sprzed chwili.

– Pamiętasz, jak obozowaliśmy na tym buku? – zapytałem, spoglądając na szare konary i liście widoczne na tle ciemniejącego, wieczornego nieba.

– Tak – odparł z uśmiechem Christian. – Pamiętam to bardzo wyraźnie.

Całą rozmowę przesycalo podobne zmęczenie. Christian zrozumiał zawartą w tym aluzję.

– Śpij dobrze, stary – powiedział. – Zobaczymy się rano.

Jeśli w ogóle spałem, to tylko przez cztery czy pięć godzin po przyłożeniu głowy do poduszki. Przebudziłem się nagle, w pełni świadomy, w samym środku nocy. Mogła być pierwsza albo druga. Niebo było bardzo ciemne. Na dworze wiał silny wiatr. Leżałem, gapiąc się w okno. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że moje ciało jest tak rześkie i wypoczęte. Na dole coś się ruszało. Pomyślałem, że to Christian wziął się za sprzątanie. Chodził niespokojnie po domu, usiłując przyzwyczaić się do myśli o moim powrocie. Pościel pachniała naftaliną i starą bawełną. Łóżko skrzypiało metalicznie, kiedy się poruszałem, gdy zaś leżałem spokojnie, w całej izbie trzaskało i szurało, jakby próbowała ona przywyknąć do tego, że

po tylu latach znowu ma towarzystwo. Leżałem bezsennie przez całe wieki, lecz przed pierwszym brzaskiem musiałem ponownie zapaść w sen, gdyż nagle zobaczyłem, że pochyła się nade mną Christian, potrząsając delikatnie moim ramieniem. Obudziłem się natychmiast i poderwałem zaskoczony. Następnie wsparłem się na łokciach i rozejrzałem wokół. Świtało.

– Co się stało, Chris?

– Muszę odejść. Przykro mi, ale muszę.

Zdałem sobie sprawę, że ma na sobie ciężką, nieprzemakalną pelerynę, na nogach zaś turystyczne buty o grubych podeszwach.

– Odejść? Jak to odejść?

– Przykro mi, Steve. Nic nie mogę na to poradzić.

Mówił cicho, jakby w domu był ktoś jeszcze, kogo mogłyby zbudzić podniesione głosy. W bladym świetle wyglądał na jeszcze bardziej wymizerowanego. Oczy miał zmrużone – chyba z bólu lub trwogi.

– Muszę odejść na kilka dni. Dasz sobie radę. Zostawiłem na dole list ze wskazówkami, gdzie zdobyć chleb, jajka i takie rzeczy.

Jestem pewien, że będziesz mógł korzystać z mojej książeczki żywnościowej, dopóki nie przyślą twojej. To nie potrwa długo, tylko kilka dni. Obiecuję...

Podniósł się z przykucniętej pozycji i wyszedł z pokoju.

– Na Boga, Chris, dokąd idziesz?

– Ku wewnątrz.

To było wszystko, co powiedział, nim usłyszałem, jak schodzi ciężko po schodach. Przez moment lub dwa leżałem bez ruchu, starając się uporządkować myśli. Potem podniosłem się, nałożyłem szlafrok i podążyłem za bratem do kuchni. Zdążył już wyjść z domu. Podszedłem do okna na półpiętrze. Zobaczyłem, jak idzie brzegiem podwórka i oddala się szybko ku południowemu szlakowi. Na głowie miał kapelusz z szerokim

rondem. Niósł długą, czarną laskę oraz mały plecak przerzucony niewygodnie przez jedno ramię.

– Co to znaczy „ku wewnątrz”, Chris? – skierowałem pytanie w stronę jego malejącej postaci. Stałem i patrzyłem jeszcze długo po tym, jak zniknął już z mego pola widzenia.

– O co tu chodzi, Chris? – zwróciłem się do jego pustej sypialni, błakając się niespokojnie po domu. O Guiwenneth, jej zniknięciu nie wiedziałem prawie nic... jak niewiele można wywnioskować ze słowa „odeszła”. Podczas całej naszej wczorajszej rozmowy Chris ani razu już nie wspomniał o żonie. Wróciłem do Anglii, spodziewając się zastać młodą, radosną parę, a tymczasem znalazłem tu udęconego, marniejącego brata zamieszkującego w zaniedbanym cieniu naszego rodzinnego domu.

Po południu pogodziłem się już z tym, że spędzę pewien okres samotnie, gdyż dokądkolwiek udał się Christian (a potrafiłem się tego domyślić), powiedział wyraźnie, że przez jakiś czas go nie będzie. W domu i w obejściu było mnóstwo do zrobienia. Wydawało się, że nie mam lepszego sposobu na spędzenie czasu niż przystąpić do odbudowy osobliwości Oak Lodge. Sporządziłem listę rzeczy wymagających gruntownych napraw i następnego dnia poszedłem do najbliższego miasteczka, by zamówić takie materiały, jakie tylko zdołam dostać, głównie drewno i farbę. Przekonałem się, że zaopatrzenie w nie jest całkiem niezłe.

Odnowiłem znajomość z Ryhope'ami oraz wieloma innymi miejscowymi rodzinami, z którymi ongiś łączyły mnie przyjazne stosunki. Zwolniłem z pracy dojeżdżającą kucharkę. Potrafiłem sam wystarczająco dobrze zadbać o siebie.

Na koniec udałem się na cmentarz; jedna, krótka, odbyta na zimno wizyta.

Sierpień przeszedł we wrzesień. Wieczorem i wczesnym rankiem wyczuwałem w powietrzu wyraźną rześkość. Uwielbiałem tę porę roku,

przełom lata i jesieni, choć wiązały się z nią niezbyt miłe wspomnienia dotyczące powrotu do szkoły po długich wakacjach.

Wkrótce przyzwyczaiałem się do tego, że jestem sam w domu. Mimo że odbywałem długie spacerunki wokół głębokiego boru, obserwując drogę i tory kolejowe w poszukiwaniu wracającego Christiana, pod koniec pierwszego tygodnia przestałem się o niego niepokoić. Pochłoneła mnie wygodna, codzienna rutyna pracy w obejściu. Malowałem zewnętrzne, drewniane elementy konstrukcji domu, by przygotować go na atak zimy, a także przekopywałem wielki, zaniedbany ogród.

Wieczorem jedenastego dnia po moim przyjeździe ten ustalony porządek zakłóciło wydarzenie tak osobliwe, że myślałem o nim całą noc, nie mogąc zasnąć.

Większość popołudnia spędziłem w miasteczku Hobbhurst. Po lekkim, wieczornym posiłku usiadłem, by przeczytać gazetę. Gdy zbliżała się dziewiąta, poczułem, że jestem gotowy na przechadzkę przed snem. Odniosłem wrażenie, że słyszę psa, nie tyle szczekającego, co wyjącego. Moją pierwszą myślą było to, że wraca Christian, drugą zaś, że w najbliższej okolicy nie ma żadnych psów.

Wyszedłem na podwórko. Choć zapadł już zmierzch, było jeszcze dosyć jasno, aczkolwiek leśne dęby zlewały się w szarozieloną plamę. Zawołałem Christiana, lecz nie usłyszałem odpowiedzi. Miałem już zamiar wrócić do swej gazety, gdy z odległego lasu wynurzył się jakiś mężczyzna, który podążał truchtem w moją stronę. Na krótkiej, skórzanej smyczy trzymał największego psa jakiego widziałem w życiu.

Zatrzymał się przy wejściu na nasz teren. Zwierzę zaczęło warczeć. Oparło się przednimi łapami o płot. W ten sposób niemal dorównało wzrostem swemu panu. Natychmiast poczułem niepokój. Dzieliłem równo swą uwagę między rozdziawiony, zdyszany pysk mrocznej bestii a niezwykłego mężczyznę, który ją trzymał.



Trudno było dojrzeć go wyraźnie, gdyż twarz miał pomalowaną w ciemne wzory, a wąsy opadające znacznie poniżej podbródka. Włosy pokrywały mu czaszkę grubą warstwą. Miał na sobie wełnianą koszulę o ciemnej barwie, skórzaną kurtkę oraz ciasne bryczesy w kratkę, które kończyły się tuż poniżej kolan. Gdy przeszedł ostrożnie przez bramę, dostrzegłem jego proste sandały. Na ramieniu niósł łuk o prymitywnym wyglądzie oraz pęk strzał związanych zwykłym rzemykiem i przytwierdzonych do pasa. Podobnie jak Christian, w ręku trzymał laskę.

Za bramą zawahał się, spoglądając na mnie. Stojący u jego boku pies był niespokojny. Oblizywał pysk i powarkiwał cicho. Nigdy nie widziałem podobnej bestii. Jej sierść była ciemna i kosmata. Zwierzę miało wąski, ostro zakończony pysk, jak u owczarka alzackiego, lecz jego ciało przywodziło na myśl niedźwiedzia. Łapy były jednak długie i cienkie. Pomyślałem, że jest to pies stworzony do pościgu, do łowów.

Mężczyzna powiedział coś do mnie, lecz choć słowa wydały mi się znajome, nic dla mnie nie znaczyły. Nie wiedziałem, co zrobić, potrząsnąłem więc głową i odpowiedziałem, że nie rozumiem. Nieznajomy zawahał się przez chwilę, nim powtórzył to samo, tym razem z wyraźną nutą gniewu w głosie. Następnie ruszył ku mnie, szarpiąc psa, by nie pozwolić mu ciągnąć za smycz. Światło zniknęło już z nieba. Wydawało się, że widoczny na szarym tle przybysz, zbliżając się do mnie, zyskuje na wzroście. Zwierzę przyglądało mi się łakomie.

– Czego pan chce? – zawołałem. Starłem się nadać swemu głosowi stanowcze brzmienie, choć wolałbym raczej uciec do domu. Mężczyzna był już tylko o dziesięć kroków ode mnie.

Zatrzymał się i przemówił raz jeszcze. Tym razem wykonał ręką, w której trzymał laskę, ruchy oznaczające jedzenie. Wreszcie zrozumiałem.

Skinąłem energicznie głową.

– Proszę zaczekać – powiedziałem i poszedłem do domu po zimny, wieprzowy udziec, który miał mi wystarczyć jeszcze na cztery dni. Nie był

zbyt wielki, ale wydawało się, że tego wymaga gościnność. Wyniosłem na podwórko mięso, pół bochenka chleba oraz dzbanek butelkowego piwa. Nieznajomy przykucnął. Pies położył się obok niego, jak mi się zdawało, raczej z niechęcią. Gdy spróbowałem się zbliżyć, warknął, a potem zaszczekał w sposób, od którego serce zabiło mi jak szalone, a dary omal nie wypadły z rąk. Mężczyzna krzyknął na zwierzę i powiedział coś do mnie. Położyłem jedzenie w miejscu, gdzie stałem i wycofałem się. Makabryczna para zbliżyła się i ponownie pochyliła, by przystąpić do posiłku.

Gdy mężczyzna podniósł udziec, ujrzałem na jego ramieniu blizny. Biegły wzdłuż i w poprzek napiętych mięśni. Poczułem również jego zapach, obrzydliwy, zjełczały smród, woń potu i moczu zmieszaną z cuchnącym odorem gnijącego mięsa. Ogarnęły mnie mdłości, lecz nie cofnąłem się. Patrzyłem, jak nieznajomy rozszarpuje wieprzowinę zębami, połykając ją szybko i z wysiłkiem. Pies mi się przyglądał.

Po kilku minutach mężczyzna przestał jeść. Spojrzał na mnie. Nie spuszczać wzroku z moich oczu, jakby chciał mnie sprowokować do jakiejś reakcji, dał resztę mięsa psu. Ten warknął głośno i złapał udziec zębami. Pogryzł, rozdrobnił i przełknął cały w ciągu niespełna czterech minut. Nieznajomy tymczasem ostrożnie – i najwyraźniej bez wielkiej przyjemności – wypił piwo, przeżuwając jednocześnie wielki kęs chleba.

Wreszcie dziwaczna uczta dobiegła końca. Mężczyzna dźwignął się na nogi i szarpnięciem odciągnął psa od miejsca, gdzie ten głośno wylizywał ziemię. Powiedział słowo, które intuicyjnie zrozumiałem jako „dziękuję”. Miał już zamiar się odwrócić, gdy pies coś zwęszył. Wydał z siebie najpierw wysoki skowyt, a potem ochrypły szczek. Wyrwał się z uchwytu pana i pognał przez podwórko ku miejscu leżącemu między dwoma rozsypującymi się kurnikami. Węszył tam i drapał, aż wreszcie mężczyzna dopędził go i złapał za skórzaną smycz. Krzyczał potem długo i gniewnie

na swego podopiecznego. Pies ruszył za nim, wykonując bezgłośnie, monstrualne podskoki. Zniknęli w mroku za podwórkiem.

Pobiegli co sił w nogach skrajem lasu ku uprawnym terenom otaczającym wioskę Grimley. Więcej już ich nie widziałem.

Rankiem tam, gdzie wczoraj siedzieli człowiek i zwierzę, wciąż czuło się odór. Okrążyłem szybko ów punkt i poszedłem do lasu. Znalazłem miejsce, w którym dziwni goście wychynęli spomiędzy drzew. Roślinność była tam zdeptana i zniszczona. Podążałem ich trasą w mrok cienistego boru jakieś kilkadziesiąt jardów, nim zatrzymałem się i zawróciłem.

Skąd, u licha, się wzięli? Czy wojna tak silnie wpłynęła na ludzi w Anglii, że niektórzy wrócili do dzikiego życia i walczyli o przetrwanie, polując z psem, łukiem i strzałami?

Aż do południa nie przyszło mi do głowy, by sprawdzić miejsce między kurnikami, gdzie grunt tak głęboko poorala ta krótka chwila kopania. Zadałem sobie pytanie, co zwierzę zwęszyło. Serce zmroził mi nagły chłód. Oddaliłem się stamtąd biegiem, nie chcąc w tej chwili znaleźć potwierdzenia swych najgorszych obaw.

Skąd wiedziałem, nie potrafię powiedzieć: intuicja lub może coś, co moja podświadomość wykryła w słowach i reakcjach Christiana podczas naszego krótkiego spotkania jakiś tydzień temu. Tak czy inaczej, późnym popołudniem tego samego dnia poszedłem pod kurniki z łopata. Po kilku minutach kopania przekonałem się, że instynkt mnie nie zawiódł.

Siedziałem przez pół godziny na ganku tylnego wejścia do domu, gapiąc się na znajdujący się po drugiej stronie podwórka grób, nim zdobyłem się na odwagę, by całkowicie odsłonić ciało kobiety. Miałem zawroty głowy i lekkie mdłości, lecz przede wszystkim dręczyło mnie niepożądane, niepowstrzymane drżenie rąk i nóg, tak silne, że niemal nie mogłem założyć rękawic. Wreszcie jednak przyklęknąłem przy dole i usunąłem ze zwłok resztę ziemi.

Christian pochował ją na głębokości trzech stóp, twarzą do dołu. Włosy miała długie i rude. Ciało wciąż było odziane w niezwykle, zielony strój, wyszywaną tunikę ozdobioną z boków koronkami. Była podwinięta do wysokości talii, lecz normalnie sięgałaby łydek. Wraz z kobietą pochowano laskę. Odwróciłem głowę zmarłej. Wstrzymałem oddech, by nie czuć niemal niemożliwego do zniesienia smrodu zgnilizny. Z niejakim wysiłkiem zmusiłem się do spojrzenia na rozkładającą się twarz. Zobaczyłem wtedy, w jaki sposób zginęła dziewczyna. W jej oku tkwił jeszcze grot i kawałek drzewca strzały. Czyżby Christian próbował ją wyrwać i udało mu się ją tylko złamać? Pozostawiony fragment był wystarczająco duży, bym mógł zauważyć, że na strzale wyryto takie same znaki jak na tej znajdującej się w gabinecie ojca.

Biedna Guiwenneth, pomyślałem. Pozwoliłem, by zwłoki opadły na miejsce swego spoczynku i ponownie zasypałem grób. Gdy wróciłem do domu, zalał mnie zimny pot. Nie miałem wątpliwości, że za chwilę gwałtownie zwymiotuję.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W dwa dni później, gdy zszedłem rano na dół, zobaczyłem w kuchni porozrzucane łachy i manatki mojego brata. Podłogę pokrywało błoto i zeschnięte liście. Wspiąłem się na górę, do jego pokoju. Wybałuszyłem oczy na widok półnagiego Christiana. Leżał na łóżku na brzuchu, z twarzą zwróconą w moją stronę. Spał głęboko i hałaśliwie. Wyobraziłem sobie, że odsypia cały tydzień. Stan jego ciała dał mi jednak powody do niepokoju. Od szyi po kostki nóg pokrywały go zadrapania i blizny. Był niesłychanie brudny i cuchnący. Włosy miał skołtunione. Mimo to sprawiał wrażenie zahartowanego i silnego. Zaszła w nim dostrzegalna fizyczna zmiana. Nie przypominał już chudego jak szkielet młodego mężczyzny o zapadniętej twarzy, który przywitał mnie przed niemal dwoma tygodniami.

Przespał większą część dnia. Wyszedł z pokoju o szóstej wieczorem, odziany w luźną, szarą koszulę i flanelowe spodnie o nogawkach oderwanych tuż nad kolanami. Umył sobie bez przekonania twarz, nadal jednak cuchnął potem i roślinnością, całkiem jakby dni swej nieobecności spędził zagrzebany w kompoście.

Dałem mu jeść. Wypił całą zawartość imbryka herbaty. Siedziałem i przyglądałem mu się. Wciąż obrzucał mnie szybkimi, podejrzliwymi spojrzeniami, jakby obawiał się jakiegoś nagłego ruchu lub niespodziewanego ataku. Mięśnie jego ramion i nadgarstków były wyraźnie zaznaczone. Stał się niemal innym człowiekiem.

– Gdzie byłeś, Chris? – zapytałem po chwili. Nie byłem w najmniejszym stopniu zaskoczony, gdy odpowiedział: – W lesie. Głęboko w lesie.

Wepchnął sobie do ust kolejny kęs mięsa i zaczął je głośno przeżuwać. Gdy je przełknął, znalazł chwilę, by powiedzieć: – Jestem w dobrej formie.

Mam pełno siniaków i zadrapań od tych cholernych jeżyn, ale jestem w dobrej formie.

W lesie. Głęboko w lesie. Co, na miły Bóg, mógł tam robić? Kiedy patrzyłem, jak pożera łapczywie jedzenie, ponownie zobaczyłem nieznanego, który przykucnął niby zwierzę na moim podwórku, przeżuwając mięso niczym dzika bestia. Christian przypominał mi tego człowieka. Otaczała go taka sama aura prymitywu.

– Chyba przydałaby ci się kąpiel – powiedziałem. Uśmiechnął się i wydał z siebie dźwięk wyrażający zgodę. – Co tam robiłeś? – ciągnąłem. – W lesie. Czy rozbiłeś obóz?

Przełknął głośno kolejny kęs i wypił pół filiżanki herbaty, nim potrząsnął głową.

– Mam tam obozowisko, ale teraz prowadziłem poszukiwania. Zapuściłem się tak głęboko, jak tylko mogłem. Wciąż jednak nie potrafię się przedostać za... – przerwał. Spojrzał na mnie z pytaniem w oczach. – Przeczytałeś notatnik starego?

Odpowiedziałem, że nie. Prawdę mówiąc, byłem tak zaskoczony nagłym odejściem brata i tak zdecydowany doprowadzić dom do porządku, że całkowicie zapomniałem o notatkach dotyczących pracy ojca. Gdy wyznałem to Christianowi, zadałem sobie pytanie, czy rzeczywistość nie wyglądała tak, że starałem się wypchnąć starego, jego pracę i notatki ze swego umysłu, całkiem jakby były to widma zdolne zmniejszyć moją determinację, by stawić czoło przyszłości.

Christian otarł usta dłonią. Wbił wzrok w pusty talerz. Nagle powąchał swe ciało i roześmiał się.

– Na Boga, faktycznie śmierdzą. Lepiej zagrzej mi trochę wody, Steve. Zaraz się umyję.

Nie poruszyłem się jednak. Wpatrywałem się w niego zza drewnianego stołu. Dostrzegł moje spojrzenie i zmarszczył brwi.

– O co chodzi? Co cię gryzie?

– Znalazłem ją, Chris. Znalazłem jej ciało. Guiwenneth. Znalazłem miejsce, gdzie ją pochowałeś.

Nie wiem, jakiej reakcji oczekiwałem od Christiana. Być może gniewu albo paniki, bądź też nagłego wybuchu bełkotliwych tłumaczeń. Miałem też odrobinę nadziei, że zareaguje zdziwieniem, że okaże się, iż zwłoki na podwórku nie są szczątkami jego żony, a on nie miał nic wspólnego z ich pochówkiem. Mój brat jednak o nich wiedział. Popatrzył na mnie bez wyrazu. Głęboka cisza i przesycone wonią potu powietrze sprawiły, że poczułem narastający niepokój.

Nagle zdałem sobie sprawę, że Christian płacze. Nie spuszczał ze mnie oczu, zwilżonych teraz łzami, które spływały po jego brudnej twarzy. Mimo to nie wydał z siebie żadnego dźwięku, a jego oblicze ani na chwilę nie straciło wyrazu łagodnej, niemal bezmyślnej kontemplacji.

– Kto ją zastrzelił, Chris? – zapytałem cicho. – Ty?

– Nie ja – odparł.

Po tych słowach łzy przestały mu płynąć.

Opuścił wzrok ku stołowi.

– Zastrzelił ją mitotwór. Nie mogłem nic na to poradzić.

Mitotwór? Znaczenie tego słowa było dla mnie nieznane, choć pamiętałem je z fragmentu notatnika ojca, który ze sobą nosiłem. Zapytałem o to Chrisa. Podniósł się zza stołu i wsparł dłonie na blacie, wpatrując się we mnie.

– Mitotwór – powtórzył. – Nadal jest w lesie... One wszystkie tam są. Tam właśnie byłem. Szukałem wśród nich. Próbowałem ją ocalić, Steve. Żyła, kiedy ją znalazłem, mogłaby żyć dalej, ale zabrałem ją z lasu... w pewnym sensie rzeczywiście ją zabiłem. Odciągnąłem ją od wiru i zginęła bardzo szybko. Wpadłem wtedy w panikę. Nie wiedziałem, co zrobić. Pochowałem ją, bo to wydawało się najłatwiejszym wyjściem...

– Czy zawiadomiłeś policję? Zgłosiłeś fakt jej śmierci?

Christian uśmiechnął się. Nie był to jednak przejaw makabrycznego poczucia humoru, lecz uśmiech kogoś lepiej poinformowanego, znającego tajemnicę, którą dotąd się ze mną nie podzielił. Była to jednak tylko reakcja obronna, gdyż uśmiech zniknął szybko.

– To nie było konieczne, Steve... policja nie byłaby zainteresowana.

Podniosłem się gniewnie zza stołu. Wydawało mi się, że Christian zachował się – i nadal zachowuje – przerażająco nieodpowiedzialnie.

– Jej rodzina, Chris... jej rodzice! Mają prawo się dowiedzieć.

Christian roześmiał się.

Poczułem, że krew napływa mi do twarzy.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

Spoważniał natychmiast. Spojrzał na mnie niemal speszony.

– Masz rację. Przepraszam cię. Nic nie rozumiesz, a pora już, żebyś zrozumiał. Steve, ona nie miała rodziców, dlatego że nie miała życia, prawdziwego życia. Żyła tysiąc razy, lecz jednocześnie nie żyła nigdy. Niemniej jednak zakochałem się w niej... i znajdę ją w lesie raz jeszcze. Ona gdzieś tam jest...

Czyżby oszalał? Jego słowa były nierozumnym bredzeniem obłąkańca, niemniej coś w jego oczach i zachowaniu mówiło mi, że jest to nie tyle obłąd, co obsesja. Ale na jakim punkcie?

– Musisz przeczytać notatki starego, Steve. Nie odkładaj już tego dłużej. Powiedzą ci wszystko o lesie i o tym, co tam się dzieje. Mówię poważnie. Nie jestem obłąkany ani nieczuły. Znalazłem się po prostu w pułapce i zanim znowu odejdę, chciałbym, żebyś się dowiedział, dlaczego, w jaki sposób i dokąd się udaję. Może będziesz w stanie mi pomóc. Kto wie? Przeczytaj książkę. Potem porozmawiamy. Kiedy już się dowiesz, czego udało się dokonać naszemu drogiemu, zmarłemu ojcu, obawiam się, że będę musiał znowu cię opuścić.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

W notatniku mojego ojca znajduje się pewien ustęp, który zdaje się wyznaczać punkt zwrotny w jego poszukiwaniach i w jego życiu. Jest dłuższy od innych pochodzących z tego samego czasu. Powstał po siedmiomiesięcznej przerwie w prowadzeniu notatek. Choć zapiski ojca często są szczegółowe, nie można by go nazwać sumiennym pamiętnikarzem. Czasami notuje jakieś urywane fragmenty, czasami są to potoczyste opisy. (Przekonałem się, że sam wrywał z grubej księgi liczne stronice, ukrywając w ten sposób skutecznie moją małą zbrodnię. Christian nigdy nie zauważył, że brakuje strony.) Ogólnie rzecz biorąc, wygląda na to, że uważał notatnik – i ciche godziny pisania – za sposób na rozmowę z sobą samym, uporządkowanie własnych myśli.

Fragment, o którym mowa, pochodzi z września 1935 roku. Powstał wkrótce po naszym spotkaniu z Gałęźnikiem. Przeczytawszy go po raz pierwszy, cofnąłem się myślą do owego czasu i zdałem sobie sprawę, że miałem wówczas tylko osiem lat:

Po świcie przybył Wynne-Jones. Ruszyliśmy razem południowym szlakiem, sprawdzając ścieki strumieniowe w poszukiwaniu oznak działalności mitotworów. Wkrótce potem wróciliśmy do domu. Nie było tam nikogo, co mi odpowiadało. Był chłodny, suchy, jesienny dzień. Podobnie jak w zeszłym roku, obrazy Urscumuga stają się najsilniejsze, gdy lato przechodzi w jesień. Być może wyczuwa on nadejście tej pory, obumieranie zieleni. Pojawia się, a dębowy las szepcze do niego. Musi być bliski początku. Wynne-Jones sądzi, że potrzebny jest dalszy okres izolacji. To niezbędne. Jennifer już teraz jest zatroskana i podenerwowana okresami mojej nieobecności. Czuję się bezradny. Nie mogę jej nic powiedzieć. Muszę zrobić to, co jest konieczne.

Wczoraj chłopcy widzieli Gałęźnika. Sądziłem, że został już zresorbowany. Najwyraźniej rezonans jest silniejszy niż nam się zdawało. Wygląda na to, że ten mitotwór nawiedza skraj lasu. Tego należało oczekiwać. Widziałem go nie opodal szlaku kilkakrotnie, lecz przez jakiś rok się nie pojawiał. Jego trwałość jest niepokojąca. Obaj chłopcy są wyraźnie podenerwowani spotkaniem. Christian traktuje je mniej emocjonalnie. Podejrzewam, że nie znaczyło ono dla niego wiele: być może wziął nieznanego za kłusownika albo miejscowego idącego skrótem do Grimley. Wynne-Jones sugeruje, byśmy wrócili do lasu i odwołali Gałęźnika w głąb, być może na polanę na górskim grzbiecie, gdzie mógłby pozostać w silnym, dębowym wirze i po pewnym czasie zaniknąć. Wiem jednak, że przedostanie się w głąb kniei wymagałoby ponadtygodniowej nieobecności, a biedna Jennifer już teraz jest głęboko przygnębiona moim zachowaniem. Nie mogę jej nic wyjaśnić, choć bardzo bym pragnął. Nie chcę wciągać w to dzieci. Niepokoi mnie, że już dwa razy widziały mitotwór. Wymyśliłem magiczne leśne istoty – opowieści dla nich. Mam nadzieję, że skojarzą to, co widzą, z tworam i własnej wyobraźni. Muszę jednak być ostrożny.

Dopóki sprawa się nie rozstrzygnie, dopóki mitotwór Urscumuga nie uformuje się z lasu, nie mogę pozwolić, by ktokolwiek oprócz Wynne-Jonesa dowiedział się o moim odkryciu. Kluczowe znaczenie ma zupełność wskrzeszenia. Urscumug jest najpotężniejszy, gdyż jest pierwotny.

Wiem z całą pewnością, że dębowy las go pomieści, lecz inni mogą się przestraszyć mocy, którą z pewnością potrafią wyczuć i zakończą sprawę dla wszystkich. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby te lasy zostały zniszczone, a przecież nie mogą przetrwać wiecznie.

Czwartek: Dzień ćwiczeń z Wynne-Jonesem: test numer 26: III – płytki hipnoza, środowisko zielonego światła. Gdy mostek czołowy osiągnął sześćdziesiąt woltów, mimo bólu, przepływ przez moją czaszkę był najpotężniejszy, jakiego w życiu zaznałem. Jestem teraz w pełni przekonany, że obie półkule mózgu funkcjonują w nieco odmienny sposób

i że ukryta świadomość jest zlokalizowana po prawej stronie. Utracono ją na tak długo! Mostek Wynne-Jonesa umożliwia powierzchowną styczność między polami otaczającymi półkule. Obszar odpowiedzialny za premitotwory jest stosownie do tego drażniony. Gdyby tylko istniał jakiś sposób na zbadanie żyjącego mózgu, by odkryć dokładne miejsce lokalizacji owej nadnaturalnej obecności.

Poniedziałek: Kształty mitotworów wciąż gromadzą się na granicy mego pola widzenia. Dlaczego nigdy nie w środku? Ostatecznie te nierealne obrazy są jedynie odbiciami. Postać Hooda była nieco inna – raczej brązowa niż zielona, twarz mniej przyjazna, bardziej udęczona i wynędzniała. To z pewnością dlatego, że wcześniejsze obrazy (nawet mitotwór Hooda, który naprawdę uformował się w lesie, dwa lata temu) pozostawały pod wpływem moich własnych, nieuporządkowanych, wywodzących się z dzieciństwa wyobrażeń zielonej puszczy i wesołej drużyny. Teraz jednak zew premitotworu jest potężniejszy i sięga do podstawowej formy, wolnej od zewnętrznych wpływów. Postać Artura również była bardziej realna. Ujrzałem też przelotnie różne inne bagienne formy wywodzące się z późniejszej części pierwszego tysiąclecia, a także ślad niesamowitej wizji, którą uważam za wyobrażenie nekromanty z epoki brązu. Przerazająca chwila. Strażnik Świątyni Koni zniknął, a samą świątynię zniszczono. Zastanawiam się dlaczego? Do „Wilczej Doliny” wrócił łowca. Jego ognisko było całkiem świeże. Znalazłem też dowody obecności neolitycznego szamana, myśliwego-artysty, który pokrywa drzewa i skały dziwnymi, czerwonymi wzorami malowanymi ochrą. Wynne-Jones byłby zachwycony, gdybym zbadał tych ludowych bohaterów, nie opisanych i nieznanych, mnie jednak spieszno jest odnaleźć pierwotny obraz. Urscumug uformował się w mym umyśle w najwyraźniejszej postaci, jaką dotąd widziałem. Przypomina nieco kształtem Gałęznika, jest jednak znacznie starszy i bez porównania większy. Przyozdabia się drewnem i liśćmi założonymi na zwierzęce skóry. Twarz wydaje się wysmarowana białą gliną, która tworzy maskę na przesadnie uwydatnionych rysach. Trudno ją jednak wyraźnie dojrzeć. Maską na masce? Włosy tworzą zbitą, sztywną, ostro zakończoną szczecinę. W splecione kłaki wbite są sękaty gałęzie głogu nadające mu bardzo dziwny wygląd. Jestem przekonany, że nosi włócznię o szerokim, kamiennym grocie... broń o groźnym wyglądzie, lecz ją również

trudno jest dostrzec, nigdy nie można na niej skupić wzroku. Ten pierwotny obraz jest tak stary, że znika już z ludzkiego umysłu. Tu również daje się odczuć wpływ dezorientacji. Czapa późniejszych kulturowych interpretacji tego, jak powinien wyglądać... zwłaszcza ślad brązu, głównie na ramionach (obręcze). Podejrzewam, że legenda o Urscumugu była tak potężna, że przetrwała od neolitu aż do drugiego tysiąclecia przed naszą erą, a niewykluczone że nawet dłużej. Wynne-Jones sądzi, że Urscumug może pochodzić z czasów jeszcze przedneolitycznych.

Najważniejsze teraz to spędzić trochę czasu w lesie, by pozwolić wirowi wejść w interakcję ze mną i stworzyć mitotwór. Zamierzam w przyszłym tygodniu opuścić dom.

Nie komentując ani słowem dziwnych, dezorientujących zapisków, które przeczytałem, zacząłem przewracać karty dziennika, wyławiając tu i ówdzie inne fragmenty. Wyraźnie pamiętałem tę jesień w trzydziestym trzecim, kiedy ojciec zapakował wielki plecak i wyruszył do lasu, oddalając się szybko od krzyczącej histerycznie matki. U jego boku szedł niewysoki przyjaciel, uczony (mężczyzna o skwaszonej twarzy, który nigdy nie zwracał uwagi na nikogo poza ojcem i gdy składał nam wizytę sprawiał wrażenie zawstydzonego, że przebywa w domu). Przez cały dzień matka nie odezwała się już ani słowem. Siedziała tylko w swej sypialni i od czasu do czasu płakała. Christiana i mnie jej zachowanie zaniepokoiło do tego stopnia, że późnym popołudniem zapuściliśmy się w dębowy las tak głęboko, jak tylko się odważyliśmy. Wołaliśmy głośno ojca, lecz przygnębiająca cisza oraz nagłe, głośne dźwięki, które ją przerywały, były tak przerażające, że w końcu ogarnęła nas panika. Stary wrócił kilka tygodni później. Miał wymięte ubranie i śmierdział jak włóczęga. Notatka w dzienniku, napisana parę dni potem, jest krótką i gorzką relacją z tej zakończonej niepowodzeniem wyprawy. Nic się nie wydarzyło. Moją uwagę przyciągnął pewien dość chaotyczny akapit:

Proces mitogenezy jest nie tylko skomplikowany, co oporny. Jestem za stary! Sprzęt pomaga, lecz jestem pewien, że młodszy umysł mógłby własnymi siłami uporać się z tym zadaniem. Lękam się tej myśli! Ponadto mój duch nie jest spokojny. Jak wyjaśniał Wynne-Jones, jest prawdopodobne, że moje ludzkie problemy, moje zmartwienia, tworzą skuteczną barierę między dwoma strumieniami mitopoetycznej energii płynącymi przez moją korę – kształt z prawej półkuli mózgu, realność z lewej. Moja siła życiowa nie wzbogaca obszaru premitotworowego w stopniu wystarczającym, by mógł wejść w interakcję z dębowym wirem.

Obawiam się też, że naturalne zniknięcie z lasu tak wielu form życia wywiera wpływ na styk. Jestem pewien, że są tu dziki. Możliwe jednak, że istotne znaczenie ma liczba. Według mojej oceny jest ich nie więcej niż czterdzieści. Poruszają się wewnątrz spiralnego wiru ograniczonego jesionowymi intruzjami w krąg dębów. Jest tu garstka jeleni oraz wilków, choć najważniejsze zwierzę, zając, występuje na skraju lasu bardzo pospolicie. Być może jednak nieobecność tak wielu stworzeń, które ongiś tu żyły, zniszczyła równowagę formuły. Niemniej jednak, podczas pierwotnej egzystencji tego lasu życie również się zmieniało. Już w trzynastym wieku wiele jego roślinnych form było obcych dla macierzy linii mocy w miejscach, gdzie formowały się jeszcze mitotwory. Postać ludzi z mitu zmienia się i przystosowuje, a najłatwiej jest wygenerować późniejsze wersje.

Hood wrócił. Podobnie jak każdy z Zielonych Jasiów jest dokuczliwy. Kilkakrotnie zapuścił się do strefy otaczającej polanę na górskim grzbiecie. Strzelił do mnie z łuku, a to już powód do wielkiego zaniepokojenia! Nie potrafię jednak w wystarczającym stopniu wzbogacić dębowego wiru premitotworem Urscumuga. Jak znaleźć rozwiązanie? Spróbować zapuścić się głębiej, aby odnaleźć dziką puszcę? Być może jej wspomnienie zapadło już zbyt głęboko w milczące obszary mózgu, by mogło sięgnąć drzew.

Christian patrzył, jak marszczyłem brwi, przebijając się przez ten chaos słów i obrazów. Hood? Robin Hood? I ktoś – ten Hood – strzelał w lesie do ojca z łuku? Rozejrzałem się po gabinecie i ujrzałem zamkniętą w długiej,

wąskiej, szklanej gablocie strzałę o żelaznym grocie, zawieszoną nad zbiorem leśnych motyli. Christian przewracał teraz karty notatnika. Od ponad pół godziny przyglądał się, jak czytam w milczeniu. Przysiadł na biurku, ja zaś siedziałem na krześle ojca.

– O co w tym wszystkim chodzi, Chris? Ten tekst sugeruje, że ojciec naprawdę starał się stworzyć kopie bohaterów dziecinnych opowieści.

– Nie kopie, Steve. Autentyczne egzemplarze. Proszę. To na razie ostatni fragment do przeczytania. Potem wyjaśnię ci to w słowach zrozumiałych dla laika.

Była to wcześniejsza notatka, nie oznaczona rokiem, a jedynie dniem i miesiącem. Z całą pewnością jednak była o kilka lat starsza od zapisku z trzydziestego trzeciego:

Nazywam te szczególne czasy „stykami kulturowymi”. Tworzą one strefy, ograniczone rzecz jasna w przestrzeni granicami kraju, lecz ograniczone również w czasie, kilka lat czy dziesięciolecie, kiedy dwie kultury – podbitych i najeźdźców – przeżywają stan silnych wstrząsów. Mitotwory rodzą się z mocy nienawiści oraz strachu i formują w naturalnym lesie, który mogą opuścić – jak postać Artura, czy Artoriusa, potężnego jak niedźwiedź mężczyzny obdarzonego przywódczą charyzmą – bądź też pozostać w naturalnym otoczeniu, tworząc ukryte ognisko nadziei – postać Robin Hooda, być może Herewarda i oczywiście bohatera nazwanego przeze mnie Gałęźnikiem, który nękał Rzymian w tak wielu częściach kraju. Wyobrażam sobie, że to połączone emocje dwóch ras przywołują mitotwór, najwyraźniej jednak staje on po stronie tej kultury, której korzenie dłużej wrastały w to, co – jestem skłonny przyznać – może być swego rodzaju macierzą linii mocy. Dlatego postać Artura pomaga Brytom zwalczać Sasów, później jednak powstaje Hood, by nieść Sasom pomoc w walce z normańskim najeźdźcą.

Odsunąłem się od książki, potrząsając głową. Użyte zwroty wprawiły mnie w stan ogłupienia. Nie mogłem nic z tego pojąć. Christian uśmiechnął się, wziął do ręki notatnik i zważył go w dłoniach.

– Poświęcił temu całe lata życia, Steve, ale jego dbałość o prowadzenie dokładnych notatek nie była taka, jaka mogłaby być. Przez lata nie zapisywał nic, a potem cały miesiąc pisał codziennie. Do tego wyrwał i ukrył kilka stron.

Zmarszczył lekko brwi, wypowiadając te słowa.

– Potrzebne mi coś do picia. I kilka definicji.

Wyszliśmy z gabinetu. Christian niósł notatnik. Gdy przechodziliśmy obok skrytej za szkłem strzały, przyjrzałem się jej z bliska.

– Czy on twierdzi, że postrzelił go nią prawdziwy Robin Hood? I zabił też Guiwenneth?

– To zależy – odparł z namysłem Christian – od tego, co rozumiesz pod słowem „prawdziwy”. Hood przybył do tego dębowego lasu i może nadal tam przebywać. Sądzę, że tak jest. Jak z pewnością się zorientowałeś, był tu cztery miesiące temu, kiedy zastrzelił Guiwenneth. Było jednak wielu Robin Hoodów, wszyscy jednakowo prawdziwi bądź nieprawdziwi. Stworzyli ich sascy chłopcy w czasach ucisku normańskich najeźdźców.

– Nic z tego nie rozumiem, Chris. Co to jest „macierz linii mocy”. Co to jest „wir dębowy”? Czy te słowa cokolwiek znaczą?

Popijaliśmy w salonie szkocką z wodą sodową, obserwując nadciąganie zmierzchu. Podwórko za oknem poszarzało. Wypełniły je nieokreślone kształty. Christian opowiedział mi o człowieku nazwiskiem Alfred Watkins, który kilkakrotnie złożył ojcu wizytę. Pokazał mu na mapie kraju, że ośrodki duchowej lub starożytnej mocy – kurhany, monolity i kościoły trzech odrębnych kultur – połączone są prostymi odcinkami. Nazywał je liniami mocy. Był przekonany, że stanowią one formę energii ziemi, płynącej pod powierzchnią, lecz wywierającej wpływ na to, co się na niej znajduje.

Ojciec przemyślał problem linii mocy i najwyraźniej próbował oszacować energię kryjącą się pod lasem, ale bez powodzenia. Mimo to udało mu się coś zmierzyć w dębowej kniei – moc powiązaną z całym

istniejącym tam życiem. Odnalazł wokół każdego drzewa spiralny wir, coś w rodzaju aury. Owe wiry otaczały nie tylko pojedyncze drzewa, lecz również całe zagajniki i polany.

W ciągu lat sporządził mapę lasu. Christian przyniósł ją i popatrzyłem na nią raz jeszcze, lecz już z innego punktu widzenia. Zaczynałem rozumieć znaki narysowane na niej przez człowieka, który spędził tak wiele czasu na wyobrażonych tam obszarach. Widniały tam kręgi wewnątrz kręgów. Przecinały je, bądź dotykały ich linie proste. Niektóre z nich kojarzyły nam się z dwiema ścieżkami, które nazywaliśmy szlakiem południowym i szlakiem ku głębi. Litera GG w samym środku wielkiego obszaru leśnego miały najwyraźniej oznaczać polanę na „górkim grzbiecie”, która tam się znajdowała. Ani Christian, ani ja nigdy nie byliśmy w stanie jej odnaleźć. Były tam też obszary oznaczone jako „spiralna dąbrowa”, „strefa martwych jesionów” i „oscylujące podejście”.

– Stary sądził, że wszystko, co żyje, otacza aura energii. W pewnych rodzajach światła można zobaczyć ludzką aurę jako bladą lunę. W tym starożytnym lesie, pierwotnej puszczy, połączone aury tworzą coś znacznie potężniejszego, swego rodzaju twórcze pole, które może oddziaływać z naszą podświadomością. To właśnie w niej kryje się coś, co nazywał premitotworami – obrazami mitów – wyobrażeniami wyidealizowanych postaci mitycznych stworzeń. W naturalnym środowisku obrazy te stają się ciałem. Mają krew, kości, ubrania i – jak widziałeś – broń. Postać wyidealizowanego mitu, legendarny bohater, zmienia się wraz z przemianami w kulturze, przyjmując odpowiednią do epoki tożsamość oraz jej możliwości techniczne. Gdy jedna kultura dokonuje inwazji na drugą – zgodnie z teorią ojca – bohaterowie objawiają się i to nie tylko w jednym miejscu! Historycy i badacze legend spierają się, gdzie naprawdę żyli i walczyli Artur Brytów czy Robin Hood. Nie zdają sobie sprawy, że żyli oni w wielu miejscach. Inny ważny fakt, który należy zapamiętać, to że gdy w umyśle tworzy się obraz mitotworu, dzieje się to u całej populacji... a kiedy



nie jest już potrzebny, nadal żyje w naszej zbiorowej podświadomości, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– A zmieniająca się postać mitotworu – odezwałem się, by się przekonać, czy fragmentaryczna lektura notatek ojca pozwoliła mi to zrozumieć – jest oparta na archetypie, archaicznym, pierwotnym wyobrażeniu, które stary nazywał Urscumugiem. To od niego pochodzą wszystkie późniejsze formy. Ojciec próbował przywołać Urscumuga z własnej podświadomości...

– I nie powiodło mu się – przerwał mi Christian – choć to nie znaczy, że nie próbował. Ten wysiłek go zabił. Osłabił go do tego stopnia, że jego ciało nie zdołało wytrzymać obciążenia.

Z pewnością jednak wygląda na to, że stworzył kilka bardziej współczesnych wersji Urscumuga.

Było tak wiele pytań, tak wiele kwestii gwałtownie wymagających wyjaśnienia. Przede wszystkim jedna: – Tysiąc lat temu, o ile właściwie zrozumiałem notatki, w całym kraju potrzebowano bohatera, legendarnej postaci opowiadającej się po stronie dobra. Jak jeden człowiek może pomieścić w sobie tak żarliwe pragnienie? Skąd brał moc potrzebną do oddziaływania? Z pewnością nie ze zwykłych rodzinnych cierpień, które wywoływał w nas i we własnej głowie. Jak sam powiedział, przez to jego umysł był wzburzony i nie mógł funkcjonować jak należy.

– Jeśli istnieje odpowiedź na to pytanie – odparł spokojnie Christian – można ją znaleźć w lesie, być może na polanie na górskim grzbiecie. Stary napisał w swych notatkach, że potrzebny jest okres samotności, okres medytacji. Już od roku podążam za jego przykładem. Wynalazł coś w rodzaju elektrycznego mostka, który zdaje się łączyć elementy wywodzące się z obu półkul mózgowych. Bardzo często korzystałem z jego sprzętu, z nim i bez niego. Dostrzegam już jednak obrazy – premitotwory – które pojawiają się na granicy mojego pola widzenia bez pomocy skomplikowanej procedury wymyślonej przez niego. Był pionierem.

Wpływ, jaki wywarł na las, ułatwił zadanie tym, którzy przyjdą później. Ponadto jestem młodszy. Uważał, że to ważne. Osiągnął pewien sukces. Zamierzam kiedyś doprowadzić jego dzieło do końca. Wskreszę Urscumuga, bohatera pierwszych ludzi.

– Ale po co, Chris? – zapytałem cicho. Prawdę mówiąc, nie widziałem sensu manipulowania starożytnymi siłami, które zamieszkiwały zarówno las, jak i ludzkiego ducha. Myśl o wskrzeszeniu owych martwych form, dokończeniu czegoś, co rozpoczął stary, stała się najwyraźniej obsesją Christiana. Ja jednak, czytając notatnik ojca i rozmawiając z bratem, nie natrafiłem na ani jedno słowo, które wyjaśniałoby, dlaczego równie dziwny stan natury miałby być tak ważny dla tych, którzy go badali.

Christian miał dla mnie odpowiedź. Gdy przemówił, jego głos brzmiał głucho. Był to znak odczuwanej przez niego niepewności, piętno braku wiary w prawdziwość wypowiedzianych słów.

– Po to, by poznać najdawniejsze dzieje człowieka, Steve. Te mitotwory mogą nas nauczyć bardzo wiele. Dowiemy się, jak one wyglądały i jakie wówczas żywiono nadzieje. Aspiracje, wizje, kulturowa tożsamość tamtych czasów są tak odległe, że nawet ich kamienne pomniki są dla nas niepojęte. Żeby zdobyć wiedzę, Steve, nawiązać porozumienie za pośrednictwem tych długo utrzymujących się obrazów naszej przeszłości, które są uwięzione w każdym z nas.

Przestał mówić. Nastąpiła króciutka chwila ciszy, zakłócana jedynie ciężkim, rytmicznym tykaniem zegara.

– Nie przekonałeś mnie, Chris – powiedziałem. Przez chwilę sądziłem, że krzyknie z gniewu. Twarz mu poczerwieniała, a całe ciało się napięło. Był wściekły, że tak spokojnie odrzuciłem jego tekst. Ogień jednak przygasł. Christian zmarszczył brwi i spojrzał na mnie niemal bezradnie.

– Co masz na myśli?

– Miło brzmiące słowa; brak przekonania.

Po krótkiej chwili najwyraźniej uznał, że w tym, co powiedziałem, jest trochę prawdy.

– Możliwe, że straciłem przekonanie. Pochowałem je pod... pod tą drugą sprawą. Guiwenneth. Teraz ona stała się głównym powodem, dla którego wracam.

Przypomniałem sobie nieczułe słowa, które wyrzekł niedawno, o tym, że nie miała żadnego życia, a mimo to żyła tysiąc razy. Natychmiast zrozumiałem. Zastanowiłem się, w jaki sposób podobnie oczywisty fakt mógł mi tak uporczywie umykać.

– Ona też była mitotworem – powiedziałem. – Teraz to rozumiem.

– Była mitotworem ojca, dziewczyną z rzymskich czasów, wcieleniem Bogini Ziemi, młodą księżniczką-wojownikiem, która, przez swe cierpienia, może zjednoczyć plemiona.

– Jak królowa Boudicea – wtrąciłem.

– Boudicca – poprawił mnie Christian, po czym potrząsnął głową. – Boudicca jest postacią historyczną, choć znaczna część legendy o niej była inspirowana mitami i opowieściami o Guiwenneth. Nie zachowały się żadne zapisane historie na temat tej drugiej. W jej czasach i w jej kulturze dominował przekaz ustny.

Nie zapisano nic. Nie wspomina też o niej żaden rzymski obserwator czy późniejszy chrześcijański kronikarz, choć stary sądził, że wczesne opowieści o królowej Guenevere mogły się częściowo wywodzić z owych zapomnianych legend. Zniknęła z ludowej pamięci...

– Ale nie z ukrytej pamięci!

– Zgadza się. – Christian skinął głową. – Jej historia jest bardzo stara i bardzo znana. Legendy o Guiwenneth wywodzą się z opowieści poprzednich kultur, być może aż z okresu polodowcowego albo czasów samego Urscumuga!

– I wszystkie te wcześniejsze postacie dziewczyny również będą w lesie?

Christian wzruszył ramionami.

– Stary nie widział żadnej. Ja też nie. Niemniej muszą tam być.

– Jak brzmi jej opowieść, Chris?

– Trudno powiedzieć. – Popatrzył na mnie osobliwie. – Nasz drogi ojciec wyrwał z dziennika stronice dotyczące Guiwenneth. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił, ani gdzie je ukrył. Wiem tylko to, co mi przekazał. Znowu tradycja ustna – rzekł i uśmiechnął się. – Była dzieckiem młodszej z dwóch sióstr i młodego wojownika wygnanego do obozu ukrytego w dzikiej puszczy.

Starsza siostra została żoną jednego z najeźdźców. Była bezpłodna i zazdrosna, porwała więc dziewczynkę. Ocaliło ją dziewięć jastrzębi czy czegoś w tym rodzaju, wysłanych przez jej ojca.

Wychowywała się w leśnych osadach rozsianych po całym kraju, pod kuratelą Pana Zwierząt. Gdy osiągnęła już odpowiedni wiek i stała się wystarczająco silna, wróciła, wywołała ducha swego ojca, wodza, i przegnała najeźdźców.

– Nie jest tego wiele – zauważyłem.

– To tylko fragment – zgodził się Christian. – Jest jeszcze coś o jasnym kamieniu w dolinie, która oddycha. Czegokolwiek więcej stary dowiedział się o niej, czy od niej, zniszczył to.

– Ciekawe dlaczego?

Christian przez chwilę nie mówił nic.

– Tak czy inaczej – dodał wreszcie – legendy o Guiwenneth skłoniły wiele plemion do podjęcia ofensywy przeciw najeźdźcy, bez względu na to, czy był nim wódz kultury z Wessex, z epoki brązu, Stonehenge i cała reszta; belgijscy Celtowie z epoki żelaza; czy też Rzymianie. – Jego wzrok stał się na chwilę błędny.

– A potem uformowała się w tym lesie, a ja ją znalazłem i pokochałem. Nie była gwałtowna. Być może stary nie potrafił sobie wyobrazić

gwałtownej kobiety. Narzucił jej strukturę. Rozbroił ją i zostawił w puszczy całkiem bezradną.

– Jak długo ją znałeś? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie potrafię tego określić, Steve. Jak długo mnie nie było?

– Jakieś dwanaście dni.

– Tylko tyle? – Wyglądał na zaskoczonego. – Myślałem, że więcej niż trzy tygodnie. W takim razie możliwe, że nie znałem jej ani przez chwilę, choć wydawało mi się, że to całe miesiące. Mieszkałem z nią w puszczy, starając się zrozumieć jej język i nauczyć ją swojego. Porozumiewałem się z nią gestami, lecz zawsze potrafiłem nawiązać głęboki kontakt. Stary jednak ścigał nas aż do serca lasu, do samego końca. Nie chciał dać za wygraną. Była jego dziewczyną. Był w niej zadurzony równie mocno jak ja. Pewnego dnia znalazłem go, wykończonego i przerażonego, na skraju boru.

Był na wpół zagrzebany w liściach. Zaprowadziłem go do domu i po miesiącu umarł. To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że miał powód, by mnie atakować. Odebrałem mu Guiwenneth.

– A potem sam ją utraciłeś. Zastrzelono ją.

– Tak jest. W kilka miesięcy później. Stałem się trochę nazbyt szczęśliwy, trochę za bardzo zadowolony. Napisałem o tym do ciebie, ponieważ musiałem komuś o niej opowiedzieć... najwyraźniej tego było już za wiele dla losu. W dwa dni później znalazłem ją na polanie umierającą. Mogła wyżyć, gdybym zdołał sprowadzić pomoc do lasu i zostawił ją tam, gdzie leżała. Jednak wyniosłem ją spośród drzew i... umarła. – Wbił we mnie wzrok.

Smutek widoczny na jego twarzy przerodził się w wyraz determinacji.

– Kiedy jednak wracam do boru, ma szansę uformować się jej mityczny obraz wywodzący się z mojej podświadomości... niewykluczone, że okaże się nieco twardsza od wersji ojca, ale mogę odnaleźć ją znowu, Steve, jeśli

będę szukał intensywnie, jeśli odnajdę tę energię, o którą pytałeś, jeśli zdołam się przedostać do najgłębszej części kniei, do centralnego wiru...

Ponownie popatrzyłem na mapę, na spiralne pole otaczające polanę na górkim grzbiecie.

– W czym problem? Nie potrafisz jej znaleźć?

– Jest ostro odgraniczona. Zbliżam się do niej, ale nie mogę przedostać się poza pole otaczające ją w odległości około dwustu jardów. Zataczam kręgi, choć jestem przekonany, że idę prosto.

Nie mogę się przedrzeć do środka, a to, co kryje się wewnątrz, nie może się stamtąd wydostać. Wszystkie mitotwory są związane ze strefami swej genezy, choć Gałęźnik, a także Guiwenneth potrafili dotrzeć aż do skraju lasu, nie opodal stawu.

To nie była prawda! Dowodem była nerwowa noc, którą przeżyłem.

– Jeden z mitotworów opuścił las... wysoki mężczyzna z niewiarygodnie przerażającym psem. Wlazł na podwórko i zeżarł świńską nogę.

Christian wyglądał na zdumionego.

– Mitotwór? Jesteś pewien?

– Właściwie nie. Do tej chwili nie miałem pojęcia, kim był. Ale śmierdział, był brudny, niewątpliwie żył w lesie od miesięcy, mówił dziwnym językiem, miał łuk i strzały...

– I wędrował z myśliwskim psem. Tak, oczywiście. To postać z późnej epoki brązu i wczesnej epoki żelaza, bardzo rozpowszechniona. Irlandczycy przyswoili go sobie jako Cuchulainna. Zrobili z niego wielkiego bohatera, ale to jedno z najpotężniejszych mitycznych wyobrażeń. Można je rozpoznać w całej Europie. – Christian zmarszczył nagle brwi. – Nie rozumiem... widziałem go rok temu i ukryłem się przed nim, ale wtedy szybko już zanikał, rozkładał się... tak się z nimi dzieje po pewnym czasie.

Coś musiało nakarmić mitotwór, wzmocnić go...

– Ktoś, Chris.

– Ale kto?

Nagle dotarło to do niego. Wytrzeszczył lekko oczy.

– Mój Boże. Ja. Wywołałem go z własnego umysłu. Staremu zajęło to lata. Sądziłem, że potrwa to znacznie dłużej, wiele miesięcy spędzonych w lesie, zdecydowanie więcej izolacji. Jednak to już się zaczęło, moje własne oddziaływanie z wirem...

Pobladł wyraźnie. Podeszedł do miejsca, gdzie jego laska stała oparta o ścianę. Ujął ją w dłonie i w nich ją zważył. Popatrzył na nią i dotknął pokrywających ją znaków.

– Wiesz, co to oznacza – powiedział cicho. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, mówił dalej: – Ona się uformuje. Wróci. Moja Guiwenneth. Możliwe, że już wróciła.

– Nie uciekaj natychmiast, Chris. Zaczekaj trochę, wypocznij.

Ponownie oparł laskę o ścianę.

– Nie odważę się. Jeśli już się uformowała, grozi jej niebezpieczeństwo. Muszę wracać. – Popatrzył na mnie i uśmiechnął się półgębkiem przepraszająco. Przykro mi, bracie. Marnie przywitałem cię w domu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

I tak szybko, po najkrótszym ze spotkań, ponownie utraciłem Christiana. Nie był w nastroju do rozmów. Zbyt zaabsorbowała go myśl o samotnej i uwięzionej w lesie Guiwenneth, by pozwolił mi na głębszy wgląd w swe plany, swe nadzieje i obawy, wiążące się z szansą na jakieś rozwiązanie ich niewiarygodnego romansu.

Gdy Christian gromadził zapasy, kręciłem się po kuchni i reszcie domu. Raz za razem zapewniał mnie, że jego nieobecność nie potrwa dłużej niż tydzień, być może dwa. Jeśli Guiwenneth jest w lesie, zdąży ją przez ten czas odnaleźć; jeśli nie, wróci i odczeka jakiś czas, nim wyruszy do głębokich stref, by spróbować uformować jej mitotwór. Mówił, że po mniej więcej roku wiele bardziej wrogo nastawionych mitotworów zaniknie już doszczętnie i dziewczyna będzie bezpieczniejsza. Jego myśli były splątane, a plan zakładający, że wzmocni ją, by dać jej taką samą swobodę, jaką miał mężczyzna z psem, nie wydawał się realny, sądząc z treści notatek ojca. Christian jednak był zdeterminowany.

Jeśli jeden mitotwór mógł uciec, było to możliwe również dla tego, którego pokochał Chris.

Spodobał mu się pomysł, bym towarzyszył mu aż do polany, na której obozowaliśmy jako dzieci i bym rozbił tam namiot. Mówił, że byłby to dla nas dogodny punkt regularnych spotkań, które pozwoliłyby mu zachować prawidłowe poczucie czasu. Ponadto, gdybym spędził w puszczy pewien okres, mógłbym spotkać inne mitotwory i poinformować go o ich stanie. Polana, o której mówił, leżała na skraju lasu i była całkiem bezpieczna.

Gdy wyraziłem obawę, że mój własny umysł zacznie produkować mitotwory, zapewnił mnie, że potrzeba by miesięcy, aby pierwsze objawy



premitotworowej aktywności ujawniły się jako naprzykrzona obecność na granicy pola widzenia. Równie otwarcie stwierdził, że gdybym pozostał w tej okolicy zbyt długo, z pewnością zacząłbym oddziaływać na las, którego aura – jak sądził – w ciągu kilku ostatnich lat zbliżyła się do domu.

Nazajutrz, późnym porankiem, wyruszyliśmy w drogę południowym szlakiem. Blade, żółte słońce wisiało wysoko nad lasem. Był chłodny, pogodny dzień. Powietrze wypełniał zapach dymu napływającego z odległej farmy, gdzie wypalano ściernisko pozostałe po letnich żniwach. Wędrowaliśmy w milczeniu, dopóki nie dotarliśmy do stawu u młyna. Sądziłem, że Christian wkroczy na obszar dębowego lasu właśnie w tym miejscu, lecz rozsądnie podjął inną decyzję, nie tyle z powodu dziwnych wydarzeń, których byliśmy tu świadkami jako dzieci, ile z uwagi na bagnisty teren. Szliśmy dalej przed siebie, aż las rosnący przy szlaku zaczął rzednąć. Tam dopiero Christian zboczył ze ścieżki.

Podążyłem za nim w głąb boru, wyszukując najłatwiejszą drogę między gąszczami orlic i pokrzyw. Cieszyła mnie głęboka cisza. Tu, na skraju lasu, drzewa były małe, lecz gdy przeszliśmy sto jardów, ich prawdziwy wiek zaczął być widoczny. Potężne, sękate pnie dębów, puste, na wpół martwe i powykęcane, niemal jęczały pod ciężarem konarów. Grunt wzniosł się lekko. Ciągłość spletanego podszycia przerwały zwietrzałe, pokryte porostami głazy z szarego wapienia. Gdy minęliśmy grań, teren opadł ostro, a charakter lasu uległ subtelnej zmianie. Wydawał się on teraz mroczniejszy i bardziej żywy. Zauważyłem, że przenikliwe głosy wrześniowych ptaków słyszalne na jego skraju zastąpiła tu rzadziej słyszana, żałobna pieśń.

Christian przedzierał się przez gąszcze jeżyn. Wlokłem się za nim znużony. Wkrótce dotarliśmy do wielkiej polany, na której przed laty urządziliśmy obóz. Nad okolicą dominował jeden, szczególnie wielki dąb. Roześmialiśmy się, odnalazłszy wyblakłe inicjały, które ongiś na nim wycięliśmy. Jego konary służyły nam wówczas jako wieża strażnicza, choć

z owego skrytego wśród listowia punktu obserwacyjnego widzieliśmy bardzo niewiele.

– Wyglądam na zdobywcę? – zapytał Christian, rozkładając ręce. Uśmiechnąłem się, spoglądając na jego odzianą w pelerynę postać. Pokryta runami laska sprawiała teraz mniej osobliwe wrażenie. Wydawała się bardziej funkcjonalna.

– Na kogoś wyglądasz. Nie wiem dokładnie na kogo.

Rozejrzał się po polanie.

– Zrobię, co będę mógł, by wracać tu jak najczęściej. Gdyby coś poszło źle, spróbuję zostawić ci wiadomość, jeśli nie zdołam cię znaleźć, jakiś znak, który by cię powiadomił...

– Nic nie pójdzie źle – odparłem z uśmiechem. Było jasne, że nie chce, bym towarzyszył mu poza tę polanę. To mi odpowiadało. Poczulem dreszcz, dziwne mrowienie, odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Christian zauważył mój niepokój. Przyznał, że on również coś czuje, obecność lasu, łagodny oddech drzew.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem objęliśmy się z zażenowaniem. Odwrócił się i pomaszerował w mrok. Patrzyłem, jak się oddala, a potem słuchałem jego cichnących z wolna kroków. Dopiero gdy umilkły ostatnie dźwięki, przystąpiłem do rozbijania małego namiotu.

Przez większą część września utrzymywała się chłodna, sucha pogoda. Był to nudny miesiąc, pozwalający mi dryfować bezwładnie przez kolejne dni w bardzo przygaszonym stanie. Pracowałem w domu, czytałem trochę dalszych fragmentów notatnika ojca (lecz szybko znużyły mnie powtarzające się obrazy i myśli) i ze zmniejszającą się częstotliwością wyprawiałem się do lasu, by siedzieć w namiocie lub obok niego, nasłuchując, czy nie zbliża się Christian, przeklinając nawiedzające to miejsce muszki oraz wypatrując jakichś oznak ruchu.

W październiku nadeszły deszcze. Nagle, niemal ze zdumieniem, zdałem sobie sprawę, że Christiana nie ma już prawie miesiąc. Czas uciekł niepostrzeżenie. Zamiast niepokoić się o brata, uznałem po prostu, że wie, co robi i wróci, kiedy będzie gotowy. Nie było go już jednak od kilku tygodni i nie dał nawet najmniejszego znaku życia. Z pewnością mógł choć raz wrócić na polanę i zostawić jakiś ślad swej obecności.

Zacząłem się martwić o jego bezpieczeństwo, być może bardziej, niż należało. Gdy tylko przestało padać, powlokłem się z mozołem przez las i przeczekałem resztę dnia w nędznym, przeciekającym, płóciennym schronieniu. Widziałem zające i leśną sowę oraz słyszałem odległe poruszenia czegoś, co nie zareagowało na moje krzyki: – Christian? Czy to ty?

Było coraz zimniej. Spędzałem więcej czasu w namiocie. Zrobiłem sobie śpiwór z koców i wystrzępionej nieprzemakalnej peleryny, którą znalazłem w piwnicy Oak Lodge. Zaszyciłem rozdarcia w płótnie i sprowadziłem zapasy żywności, piwa oraz suchego drewna na opał. W środku października zauważyłem, że nie mogę wytrzymać w domu dłużej niż godzinę. Ogarniał mnie niepokój, który mogłem jedynie opanować wracając na polanę, gdzie ponownie obejmowałem straż, siedząc po turecku tuż za wejściem do namiotu i wpatrując się w odległy o kilka jardów mrok. Kilkakrotnie dokonywałem długich, raczej nerwowych wypadów w głąb lasu, lecz nie podobało mi się wrażenie ciszy oraz mrowienie na skórze, które zdawało się raz za razem powtarzać mi, że ktoś mnie obserwuje. Wszystko to było oczywiście tworem wyobraźni lub skrajnie przewrażliwioną reakcją na leśne zwierzęta. Pewnego razu, gdy pobiegłem z wrzaskiem w gąszcz, gdzie – jak sądziłem – ukrywał się podglądacz, nie zobaczyłem nic oprócz rudej wiewiórki, która umknęła w panice między skrzyżowane, splątane gałęzie swego rodzinnego dębu.

Gdzie był Christian? Przypinałem w lesie pinezkami kartki z wiadomościami dla niego – tak głęboko i w tak wielu miejscach, jak tylko

mogłem. Przekonałem się jednak, że za każdym razem, gdy zapuszczałem się zbyt daleko w głąb lasu, aż do spadu, który zdawał się połykać cały las, po upływie kilku godzin trafiałem z powrotem na polanę, na której stał namiot. Było to niesamowite, a przy tym doprowadzało mnie do szału, zacząłem jednak pojmować frustrację, jaką czuł Christian, nie mogąc utrzymać prostego kursu przez gęstą dąbrowę. Być może faktycznie istniało tu jakieś pole siły, skomplikowane i tak zespolone, że kierowało intruzów z powrotem na szlak wiodący na zewnątrz.

Nadszedł listopad. Zrobiło się naprawdę bardzo zimno. Lodowaty deszcz padał tylko sporadycznie, lecz wiatr docierał na dół przez gęste, brązowiejące listowie. Wydawało się, że potrafi znaleźć drogę przez ubranie, pelerynę i ciało aż do marznących kości. Czułem się nieszczęśliwy. Poszukiwałem Christiana z coraz większym gniewem i frustracją. Głos często miałem ochrypliwy od krzyku, a skórę pokrywały mi pęcherze i zadrapania od ciągłego włożenia na drzewa. Straciłem rachubę czasu. Kilkakrotnie łapałem się, lekko zszokowany, na tym, że spędziłem w lesie dwa albo trzy dni, nie wracając do domu. Oak Lodge stało opuszczone, przesycone zapachem stęchlizny. Odwiedzałem je, by się umyć, coś zjeść i wypocząć, lecz gdy tylko zaradziłem najgorszym dolegliwościom ciała, myśli o Christianie i niepokój o niego narastały we mnie, każąc mi stanowczo wrócić na polanę tak, jakbym był metalowym opiłkiem przyciąganym przez magnes.

Zacząłem podejrzewać, że stało się z nim coś straszego, a może nie straszego, lecz tylko naturalnego. Jeśli w lesie naprawdę były dziki, możliwe, że jeden z nich przebił go kłębem, a teraz Christian był martwy, bądź włókł się z serca lasu ku jego skrajowi, nie mogąc krzyczeć o pomoc, albo może spadł z drzewa, bądź też po prostu zasnął na wilgotnej, chłodnej ziemi i rankiem już się nie obudził.

Szukałem śladów jego ciała lub czegoś, co świadczyłoby, że tędy przechodził, lecz nie znalazłem absolutnie nic. Raz tylko odkryłem trop

jakiegoś wielkiego zwierzęcia, a na dolnych częściach pni kilku dębów znaki, które wyglądały całkiem jak ślady pozostawione przez kły.

Nastrój przygnębienia jednak mnie opuścił. W połowie listopada znowu nabrałem pewności, że Christian żyje. Odnosiłem teraz wrażenie, że został w jakiś sposób uwięziony w tym jesiennym lesie.

Po raz pierwszy od dwóch tygodni poszedłem do wioski. Zaopatrzywszy się w żywność, odebrałem gazety, których nazbierało się w maleńkim kiosku. Przemykając wzrokiem po pierwszych stronach miejscowego tygodnika, zauważyłem notatkę dotyczącą rozkładających się ciał mężczyzny oraz wilczarza irlandzkiego, odnalezionych w rowie na farmie nie opodal Grimley. Nie podejrzewano, by padli ofiarą przestępstwa. Nie poczułem nic oprócz osobliwego chłodu, współczucia dla Christiana, którego marzenie o wolności dla Guiwenneth nie było z pewnością niczym więcej niż żarliwą nadzieją, pragnieniem, które musiało okazać się daremne.

Jeśli zaś chodzi o mitotwory, doszło tylko do dwóch spotkań. Żadne z nich nie było godne większej uwagi. Za pierwszym razem widziałem widmową, ludzką postać, która przemknęła skrajem polany, obserwując mnie, aż wreszcie uciekła w mrok, stukając w pnie drzew krótkim, drewnianym kijem. Za drugim razem spotkałem Gałęźnika. Podążałem za nim ukradkiem, gdy zbliżył się do stawu u młyna i stanął wśród drzew, gapiąc się na leżącą na drugim brzegu przystań. Te pojawienia się mitotworów nie wzbudziły we mnie prawdziwego strachu, a jedynie lekką obawę. Dopiero jednak po drugim spotkaniu zacząłem zdawać sobie sprawę, jak obcy dla tych mitotworów był las, a także one dla lasu. Owe istoty, stworzone daleko od ich naturalnej epoki, zmaterializowane echa przeszłości, były obdarzone życiem, językiem oraz pewną dzikością, całkowicie niestosowną w pokrytym pozostawionymi przez wojnę bliznami świecie 1947 roku. Nic więc dziwnego, że aura lasu była tak przesycona poczuciem samotności, zaraźliwego osamotnienia, które zamieszkało w

ciele ojca, a potem Christiana, teraz zaś przenikało moje tkanki, by i mnie schwytać w pułapkę, jeśli za nimi podążę.

W tym też czasie zaczęły się halucynacje. Zwłaszcza o zmroku, gdy wpatrywałem się w las, dostrzegałem na granicy mojego pola widzenia jakieś poruszenia. Początkowo kładłem to na karb zmęczenia bądź wyobraźni, lecz wyraźnie pamiętałem fragment notatnika ojca, w którym pisał, że premitotwory, początkowe obrazy, zawsze pojawiały się na obwodzie jego pola widzenia. Z początku poczułem strach, nie chcąc przyznać, że podobne istoty mogą zamieszkiwać mój umysł i że moja interakcja z lasem zaczęła się znacznie wcześniej, niż spodziewał się tego Christian. Po chwili jednak usiadłem i spróbowałem dostrzec szczegóły. Nie udało mi się. Zauważałem ruch i niekiedy też ludzki kształt, lecz nieznanne pole wywołujące ich pojawienie się nie było jeszcze na tyle silne, by pozwolić mi dostrzec je w pełni. Niewykluczone też, że to mój umysł nie potrafił jeszcze zapanować nad ich powstawaniem.

Dwudziestego czwartego listopada wróciłem do domu i spędziłem tam kilka godzin, wypoczywając i słuchając radia. Na zewnątrz przetoczyła się burza z piorunami. Wpatrywałem się w deszcz i ciemność, czując się nieszczęśliwy i przemarznięty. Gdy tylko jednak powietrze się oczyściło, a chmury pojaśniały, narzuciłem sobie na ramiona pelerynę i ruszyłem z powrotem na polanę. Nie oczekiwałem tam żadnych zmian, dlatego to, co powinno być jedynie niespodzianką, wywołało we mnie szok.

Namiot został zniszczony. Jego zawartość porzuczano po mokrej glebie polany i wdeptano w nią. Część liny odciągowej zwisała z wyższych konarów wielkiego dębu. Grunt w tym miejscu był zryty, całkiem jakby doszło do walki. Gdy dotarłem na miejsce, zauważyłem, że pokrywają go niezwykle ślady stóp, okrągłe i rozszczepione, przypominające kopyta. Bez względu na to, co to była za bestia, bardzo skutecznie porwała na strzępy moje płócienne schronienie.

Zauważyłem wtedy, jak cicho jest w lesie. Było tak, jakby las wstrzymał oddech i mnie obserwował. Każdy włos na moim ciele stanął dęba. Moje serce waliło tak potężnie, że wydawało mi się, iż pęknie mi klatka piersiowa. Stałem przy zniszczonym namiocie przez sekundę czy dwie, nim ogarnęła mnie panika. Zakręciło mi się w głowie. Odniosłem wrażenie, że las pochyła się w moją stronę. Uciekłem z polany przez ociekającą wodą podszycie między dwoma grubymi dębami. Przebiegłem kilka jardów przez mrok, nim zdałem sobie sprawę, że oddalam się od granicy lasu. Zdaje mi się, że krzyknąłem głośno, zanim zawróciłem i pognałem w drugą stronę.

W pień drzewa tuż obok mnie wbiła się z głuchym łoskotem włócznia. Wpadłem na czarne drzewce, zanim zdążyłem wyhamować. Jakaś dłoń złapała mnie za ramię i rzuciła pod drzewo. Krzyknąłem ze strachu, wpatrując się w wysmarowaną błotem, wykrzywioną twarz napastnika. Odpowiedział mi również krzykiem.

– Zamknij się, Steve! Na litość Boską, zamknij się!

Opuściła mnie panika. Mój głos ścichł do skowytu. Wpatrywałem się uważnie w rozgniewanego mężczyznę, który mnie trzymał. Zdałem sobie sprawę, że to Christian. Poczulem ulgę tak potężną, że roześmiałem się i przez kilka chwil nie zauważyłem radykalnej zmiany, która w nim zaszła.

Spoglądał przez ramię na polanę.

– Musisz stąd zniknąć – rozkazał. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zmusił mnie szarpnięciem do biegu i pociągnął za sobą aż do namiotu.

Na polanie zawahał się. Popatrzył na mnie. Pod maską z błota i brązowiejących liści nie widziało się uśmiechu. Oczy mu lśniły, lecz były przymrużone i otoczone bruzdami. Włosy miał gładkie i sterczące. Był ubrany jedynie w przepaskę na biodra i wystrzępioną skórzaną kurtkę, która nie mogła mu dawać zbyt wiele ciepła. Dzierżył trzy okrutnie zaostrome włócznie. Zniknęła szkieletowata chudość z lata. Stał się muskularny i twardy. Jego klatka piersiowa była potężna, a kończyny grube. Był mężczyzną stworzonym do walki.

– Musisz opuścić las, Steve, i na litość Boską, już tu nie wracaj.

– Co się z tobą stało, Chris? – wyjąkałem. Potrząsnął głową i pociągnął mnie na drugą stronę polany, a potem z powrotem do lasu, w kierunku południowego szlaku.

Nagle zatrzymał się i wpatrzył w mrok, powstrzymując mnie.

– O co chodzi, Chris?

Wtem ja również to usłyszałem – ciężki trzask powodowany przez coś, co posuwało się ku nam między orlicami i drzewami. Podążywszy za wzrokiem Christiana, ujrzałem monstrualną postać, dwukrotnie wyższą od człowieka, ale przypominającą go kształtem, przygarbioną i czarną jak noc, pomijając wielką, białą plamę twarzy, wciąż słabo dostrzegalną w szarej dali.

– Boże, wyrwał się! – zawołał Christian. – Przedostał się między nas a skraj lasu.

– Co to jest? Mitotwór?

– Mitotwór numer jeden – odparł szybko Christian. Odwrócił się i pobiegł przez polanę. Podążyłem za nim. Wszelkie zmęczenie opuściło nagle moje ciało.

– Urscumug? To on? Ale to nie człowiek... to zwierzę.

Żaden człowiek nigdy nie był tak wysoki.

Oglądając się za siebie podczas biegu, zobaczyłem, jak stwór wszedł na polanę i ruszył przez otwartą przestrzeń tak szybko, że odniosłem wrażenie, iż patrzę na przyspieszony film. Wpadł za naszymi plecami do lasu i ponownie zniknął w ciemności, lecz teraz już nie biegł a pędził. Kluczył między drzewami, ścigając nas. Zbliżał się z niewiarygodną szybkością.

Nagle straciłem grunt pod nogami. Runąłem ciężko w zagłębienie, a gdy padałem, złapał mnie Christian. Osłonił nas gałązkami jeżyn i przyłożył palec do ust. Ledwie mogłem go dojrzeć w tej ciemnej kryjówce, usłyszałem jednak, że odgłosy posuwania się Urscumuga ucichły i zapytałem, co się dzieje.



– Czy odszedł?

– Na pewno nie – odparł Christian. – Czeka. Nasłuchuje. Ściga mnie już dwa dni, od głębokich stref lasu. Nie da za wygraną, dopóki nie odejdę.

– Ale dlaczego, Chris? Dlaczego próbuje cię zabić?

– To mitotwór starego – odparł. – Nadał mu realność w sercu lasu, ale stwór był słaby i uwięziony, dopóki się nie zjawiłem i nie dałem mu nowej mocy, z której mógł czerpać. Ale to mitotwór starego. Wpłynął na niego lekko jego umysł, jego ego.

O Boże, Steve, jak on musiał nienawidzić i to nienawidzić nas, by uczynić go tak przerażającym.

– I Guiwenneth... – odezwałem się.

– Tak... Guiwenneth... – powtórzył jak echo Christian.

Mówił teraz cicho.

– Zemści się na mnie, jeśli dam mu choć cień szansy.

Uniósł głowę, by wyrzeć zza jeżyn. Słyszałem odległe, niespokojne dźwięki. Wydawało mi się też, że do moich uszu dobiega głęboki, gardłowy pomruk jakiegoś zwierzęcia.

– Myślałem, że nie udało mu się stworzyć pierwotnego mitotworu.

– Umarł z takim przekonaniem – odparł Christian. – Zastanawiam się, co by uczynił, gdyby wiedział, jak wielki odniósł sukces. – Ponownie przykucnął w zagłębieniu. – On przypomina odyńca. Jest to pół-dzik, pół-człowiek, ma też cechy innych zwierząt z lasu. Chodzi wyprostowany, lecz potrafi biegać z szybkością wiatru. Maluje oblicze na białą, na podobieństwo ludzkiej twarzy. Bez względu na to, w jakiej epoce żył, jedno jest jasne: było to na długo przed powstaniem człowieka w naszym rozumieniu tego słowa. Ten stwór pochodzi z czasów, gdy człowiek i natura byli sobie tak bliscy, że nie sposób ich było odróżnić.

Christian dotknął mojego ramienia, niepewnie, jakby obawiał się trochę kontaktu z tym, od kogo tak bardzo się oddalił.

– Gdy będziesz uciekał – polecił – kieruj się w stronę granicy lasu. Nie zatrzymuj się. A kiedy już się stąd wydostaniesz, nie wracaj. Dla mnie nie ma już teraz drogi wyjścia. Jestem uwięziony w tym lesie przez coś ukrytego w moim umyśle tak trwale, jakbym sam był mitotworem. Nie wracaj tu, Steve. Nie wracaj przez długi, długi czas.

– Chris... – zacząłem, było już jednak za późno. Odrzucił zakrywające dziurę gałązki i zaczął ode mnie uciekać. W parę chwil później przemknął nade mną gigantyczny kształt. Wielka, czarna stopa wylądowała w odległości kilku cali od mojego znieruchomiłego ciała. W ułamku sekundy to coś zniknęło. Gdy jednak wylazłem z dziury i rzuciłem się do ucieczki, obejrzałem się za siebie. Stwór, usłyszawszy mnie, uczynił to samo. W owej chwili, gdy przyglądaliśmy się sobie, oddalając się od siebie przez las, ujrzałem twarz namalowaną na poczerńiałym obliczu odyńca.

Urscumug otworzył paszczę, by ryknąć. Wydało mi się, że ojciec uśmiecha się do mnie szyderczo.

# CZĘŚĆ DRUGA

*Dzicy łowcy*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pewnego ranka, wczesną wiosną, znalazłem parę zajęcy wiszących na jednym z haków w kuchni. Pod nimi, wydrapana w żółtej farbie pokrywającej ścianę, widniała litera „C”. Dar powtórzył się po jakichś dwóch tygodniach, lecz potem nie było już nic. Mijały miesiące.

Nie wróciłem do lasu.

Podczas długiej zimy przeczytałem dziennik ojca chyba z dziesięć razy. Zagłębiłem się w tajemnicę jego życia tak mocno, jak on zagłębił się w tajemnicę podświadomych więzów łączących go z pierwotną puszczą. Znalazłem w jego chaotycznych zapiskach wiele wzmianek świadczących, że wyczuwał zagrożenie tym, co – tylko raz – nazwał „mitologicznym ideałem ego”, oddziaływaniem umysłu twórcy, które, zgodnie z jego obawami, mogło wpłynąć na kształt i zachowanie mitotworowych form. Znaczyło to, że wiedział o niebezpieczeństwie. Zastanawiam się jednak, czy Christian w pełni rozumiał ten najsubtelniejszy z nadnaturalnych procesów zachodzących w lesie. Z ciemności i bólu umysłu ojca wyłoniła się podczas kształtowania dziewczyny w zielonej tunice jedna nić, która skazała Guiwenneth na sprzeczną z jej naturalną formą bezradność w puszczy. Jeśli jednak miała pojawić się ponownie, będzie ją kontrolował umysł Christiana, a mój brat nie żywił podobnych uprzedzeń na temat siły i słabości kobiet.

To nie będzie to samo spotkanie.

Sam notatnik zasmucał mnie, a zarazem wprawiał w zakłopotanie. Było w nim tak wiele fragmentów odnoszących się do przedwojennych lat, naszej rodziny, a zwłaszcza Chrisa i mnie. Wyglądało to tak, jakby ojciec

obserwował nas nieustannie i w ten sposób poświęcał nam uwagę, był nam bliski. Jednocześnie przez cały ów okres wydawał się obojętny i zimny. Sądziłem wówczas, że nie zdaje sobie sprawy z mojego istnienia, wyobrażałem sobie, że jestem w jego życiu jedynie źródłem irytacji, dokuczliwym insektem, którego odganiał obcesowo dłonią, niemal go nie zauważając. A przecież był w pełni świadomy mojej obecności, opisywał każdą moją zabawę, każdy spacer do lasu i wokół niego oraz skutki, jakie u mnie wywołały.

Pewien incydent, zanotowany zwięźle i w wielkim pośpiechu, przywołał wspomnienie długiego, letniego dnia, gdy miałem dziewięć albo dziesięć lat. Dotyczył on drewnianego stateczku, który Chris zrobił z kawałka zwalonego buka, a ja go pomalowałem. Dotyczył stateczku, strumienia zwanego przez nas bystrym potokiem oraz szalonej podróży przez las za ogrodem. Niewinna, dziecięca zabawa, lecz posępna, ciemna postać ojca przez cały czas obserwowała nas z okna gabinetu.

Ów dzień zaczął się dobrze, jasnym, rześkim świtem. Obudziwszy się, ujrzałem Chrisa, który przykucnął w konarach buka rosnącego za oknem. Wyczołgałem się przez nie w pizamie i usiedliśmy razem w naszym tajemnym obozie, obserwując w oddali poczynania farmera, który zajmował się okolicznymi gruntami. Gdzieś w domu słychać było jakieś krzątanie się. Pomyślałem sobie, że sprzątaczką przybyła wcześniej, by wykorzystać wspianiały, letni dzień.

Chris przyniósł kawałek drewna, któremu nadał już kształt małej łódeczki. Omówiliśmy plany długiej podróży rzeką, po czym wleźliśmy z powrotem do domu, ubraliśmy się, wyrwaliśmy śniadanie z rąk zaspanej matki i wyszliśmy na zewnątrz, do warsztatu. Wkrótce wykonaliśmy maszt i umieściliśmy go w otworze wywierconym w kadłubie, który pokryłem czerwoną farbą i namazałem na nim nasze inicjały, po jednej parze z obu stron masztu. Papierowy żagiel, taki trochę symboliczny takielunek, i wielki statek był gotowy.

Wybiegliśmy z podwórka i pognaliśmy skrajem gęstego, milczącego lasu, aż wreszcie dotarliśmy do strumienia, na którym miało się odbyć wodowanie jednostki.

Pamiętam, że był to któryś z ostatnich dni lipca, gorący i bezwietrzny. Poziom wody w strumieniu był niski, a brzegi strome, suche i usiane owczymi odchodami. W miejscach, gdzie z kamieni i błota na dole wyrastały algi, woda miała barwę lekko zielonkawą. Nurt jednak nadal był silny, a strumień wił się wśród pól, między naznaczonymi śladami piorunów drzewami, ku gęstszemu podszyciu, aż wreszcie wpływał pod zniszczoną bramę. Gęsto porastało ją zielsko, jeżyny i karłowate drzewka. Wzniósł ją nad strumieniem farmer Alphonse Jeffries, by przeszkodzić „urwisom”, takim jak Chris i ja, w zabrnięciu na głębsze wody leżącego dalej stawu, gdzie strumień poszerzał się i stawał bardziej agresywny.

Brama jednak przegniła i widniała pod nią spora dziura, przez którą statek z naszych snów mógł się z łatwością przedostać.

Bardzo uroczyście, Chris postawił model na wodzie.

– Boże strzeż wszystkich, którzy na nim żeglują! – powiedział z powagą.

– Obyś przebył swą wielką trasę bezpiecznie – dodałem. – Boże strzeż HMS „Voyager”!

(Wybrana przez nas nazwa, odpowiednio dramatyczna, pochodziła z naszego ulubionego komiksu dla chłopców.) Chris spuścił statek na wodę. Ten zakołysał się, obrócił i oddalił od nas błyskawicznie. Wyglądał na wodzie niepewnie. Czułem się rozczarowany, że łódź nie żeglowała jak prawdziwa – przechylona lekko na bok, unosząc się i opadając na falach. Było jednak ekscytujące przyglądać się, jak maleńki stateczek mknie w stronę lasu. Wreszcie, zanim zniknął za bramą, przybrał prawdziwie oceaniczną pozycję. Wydawało się, że maszt pochylił się, gdy łódeczka minęła barierę. Potem zniknęła nam z oczu.

Teraz zaczęła się prawdziwa zabawa. Pognaliśmy zziajani skrajem lasu. Był to długi bieg przez prywatne pole, porośnięte wysoką, dojrzałą

kukurydzą, a potem wzdłuż nie używanych torów, po pastwisku. (W jego rogu pasł się byk. Podniósł na nas wzrok i parsknął, lecz czuł się zadowolony.) Minąwszy farmę, dotarliśmy do północnej granicy dębowego lasu, gdzie bystry potok zamieniał się w szybszy, płytszy strumień.

Usiedliśmy tam, by czekać na nasz statek i przywitać go w domu.

W mojej imaginacji – podczas tego długiego popołudnia, gdy bawiliśmy się w słońcu i z powagą wpatrywaliśmy w mroczny bór, poszukując jakichś śladów naszego stateczku – mała łódeczka napotkała wszelkiego rodzaju niezwykle zwierzęta, bystrza i wiry. Wyobrażałem sobie, jak opiera się dzielnie burzliwym morzom, prześciga wydry i karczowniki, których ciała górowały znacznie nad jej burtami. Cała zabawa polegała na podróży w myślach, przywoływaniu dramatycznych obrazów zrodzonych przez zwykły rejs łódki.

Jakże by mnie zachwyciło, gdyby pojawiła się, kołysząc na falach bystrego potoku. Jakież debaty moglibyśmy wieść na temat jej trasy, jej podróży, jej szczęśliwych ocalań!

Stateczek jednak nie nadpłynął. Musieliśmy stawić czoło twardej rzeczywistości: gdzieś w mrocznym, gęstym lesie model zahaczył o gałąź i ugrzązł, by pozostać tam, zbutwieć i ponownie wejść w skład ziemi.

Rozczarowani, o zmroku wróciliśmy do domu. Wakacje zaczęły się od katastrofy, ale wkrótce zapomnieliśmy o stateczku.

Potem, po sześciu tygodniach, na krótko przed długą podróżą z powrotem do szkoły autobusem i pociągiem, raz jeszcze poszliśmy z Christianem do północnej części lasu. Tym razem wyprowadzaliśmy na spacer dwa springer spaniele ciotki. Ciotka Edie była tak uciążliwa, że z radością witaliśmy każdy pretekst, by opuścić dom, nawet wtedy, gdy dzień był tak pochmurny i wilgotny, jak ów wrześnieowy piątek.

Minęliśmy bystry potok i tam, ku swemu zdumieniu i zachwytowi, znaleźliśmy HMS „Voyager”, który wirując, gnał z prądem. Stan wody po

późnosierpniowych deszczach był wysoki. Stateczek płynął dumnie na fali, nieustannie kołysząc się i szybko się od nas oddalając.

Popędziliśmy brzegiem strumienia. Psy ujadły zawzięcie, zachwycone tym nagłym sprintem. Wreszcie Christian dopędził wirujący stateczek, wyciągnął rękę nad wodą i złapał nasz maleńki model.

Strząsnął z niego wodę i z twarzą promieniejącą zadowoleniem uniósł go wysoko. Dobiegłem zdyszany do niego i wziąłem łódeczkę z jego rąk. Żagiel był nietknięty, a inicjały nadal na miejscu. Mały przedmiot naszych marzeń wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy spuściliśmy go na wodę.

– Pewnie się zahaczył i podniesiona woda go uwolniła – stwierdził Chris. Jakie mogło być inne wyjaśnienie?

Niemniej jednak, tej samej nocy ojciec napisał w dzienniku:

Nawet w bardziej obwodowych strefach lasu czas jest w pewnym stopniu zakłócony. Podejrzałem to. Aura stworzona przez pierwotną puszcę wywiera wyraźny wpływ na naturę wymiarów. W pewnym sensie chłopcy przeprowadzili za mnie eksperyment, spuszczając swój model na potok, który płynie – tak przynajmniej sądzę – wzdłuż skraju lasu. Potrzebował sześciu tygodni, by pokonać zewnętrzne strefy, dystans – w realnych wymiarach – nie dłuższy niż mila. Sześciu tygodni! Jeśli głębiej w lesie rozciągnięcie czasu i przestrzeni wzrasta – jak podejrzewa Wynne-Jones – któż wie, jakie dziwaczne widoki można tam zobaczyć?

Przez resztę długiej, wilgotnej zimy, która nastąpiła po zniknięciu Christiana, coraz częściej odwiedzałem mroczny, pachnący stęchlizną pokój na zapleczu domu: gabinet ojca. Znajdowałem dziwne pocieszenie wśród jego książek i eksponatów. Mogłem godzinami siedzieć za biurkiem, nie czytając ani nawet nie myśląc, a jedynie wpatrując się w niedaleką przestrzeń, jakbym na coś czekał. Potrafiłem sobie dość dobrze uzmysłwić, jak osobliwe było to zachowanie, gdy tylko – co mnie niemal irytowało – wyrwałem się z bezmyślnego rozmarzenia.



Zawsze były listy, które należało napisać. Dotyczyły głównie spraw finansowych, ponieważ pieniędzy, z których się utrzymywałem, szybko ubywało. Pozostała suma mogła mi zagwarantować co najwyżej kilka miesięcy bezczynności osamotnienia. Trudno jednak było skupić umysł na podobnie banalnych sprawach. Mijały tygodnie, a Christiana wciąż nie było. Wiatr i deszcz tłukły niczym żywe stworzenia o brudne szyby oszklonych drzwi, niemal wzywając mnie, bym podążył za bratem.

Byłem zbyt przerażony. Choć wiedziałem, że bestia – odrzuciwszy mnie raz jeszcze – z pewnością podążyła za Christianem w głąb lasu Ryhope, nie mogłem znieść myśli o powtórcie owego spotkania. Raz już dotarłem do domu na chwiejnych nogach, oszalały i zrozpaczony. Teraz mogłem jedynie chodzić po skraju lasu, wzywając Christiana w nadziei, nie opuszczającej mnie nadziei, że nagle zjawi się ponownie.

Jak długi czas spędziłem, stojąc tylko i wpatrując się w ten fragment boru, który był widoczny przez oszklone drzwi? Godziny? Dni? Mogły to być nawet tygodnie. Dzieci, wieśniacy, chłopcy z farm, wszystkich ich niekiedy widywałem. Ich postacie przemykały polami lub wzdłuż granicy drzew, korzystając z prawa do przejścia przez teren majątku. Za każdym razem, gdy dostrzegałem ludzki kształt, czułem falę radości, która po chwili opadała pod wpływem rozczarowania.

Oak Lodge przesiąknęło wilgocią i odpowiednio do tego pachniało, nie było jednak w gorszym stanie niż jego niespokojny mieszkaniec.

Przeszukałem gabinet, każdy jego cal. Wkrótce zgromadziłem dziwaczny zbiór przedmiotów, które – przed laty – nie wydawały mi się interesujące. Znalazłem groty strzał i włóczni zarówno z kamienia, jak i z brązu, tak wiele, że szuflada była nimi dosłownie wypchana. Paciorki, wygładzone kamienie, którym nadano kształt, a także naszyjniki, niektóre wykonane z wielkich zębów. Dwie rzeczy zrobione z kości – długie i cienkie, ozdobione licznymi wzorami – zidentyfikowałem jako miotacze włóczni. Najpiękniejszym eksponatem był mały koń z kości słoniowej,

mocno stylizowany. Jego ciało było dziwnie tłuste, nogi zaś cienkie, lecz pięknie wyrzeźbione. Dziura w szyi zwierzaka świadczyła, że miano go nosić jako wisiorek. Na koniu wydrapano łatwe do rozpoznania wyobrażenie dwojga ludzi *in copulo*.

Ów przedmiot sprawił, że ponownie sprawdziłem krótką notatkę w dzienniku:

Świątynia koni nadal jest opuszczona, sądzę, że już na dobre. Szaman wrócił do ośrodka, za ogień, o którym mówił. Zostawił dla mnie podarunek. Ogień mnie zastanawia. Dlaczego tak się go bał? Co leży poza nim?

Wreszcie odkryłem „mostek czołowy”, którego używał ojciec. Christian zniszczył go w takim stopniu, w jakim zdołał. Rozbił osobliwą maskę i powyginał różne elektryczne części. Był to ze strony mojego brata dziwnie złośliwy postępek, lecz wydawało mi się, że rozumiem, dlaczego to zrobił. Christian był zazdrosny o możliwość wejścia do królestwa, w którym poszukiwał Guiwenneth i pragnął zakończenia eksperymentów z tworzeniem mitotworów. Zamknąłem szafkę ze szczątkami.

By poprawić sobie nastrój, wyrwać się spod władzy dręczącej mnie obsesji, odnowiłem kontakt z mieszkającymi we dworze Ryhope'ami. Byli zadowoleni z mojego towarzystwa – to znaczy wszyscy z wyjątkiem dwóch nastoletnich córek, które zachowywały się w sposób wyniosły i afektowany, jakby uważały mnie za kogoś ze zdecydowanie niższej klasy. Jednakże kapitan Ryhope – którego rodzina zamieszkiwała te tereny od wielu pokoleń – podarował mi kury, którymi mogłem ponownie zapełnić swe kurniki, masło z własnych zapasów i – co najlepsze – kilka butelek wina.

Miałem wrażenie, iż był to jego sposób na wyrażenie współczucia z powodu tego, co musiało mu się wydawać kilkoma najtragiczniejszymi latami mojego życia.

Na temat lasu nie wiedział nic, nawet tego, że jego przeważająca część nie jest zagospodarowana. Południowy fragment regularnie wycinano, by zdobyć tyczki oraz drewno na opał. Jednakże ostatnia uwaga odnosząca się do gospodarki w tym lesie, jaką odnalazł w rodzinnych księgach, pochodziła z roku 1722. Było to króciutkie napomknienie:

*W borze nie jest bezpiecznie. Ta jego część, która leży między Lower Grubbings i Pollards, aż po Dykely Field, jest bagnista i zamieszkują ją dziwni chłopci, znający leśne życie. Ich wysiedlenie byłoby zbyt kosztowne, nakazałem więc ogrodzić to miejsce i wyrąbać drzewa rosnące dalej na południe i południowy zachód, a także wycinać regularnie las. Zastawiono sidła.*

Przez ponad dwieście lat rodzina ignorowała ów wielki obszar dziko rosnącej puszczy. Był to fakt, w który trudno mi było uwierzyć, czy go zrozumieć, lecz jeszcze dzisiaj kapitan Ryhope nie poświęcał niemal żadnej myśli terenom położonym między tymi polami o dziwnych nazwach.

Był to po prostu „las”. Ludzie go omijali lub używali szlaków biegnących skrajem, lecz nigdy nie myśleli o jego wnętrzu. Był to „las”. Rósł tu zawsze. Stanowił element życia. Życie toczyło się wokół niego.

Kapitan pokazał mi notatkę w księgach majątku z roku 1536 czy 37, nie było jasne którego. Było to jednak jeszcze przed przybyciem tu jego rodziny. Dał mi przeczytać ów fragment raczej z dumy, że wspominał on o królu Henryku VIII, niż ze względu na wzmiankę o niezwykłych właściwościach lasu Ryhope:

*Król był kontent, że mógł zapolować w kniei, wespół z czterema ludźmi ze świty i dwiema damami. Wzięto cztery sokoły i pocwałowano przez dzikie pola. Król wyznał, iż zachwycają go niebezpieczne łowy i pognał przez podszycie bez należytej uwagi. Ze zmierschaniem wrócono do dworu. Król sam położył jelenia. Mówił o duchach i czynił żarty, że w głębokim borze straszło go widmo Robin Hooda, które najwidoczniej wypuściło do niego strzałę. Obiecał, iż zapoluje w borach majątku i w przyszłym roku.*

Wkrótce po Bożym Narodzeniu, gdy przebywałem w kuchni, zajęty gotowaniem, wyczułem tuż obok jakiś ruch. Był to szok dla mych nerwów, chwila przestachu, która sprawiła, że odwróciłem się, a serce zabiło mi szybciej na skutek nadmiernego wydzielania się adrenaliny.

Pomieszczenie było puste. Ruch jednak nie ustał. Był niepewnym migotaniem na krawędzi mego pola widzenia. Pognałem przez dom do gabinetu i usiadłem za biurkiem z rękoma wspartymi na gładkiej, drewnianej powierzchni. Dyszałem ciężko.

Ruch ustał.

Był jednak narastającą obecnością, której musiałem stawić czoło. Mój umysł wszedł w interakcję z aurą lasu i na krawędzi mojego pola widzenia tworzyły się pierwsze premitotwory, niespokojne, słabo określone kształty, które zdawały się rywalizować o moją uwagę.

Mój ojciec potrzebował „mostka czołowego”, dziwnej maszyny, przyboru rodem z *Frankensteina*, by umożliwić swemu starzejącemu się umysłowi generowanie tych mitycznych obecności „zmagazynowanych” w jego rasowej podświadomości. Jego dziennik – zapis eksperymentów prowadzonych z Wynne-Jonesem – a także Chris dawali mi do zrozumienia, że młodszy umysł mógłby wchodzić w interakcję z puszcza łatwiej i znacznie szybciej, niż ojciec kiedykolwiek uważał to za możliwe.

W gabinecie znalazłem na moment ucieczkę przed tymi migoczącymi, przerażającymi kształtami. Puszcza zapuściła swe mroczne, parapsychiczne wici tylko do bliższych jej izb domu: kuchni oraz jadalni i opuścił tę strefę, przechodząc przez duszny salon do gabinetu ojca, znacząco pozbyć się w jakiś sposób owych natarczywych ruchów.

Z czasem, po kilku tygodniach, przestałem się tak bardzo obawiać tych obrazów z podświadomości, które materializowały się powoli. Stały się natrętną, lecz raczej niezbyt groźną częścią mego życia. Trzymałem się z dala od lasu. Wyobrażałem sobie, że w ten sposób nie powoduję powstawania mitotworów, które potem mogłyby opuścić bór, by mnie

prześladować. Wiele czasu spędzałem w miejscowej wiosce. Tak często, jak tylko mogłem, podróżowałem do Londynu, do znajomych. Unikałem kontaktu z rodziną przyjaciela ojca, Edwarda Wynne-Jonesa, mimo że coraz mocniej uświadamiałem sobie konieczność odnalezienia tego człowieka i porozmawiania z nim o jego badaniach.

Pod każdym z tych względów zachowywałem się zapewne jak tchórz, lecz patrząc wstecz, wydaje się to raczej skutkiem mojego niepokoju, rozterki wywołanej niekompletnym charakterem wydarzeń dotyczących Christiana. Powinien lada moment wrócić do domu. Nie wiedząc na pewno, czy nie żyje czy po prostu zagubił się totalnie, czułem silną tendencję, by nie wykonywać żadnych ruchów naprzód ani wstecz.

A więc zastój: przepływ czasu przez dom, nie kończąca się rutyna jedzenia, mycia, czytania, i to bez kierunku, bez celu.

Dary od mojego brata – zające, inicjały – wywołały u mnie reakcję pokrewną panice. Wczesną wiosną po raz pierwszy zbliżyłem się do wdzierającego się na mój teren lasu, by zawołać Christiana po imieniu.

Wkrótce po tym zakłóceniu rutyny, być może w środku marca, doszło do pierwszej z dwóch wizyt z puszczy, które w następnych miesiącach miały wywrzeć na mnie głęboki wpływ. Z dwóch odwiedzin, drugie były w owej chwili ważniejsze, lecz później pierwsze zaczęły nabierać dla mnie większego znaczenia, choć wówczas, wietrznym, zimnym marcowym zmierzchem, była to enigmatyczna wizja, przelotne spotkanie, które przemknęło przez moje życie niczym zimny oddech.

Spędziłem ów dzień w Gloucester. Odwiedziłem bank, w którym wciąż zarządzano finansami ojca. Spędziłem tam kilka przyprawiających o frustrację godzin. Wszystko zapisano na nazwisko Christiana i nie było żadnego dowodu, że brat zgodził się przekazać mi kierowanie swoimi sprawami. Moich tłumaczeń, że Christian zaginął w odległym lesie, wysłuchano ze współczuciem i bardzo niewielkim zrozumieniem. Pewne

stałe sumy rzecz jasna wypłacano, lecz moja sytuacja finansowa stawała się trudna. Bez dostępu do konta ojca zostałem zmuszony do zrobienia użytku ze swego wykształcenia. Ongiś, gorąco pragnąłem podjąć uczciwą pracę. Teraz, pochłonięty i opętany myślą o przeszłości, nie chciałem niczego poza tym, by pozwolono mi kierować własnym życiem.

Autobus się spóźnił. Podróż do domu przez wiejskie okolice Herefordshire była powolna. Nieustannie powstrzymywało ją przeganiane drogami bydło. Nastąpiło późne popołudnie, nim pokonałem na rowerze ostatnie mile od przystanku do Oak Lodge.

W domu było zimno. Włożyłem gruby pulower z szetlandzkiej wełny i zabrałem się za sprzątanie rusztu paleniska. Usunąłem popiół pozostały po drewnie spalonym poprzedniego dnia. Oddech mi zamarzał. Dygotałem gwałtownie. W tej właśnie chwili zdałem sobie sprawę, że w tym dojmującym chłodziu jest coś nienaturalnego. Pokój był pusty. Przez zasłonięte koronkowymi firankami okna widać było brązowo-zieloną, zanikającą w gęstniejącym mroku płamę ogrodu przed domem. Włączyłem światło, oplótłem barki ramionami i przeszedłem szybko przez cały budynek.

Nie mogło być wątpliwości. To zimno nie było normalne. Po obu stronach domu na wewnętrznych powierzchniach okien tworzył się już lód. Zdrapałem go paznokciem i popatrzyłem przez stworzony w ten sposób ubytek na drugą stronę podwórka.

Na las.

Coś się w nim ruszało, panowała nieokreślona krzątanina, równie subtelna i nieuchwytna, jak migotliwe poruszenia premitotworów, które – choć wciąż zajmowały obwód mojego pola widzenia – przestały już mnie niepokoić. Obserwowałem ów odległy ruch, gdy przemieszczał się falująco wśród drzew i podszycia. Wydawało się, że rzuca ruchomy cień na porośnięty ostem ugór, który oddzielał linię drzew od granicy ogrodu.

Coś tam było, coś niewidzialnego. Przyglądało mi się i powoli zbliżało się do domu.

Nie wiedząc, co innego mógłbym zrobić, przerażony, że to może Urscumug wrócił na skraj lasu, by mnie odnaleźć, złapałem za włącznię o ciężkim drzewcu i krzemiennym grocie, którą zrobiłem podczas grudniowych tygodni. Był to niewyszukany i prymitywny środek obrony, lecz dawał mi poczucie bezpieczeństwa, jakiego nigdy nie mógłby mi dać pistolet. Czegóż innego, przyszło mi do głowy, należy użyć do walki z prymitywem, jeśli nie prymitywnego narzędzia?

Schodząc po schodach, poczułem na zamarzniętych policzkach powiew ciepłego powietrza, całkiem jakby ktoś stojący w pobliżu wypuścił szybko oddech. Odniosłem wrażenie, że zawisł nade mną jakiś cień, który szybko jednak się ulotnił.

W gabinecie ojca niesamowita aura zniknęła. Być może nie mogła konkurować z potężnym residuum intelektu, które było duchem starego. Popatrzyłem przez oszklone drzwi na widoczny stamtąd fragment lasu. Pocierałem zamarznięte szkło, pogrążony w obserwacji, tak jak ongiś ojciec, przerażony i zaciekawiony, przyciągany do tajemniczych wydarzeń rozgrywających się poza ludzkim światem domu i podwórka.

Dookoła płotu mknęły jakieś kształty. Wydawało się, że wylewają się zza skraju lasu, podskakując i pędząc po spirali. Szare, widmowe formy znikwały równie szybko, jak się zjawiały, niczym języki siwego dymu z płonącego jałowca. Spośród drzew i z powrotem między drzewa. To coś sięgało, macało, badało teren.

Jedna z witek przeszła nad płotem i dotarła aż do samych drzwi. Cofnąłem się przestraszony, gdy z zewnątrz spojrzała na mnie twarz. Po chwili zniknęła. Szok sprawił, że serce zabiło mi gwałtownie. Włócznia wypadła z mych rąk. Schylając się po ciężką broń, usłyszałem, jak szyby zagrzechotały pod wpływem uderzenia. Coś walnęło niespodziewanie w drzwi drewnutni. Wśród przerażonych kur przemknęła nagła furia.

Mogłem jednak myśleć tylko o twarzy. Tak dziwna: ludzka, lecz posiadająca pewne cechy, które mogę opisać tylko jako elfie; oczy były skośne, wewnątrz uśmiechniętych ust jarzyło się czerwienią, twarz nie miała nosa ani uszu, lecz pokrywało ją dzikie, kolczaste futro czy włosy wyrastające z czaszki i policzków.

Jednocześnie psotna, złośliwa, zabawna i przerażająca.

Z nieba zniknęło nagle światło. Teren na zewnątrz stał się szary i zamglony. Drzewa spowiła nadnaturalna mgła, przez którą, od bystrego potoku, przeświecał niesamowity blask.

Moja ciekawość przeważała wreszcie lęk. Otworzyłem drzwi, wyszedłem do ogrodu i ruszyłem powoli przez ciemność w stronę bramy. Na zachodzie, w kierunku Grimley, horyzont był jasny. Dokładnie widziałem zarysy wiejskich domów i zagajników oraz wzgórz. Na wschodzie, ku dworowi, wieczór był podobnie jasny. Jedynie nad lasem oraz samym Oak Lodge unosił się ów ciemny jak burzowa chmura całun mroku.

I wtedy żywiołaki pojawiły się w dużej liczbie. Wyłaniały się z samej ziemi, wzbijały w górę wokół mnie, zawisały w powietrzu, sondowały i wydawały z siebie dziwne dźwięki bardzo przypominające śmiech. Wykręcałem się i wirowałem, usiłując dostrzec w wietrznych istotach jakieś znane formy. Od czasu do czasu widziałem twarz, dłoń, długi, zakrzywiony palec, gładki pazur, który próbował mnie dźgnąć, lecz odchyłał się, nim doszło do kontaktu. Zauważyłem kobiece kształty, gibkie i zmysłowe. Przede wszystkim jednak widziałem skrzywione oblicza istot raczej elfich niż ludzkich; włosy rozwiane, oczy iskrzące się, a szerokie usta rozwarte w bezgłośnym krzyku. Czy były to mitotwory? Nie miałem zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać. Dotykano moich włosów, głaskano skórę, niewidzialne palce szturchały mnie w plecy i laskotały poniżej uszu. Ciszę szarego zmierzchu przerywały krótkie, nagłe wybuchy spowitego całunem



wiatru śmiechu bądź niesamowite krzyki unoszących się nade mną nocnych ptaków o szerokich skrzydłach i ludzkich twarzach.

Drzewa rosnące na skraju lasu kołysały się miarowo. Wśród ich konarów dostrzegałem przez wiszącą w powietrzu mgłę dalsze kształty, cienie ścigające się przez pobliskie, bezsłoneczne pola. Otaczała mnie aktywność poltergeistów na niesamowitą, gigantyczną skalę.

Szybko jednak wygasła, a światło dochodzące znad bystrego potoku stało się bardziej intensywne. Cisza była przerażająca. Lodowate zimno przyprawiało o odrętwienie. Moim ciałem targały kurcze. Ujrzałem światło wyłaniające się zarówno z mgły, jak i z lasu. Byłem zdumiony, gdy dostrzegłem jego źródło.

Spomiędzy drzew wyłoniła się łódź płynąca jednostajnie strumieniem o wiele za wąskim, by mógł ją pomieścić. Była pomalowana na jaskrawe kolory, a jarzący się blask bił od postaci, która stała na dziobie, spoglądając z uwagą w moją stronę. Zarówno łódź, jak i człowiek należeli do najdziwniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałem. Ta pierwsza miała wysoki dziób i rufę oraz pojedynczy, ukośny żagiel. Szarym płótnem i czarnym olinowaniem nie szarpał żaden wiatr. W drewnie kadłuba wyrzeźbiono jakieś symbole i kształty. Na dziobie i rufie wznosiły się dziwaczne figurynki. Wydawało się, że oba maskarony wykręcają się, by na mnie patrzeć.

Mężczyzna jarzył się złocistą aurą. Spoglądał na mnie spod lśniącego, wykonanego z brązu hełmu ozdobionego wspaniałym grzebieniem na wpół ukrytym między krętymi policzkami. Fałdzista broda, biała jak kreda, z czerwonymi smugami, sięgała mu do szerokiej piersi. Opierał się o reling swego statku. Ciało spowijał mu wzorzysty płaszcz. Otaczające go światło lśniło w metalu jego zbroi.

Wokół niego igrały ghule i duchy ze skraju lasu. Wydawało się, że pchają i ciągną statek, co tłumaczyło jego ruch przez płytkie wody strumienia.

Ta wzajemna obserwacja z odległości nie większej niż sto jardów trwała całą minutę. Potem zaczął dąć dziwny wiatr. Szeroki żagiel niesamowitego statku wydał się. Czarne olinowanie poruszyło się ze skrzypieniem, łódź zakołysała się, a lśniący mężczyzna podniósł wzrok ku niebu. Wokół nieznanego zebrały się ciemne siły jego nocnego orszaku. Skupiły się w pobliżu łodzi, zawodząc i płacząc głosami natury.

Mężczyzna rzucił coś w moją stronę, po czym uniósł prawą dłoń w uniwersalnym symbolu pozdrowienia. Postąpiłem krok ku niemu, lecz nagle oślepił mnie niosący tuman kurzu wiatr. Żywiołaki zawirowały dookoła mnie. Ujrzałem złocistą łunę oddalającą się powoli w stronę lasu. Rufa stała się teraz dziobem. Żagiel wypełniał rześki wietrzyk. Choć starałem się ze wszystkich sił, nie mogłem się zbliżyć do bariery ochronnych sił towarzyszących tajemniczemu nieznanemu.

Gdy wreszcie odzyskałem swobodę ruchów, statek zniknął, a ciemny całun mgły wiszący nad okolicą umknął nagle z wiatrem niczym dym porwany przez wentylator. Wrócił pogodny wieczór. Było mi ciepło. Podszedłem do przedmiotu rzuconego przez mężczyznę i go podniosłem.

Był to dębowy liść wielkości mojej dłoni wykonany ze srebra, dzieło mistrzowskiego rzemiosła. Gdy wpatrzyłem się w niego, ujrzałem wewnątrz zarysu głowy dzika wyrytą płytko literę C. W liściu widniała długa, cienka szczelina, całkiem jakby metal przebito nożem. Zadrzałem, choć nie potrafiłem wówczas zrozumieć, dlaczego widok tego talizmanu napawał mnie lękiem.

Wróciłem do domu, by zastanowić się nad tymi najdziwniejszymi ze wszystkich mitotworów, jakie dotąd wyłoniły się ze skraju lasu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przez okolicę przemknął deszcz, gwałtowna ulewa, która zdawała się pochodzić z nieba zbyt jednak jasnego, by wywołać podobne oberwanie chmury. Pola, po których gnałem z powrotem do Oak Lodge, stały się śliskie i zdradzieckie. Woda przemoczyła mój gruby pulower oraz flanelowe spodnie. Była zimna i drażniła mi skórę. Dałem się zaskoczyć, gdy wracałem spacerkiem z dworu po kilku godzinach pracy w ogrodzie, której podjąłem się w zamian za płat solonej baraniny z tamtejszych zapasów.

Przebiegłem przez ogród i wrzuciłem ciężki kawał mięsa do kuchni, po czym ściągnąłem przemoczony pulower, nadal stojąc na deszczu. Powietrze było przesycone wonią ziemi i lasu. Gdy tak stałem, ściągając mokre łachy, burza skończyła się i niebo lekko pojaśniało.

Słońce przebiło się przez chmury. Na kilka sekund ogarnęła mnie fala ciepła, która wzmocniła we mnie przekonanie, że skoro późny kwiecień zaraz miał ustąpić miejsca wczesnemu majowi, niedługo dadzą się wyczuć pierwsze oznaki lata.

Wtem ujrzałem fragmenty jatki nie opodal kurnika. Dreszcz lęku sprawił, że pomknąłem ku kuchennym drzwiom...

Przed wyjściem je zamknąłem. Byłem tego pewien. Gdy jednak wypadłem galopem z deszczu, były otwarte.

Podszedłem ostrożnie do kurnika, wykręcając pulower. Leżały tam dwie kurze głowy. Ich szyje krwawiły jeszcze w miejscach, gdzie odcięto je od ciała nożem. W miękkiej od deszczu glebie widać było ślady człowieka o drobnych stopach.

Wszedłszy do domu, natychmiast zauważyłem, że pod swą nieobecność miałem gościa. Szuflady kuchennego stołu były otwarte, podobnie jak szafki, a puszki i słoiki z żywnością porozrzucane. Niektóre ze słoików pootwierano, by spróbować zawartości. Przechodząc przez dom, widziałem ślady zabłoconych stóp prowadzące przez salon, do gabinetu, w górę po schodach i przez różne sypialnie.

W tej, w której spałem, ślady, niewyraźne zarysy palców i pięt, urywały się przy oknie. Stojące na sekretarzyku zdjęcia – moje, Christiana i ojca – przesunięto. Unosząc do światła oprawione w szkło fotografie, ujrzałem na nich odciski palców.

Ślady palców i stóp były drobne, lecz nie przypominały dziecięcych. Sądzę, że już w owej chwili wiedziałem, kim był tajemniczy gość. Czuję nie tyle lęk, co natarczywą ciekawość.

Była tu jeszcze kilka minut temu. W domu nie dostrzegłem śladów krwi, a uważałem, że powinny tu być, gdyby wniosła do środka zdobyte łupy. Gdy zaś zbliżałem się przez pola, nie słyszałem żadnego zamieszania. A więc pięć minut temu, nie więcej ani nie mniej. Pod osłoną deszczu przysłała do domu, dokonała jego obchodu, sprawdzając wszystkie zakamarki z godną podziwu dokładnością, a potem umknęła z powrotem do puszczy, zatrzymując się po drodze, by odciąć szybko głowy dwóm moim bezcennym kurom. Pomyślałem, że zapewne nawet teraz obserwuje mnie ze skraju lasu.

W świeżej koszuli i zmienionych spodniach wyszedłem do ogrodu i pomachałem ręką, wpatrując się w gęste podszycie oraz cieniste zagłębienia stanowiące początki kilku ścieżek wiodących do puszczy. Nie dostrzegłem nic.

Uznałem wtedy, że potrzebuję większej wiedzy, bym mógł wrócić do lasu.

Następny dzień był bardziej pogodny i zdecydowanie suchszy.

Zaopatrzyłem się we włóczęgę, nóż kuchenny oraz nieprzemakalną pelerynę i zapuściłem się ostrożnie w bór, aż do polany, na której kilka miesięcy temu rozbiłem obóz. Ku mojemu zaskoczeniu, nie pozostał już po nim prawie żaden ślad. Całe płótno zniknęło. Puszki i garnki ktoś sobie przywłaszczył. Macając dokładnie grunt, znalazłem jeden wygięty kołek namiotowy. Również w samej polanie zaszła godna uwagi zmiana. Porastały ją teraz młode dąbki. Nie miały więcej niż dwie czy trzy stopy wysokości. Rosły bardzo gęsto skupione, zbyt gęsto, by mogły przeżyć, lecz zarazem były o wiele za wysokie, aby mogły wyrosnąć w ciągu kilku miesięcy...

I to zimowych!

Pociągnąłem jedno z drzewek. Było głęboko zakorzenione. Zdarłem sobie skórę z dłoni i rozerwałem delikatną korę, nim roślina wypuściła wreszcie ziemię z żarliwego uścisku.

Nieznajoma nie wróciła tego dnia, ani następnego, z czasem jednak stawałem się coraz bardziej świadomy, że ciemną nocą odwiedza mnie gość. Jedzenie zniknęło ze spiżarni, a sprzęty, zwykłe przybory kuchenne, zmieniały miejsce lub wracały na poprzednie. Ponadto niektórymi porankami w domu unosił się dziwny zapach: nie woń ziemi ani kobiety, lecz – jeśli potraficie sobie wyobrazić tak dziwaczne połączenie – coś, co po trochu było i jednym, i drugim. Najsilniej wyczuwałem go w korytarzu. Zatrzymywałem się tam na długie minuty, pozwalając, by ów osobliwie erotyczny aromat przesączał się do mojego organizmu. Na parterze i na schodach zawsze można było znaleźć ziemię i zeschnięte liście. Mój gość stawał się coraz śmielszy. Wyobrażałem sobie, że gdy spałem, zatrzymywał się w drzwiach i mi się przyglądał. Co dziwne, ta myśl nie wzbudzała we mnie lęku.

Próbowałem nastawiać budzik, by zrywał mnie o szarej godzinie, lecz jedyne, co udawało mi się w ten sposób osiągnąć, to nieprzespane noce i paskudny nastrój. Gdy uczyniłem to po raz pierwszy, przekonałem się, że

gość już umknął, a ostra woń leśnej kobiety przepełniała dom, ekscytując mnie w sposób, do którego niemal wstydziałem się przed sobą przyznać. Za drugim razem nie zjawiała się. W domu panowała cisza. Była trzecia nad ranem. Czuło się jedynie zapach deszczu oraz cebuli, która wchodziła w skład mojej kolacji.

Mimo to ucieszyłem się wówczas, że nastawiłem budzik na tak wczesną godzinę, gdyż choć moja wyimaginowana leśna nimfa nie przyszła, ktoś złożył mi wizytę. Gdy wlałem z powrotem do łóżka, do moich uszu dobiegło gdakanie niepokojonych kur. Zbiegłem natychmiast po schodach do tylnych drzwi. Uniosłem wysoko lampę naftową. Zdążyłem zobaczyć dwie wysokie, dobrze zbudowane postacie mężczyzn, nim szkło lampy pękło i płomień zgasł. Cofając się myślą do tego incydentu, pamiętam, że usłyszałem świst powietrza towarzyszący wystrzeleniu kamienia z procy. Strzał był celniejszy niż rozsądek pozwalający w to uwierzyć.

Obserwowałem w ciemności dwie powłóczące nogami postacie. One również się na mnie gapiły. Jedna z nich miała twarz pomazaną na biało i wyglądała na nagą. Druga była ubrana w luźne pantalony oraz krótki płaszcz. Włosy miała długie i ułożone we wspaniałe loki, lecz ten szczegół mógł być tworem wprowadzonej w błąd wyobraźni. Obaj intruzi trzymali za szyje żywe kury, tłumiąc ich wrzaski. Na moich oczach ukęcili im łby, po czym odwrócili się, podeszli sztywnym krokiem do płotu i zniknęli w mroku nocy. Ten w workowatych pantalonach odwrócił się, by mi się pokłonić w chwili gdy wchodził w ciemność.

Nie spałem aż do świtu. Siedziałem w kuchni, skubiąc bezmyślnie chleb. Zaparzyłem dwa imbryki herbaty, na którą właściwie nie miałem ochoty. Gdy tylko zrobiło się jasno, ubrałem się i sprawdziłem kurniki. Zostały mi już tylko dwa ptaki, które chodziły poirytowane po posypanej ziarnem ziemi, gdacząc niemal z oburzeniem.

– Zrobię, co będę mógł – zapewniłem je – ale mam wrażenie, że jest wam przeznaczony taki sam los.

Kury sztywnym chodem oddaliły się ode mnie. Być może chciały w spokoju nacieszyć się swym ostatnim posiłkiem.

Na środku przeznaczonego dla nich terenu rósł młody dąbek wysokości czterech cali. Zaskoczony i mocno zafascynowany, wyciągnąłem rękę i wyrwałem go z ziemi. Zaintrygowany tym, jak sama natura zdawała się przenikać na moje zazdrośnie strzeżone terytorium, dokonałem jego obchodu, zwracając większą niż uprzednio uwagę na to, co wyrastało z ziemi.

Drzewka pokazywały się w całej części ogrodu sąsiadującej z gabinetem oraz na połąci ostów łączącej ten obszar z samym lasem. Było ich więcej niż sto. Żadne nie było wyższe niż sześć cali. Luźno rozsiane dąbki tworzyły wstęgę biegnącą przez mały trawnik ciągnący się od oszklonych drzwi gabinetu aż do bramy. Wyszedłem przez nią i zauważyłem, że połąć – przez kilka lat niemal nie spasana i dość dzika – była teraz gęsto usiana drzewkami. W miarę zbliżania się do lasu rosły one coraz większe. Niektóre niemal dorównywały mi wysokością. Oceeniłem szerokość i zasięg owej wstęgi rozrostu. Drząc zdałem sobie sprawę, że tworzy ona swego rodzaju, szeroką na czterdzieści czy pięćdziesiąt stóp, wypustkę puszczy sięgającą do domu poprzez pachnącą stęchlizną bibliotekę.

Nawiedziła mnie wizja nibynóżki boru starającej się wciągnąć dom w obręb aury jego zasadniczej części. Nie wiedziałem, czy zostawić drzewka w spokoju czy je zniszczyć. Gdy jednak wyciągnąłem rękę, by wyrwać jedno z nich z ziemi, premitotworowa aktywność na obwodzie mojego pola widzenia została pobudzona i stała się niemal gniewna. Postanowiłem zostawić dziwaczny rozrost w spokoju. Sięgał on aż do samego domu, lecz gdy drzewka staną się za duże, można je będzie z łatwością zlikwidować, choćby nawet rosły w anormalnym tempie.

Dom był nawiedzany. Fascynowała mnie ta myśl, nawet jeśli sprawiała, że po plecach przebiegały mi ciarki. Owo przerażenie wydawało się jednak jakby oddalone o jeden krok. Było to takie samo dręczące, wzbudzające

strach uczucie, jakie towarzyszy oglądaniu filmu z Borisem Karloffem czy słuchaniu w radiu opowiadania o duchach. Przyszło mi do głowy, że sam stałem się częścią niesamowitego procesu, w którym uczestniczy Oak Lodge i w związku z tym nie mogłem normalnie reagować na jawne oznaki obecności i pojawianie się widmowych istot.

A może powód był prostszy: pragnąłem jej. Jej. Dziewczyny z puszczy, która stała się obsesją mojego brata i która – jak wiedziałem – w swym nowym życiu ponownie odwiedziła Oak Lodge. Być może wiele z tego, co miało nastąpić, spowodowała odczuwana przeze mnie rozpacзлиwa potrzeba miłości, osiągnięcia tego samego stopnia zaangażowania uczuciowego w kobiecy wytwór lasu, jaki osiągnął Christian. Miałem dwadzieścia parę lat i pomijając krótki, ekscytujący fizycznie, lecz jałowy intelektualnie związek z dziewczyną z wioski we Francji, gdzie przebywałem po wojnie, nie miałem doświadczenia w sprawach miłości, zjednoczenia umysłów i ciał, któremu ludzie nadają tę nazwę. Christian ją odnalazł. Christian ją utracił. Byłem osamotniony w Oak Lodge, które było oddalone o wiele mil od najbliższego sąsiedztwa. Nie było więc nic zaskakującego w tym, że myśl o powrocie Guiwenneth zaczęła stawać się moją obsesją.

Wreszcie wróciła jako coś więcej niż ulotny aromat, czy mokre ślady stóp na podłodze. Zjawiała się całkowicie wcielona. Już mnie się nie bała. Lubię sobie wyobrażać, że była równie ciekawa mnie, jak ja jej.

Przykucnęła przy łóżku. Słaby blask księżyca odbijał się w jej lśniących włosach. Gdy nerwowo odwróciła ode mnie wzrok, to samo światło błysnęło w jej oczach. Nie widziałem nic więcej niż niewyraźny kształt. Gdy dziewczyna wyprostowała się na pełną wysokość, dostrzegłem jedynie jej szczupłą postać odzianą w luźną tunikę. W ręku trzymała włócznię. Zimny, metalowy grot przycisnęła mi do gardła. Był naostrzony po bokach. Za każdym razem, gdy się poruszyłem, leciutkie dźgnięcie przecinało skórę



na mojej szyi. Było to bolesne spotkanie. Nie byłem przygotowany na to, by miało okazać się śmiertelne.

Leżałem więc bez ruchu, w godzinach po północy, i wsłuchiwałem się w jej oddech. Sprawiała wrażenie lekko podenerwowanej. Przyszła tu ponieważ... cóż mogę powiedzieć? Szukała. To jedyne mogące wytłumaczyć sprawę słowo, jakie znam. Szukała mnie albo czegoś, co się ze mną wiązało. W ten sam sposób i ja jej szukałem.

Pachniała mocno. Był to rodzaj zapachu, który kojarzyłem z życiem w lasach i na odległych pustkowiach, życiem, w którym regularne mycie było poniekąd luksusem i gdzie woń była dla człowieka równie charakterystyczna jak w moich czasach styl ubrania.

Pachniała więc ziemią. Tak jest. A także własnymi wydzielinami: była to pikantna, lecz nie nieprzyjemna woń seksu oraz potu, słona i ostra. Gdy zbliżyła się do mnie i spojrzała w dół, odniosłem wrażenie, że jej włosy są rude, a spojrzenie dzikie. Powiedziała coś, co brzmiało jak: – Ymma m'ch buth?

Powtórzyła te słowa kilka razy.

– Nie rozumiem – odpowiedziałem.

– Cefrachas. Ichna which elfathab. Mich ch'athaben!

– Nie rozumiem.

– Mich ch'athaben! Cefrachas!

– Chciałbym cię zrozumieć, ale naprawdę nie potrafię.

Grot zatopił się głębiej w moją szyję. Wzdrygnąłem się i uniosłem powoli rękę ku zimnemu metalowi. Odsunąłem delikatnie broń na bok i uśmiechnąłem się, w nadziei, że nieznajoma zobaczy w mroku moją ochoczą uległość.

Wydała z siebie odgłos, nie jestem jednak pewien czy frustracji, czy rozpacz. Jej ubiór był szorstki. Wykorzystałem sposobność, by dotknąć tuniki, którą miała na sobie. Tkanina była surowa, jak worek. Miała woń wygarbowanej skóry. Obecność dziewczyny była przytłaczająca, wręcz nie

dająca się objąć rozumowaniem. Jej oddech pachniał jednak słodko, trochę jak... orzechy.

– Mich ch’athaben! – powiedziała, tym razem tonem niemal pozbawionym nadziei.

– Mich Steven – odparłem, zastanawiając się, czy jestem na właściwym tropie. Nieznajoma zachowała jednak milczenie. – Steven! – powtórzyłem i puknąłem się w pierś. – Mich Steven.

– Ch’athaben – upierała się. Grot ukłuł boleśnie moje ciało.

– W spiżarni jest jedzenie – zaproponowałem. – Ch’athaben. Na dolen. Schoden.

– Cumchirioch – odpowiedziała gwałtownie. Poczulem, że spotkała mnie obelga.

– Robię, co mogę. Czy musisz wciąż mnie dźgać tą włócznią?

Nagle i nieoczekiwanie wyciągnęła rękę i złapała mnie za włosy. Odciągnęła mi głowę do tyłu i spojrzała w twarz.

W chwilę później zniknęła. Zbiegła bezgłośnie po schodach. Choć prędko za nią podążyłem, była szybkonoga i pochłonęły ją nocne cienie. Stanąłem w tylnych drzwiach i zacząłem jej wypatrywać, lecz nie było po niej ani śladu.

– Guiwenneth! – krzyknąłem w ciemność. Zastanowiłem się, czy to było imię, pod którym sama siebie znała? Czy tylko imię, które nadał jej Christian? Powtórzyłem okrzyk, przesuwając akcent. – Gwinneth! Gewineth! Wracaj, Guiwenneth. Wracaj!

W ciszy tych wczesnoporannych godzin głos niósł się donośnie i głucho, odbijając się echem ku mnie od mrocznego lasu. Ruch wśród krzewów tarniny przerwał mój okrzyk w połowie imienia.

W słabym blasku księżyca trudno było dojrzeć, kto tam stał, byłem jednak pewien, że to Guiwenneth. Zastygła niemal bez ruchu, obserwując mnie. Wyobrażam sobie, że była zaintrygowana, iż zawołałem ją po imieniu.

– Guiwenneth – krzyknęła cicho. Był to gardłowy, syczący dźwięk, brzmiący raczej jak *chwin aiv*.

Uniosłem prawą rękę w pożegnalnym geście.

– A więc dobranoc, *Chwin aiv* – zawołałem.

– Inos c’da... Stivven...

Otoczające dziewczynę puszczańskie cienie ponownie ją pochłonęły. Tym razem już nie wróciła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Za dnia badałem skraj lasu. Staralem się przeniknąć głębiej, lecz nadal nie byłem w stanie tego dokonać. Bez względu na to, jakie siły strzegły jego serca, odnosiły się do mnie z podejrzliwością. Potykałem się i wikłałem w wybujale podszycie. Raz za razem natykałem się na omszały pniak porośnięty jeżynami i niemożliwy do sforsowania, albo stawałem twarzą w twarz ze śliską od wilgoci skalną ścianą, która wznosiła się, ciemna i zniechęcająca, z ziemi na dole, zerodowana i pokryta krętymi, omszałymi korzeniami wielkich, wyrastających z niej dębów.

Przy zasilającym młyn strumieniu dostrzegłem przelotnie Gałęźnika. Nie opodal bystrego potoku, gdzie pod butwiejącą bramą woda wirowała szybciej, zauważyłem inne mitotwory przemykające ostrożnie przez podszycie. Rysy ich twarzy były ledwie dostrzegalne pod farbą, którą wysmarowały sobie skórę.

Ktoś powyrywał dąbki ze środka polany. Pozostałości ogniska były wyraźnie widoczne. Wokół walały się kurze i królicze kości, a na usianej ostem trawie widać było ślady produkcji broni: odłamki kamieni oraz długie pasma kory z młodego drzewa. Wykonywano tu grot do włóczni bądź strzały.

Zdawałem sobie sprawę z otaczającej mnie – zawsze poza zasięgiem wzroku, lecz nigdy słuchu – aktywności: ukradkowych ruchów; nagłych, szybkich ucieczek; dziwnych, niesamowitych okrzyków, brzmiących co prawda jak ptasie, lecz z pewnością wydawanych przez ludzi. W lesie roiło się od wytworów mojego umysłu... albo umysłu Christiana. Wydawało się, że skupiają się wokół polany i strumienia, a nocą opuszczają las, podążając wzdłuż dębowej wici sięgającej do gabinetu.

Pragnąłem być zdolny przeniknąć głębiej do lasu, lecz owo życzenie ciągle się nie spełniało. Moja ciekawość tego, co znajdowało się dalej niż jakieś dwieście jardów w głąb puszczy, zaczęła osiągać szczyt. Tworzyłem w swej wyobraźni krajobrazy i stworzenia równie szalone, jak wyimaginowana podróż „Voyagera”.

W trzy dni po moim pierwszym kontakcie z Guiwenneth przyszedł mi wreszcie do głowy pomysł na to, jak zajrzeć w głąb boru. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego nie wpadłem na to wcześniej. Być może Oak Lodge znajdowało się tak daleko od normalnego nurtu ludzkiej egzystencji, a krajobraz otaczający Ryhope był tak odmienny od zaawansowanej technicznie cywilizacji, w której sercu leżał las, że myślałem tylko o prymitywnych metodach: chodzeniu, bieganiu, badaniu z powierzchni.

Przez kilka dni słyszałem, a niekiedy też widziałem, mały jednopłat zataczający kręgi nad terenem położonym na wschód od lasu. Podczas dwóch dni samolot – chyba percival proctor – zbliżył się znacznie do lasu Ryhope, nim zawrócił i zniknął w oddali.

Później, w Gloucester, po drodze do banku, zauważyłem go ponownie – albo inny bardzo podobny. Dowiedziałem się, że wykonuje zdjęcia miasta, gromadząc materiały do mapy okolicy. Ośrodkiem operacji było lotnisko Mucklestone. Obszar około czterdziestu mil kwadratowych fotografowano z powietrza dla Ministerstwa Mieszkalnictwa. Gdybym zdołał przekonać załogę, by odstąpiła mi na jedno popołudnie miejsce pasażera w którymś z samolotów, mógłbym przelecieć nad dębową puszcą i zobaczyć serce lasu z punktu, do którego z pewnością nie sięgały nadnaturalne linie obrony...

Przy bramie lotniska Mucklestone spotkałem sierżanta lotnictwa, który poprowadził mnie bez słowa do małego skupiska bielonych, półcylindrycznych baraków z blachy falowanej służących jako biura, budynki kontroli naziemnej oraz kasyno. W środku było zimniej niż na

zewnątrz. Cały teren wydawał się nieprzyjemnie opustoszały i pozbawiony życia, choć gdzieś stuknęła maszyna do pisania i słyszałem też odległy śmiech. Na pasie startowym stały dwa samoloty. Jeden z nich najwyraźniej właśnie naprawiano. Było rześkie popołudnie. Wiatr wiał z południowego wschodu.

Wydawało się, że większa jego część przedostaje się do wewnątrz i świszcze w kątach małego, zapchanego pokoiku, do którego zaprowadził mnie mój przewodnik.

Mężczyzna, który uśmiechnął się do mnie niepewnie, gdy wszedłem do środka, mógł niedawno przekroczyć trzydziestkę. Miał jasne włosy, błyszczące oczy oraz odrażające ślady po poparzeniach na brodzie i lewym policzku. Nosił mundur oraz insygnia kapitana RAF-u, lecz kołnierz koszuli miał rozpięty, a wojskowe buty zastąpił płóciennymi z gumowymi podeszwami. Otaczała go aura niewymuszonej pewności siebie. Zmarszczył jednak brwi, gdy uściśnął mi dłoń.

– Nie rozumiem, o co dokładnie panu chodzi, panie Huxley. Czy zechce pan usiąść?

Zrobiłem to, o co mnie prosił, po czym wpatrzyłem się w rozłożoną przez niego na biurku mapę najbliższej okolicy. Wiedziałem, że człowiek ten nazywa się Harry Keeton. Niewątpliwie podczas wojny był lotnikiem. Ślad po oparzeniu był fascynujący i odrażający zarazem, nosił go jednak z dumą niczym medal. Groteskowe piętno zdawało się nie przeszkadzać mu w najmniejszym stopniu.

Wpatrywałem się w niego z ciekawością, a i on był równie zaintrygowany mną. Po chwili czy dwóch niepewnej wymiany spojrzeń, roześmiał się nerwowo.

– Nie spotykam się z wieloma prośbami o wypożyczenie samolotu. Najczęściej są to farmerzy pragnący sfotografować swój dom. I archeolodzy. Ci zawsze chcą wykonywać zdjęcia o zmierzchu lub o świcie. Cienie rzucane przez słońce, rozumie pan?

Fotografie ukazują ślady na polach, stare fundamenty, takie rzeczy... ale pan chce przelecieć nad lasem... czy mam rację?

Skinąłem głową. Nie mogłem znaleźć na mapie miejsca, gdzie leży majątek Ryhope.

– To bór w pobliżu mojego domu, dosyć rozległy. Chciałbym po prostu przelecieć nad jego środkiem i zrobić kilka zdjęć.

Na twarzy Keetona pojawiło się coś przypominającego niepokój. Następnie uśmiechnął się i dotknął swej naznaczonej blizną szczęki.

– Kiedy poprzednim razem przelatywałem nad lasem, jakiś snajper oddał najcelniejszy strzał, jaki w życiu widziałem i strącił mnie. To było w czterdziestym trzecim. Leciałem lysanderem. Cudny samolot, cudnie się nim kieruje. Ale ten strzał... w sam zbiornik paliwa i trach. Prosto na drzewa. Miałem szczęście, że udało mi się wydostać. Obawiam się lasów, panie Huxley. Nie sądzę jednak, żeby w pańskim kryli się snajperzy – mówiąc to, uśmiechnął się po przyjacielsku. Odwzajemniłem uśmiech, nie chcąc mu powiedzieć, że nie mogę nic takiego zagwarantować. – Gdzie dokładnie leży ten las? – zapytał.

– Na obszarze majątku Ryhope – odparłem. Wstałem i nachyliłem się nad mapą. Po krótkiej chwili dostrzegłem nazwę. Co dziwne, nie naniesiono tam żadnego zalesionego obszaru. Widać było tylko kropkowaną linię oznaczającą granicę rozległej posiadłości.

Keeton popatrzył na mnie dziwnie, gdy wyprostowałem się i powiedziałem: – Nie ma go na mapie. To dziwne.

– Bardzo – odparł. Jego ton był stanowczy... lub może lekko chytry. – Jak jest wielki? – zapytał wtedy. – Jak rozległy?

Nie przestawał się we mnie wpatrywać.

– Bardzo rozległy. Ma przeszło sześć mil obwodu...

– Sześć mil! – zawołał, po czym uśmiechnął się półgębkiem. – To nie las, to prawdziwa puszcza!

W ciszy, która zapadła, byłem coraz bardziej pewien, że Keeton coś wie o lesie Ryhope.

– Przelatywał pan blisko niego – stwierdziłem. – Pan lub któryś z pańskich pilotów.

Skinął szybko głową, spoglądając na mapę.

– To byłem ja. Widział mnie pan, prawda?

– To właśnie podsunęło mi pomysł udania się na lotnisko.

Gdy nic nie odpowiadał, a na jego twarzy pojawił się leciutki ślad ostrożności, zacząłem mówić: – Musiał pan więc zauważyć tę anomalię. Na mapie nic nie zaznaczono...

Zamiast odnieść się do mojego stwierdzenia, Harry Keeton usiadł tylko i zaczął się bawić ołówkiem. Popatrzył na mapę, potem na mnie, a później znów na warstwice.

– Nie wiedziałem, że jakiś średniowieczny dębowy las o tak wielkim obszarze pozostał nie zaznaczony na mapach. Czy jest zagospodarowany?

– Na części obszaru. Większość jest jednak całkiem dzika.

Odchylił się do tyłu na krześle. Blizna po oparzeniu lekko pociemniała. Pomyślałem, że lotnik chyba stara się zapanować nad narastającym podnieceniem.

– Już ten fakt jest zdumiewający – stwierdził. – Las Dean jest oczywiście olbrzymi, ale dobrze zagospodarowany. W Norfolk jest bór, który jest dziki. Byłem tam... – zawahał się, marszcząc lekko brwi. – Są też inne. Wszystkie małe. Po prostu kawałki lasu, którym pozwolono zdziczeć, ale to nie są prawdziwe dzikie puszcze.

Nagle Keeton zaczął sprawiać wrażenie człowieka o rozstrojonych nerwach. Wbił wzrok w mapę, w obszar majątku Ryhope. Wydało mi się, że wyszeptał coś w rodzaju: „A więc miałem rację...”

– Czy może mi pan pomóc w sprawie przelotu nad lasem? – zapytałem.

Keeton popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Dlaczego chce pan to zrobić?



Zacząłem mu odpowiadać, lecz nagle przerwałem.

– Nie chcę, żeby o tym opowiadano...

– Rozumiem.

– Mój brat wędruje gdzieś po jego obszarze. Przed kilkoma miesiącami wyruszył, by go zbadać i nie powrócił. Nie wiem, czy zabłądził czy zginął, chciałbym się jednak przekonać, co można zobaczyć z powietrza. Zdaję sobie sprawę, że to niezgodne z przepisami...

Keeton zatopił się w myślach. Pobladł mocno – na całej twarzy poza bliznami na żuchwie. Nagle skupił na mnie wzrok i potrząsnął głową.

– Niezgodne z przepisami? Cóż, to prawda, ale to da się załatwić, tylko będzie drogo kosztowało. Muszę pana obciążyć kosztami paliwa...

– Ile?

Wymienił przypuszczalną sumę za sześćdziesięciomilową wycieczkę. Gdy ją usłyszałem, krew odpłynęła mi z twarzy. Zgodziłem się jednak i z ulgą dowiedziałem się, że nie będzie już żadnych innych kosztów. Zamierzał polecieć ze mną osobiście, włączyć aparaty fotograficzne nad lasem Ryhope i dodać go do krajobrazowej mapy, którą opracowywał.

– Prędzej czy później i tak będzie trzeba to zrobić. Równie dobrze może być teraz. Najszybszy możliwy termin to jutro po drugiej. Pasuje panu?

– Świetnie – odparłem. – Stawię się.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wychodząc z gabinetu, obejrzałem się za siebie. Keeton stał za biurkiem niemal bez ruchu, wpatrzony w mapę lotniczą. Zauważyłem, że dłonie mu lekko drżą.

Dotąd tylko raz leciałem samolotem. Podróż trwała cztery godziny. Odbyłem ją w poobijanej, pełnej śladów po kulach dakocie, która wystartowała podczas burzy z piorunami, a wylądowała na sflaczałych oponach na pasie startowym w Marsylii. Nie za bardzo zdawałem sobie sprawę z owych dramatycznych wydarzeń, gdyż byłem półprzytomny od środków znieczulających. Był to zorganizowany z wielkimi trudnościami

lot ewakuacyjny do miejsca rekonwalescencji, gdzie miałem wracać do siebie po postrzale w klatkę piersiową.

Lot percivalem proctorem był więc praktycznie moją pierwszą podniebną przejażdżką. Gdy kruchy samolocik przechylił się i niemal skoczył pod niebiosa, złapałem mocno za umieszczone po bokach poręcze, zamknąłem oczy i skupiłem się na walce z kłębowiskiem wnętrzości, które nagle było gotowe eksplodować mi z gardła. Nie sądzę, by kiedykolwiek w życiu dręczyły mnie podobnie silne mdłości. Nie jestem w stanie pojąć, w jaki sposób udało mi się zachować równowagę. Co kilka sekund moje ciało traciło kontakt z żołądkiem, gdy podmuch wiatru – Keeton nazywał je prądami termicznymi – łapał samolot w swe niewidzialne palce i ciskał nim w górę lub w dół z zatrważającą prędkością. Skrzydła wykrzywiały się i zginały. Nawet przez hełm i słuchawki, które miałem na głowie, słyszałem zgrzytliwe skargi aluminiowego kadłuba towarzyszące walce konstrukcji małego samolociku z bezmyślnymi żywiołami.

Zatoczyliśmy dwa kręgi nad lotniskiem. Wreszcie zaryzykowałem otworzenie oczu. Z początku byłem zdezorientowany, gdy nagle zdałem sobie sprawę, iż przez boczne okno widzę nie odległy horyzont, lecz grunty uprawne. Mój umysł dostroił się do ucha wewnętrznego i pogodziłem się z myślą, że znajduję się na wysokości kilkuset stóp nad ziemią, niemal nie zdając sobie sprawy z niepewności mojego ciała odnośnie do kierunku grawitacji. Wtem Keeton przechylił ostro samolot w prawo – wtedy nie było już mowy o dezorientacji, to była panika! – i maszyna pomknęła szybko na północ. Jasne słońce nie pozwalało nic dostrzec na zachodzie, lecz wyglądając ze skupieniem przez zimne, zamglone boczne okno, wypatrzyłem na dole widmową szachownicę pól wraz z jasnymi, rozproszonymi skupiskami białych budynków – siołami i miasteczkami.

– Jeśli ma pan nudności, to proszę uprzejmie skorzystać ze skórzanej torby, którą ma pan u boku – zawołał Keeton. Jego głos brzmiał chrapliwie i drażnił me uszy.

– Nic mi nie jest – odkrzyknąłem. Jednak aby się uspokoić poszukałem ręką pojemnika. W samolot uderzał boczny wiatr.

Wydało mi się, że jakaś część mego ciała wzniosła się w górę wewnątrz klatki piersiowej, nim odzyskała kontakt z pozostałymi narządami. Ścisnąłem mocniej torbę. Poczułem w ustach ukłucie ostrego smaku śliny, a potem straszliwe wrażenie zimna, które poprzedza nudności. Tak cicho i szybko, jak to możliwe – czując się totalnie upokorzony – uległem gwałtownej potrzebie opróżnienia żołądka.

Keeton roześmiał się głośno.

– Marnotrawstwo racji żywnościowych – stwierdził.

– Czuję się lepiej bez nich.

Rzeczywiście natychmiast poczułem się lepiej. Być może gniew wywołany własną słabością, bądź też prosty fakt, że żołądek miałem pusty, pozwolił mi na pogodniejsze podejście do przerażającej czynności latania kilkaset stóp nad powierzchnią ziemi. Keeton sprawdzał aparaty fotograficzne. Jego umysł był skupiony na nich, a nie na naszej podróży przez niebiosa. Mający kształt połowy koła ster poruszał się samorzutnie i choć wydawało się, że w samolot uderzają olbrzymie palce ciskające nim w prawo i w lewo, a potem ściągające go z zatrważającą prędkością w dół, jakoś utrzymywaliśmy prosty kurs. Pod nami, tereny uprawne zlewały się z gęstym, zielonym lasem. Dopływ Avonu był błotnistą wstęgą wijącą się bez celu. Cień chmury mknął przez szachownicę pól niczym dym. Razem wzięwszy, wszystko na dole sprawiało wrażenie leniwego, pogodnego i spokojnego.

– Dobry Boże, co to jest? – odezwał się nagle Keeton.

Spojrzałem przed siebie nad jego barkiem i ujrzałem na horyzoncie mroczne początki lasu Ryhope. Wydawało się, że nad tą częścią okolicy wisi wielka chmura, spowijała ją niesamowita ciemność, całkiem jakby nad puszcza szalała burza. A mimo to niebo wyglądało na całkiem czyste. Można było dostrzec chmury, lecz rzadko rozsiane i letnie, jak nad całą

zachodnią Anglią. Mroczny całun zdawał się bić w górę z samej kniei. W miarę jak zbliżaliśmy się do jej wielkiego obszaru, owa ciemność zaczęła wpływać na nasz nastrój, przygnębiając nas i napełniając czymś granicznym z przerażeniem. Keeton wyraził to na głos, skręcając samolocikiem w prawo, by polecieć wzdłuż skraju lasu. Popatrzyłem w dół i ujrzałem Oak Lodge, dziadowski, zaniedbany budynek o szarym dachu. Cały otaczający je teren wyglądał czarno i ponuro.

Gęsta wypustka drzewek wiodła ku dobudówce domu, w której mieścił się gabinet.

Sam las robił wrażenie splątanego, gęstego i wrogiego. Widziałem ciągnące się daleko ulistnione wierzchołki drzew. Nie było w nich żadnej przerwy – szarzielone morze falujące na wietrze. Wyglądało niemal jak organizm, pojedyncze jestestwo, oddychające i poruszające się niespokojnie pod wzrokiem niepożądanych gości obserwujących je z powietrza.

Keeton przeleciał wzdłuż obwodu lasu Ryhope, trzymając się od niego w pewnej odległości. Odniosłem wrażenie, że obszar pierwotnej puszczy nie jest tak wielki, jaki wydawał się z początku. Dostrzegłem stróżkę bystrego potoku, kręty, kapryśny strumień szarobrązowej wody połyskujący tu i ówdzie w promieniach słońca. Na pewnym odcinku można było prześledzić jego trasę przez las, nim zamknęły się nad nim wierzchołki drzew.

– Przeleczę nad nim ze wschodu na zachód – oznajmił nagle Keeton.

Samolot zakręcił, a las pochylił się przed moimi zafascynowanymi oczyma. Nagle wydało mi się, że skoczył ku mnie jak pijany. Zaczął przepływać pode mną, rozciągając się z przodu szeroko i bezgłośnie.

Samolot natychmiast ogarnął huragan o przerażającej sile. Cisnął on maszyną ku górze,omal nie przewracając jej do góry kołami. Keeton szarpał się ze sterem, usiłując wyrównać kurs. Z czubków skrzydeł i plamy śmigła trysnęło niezwykle, złociste światło, całkiem jakbyśmy lecieli przez tęczę. Wicher uderzył w samolot z prawej strony, spychając go silnie ku skrajowi lasu z powrotem nad otwarte tereny. Wokół kabiny rozległo się

upiorne zawrozczenie przywodzące na myśl banshee. Było tak ogłuszająco głośne, że wydawane przez Keetona krzyki wściekłości i strachu docierające do mnie przez słuchawki stały się niemal niesłyszalne.

Gdy przelecieliśmy nad granicą lasu, zapanował względny spokój. Samolot wyprostował lot, opadł lekko w dół, a potem pochylił się, gdy Harry Keeton zawrócił celem dokonania drugiej próby przelotu nad knieją.

Zachowywał milczenie. Chciałem coś powiedzieć, lecz zamurowało mnie. Wbiłem wzrok w widniejącą przed nami ścianę mroku.

I znów ten wicher!

Samolot, kołyszając się i zataczając pętle, pokonał pierwsze kilkaset jardów nad lasem. Następnie światło, które zaczęło nas otaczać, stało się bardziej intensywne. Pełzło wzdłuż skrzydeł i igrało na samej kabinie niczym maleńkie strzępki błyskawicy. Hałas osiągnął poziom, który sprawił, że krzyknąłem głośno. Wiatr uderzył w samolot tak mocno, że byłem pewien, iż maszyna rozleci się w kawałki niczym dziecinny model.

Spoglądając w dół przez niesamowity blask, dostrzegłem polany, przesieki, płynącą rzekę... była to jedynie przelotna wizja lasu, niemal całkowicie zasłonięta przez strzegące go nadnaturalne siły.

Nagle samolot obrócił się kołami do góry. Jestem pewien, że krzyknąłem, gdy ześliznąłem się ciężko po fotelu. Tylko masywny skórzany pas uchronił mnie przed zmiążdżeniem o sufit. Maszyna koziółkowała raz za razem. Keeton usiłował ją opanować. Jego głos stał się desperackim, ochrypłym dźwiękiem gniewu i dezorientacji. Wycie rozlegające się na zewnątrz przeszło w swego rodzaju drwiący śmiech. Nagle maleńkim statkiem powietrznym cisnęło z powrotem nad otwartym terenem. Samolot wyprostował się i zatoczył dwie pętle, zbliżając się niebezpiecznie do kolizji z gruntem.

Poderwał się w górę, przeskakując nad zagajnikami i wiejskimi domostwami. Uciekał od lasu Ryhope niemal przerażony.

Gdy Keeton uspokoił się wreszcie, wzniósł samolot na wysokość tysiąca stóp i wpatrzył się z zamyśleniem w dal, gdzie na horyzoncie widniał las, skryte w półmroku miejsce, które oparło się wszelkim wysiłkom zbadania go.

– Nie wiem, co za bies to spowodował – powiedział do mnie szeptem. – W tej chwili wolę jednak o tym nie myśleć. Tracimy paliwo. Na pewno doszło do przebicia zbiornika. Niech pan się trzyma fotela...

Samolot skoczył naprzód i pomknął na południe, ku lotnisku, gdzie Keeton wyładował aparaty fotograficzne i zostawił mnie samemu sobie. Był głęboko wstrząśnięty i sprawiał wrażenie, że pragnie jak najszybciej się ze mną rozstać.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Mój romans z Guiwenneth z zielonej puszczy rozpoczął się następnego dnia, nieoczekiwanie i dramatycznie...

Wróciłem do domu z lotniska Mucklestone dopiero wieczorem. Byłem zmęczony, wstrząśnięty i gotów od razu położyć się do łóżka. Przespałem terkot budzika. Obudziłem się nagle o jedenastej trzydzieści. Był jasny, choć pochmurny dzień. Zjadłszy pośpiesznie śniadanie, ruszyłem na spacer po polach. Odwróciłem się w stronę boru, by przyjrzeć mu się z miejsca oddalonego od niego o jakieś pół mili.

Po raz pierwszy dostrzegłem z powierzchni ziemi tajemniczą ciemność powiązaną z lasem Ryhope. Zastanowiłem się, czy owo zjawisko pojawiło się dopiero niedawno, czy też tak głęboko się wplątałem, pogrążyłem w aurze puszczy, że po prostu nie zauważyłem jej enigmatycznego wyglądu. Ruszyłem z powrotem do domu. Marzłem trochę w samym swetrze i marynarskich spodniach, lecz nie było to zbyt dokuczliwe w tych późnowiosennych czy wczesnoletnich dniach. Pod wpływem impulsu wybrałem się nad staw u młyna, do miejsca, gdzie zaledwie kilka miesięcy temu po raz pierwszy od lat spotkałem Christiana.

Przyciągało mnie ono, nawet zimą, gdy powierzchnia sadzawki zamarzała wokół trzciny i sitowia porastających jej błotniste krańce. Teraz była pienista, lecz pośrodku nadal dość czysta. Algi, które miały wkrótce przekształcić staw w kloakę, nie przebudziły się jeszcze z zimowego snu. Zauważyłem jednak, że nigdzie nie było widać łodzi o przegniłym kadłubie, która, odkąd sięgałem pamięcią, stała przycumowana nie opodal rozpadającej się przystani. Wytarta lina utrzymująca ją u brzegu – przeciw jakim to gwałtownym pływom, zadałem sobie pytanie – zagłębiała się pod

taflę wody. Wyobraziłem sobie, że któregoś dnia deszczowej zimy zniszczona łódź po prostu opadła na muliste dno.

Po drugiej stronie stawu zaczynał się gęsty las: ściana orlic, sitowia i jeżyn rozciągnięta była niczym płot między pniami rzadko rosnących, sękatych dębów. Nie było przejścia, gdyż same drzewa wyrastały z gruntu zbyt bagnistego dla ludzkich stóp.

Podszedłem do granicy mokradła, oparłem się o pochyły pień i wpatrzyłem w przesycony wonią stęchlizny mrok skraju lasu.

I wtedy wyszedł z niego mężczyzna!

Był to jeden z dwóch napastników sprzed kilku nocy, długowłosej facet odziany w szerokie pantalone. Dostrzegłem teraz, że wygląda jak rojalista z czasów Cromwella, z połowy siedemnastego wieku. Był nagi do pasa, pomijając dwa skórzane pasy krzyżujące się na piersi. Przytwierdził do nich rożek na proch, skórzany woreczek z ołowianymi kulami oraz sztylet. Włosy – a nawet brodę i wąsy – miał ufryzowane we wspaniałe loki.

Słowa, które do mnie wypowiedział, brzmiały szorstko, niemal gniewnie, lecz mówiąc je, uśmiechał się. Miałem wrażenie, że przemawia w obcym języku, potem jednak zdołałem zrozumieć, iż był to angielski z silnym akcentem zbliżonym do wiejskiego. Powiedział: – Jesteś krewnym Przybysza, to wszystko, co się liczy... – ale wówczas wydawało mi się, że słyszę tylko niezrozumiałe dźwięki.

Ton, akcent, słowa ważniejsze w owej chwili było, że uniósł skałkówkę o lśniącej lufie, odciągnął z wyraźnym wysiłkiem zamek i wypalił do mnie, trzymając broń w połowie wysokości między pasem a ramionami. Jeśli miał to być strzał ostrzegawczy, to ów mężczyzna był strzelcem, którego umiejętności zasługiwały na najwyższy podziw. Jeśli chciał mnie zabić, sprzyjało mi naprawdę wielkie szczęście. Kula otarła mi się o bok głowy. Cofałem się właśnie, unosząc ręce w obronnym geście i krzyjąc: – Nie! Na litość boską...



Huk był ogłuszający, wszystko jednak szybko pochłonął ból i dezorientacja wywołane postrzałem w głowę. Pamiętam, że poleciałem do tyłu, jakby ktoś mnie cisnął, a lodowate wody stawu ogarnęły mnie i zaczęły wciągać pod powierzchnię. Na chwilę zapadła ciemność. Gdy odzyskałem przytomność, połykałem obrzydliwą wodę z sadzawki. Zacząłem opierać się z głośnym pluskiem lepkiemu błotowi oraz zielsku i sitowiu, które zdawało się owijać wokół mnie. Wydostałem się jakoś na powierzchnię, połykając powietrze wraz z wodą i krztusząc się gwałtownie.

Nagle ujrzałem lśniący, ozdobiony ornamentem kij. Zdałem sobie sprawę, że podano mi włócznię. Dziewczęcy głos coś do mnie zawołał. Nie zrozumiałem słów, a jedynie wyrażane przez nie uczucie. Złapałem się z wdzięcznością zimnego drewna, choć wciąż czułem się bardziej utopiony niż żywy.

Poczułem, że wyciąga moje ciało z zielska. Silne dłonie chwyciły mnie za barki i wydobyły na brzeg. Gdy usunąłem mruganiem wodę i błoto z oczu, ujrzałem dwa gołe kolana oraz szczupłą postać mojej wybawicielki, która pochyliła się nade mną, by położyć mnie na brzuchu.

– Nic mi nie jest! – prychnąłem.

– B'th towethoch! – upierała się. Jej dłonie zaczęły silnie masować moje plecy. Poczułem płyn wydostający się z wnętrzości. Zakrztusiłem się i wymiotowałem mieszaniną miazgi pokarmowej oraz wody ze stawu. Wreszcie poczułem się na siłach, by usiąść. Odepchnąłem jej dłonie.

Cofnęła się, nie podnosząc się z kucek. Gdy otarłem błoto z oczu, po raz pierwszy zobaczyłem ją wyraźnie. Patrzyła na mnie uśmiechnięta, niemal chichocząc na widok mojego upańkanego lepka mazią ciała.

– To nie jest zabawne – stwierdziłem, spoglądając z niepokojem na las widoczny za jej plecami. Napastnik jednak zniknął. Myśl o nim opuściła mnie szybko, gdy popatrzyłem na Guiwenneth.

Jej twarz była zdumiewająca: jasnoskóra i lekko piegowata. Lśniące, kasztanowate włosy opadały na ramiona w rozczochranych, targanych

wiatrem splotach. Spodziewałem się, że będzie miała jaskrawozielone oczy, były one jednak koloru otchłannego brązu. Patrzyła na mnie z rozbawieniem. Pociągało mnie jej spojrzenie, fascynowała każda najdrobniejsza linia jej twarzy, doskonały kształt ust, kosmyki dzikich, rudych włosów opadające na czoło. Tunikę miała krótką i bawełnianą, ufarbowaną na brązowo. Ręce i nogi były chude, lecz mięśnie stalowe. Jej łydki porastał delikatny, złocisty meszek. Zauważyłem, że na kolanach ma paskudne blizny. Obuta była w prymitywne sandały.

Dłonie, które zmusiły mnie do położenia się i z taką siłą wypompuwały z moich płuc wodę, były drobne i delikatne, a paznokcie krótkie i połamane. Na nadgarstkach miała czarne skórzane opaski, a u wąskiego pasa nabijanego żelaznymi ćwiekami, który otaczał jej talię, tkwił krótki miecz w matowej, szarej pochwie.

To więc była dziewczyna, w której Christian zadurzył się tak rozpaczliwie i bez nadziei. Spoglądając na nią, doświadczając więzi, jakiej mnie jeszcze nigdy dotąd nie łączyło z żadną kobietą, czując jej seksualizm, humor i siłę, potrafiłem bardzo dobrze zrozumieć tego powody.

Pomogła mi wstać. Była wysoka, niemal dorównywała mi wzrostem. Rozejrzała się wokół, po czym klepnęła mnie w ramię i ruszyła pierwsza przez podszycie, kierując się w stronę Oak Lodge. Spróbowałem ją powstrzymać, potrząsając głową. Odwróciła się i burknęła coś gniewnym głosem.

– Jestem cały przemoczony i czuję się paskudnie... – oznajmiłem. Otarłem z uśmiechem dłoń o pokryte błotem i wodorostami ubranie i uśmiechnąłem się. – Nie ma mowy, bym wracał do domu przez las. Wolę łatwiejszą drogę...

Potruchtałem z powrotem ku ścieżce. Guiwenneth krzyknęła na mnie, po czym klepnęła się z irytacją w udo. Podążyła tuż za mną, nie wychodząc spomiędzy drzew. Była w tym niewątpliwie biegła, gdyż nie powodowała praktycznie żadnego dźwięku, a dopiero wtedy, gdy się zatrzymałem i

wpatrzyłem uważnie w chaszczę, mogłem ją od czasu do czasu dostrzec. Kiedy stawałem, robiła to samo. Jej włosy chwytały światło dnia w sposób, który z pewnością musiał nieustannie zdradzać jej obecność. Wydawała się spowita w ogień. Była w mrocznej puszczy światłem przewodnim. Z pewnością trudno jej było tu przetrwać.

Gdy dotarłem do bramy ogrodu, odwróciłem się, by poszukać wzrokiem dziewczyny. Wypadła z lasu z nisko pochyloną głową.

W prawej dłoni dzierżyła mocno włócznię, a lewą zaciskała na rękojeści miecza, by nie podskakiwał podczas biegu. Przemknęła obok mnie, przebiegła przez ogród, skryła się po zawietrznej stronie domu i oparła o ścianę, spoglądając z niepokojem na drzewa.

Udałem się niespiesznie za nią. Otworzyłem tylne drzwi. Wśliznęła się do środka z dzikim spojrzeniem.

Zamknąłem za sobą drzwi i podążyłem za Guiwenneth, która szła spokojnie przez dom, zaciekawiona i majestatyczna. Rzuciła włócznię na kuchenny stół i odpięła pas do miecza. Podrapała się przez tunikę w jędrne ciało.

– Ysuth’k – powiedziała z chichotem.

– Na pewno swędzi – zgodziłem się, patrząc, jak wzięła w rękę nóż do krajania mięsa, parsknęła śmiechem, potrząsnęła głową i odłożyła go z powrotem na stół. Zaczynałem dygotać.

Myślałem o przyjemnej, gorącej kąpieli, mogłem jednak liczyć tylko na letnią, gdyż w Oak Lodge można było grzać wodę jedynie w skrajnie prymitywny sposób. Napełniłem nią trzy rondle i postawiłem je na piecu. Guiwenneth patrzyła zafascynowana, jak błękitny płomień budzi się do życia.

– R’vannith – stwierdziła tonem znużonego cynizmu.

Gdy woda zaczęła się podgrzewać, podążyłem za dziewczyną przez salon, gdzie popatrzyła na obrazy, potarła tkaninę obiciową na krzesłach, powąchała owoc z wosku i wydała z siebie okrzyk zdumienia oraz lekkiego

podziwu. Następnie rzuciła w moją stronę sztuczne jabłko. Gdy je złapałem, wykonała gest oznaczający jedzenie.

– Cliosła muga? – zapytała. Roześmiała się.

– Na ogół nie – odparłem. Jej oczy były tak błyszczące, uśmiech tak młodzieńczy, tak figlarny... tak piękny.

Wciąż drapiąc miejsca otarte przez pas otaczający jej talię, ruszyła na dalsze poszukiwania. Wszedłszy do łazienki, zadrżała lekko. Nie zdziwiło mnie to. Pomieszczenie było lekko zmodyfikowaną częścią dawnej przybudówki. Pomalowano je na ponury, teraz już wyblakły, żółty kolor. Każdy kąt zdobiły girlandy pajęczyn. Pod pękniętą, porcelanową umywalką wałały się stare puszki proszku czyszczącego Vim oraz przesycone brudem szmaty. Gdy spoglądałem na to zimne, odpychające miejsce, zdumiewało mnie, że przez całe dzieciństwo myłem się tu całkiem zadowolony, to znaczy, zadowolony ze wszystkiego poza gigantycznymi pajakami, które z zatrważającą częstotliwością przebiegały przez podłogę lub wyłaziły z otworu wanny. Była ona głęboka, pokryta białą polewą, z długą armaturą z nierdzewnej stali, która bardziej niż cokolwiek innego przyciągnęła uwagę Guiwenneth. Dziewczyna przebiegła palcami po zimnej emalii i ponownie wypowiedziała słowo: – R’vannith.

Roześmiała się. Nagle zrozumiałem, że mówi „rzymskie”. Kojarzyła zimne, przypominające marmur powierzchnie oraz specjalne metody podgrzewania wody z najbardziej zaawansowanym technicznie społeczeństwem, jakie znała w swej epoce. Jeśli coś było zimne, twarde, ułatwiające życie i dekadentkie, było oczywiście rzymskie i jako celtycka kobieta gardziła tym.

Proszę pamiętać, że jej również przydałaby się kąpiel. Jej odór był przytłaczający. Nie byłem jeszcze przyzwyczajony do tak intensywnego doświadczania tego szczególnego, zwierzęcego aspektu natury ludzkiej. We Francji, podczas ostatnich dni okupacji, poznałem woń strachu, czosnku, zwierzęcego wina, zbyt często również zaschniętej krwi, a także

wilgotnych, zagrzybionych mundurów. Wszystkie te zapachy stanowiły pod pewnym względem naturalną część wojny, część świata techniki. Guiwenneth wydzielała leśny, zwierzęcy aromat, który wydawał się zdumiewająco nieprzyjemny, lecz zarazem dziwnie erotyczny.

Nalałem do wanny letniej wody i podążyłem w ślad za dziewczyną, którą przechadzka zawiodła do gabinetu. Tu zadrzała raz jeszcze. Okrążyła pokój, trzymając się blisko ścian. Wyglądała niemal na udręczoną. Co chwila spoglądała na sufit. Podeszła do oszklonych drzwi i wyjrzała na zewnątrz, po czym przeszła wokół pokoju, tupiąc sandałami, nim dotknęła biurka, książek i niektórych eksponatów zebranych przez ojca w lesie. Książki nie zainteresowały jej w najmniejszym stopniu, choć przez kilka sekund gapiła się na stronicową strukturę jednego tomu, być może usiłując połapać się co to takiego. Z pewnością przyjemność sprawiły jej obrazki przedstawiające ludzi w mundurach, gdyż była to książka dotycząca dziewiętnastowiecznych wojskowych uniformów. Pokazywała mi ryciny, jakbym nigdy w życiu ich nie widział. Jej uśmiech wyrażał niewinną przyjemność dziecka, lecz nic nie odwracało mojej uwagi od dojrzałości jej ciała. Nie była naiwnym dziewczątkiem.

Zostawiłem ją wertującą stronice w ponurym gabinecie i dopełniłem wannę świeżo zagotowaną wodą. Mimo to kąpiel była jedynie letnia. Nie szkodzi. Byłem gotów na wszystko, by zeskrobać z siebie budzący niesmak osad alg i szlamu. Zdjąłem ubranie i wszedłem do wanny. Zdałem sobie sprawę, że Guiwenneth stoi w drzwiach. Uśmiechała się głupkowato, spoglądając na mój oblepiony brudem, lecz w pierwszym rzędzie błądy i cherlawy tors.

– Mamy tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy rok – oznajmiłem jej z tak wielką godnością, na jaką tylko mogłem się zdobyć – a nie barbarzyńskie stulecia tuż po narodzeniu Chrystusa.

Z pewnością nie mogła się spodziewać, że będę nabity mięśniami, powiedziałem sobie. Nie taki cywilizowany człowiek jak ja.

Umyłem się szybko. Guiwenneth przykucnęła, zamyślając się.

– Ibri c'thaan k'thirig? – zapytała nagle.

– Ty również wydajesz mi się piękna.

– K'thirig?

– Tylko podczas weekendów. To angielski zwyczaj.

– C'thaan perin avon? Avon!

Avon? Stratford nad Avonem? Szekspir?

– Moja ulubiona sztuka to Romeo i Julia. Cieszę się, że liznąłeś choć trochę kultury.

Potrząsnęła głową. Piękne włosy muskały owal jej twarzy niczym jedwab. Choć były brudne, zwisające w strąki – widziałem to – i przetłuszczone, lśniły i poruszały się, jakby były obdarzone własnym, bogatym życiem. Fascynowały mnie. Zdałem sobie sprawę, że wpatrzyłem się w nie, a szczotka o długiej rączce zawisła w połowie drogi do pozycji umożliwiającej mi sięgnięcie pleców. Dziewczyna powiedziała coś, co brzmiało jak polecenie, bym przestał się gapić, po czym podniosła się, obciągnęła brązową tunikę – wciąż się drapiąc! – skrzyżowała ramiona i oparła się o wyłożoną kafelkami ścianę, wyglądając przez małe okno łazienki.

Czysty i pełen odrazy na widok pozostałej po mnie wody, zdobyłem się na odwagę i stanąłem w wannie, by sięgnąć po ręcznik. Zdażyła jednak spojrzeć na mnie... i znowu zachichotała! Powstrzymała śmiech. Błysk w jej oczach wydał mi się irytująco atrakcyjny. Popatrzyła na mnie, przesuwając wzrok w górę i w dół po odsłoniętym, białym ciele.

– Wszystko jest ze mną w porządku – zapewniłem, wycierając się energicznie. Czułem się lekko zażenowany, lecz byłem zdecydowany nie okazać wyraźnego zawstydzenia. – Jestem znakomitym okazem angielskiego mężczyzny.

– Chuin atenor! – odparła, całkowicie zaprzeczając moim słowom.

Owinałem sobie ręcznik wokół pasa i wskazałem palcem ją, a potem wannę. Zrozumiała ów gest i odpowiedziała mi własnym: dwukrotnie machnęła gniewnie prawą pięścią w stronę prawego barku, nie dotykając go jednak.

Wróciła do gabinetu. Przyglądałem się przez chwilę, jak przerzuca strony kilku książek, patrząc na kolorowe ryciny. Następnie ubrałem się i poszedłem do kuchni, by ugotować garnek zupy.

Po chwili rozległ się dźwięk nalewanej do wanny wody. Przez króciutką chwilę słychać było pluskanie, któremu towarzyszyły okrzyki dezorientacji i wesołości, gdy nieznana śliskość kostki mydła sprawiła, że okazała się ona bardziej nieuchwytna niż użyteczna. Owładnięty ciekawością – i być może seksualnym zainteresowaniem – podszedłem cicho do zimnego pomieszczenia i popatrzyłem na nią zza drzwi. Wyszła już z wanny i wciągała tunikę. Uśmiechnęła się do mnie półgębkiem, poprawiając potrząśnięciem głowy włosy. Z jej nóg i rąk skapywała woda. Obwąchała się starannie i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Co to za różnica?”

Gdy w pół godziny później zaoferowałem jej miskę rzadkiej zupy jarzynowej, odmówiła. Wyglądała niemal na podejrzliwą. Powąchała zawartość garnka, zanurzyła w niej palec i skosztowała jej bez wielkiego zadowolenia, przyglądając się, jak jem. Mimo wielu wysiłków, nie mogłem jej namówić, by spożyła ze mną ten skromny posiłek. Było jednak jasne, że jest głodna. Wreszcie oderwała kawałek chleba i zamieszała nim w zupie. Przez cały czas mnie obserwowała, poddawała oględzinom. Szczególnie moje oczy zwróciły jej uwagę.

– C'cayal cualada... Christian? – odezwała się wreszcie cicho.

– Christian? – powtórzyłem, wymawiając imię w prawidłowy sposób. W jej ustach brzmiało jak „Kreesatan”, rozpoznałem je jednak z dreszczem szoku.

– Christian! – powtórzyła i splunęła gniewnie na podłogę.

Jej oczy nabrały dzikiego wyrazu. Sięgnęła po włócznię, użyła drzewca, by szturchnąć mnie w pierś.

– Steven – pełna zamyślenia przerwa – Christian. – Potrzasnęła głową, jakby doszła do jakiegoś wniosku. – C’cayal cualada? Im clathyr!

Czyżby pytała, czy jesteśmy braćmi? Skinąłem głową.

– Utraciłem go. Zdziczał. Poszedł do lasu. Do wnętrza. Znasz go? – Wskazałem na nią, na jej oczy. – Christian? – zapytałem.

Choć była blada, poblądła jeszcze bardziej. Było jasne, że się boi.

– Christian! – warknęła i cisnęła włócznią, sprawnie i bez wysiłku, na drugi koniec kuchni. Broń wbiła się w tylne drzwi i utkwiała w nich z drżeniem.

Podniosłem się i wyrwałem ją z drewna, lekko poirytowany tym, że skutecznie przebiła deskę, pozostawiając sporą dziurę na świat zewnętrzny. Guiwenneth napięła lekko mięśnie, gdy wyszarpnąłem włócznię i przyjrzałem się tępo zakończonemu grotowi o ostrych jak brzytwa krawędziach. Był ząbkowany, lecz nie tak jak liść. Zadziory były zakrzywionymi do tyłu hakami biegnącymi wzdłuż każdej z krawędzi. Irlandzcy Celtowie znali straszliwą broń zwaną gae bolga, której nigdy nie powinno się używać w honorowej walce, gdyż jej skierowane ku tyłowi zadziory wyrwałyby trafionemu nią człowiekowi wnętrzności. Być może w Anglii, czy innej części celtyckiego świata, która zrodziła Guiwenneth, używano broni, nie licząc się z podobnymi honorowymi względami.

Drzewce było ozdobione krótkimi liniami biegnącymi pod różnymi kątami: oczywiście, pismo ogamiczne. Słyszałem o nim, ale nie miałem pojęcia, jak je odczytać. Przebiegłem palcami po nacięciach.

– Guiwenneth? – zapytałem.

– Guiwenneth mech Penn Ev – odparła. W jej głosie brzmiała duma. Przypuszczałem, że Penn Ev to imię jej ojca. Guiwenneth, córka Penn Eva?

Podąłem jej włócznię i sięgnąłem ostrożnie po skryty w pochwie miecz. Odsunęła się od stołu, obserwując mnie z uwagą. Pochwa była wykonana z



twardej skóry wzmocnionej paskami bardzo cienkiej blachy, które niemal w niej zaszyto. Zdobily ją ćwieki z brązu, a do zszycia obu połówek użyto grubej, skórzanej nici. Sam miecz był czysto funkcjonalny: rękojeść z kości owinięta była solidnie przezutą, zwierzęcą skórą. Dalsze brązowe ćwieki ułatwiały palcom skuteczny uchwyt. Gałki niemal nie było. Ostrze wykonano z lśniącego żelaza. Mogło mieć jakieś osiemnaście cali długości. U podstawy było wąskie, ale potem rozszerzało się do czterech lub pięciu cali, nim zwężało się do ostrego końca. Była to piękna, kształtna broń. Widniały na niej ślady zaschłej krwi świadczące, że często jej używano.

Schowałem miecz do pochwy, po czym sięgnąłem do schowka na miotły po własną broń – włócznię, którą wykonałem z odartej z kory i prymitywnie obrobionej gałęzi. Za grot służył jej wielki, ostry odłamek krzemienia. Dziewczyna spojrzała na nią tylko raz i wybuchnęła śmiechem, potrząsając głową, najwyraźniej z niedowierzaniem.

– Chcę, żebyś wiedziała, że jestem z niej bardzo dumny – oznajmiłem, udając oburzenie. Dotknąłem ostrego kamiennego grotu. Jej śmiech był radosny i swobodny. Wyrażał autentyczne rozbawienie nędznym efektem moich starań. Nagle najwyraźniej poczuła się lekko zawstydzona. Zakryła usta dłonią, choć nadal drżała z wesołości.

– Potrzebowałem wiele czasu, żeby ją zrobić. Byłem z siebie bardzo zadowolony.

– Peth'n plantyn! – zawołała z chichotem.

– Jak śmiesz – odpowiedziałem. Potem zrobiłem coś bardzo głupiego.

Powinienem był okazać więcej rozsądku, ale nastrój wesołości i spokoju nazbyt sprzyjał samozadowoleniu. Udałem, że chcę zaatakować dziewczynę. Opuściłem włócznię i pchnąłem nią lekko w jej stronę, jakbym chciał powiedzieć: „Pokażę ci...”

Zareagowała w mgnieniu oka. Wesołość zniknęła z jej oczu i ust. Zastąpił ją wyraz dzikiej furii. Wydała z siebie gardłowy dźwięk, dźwięk ataku. W krótkiej chwili, której potrzebowałem, by poruszyć swą żalną

zabawką gdzieś w jej kierunku, zdążyła dwukrotnie uderzyć własną włócznią, gwałtownie i ze zdumiewającą siłą.

Pierwszy cios odłamał grot i omal nie wytrącił mi drzewca z dłoni. Drugi w nie uderzył. Cała zdekapitowana broń wypadła mi z rąk i przeleciała przez kuchnię. Postrącała garnki ze ściany i wylądowała z brzękiem wśród porcelanowych pojemników.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że niemal nie miałem szansy zareagować. Dziewczyna wyglądała na nie mniej wstrząśniętą ode mnie. Staliśmy bez ruchu, gapiąc się na siebie z zaczerwienionymi twarzami i rozdziawionymi ustami.

– Przepraszam – powiedziałem cicho, starając się załagodzić sytuację.

Guiwenneth uśmiechnęła się niepewnie.

– Guirinyn – wyszeptała w charakterze przeprosin. Podniosła oderwany grot włóczni i mi go wręczyła. Ująłem w rękę kamień, który wciąż był przytwierdzony do kawałka drewna, popatrzyłem na niego i zrobiłem smutną minę. Oboje wybuchliśmy spontanicznym, beztroskim śmiechem.

Nagle zgarnęła swe rzeczy, zapięła pas i ruszyła ku tylnym drzwiom.

– Nie odchodź – poprosiłem. Wydawało się, że intuicyjnie zrozumiała znaczenie moich słów. Zawahała się.

– Michag ovnarrana! – odparła. (Muszę odejść?).

Następnie, ze spuszczoną głową i mięśniami naprężonymi, by umożliwić szybką ucieczkę, potruchtała w stronę lasu. Gdy znikła w mroku, zamachała jeden raz ręką i wydała z siebie okrzyk przypominający głos gołębia.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wieczorem poszedłem do gabinetu, by wydobyć podarty i postrzępiony dziennik, który prowadził ojciec. Otworzyłem go w przypadkowym miejscu, ale słowa opierały się moim wysiłkom czytania, częściowo, jak sądzę, ze względu na nagły nastrój melancholii, który ujawnił się w godzinie zmierzchu. W domu panowała przytłaczająca cisza, lecz brzmiały w nim jeszcze echa śmiechu Guiwenneth. Wydawało się, że dziewczyna jest wszędzie, a zarazem nie ma jej nigdzie. Wyłaniała się z czasu, z minionych lat, z poprzedniego życia, w którym zajmowała tę milczącą izbę.

Przez chwilę stałem i gapiłem się w noc, dostrzegając przede wszystkim własne odbicie w brudnej szybie oszklonych drzwi oświetlonej stojącą na biurku lampą. Na wpół spodziewałem się, że Guiwenneth pojawi się przede mną, wyłaniając się zza postaci chudego mężczyzny o potarganych włosach, który wpatrywał się we mnie tak żałośnie.

Być może jednak wyczuła potrzebę – mam na myśli moją potrzebę – upewnienia się o czymś, co poznałem już jako fakt... a nie z lektury.

Było to coś, co chyba wiedziałem już od chwili, gdy przekartkowałem dziennik po raz pierwszy. Stronice, na których zapisano pełne goryczy szczegóły, dawno już zostały wyrwane i niewątpliwie zniszczone lub ukryte zbyt sprytnie, bym był w stanie je odnaleźć. Istniały jednak aluzje i napomknienia, było to wystarczająco wiele, by nagle ogarnął mnie smutek.

Wreszcie wróciłem do biurka i usiadłem za nim. Przerzucałem powoli karty oprawnej w skórę księgi, sprawdzając daty, coraz bardziej zbliżając się do pierwszego spotkania ojca z Guiwenneth i drugiego, i trzeciego...

Znowu dziewczyna. Wybiegła z lasu, nie opodał strumienia, pokonała krótki dystans do kurników i siedziała tam przykucnięta przez całe

dziesięć minut. Obserwowałem ją z kuchni. Potem przeszedłem do gabinetu, gdy kręciła się po terenie. I zdaje sobie sprawę z jej obecności, podąża za mną bez słowa, obserwuje. Nic nie rozumie, a ja nie mogę jej wytłumaczyć. Jestem zdesperowany. Dziewczyna działa na mnie pobudzająco. I widziała to, ale cóż mogę zrobić? To leży w samej naturze mitotworu. Nie jestem bardziej odporny niż kulturalni mężczyźni z rzymskich osad, przeciwko którym występowała. Doprawdy jest wyidealizowanym obrazem celtyckiej księżniczki: lśniące, rude włosy, jasna skóra, ciało dziecięce, lecz zarazem silne. Jest wojowniczką, lecz trzyma swą broń niezręcznie, jak gdyby jej nie znała.

I nie jest świadoma tego wszystkiego. Dostrzega tylko obecność dziewczyny i mój pociąg do niej. Chłopcy jej nie widzieli, choć Steven wspominał już dwukrotnie o wizji noszącego poroże „szamana”, który również jest o tej porze aktywny. Dziewczyna jest bardziej witalna niż poprzednie formy mitotworowe, które wydają się mechaniczne i zagubione. Trudno ją uznać za nową, lecz mimo to zachowuje się z jasnością umysłu, która jest niesamowita. Obserwuje mnie. Ja obserwuję ją. Kolejne wizyty oddziela od siebie okres dłuższy niż trwa jedna pora roku. Wydaje się, że jej pewność siebie narasta. Chciałbym poznać jej historię. Moje domysły muszą być bliskie prawdy, lecz szczegóły wymykają mi się, ponieważ nie potrafimy się ze sobą porozumieć.

Kilka stron dalej, zanotowane w jakieś dwa tygodnie po poprzednim incydencie, ale nie opatrzone datą:

Wróciła po niespełna miesiącu. Tworząca ją siła musi być doprawdy potężna. Postanowiłem opowiedzieć o niej Wynne-Jonesowi. Przyszła o zmierzchu i weszła do gabinetu. Siedziałem bez ruchu, obserwując ją. Oręż, który nosi, nadaje jej wygląd gwałtownej. Była zaciekawiona. Wypowiedziała jakieś słowa, lecz mój umysł nie jest już tak bystry, by zapamiętać obce dźwięki zaginionych kultur. Ciekawość! Zbadała książki, przedmioty, szafki. Jej oczy są niewiarygodne. Gdy tylko na mnie spojrzy, przykuwa mnie do krzesła. Spróbowałem nawiązać z nią kontakt, wypowiadając proste słowa, wszak mitotwór powstaje z w pełni wbudowanym językiem i zdolnościami percepcji. WJ jest przekonany, że umysł mitotworu będzie otwarty na edukację, również językową, z uwagi

na jego więź z mózgiem tego, kto go stworzył. Mam mętlik w głowie. Daje się to odczuć w mojej relacji. J przyszła do gabinetu. Była wytrącona z równowagi. Chłopców zaczyna niepokoić jej pogarszający się stan. Jest bardzo chora. Gdy dziewczyna roześmiała się na jej widok, i niemal wpadła w histerię. Wyszła jednak z gabinetu, zamiast stawić czoło kobiecie, z którą – jak sądzi – ją zdradzam. Nie mogę stracić zainteresowania dziewczyny. Jedyne mitotworu, który wyszedł z lasu. To sposobność, którą trzeba wykorzystać.

Brak jest następnych stron, stron o olbrzymim znaczeniu, gdyż z pewnością opowiadają one o tym, jak ojciec próbował podążyć za dziewczyną do lasu, zawierają dokumentację przejść i ścieżek, które wykorzystał. (Znalazłem na przykład tajemnicze stwierdzenie w rutynowym sprawozdaniu dotyczącym wykorzystania sprzętu skonstruowanego przez ojca i Wynne-Jonesa: „Wszedłem przez świńską ścieżkę, segment siódmy, i przeszedłem jakieś czterysta kroków. Kryje się w tym jakaś szansa, choć prawdziwa droga do wewnątrz, nie ta oczywista, pozostaje nadal nie odkryta. Ochronne bariery są zbyt potężne, a ja jestem za stary. Młodszy człowiek? Można jeszcze spróbować innych ścieżek”. W tym miejscu fragment się urywa.) Ostatnia wzmianka o Guiwenneth z zielonej puszczy jest krótka i chaotyczna, zawiera jednak wskazówkę mogącą przyczynić się do wyjaśnienia tragedii, z której dopiero niedawno zdałem sobie sprawę.

15 września 1942 r. Gdzie jest dziewczyna? Lata! Dwa lata! Gdzie? Czy to możliwe, by jeden mitotwór uległ rozkładowi i zastąpił go następny? J ją widzi. Jej stan się pogorszył. Jest bliska śmierci. Wiem, że jest bliska. Cóż mogę zrobić? Ukazuje się jej dziewczyna. Prześladuje ją. Obrazy? Wyobraźnia? J najczęściej w stanie histerycznym. Gdy S i C są w pobliżu, zachowuje zimne milczenie, funkcjonuje jako matka, lecz już nie jako żona. Nie zamieniliśmy... (następny fragment wykreślono, lecz nie jest nieczytelny). J więdnie. Nie czuję na myśl o tym najmniejszego bólu.

Bez względu na to, na jaką chorobę cierpiała matka, jej stan pogorszyły gniew, zazdrość, a na koniec być może żal wywołany tym, że młodsza, zdumiewająco piękna kobieta skradła serce ojca. „To leży w samej naturze mitotworu...”

Te słowa były niczym wycie syreny. Ostrzegały mnie i przerażały, lecz nie potrafiłem ich usłuchać. Najpierw ofiarą padł ojciec, a później, jakąż tragedia nastąpiła, gdy Christian wrócił do domu z wojny i dziewczyna (wówczas być może dobrze już zadomowiona w Oak Lodge) przeniosła swe uczucia na mężczyznę bliższego jej wiekiem? Nic dziwnego, że Urscumug był tak gwałtowny! Zastanawiałem się, do jakich walk i pościgów doszło, jaki gniew uzewnętrznilo w miesiącach poprzedzających śmierć ojca w lesie? W dzienniku nie było żadnej wzmianki dotyczącej tego okresu, żadnej wzmianki o Guiwenneth po tych zimnych, pełnych niemal rozpaczliwych słowach: „J wiednie. Nie czuję na myśl o tym najmniejszego bólu.”

Czym mitotworem była?

Ogarnęło mnie coś na kształt paniki. Wczesnym porankiem następnego dnia zacząłem biec wokół lasu, aż zabrakło mi tchu i byłem cały zlany potem. Dzień był pogodny, niezbyt zimny. Znalazłem parę ciężkich turystycznych butów, wziąłem swą „oderżniętą” włócznię i wyruszyłem biegiem na patrol po dębowym lesie. Raz za razem wołałem Guiwenneth.

Czym mitotworem była?

To pytanie prześladowało mnie podczas biegu niczym ciemny ptak lecący nad moją głową. Czy była moja? Czy Christiana? Mój brat odszedł do lasu, by odnaleźć ją ponownie, odnaleźć Guiwenneth z zielonej puszczy, którą stworzył jego umysł, gdy wszedł w interakcję z dębami i jesionami, głogiem i zaroślami, całą złożoną formą życia, która była starożytnym Ryhope. Jednak czym mitotworem była moja Guiwenneth? Czy

Christiana? Czy odnalazł ją, ścigał i przegnał na skraj lasu dziewczynę, która się go bała i nim gardziła? Czy to przed Christianem się ukrywała?

Czy też była moja? Może to mój umysł ją zrodził i przybyła natychmiast do swego twórcy, tak jak ongiś przyszła do mego ojca, jak dziecko ciągnie do dorosłego, swój do swego. Być może Christian znalazł dziewczynę ze swych snów i w tej chwili ukrywał się w sercu lasu, wiodąc życie równie dziwaczne, co przynoszące spełnienie.

Wciąż jednak dręczyły mnie wątpliwości, a kwestia „tożsamości” Guiwenneth zaczęła przeradzać się w obsesję.

Spocząłem nad brzegiem bystrego potoku, z dala od domu, w miejscu, gdzie obaj z Chrisem czekaliśmy, aż maleńki stateczek pojawi się po swej leśnej podróży, tak wiele lat temu. Pole pokrywały zdradzieckie krowie placki, choć w tej chwili pasły się tu tylko owce, które tłoczyły się wzdłuż zarośniętego brzegu strumienia, obserwując mnie podejrzliwie z ukosa. Las był ciemną ścianą ciągnącą się w stronę Oak Lodge. Pod wpływem impulsu ruszyłem w górę bystrego potoku. Przelazłem przez zwalony pień uderzonego piorunem drzewa, przedarłem się przez gąszcz krzaków dzikiej róży, jeżyn oraz sięgających kolan pokrzyw. Wczesnoletnie rośliny wybujały już wysoko, mimo że owce wdzierały się w las aż tak głęboko, by paść się na polanach.

Szedłem przez kilka minut w górę strumienia. Światło było coraz słabsze, w miarę jak korony drzew gęstniały. Potok stał się szerszy. Jego brzegi były bardziej strome. Nagle zmienił kierunek. Płynął teraz z głębi lasu. Gdy podążyłem wzdłuż niego, straciłem orientację. Drogę zagroził mi potężny dąb. Grunt opadł w dół, tworząc strome, niebezpieczne zbocze, które okrążyłem najsprawniej, jak potrafiłem. Śliskie od mchu szare skały wysuwały spod ziemi serdelkowate palce. Sękate pnie młodych dębów wyrastały z tych kamiennych barier i wokół nich. Gdy znalazłem drogę przejścia, straciłem z oczu strumień, choć prześladował mnie jego dochodzący z oddali szum.

Po kilku minutach zdałem sobie sprawę, że spoglądam przez rzadziej rosnące drzewa skraju lasu na leżącą za nimi otwartą przestrzeń. Zatoczyłem krąg. Raz jeszcze.

I wtedy usłyszałem zew gołębia. Odwróciłem się i spojrzałem w milczący mrok. Zawołałem Guiwenneth, lecz odpowiedział mi jedynie głos siedzącego wysoko ptaka, który zatrzepotał skrzydłami, jakby sobie ze mnie drwił.

W jaki sposób ojciec przeniknął w głąb puszczy? Jak zdołał dotrzeć tak daleko? Sądząc z jego dzienników oraz ze szczegółów przedstawionych na mapie wiszącej teraz na ścianie w gabinecie, udało mu się przedostać dość głęboko w las Ryhope, nim ochronne bariery puszczy go zawróciły. Byłem pewien, że znał drogę, lecz w ostatnich dniach życia tak ogołocił swój dziennik – ukrywając dowody, być może ukrywając swą winę – że ta informacja zniknęła.

Dość dobrze znałem swego ojca. Oak Lodge stanowiło świadectwo wielu rzeczy, lecz przede wszystkim jednej: jego obsesyjnej natury, potrzeby zachowywania, gromadzenia, umieszczania na półkach. Było nie do pomyślenia, by cokolwiek zniszczył. Ukrył, tak jest, ale w żadnym wypadku nie unicestwił.

Przeszukałem dom. Byłem we dworze i zapytałem o to, jednak jeśli ojciec nie włamał się tam któregoś wieczoru, by wykorzystać wielkie pokoje i milczące korytarze do własnych celów, to tam również nie ukrył żadnych papierów.

Pozostawała jeszcze jedna możliwość. Wysłałem list do Oxfordu z zapowiedzią wizyty, w nadziei, że przybędzie tam przede mną, na co nie było gwarancji. Następnego dnia spakowałem małą torbę, ubrałem się elegancko i ruszyłem w mozolną podróż autobusem i pociągiem do owego miasta.

Do domu, w którym mieszkał kolega i powiernik ojca, Edward Wynne-Jones.



Nie spodziewałem się, że spotkam samego Wynne-Jonesa. Nie pamiętałem gdzie, ale kiedyś w zeszłym roku – albo może przed wyjazdem do Francji – słyszałem o jego zniknięciu, bądź śmierci i o tym, że w jego domu mieszka teraz córka. Nie wiedziałem, jak się nazywa ani czy ucieszy się z mojej wizyty. Musiałem jednak podjąć to ryzyko.

Podczas spotkania była nadzwyczaj uprzejma. Dom był bliźniakiem na przedmieściu Oxfordu, dwupiętrowym i w kiepskim stanie. Gdy dotarłem na miejsce, padał deszcz. Wysoka kobieta o poważnym wyglądzie, która otworzyła drzwi, wprowadziła mnie szybko do środka, lecz potem, zręcząc, kazała mi czekać na końcu korytarza, gdy ścierałem przemoczony płaszcz i buty. Dopiero później przystąpiła do zwyczajowych uprzejmości.

– Jestem Anne Hayden.

– Steven Huxley. Przepraszam, że nie zawiadomiłem pani wcześniej... Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Absolutnie nie.

Miała około trzydziestu pięciu lat. Ubrana była w stonowane barwy: szarą spódnicę oraz wełnianą kamizelkę tego samego koloru założoną na białą bluzkę z wysokim kołnierzem. Dom pachniał pastą do podłóg i wilgocią. Wszystkie pokoje były zaryglowane od strony korytarza. Pomyślałem, że to obrona przed intruzami wdzierającymi się przez okna. Była kobietą, która w nie wyćwiczonych, niedoświadczonych umysłach spontanicznie wywołuje epitet „stara panna”. Być może wokół jej stóp powinna się tłoczyć gromadka kotów.

W rzeczywistości Anne Hayden nie żyła bynajmniej w stylu, który sugerował jej wygląd. Była ongiś zameżna, lecz mąż opuścił ją podczas wojny. Gdy wprowadziła mnie do mrocznego salonu, w którym stały meble obite skórą, ujrzałem mężczyznę mniej więcej w moim wieku, czytającego

gazetę. Podniósł się i uściśnął mi dłoń. Przedstawiła go jako Jonathana Garlanda.

– Jeśli chcecie spokojnie porozmawiać, opuszczę was na chwilę – oznajmił. Nie czekając na odpowiedź, oddalił się w głąb domu. Anne w żaden sposób nie tłumaczyła jego obecności.

Mieszkał tu, rzecz jasna. Później zauważyłem, że w łazience na dolnej półce stoją przybory do golenia.

Wszystkie te szczegóły mogą się wydawać pozbawione znaczenia, lecz z uwagą obserwowałem ową kobietę i jej zachowanie. Była skrupowana i poważna, nie pozwalała na żaden przyjazny kontakt, więź, która ułatwiłaby mi swobodne zadawanie pytań. Przygotowała herbatę, poczęstowała mnie herbatnikami i przez chwilę siedziała w całkowitym milczeniu, dopóki nie wyjaśniłem celu swej wizyty.

– Nigdy nie poznałam pańskiego ojca – powiedziała cicho – choć słyszałam o nim. Kilkakrotnie odwiedzał Oxford, lecz nigdy wtedy, gdy byłam w domu. Ojciec był przyrodnikiem i spędzał wiele tygodni poza miastem. Byłam z nim bardzo blisko.

Poczułam się strasznie przygnębiona, gdy nas opuścił.

– Czy pamięta pani, kiedy to się wydarzyło?

Obrzuciła mnie spojrzeniem wyrażającym coś pomiędzy gniewem a litością.

– Pamiętam co do dnia. Sobota, trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Mieszkałam na najwyższym piętrze. Mąż już mnie wówczas zostawił. Doszło do gwałtownej kłótni między ojcem a Johnem... moim bratem... potem ojciec wyszedł nagle. Nigdy już go więcej nie widziałam. Johna wysłano z wojskiem za granicę, gdzie poległ. Ja zostałam w domu...

Drogą ostrożnych pytań i delikatnego podpowiadania udało mi się złożyć w całość opowieść o podwójnej tragedii. Kiedy Wynne-Jones z jakiegoś powodu porzucił rodzinę, złamał serce Annę Hayden po raz drugi.

Przygnębiona, spędziła następne lata w samotności, choć gdy wojna się skończyła, znowu zaczęła bywać w kręgach towarzyskich.

Młody mężczyzna, który z nią mieszkał, przyniósł kolejny imbryk herbaty. Kontakt pomiędzy nimi był ciepły, przelotnie wyrażony i autentyczny. Nie przestała czuć, choć blizna po jej podwójnej tragedii rzucała się w oczy.

Wyjaśniłem jej z tyłoma szczegółami, ile uważałem za niezbędne, że obaj mężczyźni – nasi ojcowie – pracowali razem i że zapiski mojego ojca są niekompletne. Czy zauważyła, bądź odkryła fragmenty z dziennika, kartki czy listy, które nie były autorstwa Wynne-Jonesa?

– Właściwie niczego tam nie oglądałam, panie Huxley – odpowiedziała cicho. – Gabinet ojca jest pozostawiony dokładnie w takim stanie, w jakim go opuścił. Jeśli uważa pan to za odrobinę dickensowskie, to proszę bardzo. Dom jest wielki i nie potrzebuję tego pokoju. Sprzątanie go i utrzymywanie w porządku byłoby zbyt dużym wysiłkiem, jest więc zamknięty na klucz do chwili, gdy ojciec wróci i sam się nim zajmie.

– Czy mogę go obejrzeć?

– Jeśli pan sobie życzy. Mnie on nie interesuje. Może pan również pożyczyć, co pan zechce, pod warunkiem, że mi pan to pokaże.

Powiodła mnie po schodach na pierwsze piętro, a potem mrocznym korytarzem. Pokrywająca ściany tapeta w kwiaty obłaziła paskudnie. Wisiały tam zakurzone obrazy, wyblakłe reprodukcje Matisse'a i Picassa. Dywan był wytarty.

Gabinet jej ojca znajdował się na samym końcu korytarza. Z pokoju rozpościerał się widok na miasto Oxford. Przez brudne firanki dostrzegłem niewyraźnie wieżę kościoła Najświętszej Marii Panny. Książek na wygiętych półkach było tak wiele, że w tynku nad nimi pojawiły się szczeliny. Biurko pokrywała biała narzuta, podobnie jak pozostałe meble w pokoju, lecz same książki cierpiały pod warstwą kurzu grubą jak paznokieć. Rozmaite mapy oraz botaniczne ryciny leżały ułożone w stos pod jedną ze

ścian. Sterty czasopism oraz oprawnych tomów listów upchano ciasno w szafce. Było to przeciwieństwo skrupulatnie zaplanowanej pracowni ojca: zagracona, chaotyczna jaskinia pracy i intelektu, która zbiła mnie z tropu, gdy wpatrywałem się w nią, zastanawiając się, w którym miejscu zacząć poszukiwania.

Annę Hayden przyglądała mi się przez kilka minut spod okularów w rogowej oprawie, które miała na nosie. Jej oczy były zmrużone i zmęczone.

– Zostawię pana na chwilę – stwierdziła wreszcie. Usłyszałem, jak schodzi w dół po schodach.

Otwierałem szuflady, przerzucałem książki, a nawet odciągałem dywany, by poszukać luźnych desek w podłodze. Zadanie było gigantyczne. Wymagałoby sprawdzenia każdego cala pokoju. Po upływie godziny przyznałem się do porażki. W gabinecie kolegi ojca nie było nie tylko dyskretnie ukrytych stronic z jego notatnika, lecz nawet dziennika samego Wynne-Jonesa. Jedyne łączenie z lasem mitotworów stanowiło skupisko dziwacznej, niemal frankensteinowskiej maszynerii – zbudowany przez Wynne-Jonesa „mostek czołowy”. Elementami sprawiającego nieskładne wrażenie wynalazku były słuchawki, wiele jardów drutu, miedziane cewki, ciężkie samochodowe akumulatory, płaskie, kolorowe, stroboskopowe lampy oraz oznaczone kodem butelki pełne chemikaliów o ostrym zapachu. Wszystko to wepchnięto do wielkiego drewnianego kufra nakrytego zdjętym ze ściany kilimem. Skrzynia była stara i pokryta ozdobnymi wzorami. Naciskałem i podważałem jej deski, aż wreszcie faktycznie odkryłem tajemny schowek, lecz maleńka skrytka była pusta.

Tak cicho, jak tylko mogłem, przeszedłem przez resztę domu zaglądając po kolei do wszystkich pokoi. Starłem się intuicyjnie odgadnąć, czy Wynne-Jones mógł urządzić skrytkę gdzieś z dala od swego gabinetu. Nie odniosłem podobnego wrażenia. Nie było tam nic poza wonią stęchlizny, wilgotnej pościeli, rozpadających się książek w papierowych okładkach i

całą paskudną atmosferą charakterystyczną dla nie używanej, zaniedbanej nieruchomości.

Wróciłem na dół. Annę Hayden uśmiechnęła się półgębkiem.

– Sprzyjało panu szczęście?

– Obawiam się, że nie.

Skinęła głową. Miała zamyśloną minę.

– Czego dokładnie pan szukał? – dodała. – Dziennika?

– Pani ojciec musiał go prowadzić. Co roku osobny tom. Nie zauważyłem nic takiego.

– Nie sądzę, bym kiedykolwiek widziała coś w tym rodzaju – odparła poważnym tonem. Nadal była zamyślona. – Mogę przyznać, że to dziwne.

– Czy mówił z panią kiedyś o swej pracy?

Przysiadłem na skraju fotela. Annę Hayden skrzyżowała nogi i odłożyła na bok czasopismo, które czytała.

– Jakież bzdury o tym, że w głębi lasu żyją jeszcze wymarłe zwierzęta. Dziki, wilki, dzikie niedźwiedzie... – Ponownie się uśmiechnęła. – Sądzę, że w to wierzył.

– Mój ojciec również – rzekłem – ale jego dziennik jest niekompletny. Wyrwano z niego całe stronice. Zastanawiałem się, czy mogą być tutaj ukryte. Co się stało z listami, które nadeszły po zniknięciu pani ojca?

– Pokażę panu.

Podniosła się. Podążyłem za nią do wysokiej szafki stojącej we frontowym pokoju. Wypełniały go proste meble, mnóstwo bezużytecznych gratów oraz sporadyczne, atrakcyjne ozdoby.

Szafka była równie zapchana, jak ta na górze. Czasopism nie wyjęto z kopert, a uniwersyteckie biuletyny leżały ciasno zwinięte i obwiązane taśmą.

– Zachowałam je. Bóg wie po co. Może w tym tygodniu zaniosę je do kolegium. Wydaje się, że nie ma po co ich tu trzymać.

– Tutaj są listy...

Za czasopismami leżał stos prywatnej korespondencji, wysoki niemal na jard. Wszystkie listy starannie otwarto i przeczytano. Niewątpliwie zrobiła to pogrążona w żalu córka.

– Może tu być coś od pańskiego ojca. Naprawdę nie pamiętam.

Wsadziła ręce do środka, wyciągnęła stertę listów i wysypała mi je w ramiona. Wróciłem chwiejnym krokiem do salonu i przez godzinę sprawdzałem charakter pisma w każdym liście po kolei. Nie znalazłem nic. Plecy bolały mnie od tak długiego siedzenia bez ruchu. Woń kurzu i pleśni przyprawiała mnie o mdłości.

Nie mogłem zrobić nic więcej. Głęboką ciszę pokoju mąciło głośne tykanie zegara stojącego na obramowaniu kominka. Zdałem sobie sprawę, że siedzę tu już zbyt długo. Wręczyłem Anne Hayden kartkę z nieistotnymi zapiskami pochodzącą z wcześniejszego fragmentu dziennika ojca.

– Pismo jest dość charakterystyczne. Gdyby znalazła pani jakieś luźne kartki albo dzienniki... byłbym bardzo zobowiązany.

– Z chęcią poszłabym panu na rękę, panie Huxley.

Odprowadziła mnie do drzwi wejściowych. Na dworze wciąż padało. Pomogła mi założyć ciężki płaszcz przeciwdeszczowy. Następnie zawahała się, spoglądając na mnie osobiście.

– Czy widział pan kiedyś mojego ojca podczas jego wizyt u was?

– Byłem wtedy małym dzieckiem. Pamiętam go z lat trzydziestych, ale nigdy nie rozmawiał ze mną ani z moim bratem.

Spotykali się z ojcem i natychmiast wyruszali do lasu na poszukiwanie tych mitycznych zwierząt...

– W Herefordshire. Tam, gdzie pan teraz mieszka? – W spojrzeniu, którym mnie obrzuciła, był ból. – Nie wiedziałam o tym. Nikt z nas nie wiedział. Coś, może jeszcze w tych latach trzydziestych, go zmieniło. Zawsze pozostałam mu bliska. Ufał mi, ufał uczuciu, którym go darzyłam. Nigdy jednak nic nie mówił, nigdy się nie zwierzał. Byliśmy po prostu... blisko. Zazdroszczę panu chwil, w których pan go widział. Chciałabym

dzielić z panem wspomnienia o tym, jak robił to, co kochał... mityczne zwierzęta, czy nie mityczne. Życiem, które uwielbiał, nie chciał podzielić się z rodziną.

– Ze mną było tak samo – odparłem łagodnym tonem. – Matka umarła ze zgryzoty, a mój brat i ja byliśmy odcięci od jego świata. To znaczy, świata mojego ojca.

– A więc może oboje byliśmy przegrani.

Uśmiechnąłem się.

– Pani chyba bardziej ode mnie. Gdyby zechciała pani odwiedzić Oak Lodge, obejrzyć dziennik i miejsce...

Potrząsnęła szybko głową.

– Nie jestem pewna, czy się odważę, panie Huxley. Niemniej, dziękuję panu. Po prostu... pańskie słowa kazały mi się zastanowić...

Niemal nie mogła mówić. W mroku korytarza, gdy deszcz bębnił monotonnie o pomalowane w kropki okno umieszczone wysoko nad drzwiami, sprawiała wrażenie trawionej jakimś gorącym pragnieniem. Otworzyła szeroko skryte za szklami okularów oczy.

– Po prostu co? – naciskałem.

– Czy on jest w lesie? – zapytała niemal bez pauzy, bez zastanowienia.

Zaniemówiłem na chwilę, gdy zrozumiałem, co ma na myśli.

– To możliwe – odparłem. Cóż mogłem jej powiedzieć? Jak miałem wyrazić swe przekonanie, że za skrajem lasu, w jego sercu, kryje się obszar, którego ogrom przerasta granice wiarygodności? – Wszystko jest możliwe.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wyjechałem z Oxfordu sfrustrowany, brudny i bardzo zmęczony. Podróż powrotna nie mogłaby być gorsza. Odwołano jeden pociąg, a mój autobus ugrzązł w korku za Witney na ponad pół godziny. Na całe szczęście deszcz przestał padać, choć niebo było zachmurzone, groźne i zdecydowanie zimowe. Nie miałem ochoty oglądać czegoś takiego wczesnym latem.

Gdy dotarłem do Oak Lodge, była już szósta wieczorem. Natychmiast zauważyłem, że mam gościa. Tylne drzwi były szeroko otwarte, a w gabinecie paliło się światło. Przyśpieszyłem kroku, lecz zatrzymałem się u drzwi, rozglądając się nerwowo na wypadek, gdyby w pobliżu czaił się skory do strzelania kawaler lub inny, podobnie gwałtowny mitotwór. Musiała to jednak być Guiwenneth. Drzwi otworzono siłą. Farba wokół klamki była usiana zadrapaniami, wgłębieniami powstałymi w miejscach, gdzie raz za razem uderzało drzewce jej włóczni. Wewnątrz unosiła się smuga zapachu, który zacząłem z nią kojarzyć, ostry i gryzący. Z pewnością będzie jej potrzebna znacznie częstsza kąpiel.

Zawołałem ją po imieniu, przechodząc ostrożnie z pokoju do pokoju. Nie było jej w gabinecie, zostawiłem w nim jednak światło. Zaskoczył mnie ruch na górze. Wróciłem na korytarz.

– Guiwenneth?

– Obawiam się, że złapał mnie pan na myszkowaniu – odezwał się głos Harry’ego Keetona. Pilot pojawił się u szczytu schodów. Wyglądał na zawstydzonego. Uśmiechał się, by zamaskować poczucie winy. – Tak mi przykro, ale drzwi były otwarte.

– Myślałem, że to ktoś inny – odparłem. – Nie ma tu nic szczególnie wartego oglądania.



Zszedł ze schodów. Poprowadziłem go do salonu.

– Czy ktoś był w domu, kiedy pan przyszedł?

– Ktoś był. Nie jestem pewien kto. Jak już mówiłem, podszedłem najpierw od frontu. Wołałem, ale nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Obszedłem dom od tyłu i zastałem drzwi otwarte, a w środku dziwny zapach i to... – Machnął ręką wokół, wskazując powywracane meble, opróżnione półki, książki i inne przedmioty walające się po podłodze. – Nie jest to rzecz, którą mam zwyczaj robić – wyjaśnił z uśmiechem. – Ktoś wybiegł z domu, gdy wszedłem do gabinetu, ale nie widziałem, kto to był. Pomyślałem, że zaczekam na pana.

Doprowadziliśmy pokój do porządku, po czym zasiedliśmy za jadalnym stołem. Było zimno, lecz postanowiłem nie rozpalać ognia. Keeton się uspokoił. Ślad po oparzeniu na dolnej części jego twarzy, który poczerwieniał wyraźnie pod wpływem zawstydzenia, stał się teraz bledszy i mniej widoczny, choć mówiąc, pilot zasłaniał nerwowo żuchwę lewą dłonią. Pomyślałem, że wygląda na zmęczonego, nie tak ożywionego i dziarskiego jak wtedy, gdy spotkaliśmy się na lotnisku Mucklestone. Miał na sobie cywilne ubranie, które było bardzo zmięte. Gdy usiadł za stołem, zobaczyłem, że ma u biodra kaburę, a za pasem rewolwer.

– Wywołałem zdjęcia, które zrobiłem podczas tego lotu, kilka dni temu. – Wyciągnął z kieszeni zwiniętą rolkę, rozprostował ją, otworzył od góry i wydobyl kilka zdjęć dużego formatu. Niemal zapomniałem o tej części procedury, obserwacji i fotografowaniu terenu pod nami. – Po burzy, na którą najwyraźniej się natknęliśmy, nie spodziewałem się, że cokolwiek na nich wyjdzie.

Byłem w błędzie.

Gdy przysunął do mnie zdjęcia, jego twarz miała udęczonego wyraz.

– Używam dobrego szpiegowskiego aparatu o wysokiej rozdzielczości. To drobnoziarniste błony Kodaka, mogłem więc uzyskać spore powiększenie...

Przyglądał mi się, gdy patrzyłem na zamglone, gdzieniegdzie zamazane, a gdzieniegdzie superostre sceny z lasu mitotworów. Wierzchołki drzew i łąki zdawały się zajmować większą część pola widzenia, zorientowałem się jednak, dlaczego Keeton był zaniepokojony, być może podekscytowany. Na czwartym zdjęciu, wykonanym w chwili, gdy samolot zakręcał na zachód i zniżał lekko lot, obiektyw aparatu przesunął się nad lasem lekko w dół, ukazując polanę oraz wysoką, rozpadającą się kamienną budowlę, której fragmenty wznosiły się aż do górnej granicy listowia.

– Budynek – stwierdziłem niepotrzebnie.

– Tu mam powiększenie... – dodał Harry Keeton. Następne, znacznie bardziej zamazane zdjęcie przedstawiało zbliżenie konstrukcji: gmachu z wieżą wznoszącego się w przerwie w drzewnej strukturze lasu. Zgromadziła się tam pewna liczba postaci. Nie można było dostrzec żadnych szczegółów poza ich ludzkim wyglądem: białe i szare figury, wyglądające zarówno na męskie, jak i żeńskie, pochwycone podczas chodzenia dookoła wieży. Dwie postacie przykucnięte, jakby były w trakcie wdrapywania się na tę rozpadającą się konstrukcję.

– Zapewne zbudowany w średniowieczu – zauważył pograżony w myślach Keeton. – Las zarósł drogę dojazdową i miejsce zostało odcięte od świata...

Mniej romantyczna, lecz znacznie bardziej prawdopodobna była możliwość, iż budynek był wiktoriańskim kaprysem, czymś zbudowanym raczej dla fanaberii niż z konkretnego powodu. Jednak takie obiekty z reguły wznoszono na wysokich wzgórzach, aby z tych wyniosłych budowli, z ich górnych kondygnacji, ekscentryczny, bogaty, bądź też po prostu znudzony właściciel mógł obserwować tereny leżące dalej niż granice hrabstwa.

Jeśli ten budynek, który widzieliśmy na fotografii, faktycznie był kaprysem, to dziwnie nieudany.

Spojrzałem na następne zdjęcie. Widniał na nim obraz rzeki wijącej się między gęsto skupionymi drzewami. Jej nurt tworzył meandry. Jego widoczne z góry odbicie mąciło ciągłość lasu. W dwóch miejscach, nieostro widocznych, woda lśniła, a rzeka wyglądała na szeroką. To miał być bystry potok? Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Powiększyłem również fragmenty ukazujące rzekę – odezwał się cicho Keeton. Gdy spojrzałem na te zdjęcia, zdałem sobie sprawę, że widzę kolejne mitotwory.

One również były zamazane, lecz widać było, że jest ich pięć. Szły obok siebie, brodząc przez odcinek rzeki, który przyciągnął uwagę aparatu. Wznosiły nad głowę jakieś przedmioty, być może broń, być może tylko laski. Były równie blade i niewyraźne, jak fotografia żyjącego w jeziorze potwora, którą kiedyś widziałem, były zaledwie sugestią kształtu i ruchu.

Brodziły przez bystry potok!

Ostatnia fotografia była na swój sposób najbardziej dramatyczna ze wszystkich. Pokazywała tylko las. Tylko? Pokazywała coś więcej. Nie byłem wówczas skłonny do podjęcia choćby próby odgadnięcia natury sił i struktur, które widziałem. Keeton wyjaśnił, że negatyw był niedoświetlony. Ten prosty błąd, spowodowany niezrozumiałymi dla niego przyczynami, pozwolił uchwycić na zdjęciu kręte witki energii wyłaniające się z wielkiego obszaru lasu. Były niesamowite, sugestywne, niepewne... Naliczyłem ich dwadzieścia. Przypominały tornada, lecz były cieńsze. Motały się i skręcały, wysuwając się z ukrytej krainy na dole. Bliższe wiry wyraźnie sięgały w stronę samolotu, by objąć niepożądaną maszynę... i ją odrzucić.

– Teraz już wiem, co to za las – oznajmił.

Spojrzałem na niego, zaskoczony tymi słowami. Patrzył na mnie. Wyraz jego oczu był bliski triumfu, ale dostrzec też można było przerażenie.

Blizna na twarzy pilota poczerwieniała. Usta po stronie oparzenia wydawały się ściągnięte, co nadawało obliczu skrzywiony wyraz.

Pochylił się do przodu, rozplaszczając dłonie na blacie.

– Odkąd wojna się skończyła, szukałem podobnego miejsca – ciągnął. – Wystarczyło mi kilka dni, by zdać sobie sprawę z natury lasu Ryhope. Słyszałem już opowieści o tym, że w okolicy jest nawiedzany las... dlatego szukałem go w tym hrabstwie.

– Nawiedzany las?

– Las duchów – wyjaśnił szybko. – We Francji był podobny. Tam właśnie mnie zestrzelono. Nie otaczał go taki półmrok, ale był identyczny.

Zachęciłem go, by mówił dalej. Sprawiał wrażenie, że niemal obawia się to zrobić. Usiadł z powrotem na krześle i odwrócił ode mnie wzrok. Pogрузzył się we wspomnieniach.

– Wyparłem to ze swego umysłu. Wyparłem bardzo wiele...

– Teraz pan jednak pamięta.

– Tak. Było to blisko belgijskiej granicy. Odbyłem tam mnóstwo lotów. Najczęściej były to zrzuty dla ruchu oporu. Pewnego dnia o zmierzchu samolot nagle zaczęło miotać w powietrzu. Jakby wszedł w potężny prąd termiczny. – Popatrzył na mnie. – Zna pan te rzeczy.

Skinąłem głową na znak potwierdzenia.

– Choć starałem się, jak mogłem, nie byłem w stanie przelecieć nad tym lasem – ciągnął. – Był całkiem mały. Zawróciłem, by spróbować raz jeszcze. Wystąpiły takie same efekty świetlne na skrzydłach, jak kilka dni temu. Światło tryskało ze skrzydeł, nad kabiną pilota. I trzecia próba. Ciskało maszyną jak liściem. Na dole były twarze. Wyglądały jakby unosiły się wśród listowia. Jak duchy, jak obłoki. Słabo widoczne. Wie pan, jak podobno wyglądają duchy. Przypominały chmury uwięzione wśród wierzchołków drzew, miotane i przesuwane wiatrem... ale te twarze!

– A więc wcale pana nie zestrzelono – zauważyłem.

Pilot skinął jednak głową.

– Ależ zestrzelono. Z pewnością w samolot coś uderzyło. Zawsze mówię, że to snajper, bo... cóż, to jedyne wyjaśnienie, jakie potrafię

przedstawić. – Spojrzał w dół, na swe dłonie. – Jeden strzał, jedno trafienie i samolot runął na ten las niczym kamień. Wydostałem się. John Shackelford też. Z wraka. Mieliśmy cholerne szczęście... przez chwilę...

– A potem?

Podniósł nagle wzrok i zrobił podejrzliwą minę.

– A potem... biała plama. Wyszedłem z lasu. Wędrowałem po polach, gdy złapał mnie niemiecki patrol. Resztę wojny spędziłem za kolczastym drutem.

– Czy widział pan coś w lesie, gdy pan po nim wędrował?

Zawahał się, nim odpowiedział. W jego głosie zabrzmiała nuta irytacji.

– Już mówiłem, kolego. Biała plama.

Przyjąłem do wiadomości, że z jakichś powodów nie chce opowiadać o wydarzeniach, które nastąpiły po katastrofie. Musiało to być dla niego upokarzające: jeniec wojenny, obrzydliwie poparzony, zestrzelony w dziwacznych okolicznościach.

– Jednakże ten las, Ryhope, jest taki sam...

– Tu też były twarze, ale znacznie bliżej...

– Nie widziałem ich – stwierdziłem zaskoczony.

– Były tam. Gdyby pan się przyjrzał. To las duchów. Jest taki sam. Pan również spotkał jego zjawy. Niech mi pan powie, że mam rację!

– Czy muszę panu mówić to, o czym już pan wie?

Jego spojrzenie było pełne napięcia. Dziko rozczochrane, jasne włosy opadały mu na czoło. Wyglądał bardzo chłopięco. Sprawiał wrażenie podekscytowanego, lecz zarazem przerażonego, czy może tylko zalęknionego.

– Chciałbym zobaczyć wewnątrz tego lasu – powiedział głosem zbliżonym do szeptu.

– Nie zajdzie pan zbyt daleko – odparłem. – Wiem, bo próbowałem.

– Nie rozumiem.

– Las zawraca intruzów. Broni się... cóż, dobry Boże, pamięta pan to z naszego lotu. Idzie się długie godziny i zatacza krąg.

Mój ojciec znalazł drogę do środka. Christian też.

– Pana brat.

– Nie kto inny. Jest tam już od ponad dziewięciu miesięcy.

Musiał znaleźć drogę przez wiry...

Zanim Keeton zdążył zapytać o stosowaną przeze mnie terminologię, obu nas zaskoczył jakiś ruch w kuchni. Zareagowaliśmy teatralnymi gestami nakazującymi milczenie. Było to ukradkowe poruszenie, zdradzone jedynie drgnięciem tylnych drzwi.

Wskazałem na pas Keetona.

– Czy mogę zasugerować, by wyciągnął pan rewolwer i jeśli twarz, która pojawi się w drzwiach, nie będzie okolona rudymi włosami... oddał ostrzegawczy strzał w górę ściany.

Tak szybko, jak tylko można, nie robiąc niepotrzebnego hałasu, Keeton wy dobył broń. Był to typowy wojskowy smith and wesson kalibru trzydzieści osiem. Pilot zwolnił kurek, uniósł rewolwer w dłoni i wycelował, spoglądając wzdłuż lufy. Obserwowałem drzwi do kuchni. W chwilę później do pokoju weszła powoli i ostrożnie Guiwenneth. Popatrzyła na Keetona, a potem na mnie. Na jej twarzy wypisane było pytanie: „Kto to jest?”

– Dobry Boże – wydyszał Keeton. Rozpromienił się. Stracił udręczony wygląd. Opuścił rękę i schował rewolwer do kabury, nie odrywając spojrzenia od dziewczyny. Guiwenneth podeszła do mnie, położyła mi rękę na ramieniu (niemal opiekuńczym gestem!) i stanęła przy mnie, poddając dokładnym oględzinom poparzonego lotnika. Zachichotała i dotknęła swej twarzy. Przyglądała się straszliwemu znakowi pozostałemu po wypadku i widniejącemu na policzku Keetona. Powiedziała coś w swym niezrozumiałym języku, zbyt jednak szybko, bym mógł rozróżnić wyrazy.

– Jest pani zdumiewająco piękna – przemówił do niej pilot.

– Nazywam się Harry Keeton. Pani widok zaparł mi dech w piersiach i zapomniałem o dobrych manierach. – Podniósł się i ruszył w stronę Guiwenneth, która cofnęła się, zaciskając mocniej dłoń na moim ramieniu. Keeton wbił we mnie wzrok. – Cudzoziemka? W ogóle nie mówi po angielsku?

– Po angielsku nie. W języku tego kraju? Poniekąd. Nie rozumiem pańskich słów.

Guiwenneth pochyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy. Ponownie odniosłem wrażenie, że jest to wyrażający własność, opiekuńczy gest. Nie potrafiłem pojąć jego powodów, lecz mi się spodobał. Sądzę, że zaczerwieniłem się równie jaskrawo, jak miał tendencję robić to Keeton. Wyciągnąłem rękę w górę i dotknąłem delikatnie palcami dłoni dziewczyny. Nasze ręce splotły się na krótką chwilę w geście wyrażającym porozumienie o całkiem niedwuznacznym charakterze.

– Dobranoc, Steven – powiedziała. Jej akcent był silny i niezwykły, a wypowiedź zdumiewająca. Popatrzyłem na nią. Jej brązowe oczy zalsniły, częściowo z dumy, a częściowo z rozbawienia.

– Dobry wieczór, Guiwenneth – poprawiłem ją. Wydęła usta i zwróciła się w stronę Keetona mówiąc: – Dobry wieczór... – Zachichotała, gdy jej głos ucichł. Zapomniała jego nazwiska.

Keeton przypomniał jej i wypowiedziała je głośno. Uniosła prawą dłoń, zwracając ją wewnętrzną stroną ku niemu, a potem położyła ją sobie na piersiach. Keeton powtórzył jej gest i ukłonił się. Oboje się roześmiali.

Guiwenneth przeniosła swą uwagę z powrotem na mnie. Przykucnęła obok. Włócznia, którą trzymała, sterczała jej spomiędzy nóg w niestosowny, niemal obsceniczny sposób. Jej tunika była za krótka, jej ciało w zbyt wyraźny sposób młode i gibkie, by niedoświadczony mężczyzna taki jak ja mógł zachować chłód. Dotknęła mojego nosa koniuszkiem szczupłego palca i uśmiechnęła się, rozpoznając myśli ukryte za moją szkarłatną twarzą.

– Cuningabach – powiedziała ostrzegawczym tonem. – Jeść – dodała. – Gotować. Guiwenneth. Jeść.

– Jeść – powtórzyłem. – Chcesz jeść?

Mówiąc to, stuknąłem się w pierś. Guiwenneth potrząsnęła szybko głową i dotknęła własnych, sterczących piersi.

– Jeść! – oznajmiła.

– Ach! Jeść! – powtórzyłem, wskazując palcem na nią.

Chciała sama gotować. Teraz to zrozumiałem.

– Jeść! – zgodziła się z uśmiechem.

Keeton oblizał wargi.

– Jeść – powiedziałem niepewnie, zastanawiając się, jak Guiwenneth może sobie wyobrażać posiłek, ale... jakież to miało znaczenie? Zawsze byłem skłonny do eksperymentów. – Czemu nie – zgodziłem się, wzruszając ramionami.

– Czy mogę zostać... tylko na kolację? – zapytał Keeton.

– Oczywiście – odparłem.

Guiwenneth wstała i dotknęła palcem boku nosa. (Zdawała się mówić: „Czeka was uczta”.) Poszła do kuchni i zaczęła stukać i brzęczeć garnkami i sztućcami. Dość szybko usłyszałem złowieszczy odgłos rąbania, a potem niemiły, przykry dźwięk łamanych kości.

– To straszna impertynencja z mojej strony – powiedział Keeton. Zasiadł w fotelu, wciąż był odziany w płaszcz. – Sam się zaprosiłem, ale na farmach zawsze mają pyszne rzeczy. Zapłacę, jeśli pan chce...

Roześmiałem się, spoglądając na niego.

– Możliwe, że to ja panu zapłacę... żeby pan o tym nie rozpowiadał. Mówię to z wielką przykrością, ale nasza dzisiejsza kucharka nie wierzy w tradycyjną wątróbkę z boczkim, ani nawet o niej nie słyszała. Jest całkiem prawdopodobne, że upiecze na rożnie całego dzika.

Keeton zmarszczył brwi.

– Dzika? Ależ one z pewnością wymarły.



– Nie w lesie Ryhope. Niedźwiedzie też nie. Jak by się panu spodobał udziec niedźwiedzia nadziewany wilczą nerkówką?

– Niespecjalnie – odparł lotnik. – Czy to ma być żart?

– Parę dni temu ugotowałem jej zwykły gulasz z jarzyn. Wydał jej się obrzydliwy. Boję się myśleć, co by trafiło jej do smaku...

Gdy jednak podkradłem się do drzwi kuchni i zajrzałem do środka, zobaczyłem, że pitrasi coś mniej ambitnego niż niedźwiedź brunatny. Stół kuchenny był zlany krwią, podobnie jak jej palce, które oblizywała z taką naturalnością, z jaką ja zlizywałem miód albo sos. Tuszka była długa i cienka. Królik albo zając. Guiwenneth gotowała wodę. Pocięła jarzyny na duże kawałki i przyglądała się właśnie puszcze soli Saxa, oblizując jednocześnie ze swych dłoni płyny cielesne.

Ostatecznie posiłek okazał się całkiem smaczny mimo nieco odrażającego wyglądu. Podała tuskę w całości, z głową i ze wszystkim, rozplatała jednak czaszkę, by mózg się ugotował. Wydłubała go ze środka nożem i podzieliła pieczołowicie na trzy części. Keeton odmówił spożycia smakołyku we wzbudzającym histeryczną wesołość pokazie uprzejmości i paniki walczących ze sobą o możliwość uzewnętrznienia.

Guiwenneth jadła palcami. Kroiła zaskakująco mięsistego królika swym krótkim nożem. Odrzuciła widelce jako „R’vannith”, wypróbowała jednak jeden z nich i najwyraźniej dostrzegła jego potencjał.

– Jak zamierza pan wrócić na lotnisko? – zapytałem później Keetona.

Guiwenneth dosypała do kominka trochę brzożowego drewna i rozpałała ogień, jako że wieczór był chłodny. Jadalnia wydawała się przytulna i odizolowana. Dziewczyna usiadła po turecku przed otwartym paleniskiem, obserwując płomienie. Keeton pozostał przy stole, dzieląc uwagę między zdjęcia a plecy niezwykle nieznojonej. Ja spocząłem na podłodze, oparty o fotel, a nogi wyciągnąłem za Guiwenneth.

Po chwili odchyliła się do tyłu, wspierając łokcie na moich kolanach, i wyciągnęła delikatnym ruchem prawą rękę, by dotknąć mojej kostki. Jej włosy i skóra lśniły w blasku ognia. Była głęboko zamyślona. Wyglądała na pogrążoną w melancholii.

Pytanie, które zadałem Keetonowi, przerwało nagle tę kontemplacyjną pozę. Guiwenneth usiadła i spojrzała na mnie. Jej twarz była poważna, a oczy niemal smutne. Lotnik wstał i zdjął płaszcz z oparcia krzesła.

– Tak, robi się już późno...

Poczułem się zawstydzony.

– Nie chciałem dać do zrozumienia, że powinien pan sobie pójść. Może pan zostać. Miejsca jest mnóstwo.

Uśmiechnąłem się osobiwie, spoglądając na dziewczynę.

– Następnym razem mogę skorzystać z pańskiej propozycji. Niestety, jutro rano mam lot.

– Jak pan wróci?

– Tak samo jak przyjechałem. Motocyklem. Zaparkowałem go w pańskiej dREWUTNI, żeby go uchronić przed deszczem.

OdproWADZIŁEM go do drzwi. Jego pożegnalne słowa, które wypowiedział do mnie, spoglądając w stronę skraju lasu, brzmiały: – Wróć. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu... ale będę musiał wrócić.

– Kiedy tylko pan zechce – odparłem.

W kilka minut później warkot jego motocykla sprawił, że Guiwenneth poderwała się i spojrzała na mnie pytająco z zatrwożeniem i zdziwieniem.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem jej, że to tylko rydwan Keetona.

Po kilku sekundach odgłos silnika ucichł i Guiwenneth się uspokoiła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tego wczesnego wieczoru wytworzyła się między nami bliskość, która silnie mnie poruszyła. Serce biło mi głośno, twarz miałem zaczerwienioną, a moje myśli były nieopanowane i młodzieńcze. Obecność siedzącej cicho na podłodze obok mnie dziewczyny, jej uroda, jej siła, jej widoczny smutek, wszystko to połączyło się, aby wyrzeć zgubny wpływ na moje uczucia. By uniemożliwić sobie sięgnięcie ku niej, złapanie jej w ramiona i podjęcie nieudolnej próby pocałowania jej, musiałem zacisnąć dłonie na poręczach fotela i unieruchomić stopy na dywanie.

Sądzę, że wiedziała, jaki mętnik mam w głowie. Uśmiechnęła się półgębkiem, spojrzała na mnie niepewnie i przeniosła wzrok z powrotem na ogień. Później odchyliła się do tyłu i złożyła głowę na moich nogach. Dotknąłem jej włosów niepewnie, a potem bardziej zdecydowanie. Nie sprzeciwiła się. Pogłaskałem jej twarz, musnąłem lekko palcami opadające w nieładzie rude loki i pomyślałem, że zaraz pęknie mi serce.

Prawdę mówiąc, sądziłem, że tej nocy będzie spać ze mną, lecz przed północą wymknęła się bez słowa, nawet na mnie nie spojrzawszy. Pokój był zimny, a ogień zgasł. Być może zasnęła na chwilę obok mnie. Nie wiem tego. Nogi zdrętwiały mi, trzymane przez wiele godzin w tej samej pozycji. Nie chciałem jej przeszkadzać żadnymi drobnymi poruszeniami ciała, pomijając delikatne pieszczoty. Nagle zerwała się, zabrała swój pas i broń, a następnie oddaliła się od domu. Nie podniosłem się z podłogi. Gdzieś wczesnym rankiem nakryłem się niczym kocem ciężkim obrusem ściągniętym ze stołu.

Wróciła następnego dnia po południu. Zachowywała się nieśmiało i z rezerwą. Nie patrzyła mi w oczy i nie odpowiadała na moje pytania. Postanowiłem zająć się swymi zwykłymi czynnościami: utrzymaniem porządku (to znaczy sprzątnięciem) oraz naprawą zniszczonych tylnych drzwi. Nie były to zadania, którymi w normalnej sytuacji zawracałbym sobie głowę, nie miałem jednak ochoty snuć się za Guiwenneth, gdy kręciła się po domu zatopiona w myślach.

– Jesteś głodna? – zapytałem później. Uśmiechnęła się i odwróciła ku mnie, stojąc pod oknem sypialni, przez które wyglądała.

– Jestem głodna – przyznała. Jej akcent był zabawny, ale słowa poprawne.

– Szybko uczysz się mojego języka – powiedziałem z przesadnym naciskiem. Tego jednak nie zrozumiała.

Tym razem przygotowała sobie kąpiel bez mojej namowy. Przykucnęła w chłodnej wodzie na kilka minut, ściskając w palcach małą kostkę mydła Lifebuoy. Prowadziła szeptem rozmowę ze sobą i od czasu do czasu chichotała. Zjadła nawet zimną pastę szynkową, którą przygotowałem.

Coś jednak było nie w porządku, coś, czego w swej naiwności i niedoświadczeniu nie potrafiłem pojąć. Wiedziałem, że Guiwenneth mnie dostrzega. Wyczuwałem też, że mnie potrzebuje. Coś ją jednak powstrzymywało.

Później, wieczorem przystąpiła do przeszukiwania wszystkich szafek w nie używanych sypialniach. Wygrzebała trochę starych łachów Christiana. Ściągnęła tunikę, założyła białą koszulę bez kołnierzyka i stanęła w niej, chichocząc, z rozpostartymi rękoma. Koszula była dla niej o wiele za duża. Zakrywała ją do połowy ud i zwisała luźno na rękach. Podwinąłem jej rękawy. Zamachała ramionami niczym ptak, śmiejąc się z zachwytu. Następnie wróciła do szafki i wyciągnęła parę szarych, flanelowych spodni. Ich nogawki podpięliśmy tak, że sięgały jej do kostek, a całość związaliśmy w talii paskiem szlafroka.

Wyglądało na to, że jest jej wygodnie w tym nieprawdopodobnym ubraniu. Sprawiała wrażenie dziecka zatopionego w balonowatym stroju kłowna, jak jednak mogła oceniać podobne rzeczy? Ponieważ nie przejmowała się własnym wyglądem, czuła się szczęśliwa. Wyobrażałem sobie, że w swym umyśle kojarzy noszenie tego, co uważała za moje ubranie, z byciem bliżej mnie.

Noc była ciepła, bardziej typowa dla lata. Wyszliśmy przed dom w dogasającym świetle zmroku. Guiwenneth zaintrygował pas rozrastających się drzewek, który docierał teraz do domu i tłoczył się na trawnikach za gabinetem. Przechodziła krętą trasą między niedojrzałymi dąbkami, pozwalając, by jej ręce przemykały między giętkimi pniami, zginała je, wykrzywiała i dotykała maleńkich, świeżych pączków. Podążałem za nią, obserwując jak wieczorny wietrzyk, porusza obszerną koszulą i niewiarygodną kaskadą jej włosów.

Zatoczyła dwa kręgi wokół domu, w tempie niemal marszowym. Nie potrafiłem odgadnąć powodu tego zachowania, lecz gdy wróciła na podwórko za domem, spojrzenie, którym obrzuciła las, wyrażało niemal tęsknotę. Powiedziała coś tonem, w którym brzmiała silna frustracja.

Pojałem to natychmiast.

– Czekasz na kogoś. Ktoś ma przyjść do ciebie z lasu. Mam rację? Czekasz!

W tej samej chwili przyszła mi do głowy przyprawiająca o mdłości myśl: Christian!

Po raz pierwszy poczułem głęboką nadzieję, że Christian nie wróci. Pragnienie, które od miesięcy było moją obsesją – jego powrót – zamieniłem na przeciwne tak łatwo i okrutnie, jak mógłbym zlikwidować miot kociąt. Myśl o bracie nie była już dla mnie udręką, dlatego że potrzebowałem go i czułem żal po jego zniknięciu, lecz dlatego że szukał Guiwenneth, a także dlatego iż ta piękna dziewczyna, to smutne dziecko-wojownik, mogło równie dobrze usychać z tęsknoty za nim. Przyszła do

domu pod lasem, by na niego zaczekać, wiedząc, że pewnego dnia może wrócić do tej dziwnej przystani.

Nie była bynajmniej moja. To nie mnie pragnęła, lecz mojego starszego brata, człowieka, którego umysł ją ukształtował.

Przez tę przelotną, gniewną myśl przebił się obraz Guiwenneth plującej na podłogę i wypowiadającej imię Christiana z absolutną pogardą. Czy była to pogarda tej, której uczucia odtracono? Pogarda złagodzona teraz przez upływ czasu?

Z jakiegoś powodu tak nie sądziłem. Moja panika ustąpiła. Guiwenneth bała się Chrisa i to nie miłość spowodowała wcześniejszą, gwałtowną wzmiankę o nim.

Wróciwszy do domu, usiedliśmy za stołem. Guiwenneth zaczęła do mnie mówić. Z uwagą wpatrywała się we mnie, dotykała swych piersi i poruszała rękoma w sposób, który miał obrazować myśli kryjące się za jej niezrozumiałymi dla mnie słowami. Ze zdumiewającą częstotliwością wzbogacała swą wypowiedź angielskimi wyrażeniami, lecz mimo to nie zdołałem zrozumieć historii, którą opowiadała. Wkrótce na jej twarzy pojawił się cień zmęczenia i lekkiej frustracji. Choć uśmiechała się trochę ponuro, rozumiała, że słowa są bezużyteczne. Za pomocą języka gestów wskazała, że to ja powinienem mówić.

W ciągu godziny opowiedziałem jej o swym dzieciństwie, rodzinie, która ongiś mieszkała w Oak Lodge, o wojnie i mojej pierwszej miłości. Wszystkie te sprawy ilustrowałem gestami: wykonywałem przesadne ruchy obejmowania, strzelałem z wymaginyowanych pistoletów, chodziłem palcami po stole, ścigając swą lewą dłoń, wreszcie ją złapałem i zademonstrowałem pierwszy, niepewny pocałunek. Był to czysty Chaplin. Guiwenneth chichotała i śmiała się głośno, wypowiadała jakieś komentarze i wydawała dźwięki znamionujące aprobatę, zdumienie czy niedowierzanie. W ten sposób nawiązaliśmy porozumienie na poziomie wykraczającym poza słowa. Jestem przekonany, że pojęła wszystko, co jej opowiedziałem i

wyrobiła sobie wyraźny obraz wczesnego okresu mojego życia. Wyglądała na zaintrygowaną, gdy mówiłem o Christianie jako dziecku, spoważniała jednak, gdy opowiedziałem jej, jak zniknął w lesie.

– Czy rozumiesz moje słowa? – zapytałem ją wreszcie.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Rozumiem, jak mówić. Trochę. Ty mówić, ja mówić. Trochę. – Ponownie wzruszyła ramionami. – W lesie. Mówić... – Zgięła palce, usiłując znaleźć sposób na wyrażenie swej myśli.

– Wiele? Wiele języków?

– Tak – powiedziała. – Wiele języków. Jedne rozumieć. Inne... – Potrząsnęła głową i skrzyżowała otwarte dłonie w łatwo zrozumiałym geście zaprzeczenia.

W dzienniku ojca była wzmianka o tym, że opanowywanie przez mitotwór języka jego twórcy jest szybsze od procesu odwrotnego. Niesamowite było obserwować i słuchać, jak Guiwenneth przyswajała sobie angielski, przyswajała sobie pojęcia niemal z każdym zdaniem, które wypowiadałem. Rozumiała to, co do niej mówiłem.

Palisandrowy zegar wybił jedenastą. Spoglądaliśmy w ciszy na obramowanie kominka. Gdy delikatny dźwięk umilkł, policzyłem na głos od jednego do jedenastu. Guiwenneth odpowiedziała w swoim języku. Popatrzyliśmy na siebie nawzajem. Był to długi wieczór i czułem się zmęczony. W gardle zaschło mi od mówienia. Oczy piekły mnie od pyłu czy popiołu z kominka. Potrzebowałem snu, ale miałem opory przed przerwaniem z nią kontaktu. Obawiałem się, że odejdzie do lasu i już nie wróci. I tak już spędzałem poranki na nerwowym chodzeniu po domu w oczekiwaniu na jej powrót. Potrzebowałem jej coraz bardziej.

Stuknąłem w stół.

– Stół – powiedziałem. Odpowiedziała słowem brzmiącym jak „board”.

– Zmęczony – wymieniłem następne słowo. Pozwoliłem, by głowa opadła mi na bok i wydałem z siebie przesadne odgłosy chrapania.

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Potarła dłońmi powieki brązowych oczu i zamrugła szybko.

- Chusug – powiedziała.
- Guiwenneth zmęczona – dodała po angielsku.
- Idę spać. Zostaniesz ze mną?

Wstałem i wyciągnąłem do niej rękę. Zawahała się, po czym uniosła dłoń, by dotknąć moich palców. Ścisnęła ich końce. Nie ruszyła się jednak z krzesła. Nie spuszczać ze mnie oczu, potrząsnęła powoli głową. Następnie przesłała mi całusa, ściągnęła ze stołu obrus, tak jak ja zrobiłem to poprzedniego wieczoru i przeszła na podłogę przy wygasłym kominku, gdzie zwinęła się jak zwierzątko. Wydawało się, że natychmiast zapadła w sen.

Poszedłem na górę, do mego zimnego łóżka. Leżałem, nie mogąc zasnąć, przez niemal godzinę. Pod pewnym względem spotkało mnie rozczarowanie, lecz mimo to triumfowałem. Po raz pierwszy zgodziła się zostać na noc w domu.

Czyniłem postępy!

Tej nocy natura dokonała ataku na Oak Lodge w przerażający i dramatyczny sposób.

Spałem niespokojnie. Mój umysł wypełniały obrazy dziewczyny drzemiącej przy kominku na dole i tego, jak przechodziła z wydętą wiatrem koszulą przez nienaturalny pas drzewek otaczający dom, dotykając dłońmi giętkich pni dąbków dorównujących wysokością człowiekowi. Wydawało mi się, że cały dom skrzypi i przesuwa się, gdy glebę na dole przeszywają i drażą rozrastające się korzenie. W ten sposób, być może, antycypowałem wydarzenie, które nastąpiło o drugiej, w samym środku nocy.

Obudził mnie dziwny dźwięk, odgłos pękającego drewna, jęk wyginania się i wypaczania potężnych belek. Odzyskawszy świadomość, przez krótką chwilę sądziłem, że to koszmar. Nagle zdałem sobie sprawę, że cały dom



drży, a bukiem za oknem smaga coś przypominającego huragan. Usłyszałem krzyk znajdującej się na dole Guiwenneth. Chwyciłem szlafrok i zbiegłem po schodach.

Od strony gabinetu wiał niezwykle, zimny wiatr. Guiwenneth – wąła postać w zmiętym ubraniu – stała w ciemnych drzwiach tego pomieszczenia. Hałas zaczął cichnąć. Gdy zbliżyłem się do niej ostrożnie przez zagracony salon i włączyłem światło, moje nozdrza zaatakowała potężna, ostra woń błota i ziemi.

Dębowy las przybył do gabinetu. Przebił się przez podłogę i wcisnął przez ściany oraz sufit. Biurko było roztrzaskane, a szafki porozbijane i poprzesywane sękatymi konarami nowych roślin. Nie potrafiłem określić, czy jest to jedno drzewo czy więcej. Być może w ogóle nie była to normalna roślina, lecz przedłużenie puszczy stworzone po to, by pochłonąć kruche budowle wzniesione przez człowieka.

W pokoju unosiła się ostra woń gleby i lasu. Gałęzie zakrywające sufit drżały. Ziemia opadała małymi grudkami z ciemnych, pokrytych bliznami pni, które przebiły się przez podłogę w ośmiu miejscach.

Guiwenneth weszła do tej cienistej, leśnej klatki. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jednego z chwiejących się konarów. Wydawało się, że cała izba zadrżała od jej dotyku, lecz dom spowiło teraz wrażenie spokoju. Było to tak jakby... las złapał Oak Lodge, uczynił je częścią swej aury. Wtedy napięcie, potrzeba posiadania zniknęło.

Światło w gabinecie nie działało. Wciąż zdumiony tym, co się wydarzyło, podążyłem za Guiwenneth do cienistej, niesamowitej sali, by zabrać z rozpadającego się biurka dziennik i zapiski ojca. Daję słowo, że dębowa gałązka wygięła się, by pogłaskać moje palce, gdy wyciągałem książki z szuflady. Obserwowano mnie i oceniano, gdy pracowałem. W pokoju było zimno. Ziemia sypała mi się na włosy i spadała w małych grudkach na podłogę. Gdy dotykały jej moje bose stopy, zdawała się mnie parzyć.

Cały pokój szeleścił. Szeptał. Tuż za oszklonymi drzwiami, które wciąż były nietknięte, tłoczyły się dąbki, teraz ode mnie wyższe. Rosły coraz bliżej domu, w wielkiej obfitości.

Gdy następnego ranka zszedłem chwiejnym krokiem na dół po kilku ostatnich godzinach niespokojnego, nerwowego snu, zdałem sobie sprawę, że jest już prawie dziesiąta. Na zewnątrz był wietrzny dzień. Niebo groziło deszczem. Obrus leżał zmięty na podłodze obok kominka, ale hałasy dobiegające z kuchni poinformowały mnie, że mój gość jeszcze nie odszedł.

Guiwenneth przywitała mnie czerwonym jak wiśnia uśmiechem oraz słowami w swym brytańskim języku, które krótko przetłumaczyła jako: „Dobre. Jeść.”

Znalazła pudełko płatków owsianych Quaker i przyrządziła gęstą owsiankę na wodzie, dodając do niej miodu. Wkładała ją sobie do ust dwoma palcami i cmokała wargami, głośno wyrażając uznanie. Podniosła pudełko i spojrzała na odzianego w ciemny strój kwakra przedstawionego z przodu. Roześmiała się.

– Meivoroth! – stwierdziła, wskazując na gęstą zupę. – Dobre – dodała, kiwając energicznie głową.

Znalazła coś, co przypominało jej dom. Gdy wziąłem do ręki pudełko, przekonałem się, że jest prawie puste.

Nagle jej uwagę przyciągnęło coś na zewnątrz. Podeszła szybko do tylnych drzwi, otworzyła je i wyszła przez nie w wietrzny dzień. Podążyłem za nią, słysząc odgłos kopyt konia cwałującego przez pobliską łąkę.

To nie mitotwór podjechał do płotu i pochylił się, by otworzyć bramę, skłaniając kopniakiem małą klacz, aby weszła przez nią do ogrodu. Guiwenneth obserwowała młodszą od siebie dziewczynę, Była nią żywo zainteresowana i na wpół rozbawiona.

Była to najstarsza córka Ryhope'ów, niesympatyczna panienska pasująca do wszystkich najzłośliwszych karykatur angielskich klas wyższych: słaba żuchwa, tępe spojrzenie, mnóstwo przesądów i mało wiedzy. Miała obsesję na punkcie koni i szalała za polowaniem – a to uważałem za osobistą obrazę.

Obrzuciła Guiwenneth długim, aroganckim spojrzeniem, bardziej zazdrosnym niż ciekawym. Fiona Ryhope była blondynką, piegowatą i niezmiernie brzydką. Odziana w bryczesy i czarną kurtkę do konnej jazdy, była – dla moich oczu – niemal niemożliwa do odróżnienia od zwariowanych na punkcie jazdy debiutantek, które regularnie skakały przez stare beczki i płoty na miejscowym *parcourze*.

– List do pana. Przysłany do domu.

To było wszystko, co powiedziała. Podała mi płożółtą kopertę, zawróciła konia i pomknęła cwałem przez ogród. Nie zamknęła za sobą bramy. Od braku przywitania aż po fakt, że nie zsiadła z konia, każda sekunda jej obecności na moim terytorium była obraźliwa i nieuprzejma. Nie zadałem sobie trudu, by powiedzieć „dziękuję”. Guiwenneth patrzyła, jak dziewczyna odjeżdża, ja jednak wróciłem do domu, by otworzyć cienką kopertę.

Przysłała ją Anne Hayden. List był prosty i krótki:

Drogi panie Huxley,  
jestem przekonana, że dołączone kartki są tymi, których szukał pan podczas swego pobytu w Oxfordzie. Z pewnością jest to pismo pańskiego ojca. Były wetknięte do numeru *Journal of Archaeology*. Sądzę, że ukrył je tam i wysłał swój egzemplarz biuletynu mojemu ojcu. W pewnym sensie odkrył je pan sam, ponieważ gdyby nie pańska wizyta, nie chciałoby mi się wysłać sterty czasopism na adres uniwersytetu. Uprzejmy bibliotekarz znalazł kartki i mi je odesłał. Dołączam również trochę korespondencji, która może pana zainteresować.

Szczerze oddana  
Anna Hayden

Do listu dołączono sześć złożonych kartek z dziennika, sześć kartek, które ojciec chciał ukryć przed Christianem, sześć kartek, które dotyczyły Guiwenneth oraz sposobu przedarcia się przez zewnętrzne szaniec obronne pierwotnej puszczy...

# ROZDZIAŁ ÓSMY

Maj 1942

Spotkanie z nadrzecznym plemieniem, *Shamiga*, z prymitywną wersją Artura oraz rycerzem wprost z Malory'ego. To ostatnie było dość niebezpieczne. Obserwowałem turniej w dawniejszym sensie tego słowa, obłąkaną bijatykę na leśnej polanie. Dziesięciu rycerzy, wszyscy walczyli w całkowitym milczeniu, pomijając szczęk broni. Ten, który odniósł triumf, objechał wokół przecinkę, podczas gdy pozostali oddalili się konno. Wspaniale wyglądający mężczyzna w lśniącej zbroi i fioletowym płaszczu. Jego koń nosił czaprak i jedwabny rząd. Nie zdołałem zidentyfikować legendy, z której pochodził, przemówił jednak do mnie krótko w języku, który jakoś udało mi się rozpoznać: średniofrancuski.

Wszystko to notuję, lecz najbardziej znacząca była obwarowana wioska Cumbarath, gdzie spędziłem w okrągłym domu czterdzieści lub więcej dni (a przecież byłem nieobecny tylko dwa tygodnie!) i poznałem opowieść o Guiwenneth. Jest to legendarna, otoczona palisadą wieś, ukryta w dolinie lub za odległą górą, gdzie mieszkają nieskalani ludzie, dawni mieszkańcy kraju, których nigdy nie odnaleźli zdobywcy. Niezniszczalny mit, który przetrwał długie stulecia. Dla mnie zdumiewający, ponieważ żyłem wewnątrz mitotworu... Sama wioska wraz ze wszystkimi mieszkańcami powstała z rasowej podświadomości. Jest to, jak dotąd, najpotężniejszy mityczny krajobraz, który odkryłem w lesie.

Języka nauczyłem się z łatwością, gdyż był podobny do brytańskiego, którym mówiła dziewczyna. Poznałem fragmenty jej legendy, choć opowieść jest niewątpliwie niekompletna. Jestem pewien, że jej historia kończy się tragicznie. Mocno mnie to podekscytowało. Tak wiele rzeczy, o

których mówi G podczas swych wizyt, tak wiele jej dziwnych obsesji, stało się dla mnie bardziej zrozumiałe. Powstała w wieku szesnastu lub siedemnastu lat, kiedy to jej wspomnienia stają się istotne, lecz w wiosce bardzo dobrze zapamiętano opowieść o jej narodzinach.

Oto więc jest fragment mrocznej historii dziewczyny Guiwenneth, tak jak mi ją opowiedziano:

Były to pierwsze dni po przybyciu do kraju legionów ze wschodu.

W forcie w Dun Emrys mieszkały dwie siostry, córki wodza Morthida, który był stary, słaby i uległ pokusie pokoju. Obie dziewczyny były jednak piękne. Obie narodziły się tego samego dnia, w przeddzień święta boga słońca, Luga. Niemal nie sposób byłoby je odróżnić, gdyby nie fakt, że Dierdrath nosiła na prawej piersi kwiat wrzosu, a Rhiathan na lewej kwiat dzikiej róży. Rhiathan zakochała się w rzymskim dowódcy z pobliskiego fortu Caerwent. Zamieszkała tam i między najeźdźcą a plemieniem z Dun Emrys nastał czas harmonii. Rhiathan była jednak bezpłodna i jej zazdrość oraz nienawiść potęgowały się, aż jej twarz stała się niczym żelazo.

Dierdrath pokochała syna srogiego wojownika, który poległ w bitwie z Rzymianami. Syn ów nosił imię Peredur. Wygnano go z plemienia, ponieważ przeciwstawił się ojcu Dierdrath. Mieszkał teraz, wraz z dziewięcioma wojownikami, w puszczy, w kamiennym jarze, gdzie nie odważały się zapuszczać nawet zające. Nocami przychodził na skraj puszczy i wzywał Dierdrath głosem gołębia. Dierdrath szła do niego. Po pewnym czasie urodziła jego dziecko.

Gdy zbliżał się czas rozwiązania, druid, Cathabach, oznajmił, że nosi ona dziewczynkę. Nadano jej imię Guiwenneth, co znaczy „dziecko ziemi”. Rhiathan jednak wysłała do Dun żołnierzy. Dierdrath zabrano od ojca i porwano wbrew jej woli do namiotów położonych za drewnianą palisadą rzymskiego fortu. Zabrano również czterech wojowników z Dun oraz samego Morthida, który zgodził się, że dziecko, gdy już się narodzi, powinna wychowywać Rhiathan. Dierdrath była zbyt słaba, by protestować,

Rhiathan zaś poprzysięgła bezgłośnie, że gdy tylko dziecko przyjdzie na świat, jej siostra umrze.

Peredur przyglądał się temu ze skraju lasu, pogrążony w rozpacz. Jego dziewiątka była razem z nim i żaden nie mógł go pocieszyć. Dwukrotnie nocą atakował fort, lecz odparto go siłą. W obu przypadkach słyszał głos Dierdrath krzyczącej do niego: – Śpiesz się. Uratuj moje dziecko.

Za kamiennym jarem, gdzie las był najciemniejszy, znajdowało się miejsce, w którym najstarsze drzewo było starsze niż kraj, okrągłe i wysokie niczym usypany z ziemi fort. Tam, jak wiedział Peredur, mieszkała jagad, jestestwo odwieczne niczym skała, po której gramolił się w jego poszukiwaniu. Jagad była jego jedyną nadzieją, gdyż ona tylko panowała nad życiem wszelkich stworzeń, nie tylko w lesie, lecz również w morzu i w powietrzu. Pochodziła z najdawniejszych czasów i żaden najeźdźca nie mógł się do niej zbliżyć. Pamiętała zwyczaje ludzi z okresu Czuwania, gdy nie znali jeszcze języka.

Oto jak Peredur znalazł jagad.

Odszukał polankę, na której rósł dziki oset, a żadne drzewko nie sięgało mu wyżej niż do kostek. Wokół niego las był wysoki i milczący. Ani jedno drzewo nie runęło na ziemię, by stworzyć tę polankę. Mogła być tylko dziełem jagad. Dziewięciu towarzyszących mu wojowników uformowało krąg, zwracając się plecami do Peredura, który stał między nimi. Trzymali w rękach gałązki leszczyny, tarniny i dębu. Peredur zabił wilka i spryskał jego krwią grunt wokół dziewięciu. Głowę zwierzęcia zwrócił ku północy. Na zachodnim końcu kręgu wbił w ziemię miecz. Na wschodnim położył sztylet. Sam stanął na południowym, wewnątrz swego pierścienia i zawezwał jestestwo.

W ten sposób robiono takie rzeczy w dniach przed nadejściem księży. Najważniejszy był krąg, który wiązał wzywającego z jego czasami i ziemią.

Siedmiokrotnie Peredur wzywał jagad.

Za pierwszym razem ujrzał tylko ptaki zrywające się do lotu z drzew (lecz cóż za ptaki to były: wrony, wróble i jastrzębie, wszystkie wielkie jak konie).

Za drugim razem leśne zające i lisy obiegały krąg i umknęły na zachód.

Za trzecim razem z gąszczu wypadły dziki. Każdy z nich był wyższy niż człowiek, lecz krąg je powstrzymał (choć Oswry przeszył włócznią najmniejszego, by zdobyć mięso; w innej porze roku miał odpowiedzieć za ów uczynek).

Za czwartym razem z zarośli wychynęły jelenie, a za nimi łanie. Gdy ich kopyta dotykały ziemi, las trzął się, a krąg razem z nim. Oczy jeleni lśniły w nocy. Guillauc zarzucił na poroże jednego z nich naszyjnik, by zaznaczyć go jako swego; w innym czasie miał odpowiedzieć za ów uczynek.

Za piątym razem na polance zapadła cisza, choć poza zasięgiem wzroku poruszały się jakieś postacie. Nagle zza drzew wypadli mężczyźni na koniach, którzy wypełnili polanę. Rumaki były czarne niczym noc. Każdy miał dwanaście wielkich, burych psów u kopyt i jeźdźca na grzbiecie. Płaszcze łopotały na bezgłośnym wietrze. Pochodnie płonęły. Ów dziki gon przemknął wokół dziewiątki dwadzieścia razy. Krzyki jeźdźców były coraz głośniejsze. Ich oczy lśniły. Nie byli to ludzie z kraju Peredura, lecz łowcy z zamierzchłych czasów i dni, które miały dopiero nadejść. Zebrali się tu, by strzec jagad.

Za szóstym i siódmym razem nadeszła sama jagad, podążająca za jeźdźcami i psami. Ziemia rozstała się, a bramy wiodące do świata pod nią się otworzyły. Wynurzyła się z nich jagad: wysoka postać bez twarzy, o ciele spowitym w ciemne szaty, nadgarstki i kostki miała przyozdobione srebrem i żelazem. Upadła córa ziemi, pełne nienawiści i żądne zemsty dziecię księżycy, jagad, stanęła przed Peredurem. W pustce, która była jej twarzą, pojawił się milczący uśmiech. Nagle wzgardliwy śmiech rozdarł ucho mężczyzny.



Jagad nie zdołała jednak przełamać kręgu roku i kraju, nie zdołała wyciągnąć Peredura daleko od owego punktu i pory roku, by zgubił się w dzikim miejscu, gdzie byłby zdany na jej łaskę. Trzykrotnie okrążyła krąg, zatrzymując się tylko po to, by popatrzeć na Oswry'ego i Guillauca, którzy zrozumieli natychmiast, że zabijając dzika i naznaczając jelenia, wydali na siebie wyrok. Ich los jednak to inna opowieść na inne lata.

I wtedy Peredur wyznał jagad, czego mu trzeba. Opowiedział jej o swej miłości do Dierdrath i o zazdrości siostry oraz groźbie dla dziecka. Poprosił o pomoc.

– A zatem dostanę dziecko – powiedziała jagad, a Peredur odrzekł, że nie dostanie.

– A zatem dostanę matkę – powiedziała jagad, a Peredur odrzekł, że nie dostanie.

– Zabiorę zatem jednego z dziesięciu – powiedziała jagad i przyniosła Peredurovi oraz jego wojownikom kosz zawierający orzechy laskowe. Każdy z mężczyzn oraz sam Peredur wziął jeden orzech i go zjadł. Żaden z nich nie wiedział, który zostanie związany z jagad.

– Jesteście łowcami długiej nocy – rzekła. – Jeden z was jest już mój, ponieważ za magię, którą wam daję, trzeba zapłacić i można do tego użyć jedynie życia. Przerwijcie teraz krąg. Koniec targów.

– Nie – odparł Peredur. Jagad roześmiała się.

Następnie wzniosła ramiona ku ciemnemu niebu. Peredurovi wydało się, że w pustce, która była jej twarzą, dostrzega rysy wiedzy zamieszkującej ciało jestestwa. Była starsza niż sam czas. Tylko puszcza uratowała wojów przed jej złym spojrzeniem.

– Dam ci twoją Guiwenneth – wykrzyknęła jagad – ale każdy obecny tu mężczyzna odpowie za jej życie. Jestem łowczynią z pierwszych lasów i lasów lodu, i lasów kamienia, i górskich szlaków, i smętnych wrzosowisk. Jestem córką księżyca i Saturna.

Leczą mnie kwaśne zioła, karmią mnie gorzkie soki, a opasują jasne srebro i zimne żelazo. Zawsze żyłam w ziemi i ziemia zawsze będzie mnie żywić, albowiem jestem odwieczną łowczynią i gdy będę cię potrzebowała, Peredurze, i twoich dziewięciu myśliwych, zawezwę was i ten, którego zawezwę, pójdzie. Nie ma czasów tak odległych, byście przez nie wędrowali, ani krain zbyt szerokich, zbyt zimnych, zbyt gorących, bądź zbyt odludnych, by zawiodła was tam wasza droga. Dowiedźcie się i wyrażcie zgodę, że gdy dziewczyna po raz pierwszy pozna miłość, wszyscy z was będą należeć do mnie... i odpowiedzą na mój zew albo nie, zależnie od natury rzeczy.

Peredur miał ponurą minę, lecz gdy wszyscy jego towarzysze na to przystali, on również się zgodził. Tak też się stało. Od tej pory znano ich jako Jaguth, co znaczy Nocne Łowy.

W dzień narodzin dziecka widziano dziesięć orłów, które okrążyły rzymski fort. Nikt nie wiedział, co sądzić o tym omenie, gdyż ptak ten był dla wszystkich zainteresowanych dobrym znakiem, lecz ich liczba była zastanawiająca.

Guiwenneth urodziła się w namiocie, w obecności tylko siostry matki, jej ojca oraz druida. Gdy jednak ów wzniósł dzięki przy użyciu dymu i niewielkiej ofiary, Rhiathan przycisnęła poduszkę do twarzy siostry i ją zabiła. Nikt nie widział, jak to uczyniła. Płakała nad jej śmiercią równie głośno, jak pozostali.

Następnie Rhiathan zabrała dziewczynkę, wyszła do fortu i uniosła dziecko wysoko nad głowę, ogłaszając siebie przybraną matką, a swego rzymskiego kochanka ojcem.

Nad fortem zebrało się dziesięć orłów. Łopot ich skrzydeł brzmiał jak odległa burza. Były tak wielkie, że gdy skupiły się razem, przesłoniły słońce i rzuciły na fort wielki cień. Z owego cienia wychynął jeden z nich, który opadł szybko z niebios. Zatrzepotał skrzydłami obok głowy Rhiathan, złapał dziecko w potężne szpony i ponownie wzbił się w górę.

Rhiathan krzyknęła z gniewu. Orły rozproszyły się szybko, umykając ku otaczającej fort krainie, lecz rzymscy łucznicy wypuścili tysiąc strzał, które utrudniły im lot.

Ten z nich, który trzymał w szponach dziecko, leciał najwolniej. W legionie był żołnierz, który słynął ze swych umiejętności łuczniczych. Jednym strzałem przeszył serce orła, który wypuścił dziecko. Pozostałe ptaki, widząc to, szybko zawróciły. Jeden z nich przeleciał pod dziewczynką tak, że swym grzbietem wstrzymał jej upadek. Dwa inne pochwyciły w szpony martwego ptaka. Z nim i z niemowlęciem uciekły do puszczy, do kamiennego jaru, gdzie odzyskały ludzki kształt.

To Peredur zanurkował po dziecko, sam Peredur, jego ojciec. Leżał martwy, piękny i blady, ze strzałą wciąż tkwiącą w sercu. Wokół jaru śmiech jagad niósł się niczym wiatr. Obiecała Peredurowi, że da mu jego Guiwenneth i przez kilka chwil ją miał.

Jaguth zabrali go na dno kamienistej doliny, gdzie wiatr dął najsilniej, i pochowali go tam, pod białym marmurowym głazem. Wodzem grupy został teraz Magidion.

Owi leśni łowcy, wygnani wojownicy, wychowali Guiwenneth najlepiej, jak potrafili. Czowała się wśród nich szczęśliwa. Wykarmili ją rosą leśnych kwiatów i mlekiem łani. Ubierali ją w lisie skóry i bawełnę. Gdy miała pół roku, umiała już chodzić. Gdy upłynęły cztery pełne pory roku, potrafiła biegać. Wkrótce po tym, jak nauczyła się mówić, знаła już nazwy stworzeń z puszczy. Smutkiem napawało ją tylko to, że przemawiał do niej duch Peredura. Podczas wielu poranków znajdowano ją stojącą we łzach na marmurowym głazie w wietrznym jarze.

Pewnego dnia Magidion i Jaguth polowali na południe od doliny. Dziewczynka była z nimi. Rozbili obóz w sekretnym miejscu. Jeden z nich, Guillauc, pozostał z dzieckiem, podczas gdy pozostali wyruszyli na łowy.

Oto jak stracili Guiwenneth.

Rzymianie nieustannie przeszukiwali wzgórza, doliny i lasy otaczające fort. Wyczuli dym obozowego ogniska i polanę otoczyło dwudziestu ludzi. Ich zbliżanie się zdradziła wrona. Guiwenneth i myśliwy, Guillauc, zrozumieli, że są zgubieni.

Guillauc przywiązał sobie szybko dziewczynkę do pleców skórzanymi rzemieniami, tak ciasno, że sprawił jej ból. Następnie zawezwał magię jagad, która zmieniła go w wielkiego jelenia. W tej postaci uciekł przed Rzymianami.

Mieli oni jednak ze sobą psy, a te ścigały jelenia przez cały dzień. Gdy był już wyczerpany, odwrócił się i stanął do walki. Psy rozszarpały go, lecz Guiwenneth uratowano i zabrano do fortu. Duch Guillauca pozostał w miejscu, gdzie padł jelen. W roku, w którym Guiwenneth po raz pierwszy poznała miłość, przysłała po niego jagad.

Przez dwa lata Guiwenneth mieszkała w namiocie wewnątrz wysokich murów rzymskiej twierdzy. Zawsze można ją było zobaczyć, jak usiłowała spoglądać ponad murami fortu, krzycząc i płacząc, całkiem jakby wiedziała, że są tam Jaguth, którzy czekają, by po nią przyjść. W owych latach nie widziano bardziej melancholijnego dziecka. Między dziewczynką a przybraną matką nie nawiązała się żadna więź miłości. Rhiathan jednak się z nią nie rozstawała.

Oto jak Jaguth ją odzyskali.

Przed świtem, wczesnym latem, Guiwenneth zawołało osiem gołębi. Dziecko obudziło się i wsłuchało w ich głos. Następnego ranka, przed pierwszym brzaskiem, zawołało ją osiem sów. Trzeciego ranka obudziła się, nim zabrzmiał zew i przeszła przez pogrążony w mroku obóz ku murom, w miejsce, z którego widziała otaczające fort wzgórza. Stało tam osiem jeleni, spoglądając na nią. Po chwili zbiegły szybko ze wzniesienia i z hukiem kopyt okrążyły fort, wzywając ją głośno, nim wróciły na dzikie polany.

Czwartego ranka, gdy Rhiathan spała, Guiwenneth wstała i wyszła z namiotu. Wstawał świt. Pogrążoną w ciszy ziemię otulała mgła.

Dziewczynka słyszała szepty wartowników stojących na wieżach strażniczych. Dzień był zimny.

Z mgły wychynęło osiem wielkich psów myśliwskich. Każdy z nich był wyższy od dziewczynki. Każdy miał oczy jak sadzawki, paszczę jak czerwona rana i wywalony ozór. Guiwenneth jednak nie czuła strachu. Położyła się i pozwoliła, by największy z psów wziął ją w zęby i podniósł. Zwierzęta podeszły bezgłośnie do północnej bramy. Tam stał strażnik. Nim zdążył wydać z siebie głos, rozszarpały mu gardło. Nim mgła się rozproszyła, otwarto bramę i patrol pieszych żołnierzy opuścił fort. Nim ją zamknięto, osiem psów wyśliznęło się na zewnątrz wraz z Guiwenneth.

Towarzyszyła Jaguth przez długie lata. Najpierw udali się na północ, na zimne wrzosowiska, przez śniegi, by ukryć się wśród pomalowanych plemion. Gdy ją odzyskali, Guiwenneth była małą dziewczynką na olbrzymim rumaku, lecz gdy dotarli na północ znaleźli mniejsze wierzchowce, które były równie szybkie. Ponownie ruszyli na południe, na drugi koniec kraju, przez bagna, moczary, lasy i niziny. Przeszli przez wielką rzekę. Guiwenneth rosła, szkolila się i nabrała biegłości. Nocami spała w ramionach wodza Jaguth.

W ten sposób upłynęło wiele lat. Dziewczyna stała się piękna pod każdym względem. Jej włosy były długie i rude, a skóra jasna i gładka. Wszędzie, gdzie się zatrzymywali, młodzi wojownicy pragnęli jej, lecz przez lata pozostawała nieświadoma miłości. Zdarzyło się jednak, że na wschodzie kraju zakochała się po raz pierwszy, w synu wodza, a ten był zdecydowany ją zdobyć.

Jaguth zrozumieli, że ich czas z Guiwenneth dobiega końca. Zabrali ją z powrotem na zachód, odnaleźli dolinę i kamień jej ojca. Zostawili ją tam, gdyż ten, który ją kochał, podązał tuż za nimi, a zza głązów dobiegał śmiech jagad. Jestestwo zamierzało ich zagarnąć.

Dolina była smutnym miejscem. Kamień nad ciałem Peredura zawsze był jasny i gdy Guiwenneth czekała tam w samotności, z ziemi wyłonił się

duch jej ojca. Zobaczyła go po raz pierwszy, on zaś zobaczył ją.

– Jesteś żołędziem, z którego wyrośnie dąb – oznajmił, lecz Guiwenneth go nie zrozumiała.

– Twój smutek przerodzi się we wściekłość – ciągnął Peredur. – Jesteś wygnańcem, jak i ja. Zajmiesz moje miejsce. Nie spoczniesz, dopóki najeźdźca nie zniknie z kraju. Będziesz go nękała i paliła. Przegonisz go z jego fortów i willi.

– Jak tego dokonam? – zapytała Guiwenneth.

Wokół Peredura uformowały się widmowe postacie wielkich bogów i bogiń. Jego duch uwolnił się bowiem od ściskających go palców jagad. Gdy wykonał zobowiązanie, nie miała już do niego praw. W świecie duchów Peredur cieszył się sławą i przewodził rycerzom, którzy towarzyszyli Cernunnosowi, ozdobionemu porożem Panu Zwierząt. Rogaty bóg podniósł Guiwenneth z ziemi i tchnął w jej płuca ogień zemsty oraz dał moc przemiany w każde zwierzę z puszczy. Epona dotknęła jej warg i oczu księżycową rosą, aby zaślepiła namiętności mężczyzn. Taranis dał jej siłę i grom. Była teraz silna pod każdym względem.

Stała się wtedy lisicą, która wśliznęła się do fortu Caerwent, gdzie jej przybrana matka spała z Rzymianinem. Gdy ów się obudził, zobaczył dziewczynę stojącą u jego siennika. Owładnęła nim miłość do niej. Wyszedł w ślad za nią z fortu i ruszył przez noc ku rzece, gdzie zdjęli ubrania i wykapali się w zimnych wodach. Guiwenneth jednak zmieniła się w jastrzębia i, przelatując mu nad głową, dziobała go w oczy, aż stał się ślepy. Zabrała go rzeka. Gdy Rhiathan ujrzała ciało męża, pękło jej serce i rzuciła się z wysokich urwisk na morskie skały.

W ten sposób dziewczyna Guiwenneth wróciła do miejsca swych narodzin.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przeczytałem krótką legendę Guiwenneth, z naciskiem wymawiając każde słowo i każde wyrażenie. Słuchała z uwagą. Jej ciemne oczy były przenikliwe i kuszące. Miałem wrażenie, że to, co chcę jej przekazać, interesuje ją mniej niż ja sam. Podobało się jej to, jak mówię, mój uśmiech: te moje cechy mogły być dla niej równie ekscytujące, jak dla mnie jej uroda i przerażający, dziecinny seksualizm.

Po chwili wyciągnęła rękę i uszczypnęła moje palce własnymi, uciszając mnie.

Spoglądałem na nią.

Ani narodziny, ani pochodzenie od najdziwniejszego leśnego stworzenia nie mogłoby się równać z generacją dziewczyny przez mój własny umysł oraz jego interakcją z milczącym lasem Ryhope. Była stworzeniem wywodzącym się ze świata równie odległego od rzeczywistości, jak sam księżyc. Kim jednak, zastanawiałem się, byłem dla niej ja?

To pytanie pojawiło się po raz pierwszy. Kim byłem w jej oczach? Kimś równie dziwnym, równie obcym? Być może fascynacja mną grała równie wielką rolę w jej zainteresowaniu, jak było to w moim przypadku.

Ale moc, która istniała między nami, owo bezsłowne porozumienie, spotkanie umysłów! Nie potrafiłbym uwierzyć, że nie byłem w niej zakochany. Namiętność, ucisk w piersi, rozstrój duchowy i pożądanie, wszystko to z pewnością składało się na miłość! Widziałem też, że ona czuje do mnie to samo. Byłem pewien, że musi w tym być coś więcej niż tylko „funkcja” dziewczyny z legendy, więcej niż prosta obsesja wszystkich mężczyzn na punkcie tej leśnej księżniczki.

Christian doświadczył owej obsesji (Jak bowiem mogła odwzajemnić jego uczucia? Nie była jego mitotworem.) i w swej frustracji przegnał ją z powrotem do lasu, gdzie ktoś, zapewne jeden z Zielonych Jasiów, zastrzelił ją bestialsko. Sygnały wymieniane między mną a tą Guiwenneth były jednak znacznie bardziej realne, znacznie prawdziwsze.

Jakże przekonywające wydawały mi się własne argumenty! Jak łatwo mogłem zapomnieć o ostrożności.

Tego popołudnia dokonałem następnego wypadu do lasu, aż do polany, gdzie resztki namiotu całkowicie pochłonęła już ziemia. Ściskając mocno w rękę ochronnym gestem mapę ojca, odnalazłem drogę wiodącą ku wnętrzu i ruszyłem nią pierwszy. Guiwenneth podążała cicho za mną z szeroko otwartymi oczyma i napiętymi mięśniami, gotowa do walki bądź ucieczki.

Była to ta sama trasa, którą ostatniej zimy uciekałem z Christianem. Nazwa ścieżki byłaby zbyt górnolotnym określeniem dla ledwie dostrzegalnego przejścia między wyniosłymi pniami dębów, które wiło się w górę i w dół po nierównym terenie. Paprocie i szczyr trwały, muskały moje nogi; za spodnie łapały mnie starzejące się krzaki jeżyn; nad moją głową, w ciemniejących, letnich koronach drzew przelatowały gorączkowo ptaki. Tędy właśnie przechodziłem uprzednio, po to tylko, by po kilkuset krokach ponownie zbliżyć się do polany. Gdy jednak podążałem osobliwie krętą ścieżką, o której wspominał mój ojciec, odnosiłem wrażenie, że zagłębiam się dalej w las. Ogarnęło mnie lekkie poczucie triumfu.

Guiwenneth dobrze wiedziała, gdzie jest. Zawołała mnie i skrzyżowała dłonie w charakterystycznym dla niej geście przeczenia.

– Nie chcesz, żebym szedł dalej? – zapytałem. Wróciłem do niej przez śliskie podszycie. Widziałem, że trochę zmarzła.

W jej rozkoszne włosy powplątywały się kawałki jeżyn oraz odłamki martwej kory.

– Pergayal! – oznajmiła. – Niedobre – dodała. Wykonała ruchy symbolizujące pchnięcie nożem w serce. Przypuszczam, że chciała mi



powiedzieć: „Niebezpieczne”. Bezzwłocznie złapała mnie za rękę zimną i małą, lecz mocną dłonią. Pociągnęła mnie między drzewami z powrotem ku polanie. Chcąc nie chcąc, podążyłem za nią. Po kilku krokach jej dłoń nabrała ciepła w moim uścisku. Guiwenneth zdała sobie sprawę z naszego kontaktu, puściła mnie niemal z niechęcią i rzuciła za siebie nieśmiałe spojrzenie.

Wciąż czekała. Nie potrafiłem zrozumieć na co. Gdy nadciągał wieczór i zaczęła zagrazać ulewa, ponownie stanęła pod płotem, wpatrując się w las mitotworów. Mięśnie miała napięte. Wyglądała na bardzo kruchą. Poszedłem do łóżka o dziesiątej. Czułem się zmęczony po tak krótkim okresie snu poprzedniej nocy. Guiwenneth podążyła za mną do pokoju, patrzyła, jak się rozbieram, a potem uciekła z chichotem, gdy się do niej zbliżyłem. Powiedziała coś ostrzegawczym tonem. Dodała kilka słów, w których brzmiał głęboki żal.

Miała to być kolejna noc przerwane snu.

Tuż po północy Guiwenneth znalazła się przy moim łóżku. Obudziła mnie potrząśaniem, podekscytowana i rozpromieniona. Włączyłem nocną lampkę. Dziewczyna wpadła niemal w histerię, usiłując skłonić mnie, bym za nią podążył. Oczy miała wybałuszone i dzikie, a wargi błyszczące.

– Magidion! – krzyknęła. – Steven, Magidion! Chodź! Za mną!

Ubrałem się szybko. Gdy wciągałem skarpetki i buty, wciąż nalegała, bym się śpieszył. Co kilka sekund spoglądała na las, a potem z powrotem na mnie. Gdy odwracała się ku mnie, uśmiechała się.

Kiedy wreszcie byłem gotowy, pognała jako pierwsza po schodach w dół, a potem ku skrajowi lasu. Biegła niczym zając. Omal nie straciłem jej z oczu, nim zdążyłem dotrzeć do tylnych drzwi.

Czekała na mnie, na wpół ukryta w zaroślach pod samym lasem. Gdy do niej dobiegłem i zacząłem coś mówić, położyła mi palec na ustach. Do moich uszu dobiegł wtedy odległy dźwięk, bardziej niesamowity niż jakikolwiek, który dotąd słyszałem. Był to róg albo zwierzę, jakiś nocny

stwór, którego krzyk był głęboką, niosącą się echem, żałobną monosylabą wzbijającą się w nocne, zachmurzone niebo.

Guiwenneth zdradziła ukrytą w niej twardość wojowniczką, niemal krzycząc z zachwytem. Podekscytowana, złapała mnie za rękę i powlokła w kierunku polany. Po kilku krokach zatrzymała się, zwróciła w moją stronę i wyciągnęła rękę, by chwycić mnie za ramiona. Była kilka cali niższa ode mnie. Wyciągnęła się lekko ku górze i pocałowała mnie delikatnie w usta. Była to chwila, której magia i zdumienie sprawiły, że otaczający mnie świat roztopił się w letnim dniu. Upłynęło wiele sekund, nim wróciła chłodna, leśna noc. Guiwenneth była jedynie migotliwym szarym kształtem widocznym przede mną. Wzywała mnie niecierpliwie, bym za nią podążył.

Ponownie dźwięk, długotrwały i głośny. Róg. Byłem teraz tego pewien. Sygnał leśnego rogu, zew łowcy. Był teraz bliżej. Odgłos hałaśliwego posuwania się Guiwenneth ucichł na krótką chwilę. Wydawało się, że las wstrzymał oddech na czas trwania dźwięku. Dopiero gdy żałobna nuta wybrzmiała, ponownie rozległy się szepty życia leśnej nocy.

Wpadłem na skuloną dziewczynę tuż za polaną. Pociągnęła mnie w dół, gestem nakazując być cicho. Oboje przykucnięci, wpatrzyliśmy się w ciemną przestrzeń przed nami.

W oddali coś się ruszało. Z lewej strony zamigotało przelotnie światło. Potem na wprost przed nami. Słyszałem oddech Guiwenneth, wysilony, podekscytowany dźwięk. Serce waliło mi mocno. Nie miałem pojęcia, czy ten, kto się zbliża, jest wrogiem czy przyjacielem. Róg zabrzmiał po raz trzeci i ostatni, tak blisko, że jego ton wzbudzał niemal lęk. Las wokół mnie zareagował przerażeniem. Małe stworzonka biegały z jednego miejsca w drugie. Każdy jard kwadratowy podszycia poruszał się i szeptał, gdy leśna fauna pierzchała ku bezpiecznym schronieniom.

Przed nami wszędzie światła! Migotały i płonęły. Wkrótce usłyszałem głucho trzaski pochodni. Pochodnie w lesie! Płomienie buchały wysoko i

głośno trzeszczały. Niespokojne błyski przesuwwały się z boku na bok, zbliżając się.

Guiwenneth podniosła się na nogi, gestem nakazała mi zostać na miejscu i wyszła na polanę. W świetle pochodni wyglądała na małą osobkę idącą bez wahania na środek przecinki z włócznią trzymaną w poprzek ciała, gotową w razie potrzeby do użycia.

Wydało mi się wtedy, że na polanę wystąpiły pnie drzew, ciemne kształty oddzielające się od mroku nocy. Moje serce opuściło jedno uderzenie. Krzyknąłem, by ją ostrzec, lecz stłumiłem ostatni dźwięk, gdy zdałem sobie sprawę, że głupio się zachowuję. Guiwenneth się nie cofnęła. Olbrzymie czarne postacie otoczyły ją, poruszając się powoli i ostrożnie.

Cztery z nich trzymały w rękach pochodnie. Zająły pozycje wokół polany. Pozostałe trzy majaczyły nad drobną jak lalka dziewczyną. Z ich głów wyrastały ogromne, zakrzywione poroża. Ich twarze były ohydnyymi czaszkami jeleni. W ślepych oczodołach widać było całkowicie ludzkie oczy lśniące w blasku ognia. Odrażający odór, smród skór i pożeranych przez pasożyty zwierząt, unosił się w nocnym powietrzu, mieszając się z ostrym zapachem smoły, czy co tam właściwie płonęło w pochodniach. Ich ubrania były wystrzępione, a ciała spowite w futra owiązane pnączami wokół dolnych części nóg. Wokół szyj, ramion i pasów lśniły jasno metal i kamień.

Powłóczące nogami postacie zatrzymały się. Rozległ się dźwięk przypominający śmiech, niski warkot. Najwyższy z trójki postąpił krok ku Guiwenneth. Uniósł ręce i zdjął z głowy czaszkę. Uśmiechnęła się do niej twarz czarna jak noc i szeroka jak dąb. Postać wypowiedziała jakieś słowa, po czym opadła na jedno kolano. Guiwenneth wyciągnęła obie ręce i położyła dłonie wraz z włócznią na czubku jej głowy. Pozostali wydali z siebie okrzyki zachwyty, również zdjęli maski i otoczyli ciasno dziewczynę. Twarze wszystkich były pomalowane na czarno, a brody

nieuczesane lub splecione, niemożliwe w słabym świetle do odróżnienia od ciemnych futer i wełnianych strojów, pod którymi skryli swe ciała.

Najwyższa postać objęła wówczas Guiwenneth i uściskała ją tak mocno, że jej stopy uniosły się nad ziemię. Dziewczyna roześmiała się, a potem wyśliznęła z dławiącego uścisku i podeszła po kolei do wszystkich mężczyzn, dotykając ich dłoni. Na polanie rozbrzmiała gadanina, odgłosy szczęścia, przywitania, zachwyty wywołanego odnowieniem znajomości.

Rozmowa była dla mnie niezrozumiała. Przypominała nie tyle brytański, którym mówiła Guiwenneth, lecz raczej połączenie niemal nierozpoznawalnych słów oraz zwierzęcych, leśnych odgłosów: w mowie tej było mnóstwo mlasków, gwizdów i szczęknięć, kakofonia, na którą Guiwenneth odpowiadała w identyczny sposób. Po kilku minutach jeden z nich zaczął grać na piszczałce z kości. Temat był prosty i natrętny. Przypominał mi ludową melodię, którą słyszałem ongiś na jarmarku, gdzie tańczący morrissa wykonywali swe osobliwe czynności... gdzie to było? Gdzie to było?

*Wizja nocy, miasteczka w Starfordshire... tego, jak trzymam się mocno ręki matki, popychany ze wszystkich stron przez tłum. Wracające wspomnienie... wizyty w Abbots Bromley, jedzenia piezzonego wołu i picia całych galonów lemoniady. Na ulicach roiło się od gapiów i ludowych tancerzy. Obaj z Chrisem szliśmy skwaszeni za matką, głodni, spragnieni i zmęczeni.*

*Wieczorem jednak wepchnęliśmy się na zatłoczone podwórko wielkiego domu, gdzie obejrzelśmy taniec wykonany przez mężczyzn noszących na głowie jelenie poroża oraz wysłuchaliśmy granej na skrzypcach melodii. Ów tajemniczy dźwięk sprawił, że wzdłuż kręgosłupa przebiegły mi ciarki, choć byłem jeszcze małym dzieckiem. Coś w natrętnej melodii przemawiało do tej części mojej jaźni, która wciąż była połączona z przeszłością. Oto było coś, co znałem przez całe życie. Tylko że o tym nie wiedziałem. Christian odniósł takie samo wrażenie. Cisza, w jakiej pogrążył się tłum, sugerowała, że muzyka, którą grano, gdy noszący poroża tancerze kreślili swą kolistą trasę, była czymś tak pierwotnym, że wszystkim obecnym przypomniła podświadomie minione czasy.*

Tu i teraz, była to ta sama melodia. Sprawiała, że po ramionach i szyi przebiegły mi mrówki. Guiwenneth i rogaty wódz zatańczyli radośnie w rytm muzyki, trzymając się za ręce, wirując i zataczając wokół siebie kręgi, podczas gdy pozostali mężczyźni zbliżali się coraz bardziej, niosąc ze sobą światło.

Niezgrabny taniec zakończył się nagle chwilą wspólnego śmiechu. Guiwenneth zwróciła się w moją stronę i skinęła dłonią. Wszedłem zza zasłony drzew na polanę. Dziewczyna powiedziała coś wodzowi Nocnych Łowów, który uśmiechnął się szeroko. Zbliżył się powoli, okrążył mnie i poddał oględzinom, całkiem jakbym był rzeźbą. Jego odór był przytłaczający, a oddech nieświeży i cuchnący. Wojownik był wyższy ode mnie o dobre dwanaście cali. Gdy wyciągnął rękę, by uszczypnąć mnie w prawy bark, zauważyłem, że jego palce są ogromne. Wydało mi się, że tym prostym ruchem połamię mi kości. Mężczyzna uśmiechnął się pod grubymi warstwami czarnej farby.

– Masgoiryth k’k’ thas’k hurath. Aur’th. Uh? – powiedział.

– Zgadzam się w zupełności – wyszeptalem. Uśmiechnąłem się i dałem mu przyjaznego kuksańca w ramię. Mięśnie pod futrem były twarde jak stal. Ryknął śmiechem, potrząsnął głową i wrócił do Guiwenneth. Rozmawiali szybko przez kilka sekund, po czym ujął jej dłonie we własne, uniósł je do swej piersi i przycisnął. Guiwenneth wyglądała na zachwyconą. Gdy ten krótki rytuał dobiegł końca, mężczyzna ukląkł przed nią raz jeszcze.

Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy. Następnie podeszła do mnie. Szła wolniej, z mniejszym podnieceniem, choć odniosłem wrażenie, że jej twarz lśni w świetle pochodni niecierpliwą radością i uczuciem. Być może miłością. Ujęła moje dłonie i pocałowała mnie w policzek. Jej przypominający zwierzę przyjaciel podążył za nią.

– Magidion! – oznajmiła, przedstawiając go. – Steven – powiedziała do niego.

Przyjrzał mi się. Jego twarz zdawała się wyrażać zadowolenie, lecz ostry wyraz spojrzenia i przymrużone powieki były niemal ostrzeżeniem. To był leśny opiekun Guiwenneth, wódz Jaguth. Gdy wpatrywałem się w niego, słowa z dziennika ojca były żywe w mojej pamięci. Poczułem, że Guiwenneth przysunęła się do mnie.

Pozostali zbliżyli się. Wzniesli wysoko pochodnie. Ich twarze były ciemne, lecz nie wyrażały groźby. Guiwenneth wskazała na wszystkich po kolei i wypowiedziała ich imiona: – Amrioch, Cyredich, Dunan, Orien, Cunus, Oswry...

Zmarszczyła brwi i popatrzyła na mnie. Jej radosną twarz zasępiła nagle smutna świadomość. Spojrzała na Magidiona i coś powiedziała. Powtórzyła słowo, które wyraźnie było imieniem.

– Rhydderch?

Magidion wciągnął powietrze i wzruszył potężnymi ramionami. Powiedział coś krótko i cicho. Uścisk Guiwenneth na mojej dłoni zacisnął się.

Gdy skierowała wzrok na mnie, w jej oczach błyszczały łzy.

– Guillauc. Rhydderch. Odeszli.

– Dokąd? – zapytałem cicho.

– Wezwani – odparła.

Zrozumiałem. Najpierw Guillauc, a potem Rhydderch zostali wezwani przez jestestwo, jagad. Jaguth należeli do niej, była to cena za wolność Guiwenneth. Wędrowali teraz przez inne miejsca i czasy w poszukiwaniu tego, czego jagad od nich zażądała. Ich opowieści były przeznaczone dla innego wieku. Ich podróże miały się stać legendami innej rasy.

Magidion wyciągnął spomiędzy swych futer krótki, tępy miecz. Następnie odpiął pochwę. Oba przedmioty wręczył mi, mówiąc coś cicho głosem przypominającym zwierzęcy warkot. Guiwenneth przyglądała się z

zachwytem, jak przyjąłem dar, schowałem miecz do pochwy i się pokłoniłem. Olbrzymia dłoń ponownie opadła na moje ramię i ścisnęła je boleśnie. Magidion nachylił się nade mną, wciąż coś do mnie szepcząc. Następnie uśmiechnął się szeroko, przesunął mnie łokciem bliżej dziewczyny, wydał z siebie głośny, nocny okrzyk, który powtórzyli echem jego towarzysze i odsunął się od nas.

Obejmując się ramionami, oboje z Guiwenneth patrzyliśmy, jak Nocne Łowy wycofały się głębiej w las. Pochodnie zniknęły w mroku i dali. Po raz ostatni dobiegł nas głos rogu. Potem w borze zapadła cisza.

Wśliznęła się do mojego łóżka – dostrzegłem tylko nagi kształt i poczułem chłód jej ciała – a potem wyciągnęła do mnie ręce w ciemności. Leżeliśmy, obejmując się i drżąc lekko, choć te szare godziny wczesnego poranka nie były bynajmniej zimne. Uciekła ode mnie wszelka senność. Moje zmysły wyostrzyły się, a ciało przebiegły ciarki. Guiwenneth wyszeptała moje imię, a ja wyszeptałem jej. Z każdym pocałunkiem nasze uściski stawały się coraz bardziej namiętne i intymne. Jej oddech w ciemności był najśłodszym dźwiękiem na świecie. W pierwszym zabłąkanym promieniu świtu ponownie zobaczyłem jej twarz, tak jasną i doskonałą. Leżeliśmy przy sobie bez słowa, wpatrując się w siebie i od czasu do czasu uśmiechając. Ujęła moją dłoń i przycisnęła ją do swej małej piersi. Złapała mnie za włosy, potem za ramiona, a następnie za biodra. Wierciła się, potem znów leżała spokojnie, płakała, a później się uśmiechała, całowała mnie, dotykała, pokazywała, jak jej dotykać, a wreszcie wsunęła się swobodnie pode mnie. Po tej pierwszej minucie miłości nie mogliśmy przestać wpatrywać się w siebie, uśmiechać, chichotać, pocierać się nosami, całkiem jakbyśmy nie potrafili do końca uwierzyć, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę.

Od tej chwili Guiwenneth uczyniła Oak Lodge swym domem. Oparła włócznię o bramę, co było jej sposobem na wskazanie, że skończyła z

lasem.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kochałem ją bardziej, niż uznałbym to za możliwe. Wystarczyło, że wypowiedziałem jej imię, Guiwenneth, a kręciło mi się w głowie. Kiedy ona szeptała moje, bądź prowokowała mnie namiętnymi słowami w swym języku, czułem ból w piersi oraz szczęście, które było niemal przytłaczające.

Sprzątaliśmy dom, by zachować w nim porządek. Urządziliśmy na nowo kuchnię, aby uczynić ją łatwiejszą do zaakceptowania dla Guiwenneth, która nie mniej ode mnie lubiła przyrządzać posiłki. Umieściła nad każdym oknem i drzwiami gałązki głogu i brzozy, by nie wpuścić do środka duchów. Wynieśliśmy z gabinetu meble ojca i Guiwenneth stworzyła dla siebie w tym dotkniętym plagą dębów pokoju coś w rodzaju prywatnego gniazda. Wydawało się, że las, który tak mocno schwytał dom za pośrednictwem tej jednej izby, teraz odpoczywa. Na wpół spodziewałem się, że każdej nocy przez tynk i cegły przebijać się będzie coraz więcej potężnych korzeni i pni, aż pomiędzy konarami płataniny drzew można będzie dostrzec jedynie fragmenty okien i dachówki Oak Lodge. Dąbki w ogrodzie i na polach stały się wyższe. Pracowaliśmy z zapalem, by usunąć je z samego ogrodu, lecz wokół płotu i za bramą rosły gęsto, otaczając nas czymś w rodzaju gaju. By dotrzeć do właściwego lasu, musieliśmy teraz torować sobie w nim drogę, wydeptywać ścieżki. Ta otaczająca nas odnoga puszczy miała dwieście jardów szerokości. Po obu jej stronach znajdował się otwarty teren. Dom stał między drzewami. Jego dach pokrywały gałązki dębów wyrastające z gabinetu. Cała okolica była dziwnie cicha, niesamowicie spokojna. To znaczy, cicha pomijając śmiech i działalność dwojga ludzi zamieszkujących ogrodową polanę.

Uwielbiałem przyglądać się Guiwenneth przy pracy. Zrobiła sobie ubrania ze wszystkich rzeczy, które zdołała znaleźć w szafie Christiana. Nosiłaby koszule i spodnie, dopóki by na niej nie zgniły, myliłmy się jednak codziennie, a co trzeci dzień praliśmy brudne łachy. Leśna woń Guiwenneth zniknęła stopniowo. Dziewczyna wydawała się lekko niezadowolona z tego powodu. Pod tym względem nie przypominała Celtów ze swej epoki, którzy byli wyjątkowo czysti, używali mydła, czego nie robili Rzymianie, i uważali legiony najeźdźców za brudasów! Podobało mi się, gdy pachniała lekko mydłem Lifebuoy i potem, lecz ona wykorzystywała każdą okazję, by spryskać sobie skórę sokiem liści i roślin.

Po dwóch tygodniach władała angielskim tak dobrze, że tylko od czasu do czasu zdradzała się jakąś składniową niezręcznością lub zdumiewająco błędnym użyciem słowa. Nalegała, bym opanował trochę brytańskiego lecz okazało się, że nie mam talentu lingwistycznego. Nawet najprostsze słowa były zbyt trudnym zadaniem dla mojego języka, podniebienia i warg. Śmieszyło ją to, ale również irytowało. Wkrótce zrozumiałem dlaczego. Angielski, bez względu na całe swe wyrafinowanie, obce naleciałości oraz wyrazistość, nie był dla niej naturalną mową. Istniały rzeczy, których nie potrafiła w nim powiedzieć. Przede wszystkim uczucia, które jednak miały dla niej ogromne znaczenie. Było w porządku, kiedy mówiła mi po angielsku, że mnie kocha. Drżałem za każdym razem, gdy padały te magiczne słowa. Dla niej jednak prawdziwe znaczenie miało, gdy mówiła: „M'n care pinuth”. Używała własnych słów, by wyznać swą miłość, ja zaś nigdy nie czułem się tak owładnięty uczuciem, gdy wypowiadała to obco dla mnie brzmiące zdanie. W tym właśnie tkwiło sedno owego prostego problemu: chciała widzieć i czuć, jak reaguję na słowa wyrażające jej miłość, a ja mogłem odpowiedzieć tylko na słowa, które znaczyły dla niej bardzo niewiele.

Wyrażenia wymagało znacznie więcej spraw niż miłość. Rzecz jasna, dostrzegałem to. Każdego wieczoru, gdy siedzieliśmy na trawie, albo

spacerowaliśmy cicho po dębowym gaju, jej oczy lśniły, a twarz miała czuły wyraz. Zatrzymaliśmy się, by się pocałować, objąć, a nawet kochać w cichym lesie. Rozumieliśmy każdą myśl i nastrój drugiego. Pragnęła jednak powiedzieć mi to wszystko, a nie potrafiła odnaleźć angielskich słów, które nazwałyby jej doznania: to jak czuje się bliska pewnemu aspektowi natury, jak podobna do ptaka czy drzewa. Coś, jakiś sposób myślenia, który potrafię przekazać jedynie w przybliżeniu, nie można było oddać po angielsku. Czasami płakała z tego powodu. Było mi jej wtedy bardzo żal.

Tylko raz w ciągu tych dwóch letnich miesięcy – gdy nie potrafiłbym sobie wyobrazić większego szczęścia, ani nie przeczuwałem tragedii, która zbliżała się do nas z każdą godziną – próbowałem skłonić ją, by oddaliła się od domu i udała ze mną do jednego z większych okolicznych miasteczek. Z wielkimi oporami narzuciła na siebie jedną z moich kurtek i założyła na nią pas, tak jak zakładała go na wszystko. Wyglądała jak najwspanialszy i najładniejszy ze strachów na wróble. Na stopach miała tylko skórzane sandały własnej roboty, gdy ruszyła ze mną ścieżką wiodącą ku głównej drodze.

Trzymaliśmy się za ręce. Powietrze było gorące i zastałe. Oddech Guiwenneth stawał się coraz bardziej wysiłony, a wygląd coraz dzikszy. Nagle ścisnęła mocno moją dłoń, jakby dręczył ją ból i wciągnęła gwałtownie powietrze. Spojrzałem na nią. Wbiła we mnie niemal błagalne spojrzenie. Wyraz jej twarzy był bezładnym połączeniem pragnienia – jej pragnienia, by mnie zadowolić – i strachu.

Równie nagle złapała się obiema dłońmi za głowę, krzyknęła i zaczęła się cofać.

– Wszystko w porządku, Guin! – krzyknąłem i ruszyłem za nią. Zaczęła jednak płakać, odwróciła się i pobiegła ku wysokiej ścianie młodych dębów wyznaczających granicę gaju.

Dopiero gdy stanęła w ich cieniu, uspokoiła się. Ze łzami w oczach wyciągnęła ku mnie ręce i uściskała mnie bardzo długo i bardzo mocno. Wyszepiała coś w swym języku.

– Przepraszam cię, Steven – powiedziała potem. – To boli.

– Wszystko w porządku. W porządku – uspokajałem ją i tuliłem. Dygotała straszliwie. Później dowiedziałem się, że był to fizyczny ból, który przeszywał całe jej ciało, jakby karano ją za nadmierne oddalenie się od macierzystego lasu.

Wieczorem, po zachodzie słońca, w chwili gdy świat na zewnątrz był jeszcze dość jasny, znalazłem Guiwenneth w dębowym więzieniu, w opuszczonym gabinecie, gdzie rosła puszcza. Dziewczyna zwinęła się w kłębek w objęciach najgrubszego pnia, który rozwidlał się, wyrastając spod podłogi, i tworzył dla niej kołyskę. Poruszyła się, gdy wszedłem do zimnej, mrocznej izby. Mój oddech zamarzał. Gałęzie, z ich szerokimi liśćmi, drżały i kołysały się, nawet gdy stałem nieruchomo. Zdawały sobie sprawę z mojej obecności w pokoju i nie były z niej zadowolone.

– Guin?

– Steven... – wyszeptała. Usiadła i wyciągnęła ku mnie ręce. Miała wymięte ubranie. Widać było, że płakała. Jej długie, rozkoszne włosy były splecione i owinięte wokół ostrej kory drzewa. Roześmiała się i szarpnięciem uwolniła niesforne kosmyki.

Pocałowaliśmy się. Wcisnąłem się w ciasne rozwidlenie pnia.

Siedzieliśmy tam oboje, drżąc lekko.

– Tu zawsze jest tak zimno.

Oplotła mnie ramionami i potarła energicznie dłońmi moje plecy.

– Czy tak lepiej?

– Dobrze mi, bo jestem z tobą. Przykro mi, że coś cię dręczy.

Nadal usiłowała mnie rozgrzać. Jej oddech był słodki, a oczy wielkie i pełne łez. Skradła mi całusa, a potem wcisnęła wargi w kąt mojej żuchwy. Wiedziałem, że zastanawia się intensywnie nad czymś, co głęboko ją

zaniepokoiło. Milczący las wokół przyglądał się temu, otaczając nas swym nadnaturalnym, lodowatym chłodem.

– Nie mogę stąd odejść – powiedziała.

– Wiem. Nie będziemy już próbować.

Odsunęła się. Jej wargi drżały, a czoło było zmarszczone, jakby znowu skłaniała się do płaczu. Powiedziała coś w swoim języku. Wyciągnąłem rękę i otarłem dwie łzy, które wezbrały w kącikach jej oczu.

– To mi nie przeszkadza – zapewniłem.

– Mnie przeszkadza – odparła cicho. – Stracę cię.

– Nie stracisz. Za bardzo cię kocham.

– Ja też bardzo cię kocham. I stracę cię. To się zbliża, Steven.

Wyczuwam to. Straszliwa utrata.

– Nonsens.

– Nie mogę stąd odejść. Nie mogę opuścić tego miejsca, tego lasu. Należę do niego. Nie puści mnie.

– Zostaniemy razem. Napiszę o nas książkę. Będziemy polować na dzikie świnie.

– Mój świat jest mały – odrzekła. – Potrafię go przebiec w ciągu kilku dni. Stoję na wzgórzu i widzę miejsce, które jest poza moim zasięgiem. Mój świat jest maleńki w porównaniu z twoim. Będziesz kiedyś chciał odejść, na północ, w zimne miejsce. Na południe, ku słońcu. Będziesz chciał odejść na zachód, do dzikich krain. Nie zostaniesz tu na zawsze. Ja muszę zostać. Nie pozwolę mi odejść.

– Czemu tak się martwisz? Jeśli wyjadę, to najwyżej na dzień albo dwa. Do Gloucester albo Londynu. Będziesz bezpieczna. Nie opuszczę cię. Nie mógłbym cię opuścić, Guin. Mój Boże, gdybyś tylko mogła czuć to, co ja. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy. Moje uczucie do ciebie jest tak silne, że czasami mnie to przeraża.

– Wszystko w tobie jest silne – powiedziała. – Możesz jeszcze o tym nie wiedzieć, ale gdy... – urwała. Ponownie zmarszczyła brwi. Zatrzymała w

sobie słowa, dopóki nie nakłoniłem jej, by mówiła dalej. Była dziewczyną, dzieckiem. Uściskała mnie i pozwoliła, by łzy popłynęły z jej oczu łagodnie i bez zahamowań. To nie była wojownicza księżniczka, szybko biegająca, bystra łowczyni z wczorajszego dnia. Ujrzałem tę cudowną, bezradną część jej osoby, która – jak u wszystkich ludzi – odczuwała głęboką potrzebę posiadania kogoś drugiego. Jeśli moja Guiwenneth kiedykolwiek potrzebowała uczłowieczenia, teraz właśnie nadeszła chwila, w której to ujrzałem. Choć zrodzona z lasu, była czującą osobą z krwi i kości. Wydawała mi się cudowniejsza od wszystkiego, co znałem w życiu.

Na dworze zrobiło się ciemno, a ona mówiła o strachu, który czuła, gdy tak siedzieliśmy, przemarznięci do kości, obejmując się w objęciach naszego przyjaciela, dębu.

– Nie zawsze będziemy razem – powiedziała.

– Niemożliwe.

Przygryzła wargę, po czym potarła mój nos swoim, zbliżając się do mnie tak bardzo, jak tylko mogła.

– Ja pochodzę z innej krainy, Steven. Jeśli ty mnie nie opuścisz, ja mogę pewnego dnia opuścić ciebie. Ty jednakże jesteś tak silny, że zniesiesz tę stratę.

– O czym ty mówisz, Guin? Życie dopiero się zaczyna.

– Nie myślisz. Nie chcesz myśleć! – Była rozgniewana. – Jestem z lasu i skały, Steven, nie z krwi i kości. Nie jestem taka jak ty. Las mnie chroni, a zarazem mną włada. Nie potrafię tego wyrazić jak trzeba. Brakuje mi słów. Przez chwilę będziemy razem. Jednak nie zawsze.

– Nie stracę cię, Guin. Nic nie stanie pomiędzy nami. Nic. Ani las, ani mój obmierzły brat, ani ta bestia, ten Urscumug.

Uściskała mnie raz jeszcze.

– Czuwaj nade mną – szepnęła bardzo cicho, całkiem jakby wiedziała, że prosi o coś niemożliwego. – Czuwaj nade mną!

Uśmiechnąłem się wtedy na te słowa. Ja miałem nad nią czuwać? Wszystko, co mogłem, to nie stracić jej z oczu, gdy polowaliśmy na skraju lasu. Kiedy ścigaliśmy zająca albo warchlaka, podstawowym czynnikiem wchodzącym w skład logistyki sukcesu była moja tendencja do zapacania się i zasapywania prawie na śmierć podczas biegu. Guiwenneth była szybka, sprawna i śmiercionośna. Nigdy nie okazywała żadnych oznak poirytowania faktem, że nie byłem w stanie dorównać jej wytrzymałością. Akceptowała nieudane polowanie ze wzruszeniem ramion i uśmiechem. Nigdy za to nie przechwalała się udanym. Zawsze byłem zachwycony i zadowolony z siebie, gdy mogliśmy uzupełnić dietę efektami naszej leśnej strategii i myśliwskich umiejętności.

„Czuwaj nade mną!” Takie proste zdanie, a kazało mi się uśmiechnąć. Tak jest, dostrzegałem, że w sprawach miłości była równie bezbronna, jak ja. Potrafiłem jednak myśleć o niej jedynie jako o potężnej istocie obecnej w moim życiu. Oczekiwałem przewodnictwa Guiwenneth w prawie każdej kwestii. Mogę to przyznać bez wstydu czy zażenowania. Potrafiła niemal bez wysiłku przebiec pół mili przez podszybie i poderznąć gardło czterdziestofuntowej dzikiej świni. Byłem od niej porządniejszy i bardziej systematyczny, przez co wprowadziłem w jej życie wygody, jakich dotąd nie zaznała.

Każdy ma swoje zalety. Umiejętności wykorzystywane w niesamolubny sposób umożliwiają współpracę. Po sześciu tygodniach życia z Guiwenneth i głębokiej miłości do niej, nauczyłem się, jak łatwo jest zwracać się do niej o przewodnictwo, jako że była ekspertem w sztuce przetrwania, łowczynią i pod każdym względem indywidualnością. Postanowiła połączyć swą życiową esencję z moją i rozkoszowałem się tym faktem.

Czuwaj nade mną!

Gdybym tylko to zrobił. Gdybym tylko zdołał nauczyć się jej języka i poznał, z jakich powodów potworny strach dręczy tę najpiękniejszą i najbardziej niewinną z dziewczyn.

– Jakie jest twoje najdawniejsze wspomnienie, Guin?

Wybraliśmy się późnym popołudniem na spacer skrajem lasu na południe, między drzewami a Ryhope. Było pochmurno, ale ciepło. Przygnębienie z poprzedniego dnia minęło i – jak to bywa z młodymi kochankami – trwoga i ból związane z tym, o czym rozmawialiśmy przez tak krótką chwilę, zbliżyły nas do siebie i uczyniły weselszymi. Szliśmy ręką w rękę przez wysoką trawę, omijając starannie wielkie, pełne much placki krowiego łajna. Przez cały czas widzieliśmy w oddali anglo-normańską wieżę kościoła świętego Michała.

Guiwenneth nic nie mówiła, nuciła tylko cicho pod nosem załamującą się, niesamowitą melodię przypominającą nieco muzykę Jaguth. Po Lower Grubbings biegały jakieś dzieci. Rzucały psu patyk i zanosiły się wrzaskliwym, chłopcym śmiechem. Zobaczyły nas i najwyraźniej zdały sobie sprawę, że są tu intruzami, gdyż oddaliły się i zniknęły za wzniesieniem terenu. Histeryczne ujadanie psa niosło się w zastałym powietrzu. Zobaczyłem jedną z dziewcząt Ryhope'ów pędzącą cwałem ścieżką do konnej jazdy w kierunku kościoła.

– Guin? Czy to za trudne pytanie?

– Jakie pytanie, Steven?

Popatrzyła na mnie z błyskiem w ciemnych oczach i śladem uśmiechu na ustach. Drażniła się ze mną na swój sposób. Nim zdążyłem zapytać ją po raz drugi, zostawiła mnie i pognała – w łopoczącej na wietrze białej koszuli i workowatych, flanelowych spodniach – ku skrajowi lasu, by zajrzeć do jego wnętrza.

Gdy się zbliżyłem, uniosła palec do ust i wyszeptała: – Cicho... cicho... och, na boga Cernunnosa!

Moje serce zaczęło bić szybciej. Spojrzałem w ciemność lasu, szukając wśród splątanej roślinności tego, co zobaczyła.

„Na boga Cernunnosa?”



Te słowa były dla mojego umysłu jak uszczyplenia i szturchańce, żartobliwe uderzenia. Powoli zrozumiałem, że Guiwenneth jest w bardzo wesołym nastroju.

– Na boga Cernunnosa! – powtórzyłem.

Roześmiała się i pobiegła ścieżką. Zacząłem ją ścigać. Słyszała moje bluźnierstwa i zaadaptowała je do wierzeń własnej epoki. Normalnie nigdy nie wyraziłaby zaskoczenia podobnym przekleństwem o charakterze religijnym, lecz odwołałaby się do zwierzęcego łajna albo śmierci.

Złapałem ją – co znaczyło, że chciała, bym ją złapał – i zaczęliśmy się mocować na ciepłej od słońca trawie, szamocząc się i wijąc, dopóki któraś z nas się nie podda. Jej miękkie włosy łaskotały moją twarz, gdy pochyliła się, by mnie pocałować.

– No to odpowiedz mi – zażądałem.

Wyglądała na poirytowaną, lecz nie mogła wyrwać się z mojego nagłego uścisku. Zrobiła zrezygnowaną minę. Westchnęła.

– Dlaczego zadajesz mi pytania?

– Dlatego że pragnę usłyszeć odpowiedź. Fascynujesz mnie. Przerażasz. Chcę się dowiedzieć.

– Dlaczego nie potrafisz zaakceptować?

– Czego?

– Że cię kocham. Że jesteśmy razem.

– Poprzedniej nocy powiedziałaś, że nie zawsze będziemy razem...

– Byłam smutna!

– Jesteś jednak przekonana, że to prawda. Ja nie – dodałem z powagą – ale na wypadek... na wszelki wypadek... gdyby coś ci się stało. No dobrze. Chcę się o tobie dowiedzieć wszystkiego. O tobie. Nie o mitycznej postaci, którą wyobrażasz...

Zmarszczyła brwi.

– Nie mówię o historii mitotworu...

Zmarszczyła je jeszcze mocniej. To słowo coś dla niej znaczyło, lecz pojęcie zupełnie nic. Spróbowałem raz jeszcze.

– Przedtem były inne Guiwenneth. Być może w przyszłości będą następne. Nowe wersje ciebie. Jednakże to o tej Guiwenneth chcę się czegoś dowiedzieć.

Podkreśliłem swe słowa wijącym ruchem ręki i uściskiem dłoni. Uśmiechnęła się.

– A co z tobą? Też jestem ciebie ciekawa.

– Później – odparłem. – Ty pierwsza. Jakie są twoje najdawniejsze wspomnienia? Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

Tak jak się tego spodziewałem, przez jej twarz przemknął cień. Zasepiona na chwilę mina wskazywała na to, że moje pytanie dotknęło białej plamy, o której istnieniu wiedziała, lecz nigdy nie przyznawała się do tego przed sobą.

Usiadła i poprawiła koszulę, odrzuciła włosy do tyłu, po czym pochyliła się i zaczęła wrywać z ziemi suchą trawę, owijając sobie włókniste źdźbła wokół palca.

– Najdawniejsze wspomnienie... – powiedziała. Wpatrzyła się w dal. – Jeleń!

Przypomniały mi się odnalezione strony dziennika ojca, spróbowałem jednak wymazać z pamięci jego relację, koncentrując się całkowicie na niepewnych wspomnieniach Guiwenneth.

– Był taki wielki. Taki szeroki grzbiet, taki potężny. Byłam przywiązana do niego, skórzane rzemienie na nadgarstkach trzymały mnie mocno. Nazywałam go Gwil. On mówił na mnie Żołądz. Leżałam między jego wielkimi porożami. Pamiętam je bardzo dobrze. Wyglądały jak gałęzie drzew. Wznosiły się nade mną. Uderzały z trzaskiem o prawdziwe drzewa, ocierały się o korę i liście. Biegł. Czuję jeszcze jego zapach, pot na jego szerokim grzbiecie. Jego skóra była taka twarda i szorstka. Otarłam sobie o nią nogi. Byłam jeszcze taka mała. Chyba krzyczałam i wrzeszczałam na

Gwila: „Nie tak szybko!” Ale on biegł przez las, a ja się trzymałam. Skórzane rzemienie wrzynały mi się w nadgarstki. Pamiętam ujadanie psów. Ścigały go przez las. Był też róg, róg myśliwego. Krzyknęłam do jelenia: „Wolniej”, ale on tylko potrząsnął wielkim łbem i kazał mi trzymać się mocniej. „Czeka nas długi pościg, mały Żołędziu”, powiedział do mnie. Krztusiłam się od jego woni. Zalewał mnie pot. Całe ciało bolało mnie od tej szalonej gonitwy. Pamiętam światło słońca między drzewami. Było oślepiające. Wciąż próbowałam zobaczyć niebo, ale gdy tylko blask słońca przebijał się przez gałęzie, oślepiał mnie. Psy się zbliżyły. Było ich tak wiele. Widziałam mężczyzn biegnących przez las. Róg brzmiał głośno i ochryple. Płakałam. Wydawało mi się, że lecą nad nami ptaki. Gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam ich czarne skrzydła na tle słońca. Nagle jelenź zatrzymał się. Jego oddech przypominał głośny wiatr. Drżał na całym ciele. Pamiętam, jak popęzłam naprzód, ciągnąc za skórzane rzemienie, i ujrzałam wysoką skałę, która zagroziła nam drogę. Odwrócił się. Jego poroża przypominały czarne noże. Opuścił łeb. Zaczął bóść i dźgać psy, które na niego runęły. Jeden z nich wyglądał jak czarny demon. Jego pysk był rozwarty i ociekał śliną. Zęby miał ogromne. Skoczył do mojej twarzy, ale Gwil nadział go na odnogę poroża. Potrząsał nim, aż wypruł mu flaki. Wtedy jednak strzała świsnęła nagle niczym wiatr. Mój biedny Gwil. Padł na ziemię. Psy skoczyły mu do gardła, lecz nadal osłaniał mnie przed nimi. Strzała była dłuższa niż moje ciało. Sterczała z jego falującego boku. Pamiętam, że wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć drzewca i pokrywającej je krwi, ale nie mogłam go poruszyć. Było twarde jak skała, jak coś wyrastającego z jelenia. Mężczyźni odcięli mnie i odciągnęli. Trzymałam się Gwila, gdy umierał, a psy szarpały jego wnętrzności. Żył jeszcze. Spojrzał na mnie i wyszeptał coś, co brzmiało jak leśny wietrzyk. Potem parsknął tylko raz i odszedł... – Guiwenneth zwróciła się w moją stronę. Dotknęła mnie. Łzy spływały jej po policzkach, błyszczały w jasnym

świetle dnia. – Tak jak ty odejdziesz, jak wszystko odejdzie, wszystko co kocham... – Musnąłem jej dłoń i ucałowałem palce.

– Utracę cię. Utracę – dodała smutnym głosem. Nie mogłem odnaleźć słów, by jej odpowiedzieć. Mój umysł był zbyt wypełniony obrazami tego szalonego pościgu. – Wszystko, co kocham, zostaje mi skradzione.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Dzieci, z ich piekielnie hałaśliwym psem, nadbiegły z powrotem wzdłuż skraju lasu. Zobaczyły nas i rozpierzchły się, speszzone i wystraszone, znikając nam z oczu. Palce Guiwenneth zamieniły się w gniazdo splecionych traw. Wetknęła w nie małe, złociste kwiatki, a potem poruszyła dłonią jak jakąś osobliwą żniwną kukiełką. Dotknąłem jej ramienia.

– Ile miałaś lat, gdy to się wydarzyło? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Bardzo mało. Nie pamiętam. To było kilka lat temu.

Kilka lat temu. Uśmiechnąłem się, gdy wypowiedziała te słowa. Pomyślałem, że dwa lata temu jeszcze nie istniała. Patrząc na to piękne, realne, miękkie i ciepłe ludzkie stworzenie, zastanowiłem się, w jaki sposób zachodzi proces genezy. Czy uformowała się ze ściółki leśnej? Czy dzikie zwierzęta zniosły na stos patyki i ułożyły je na kształt kości, a potem, jesienią, usychające liście spadły z drzew i pokryły szkielet leśnym ciałem? Czy była chwila, w lesie, gdy z podszycia wyłoniło się coś przypominającego człowieka, czemu potem nadała doskonały kształt intensywność ludzkiej woli działającej na zewnątrz puszczy? Czy też po prostu nagle... zaistniała. W jednej chwili widmo, a w następnej rzeczywistość, niewyraźna, zjawiskowa wizja, która w mgnieniu oka staje się klarowna i można ją ujrzyć jako realną.

Przypomniałem sobie zdania z dziennika: „Gałęźnik zanika. Jest bardziej mglisty niż wtedy, gdy spotkałem go poprzednio... znalazłem szczątki martwego Zielonego Jasia, rozszarpane przez zwierzęta, ale wykazujące

nietypowy obraz rozkładu... widmowy, biegający kształt na górskim grzbiecie, nie premitotwór, być może następna faza?”

Wyciągnąłem rękę do Guiwenneth, lecz dziewczyna była sztywna w mych ramionach. Dręczyły ją wspomnienia oraz fakt, że nalegałem, by mówiła o czymś, co wyraźnie było dla niej bolesne.

„Jestem z lasu i skały, nie z krwi i kości.”

Słowa, które wypowiedziała kilka dni temu, przeszły mnie dreszczem, gdy je sobie przypomniałem. „Jestem z lasu i skały.” A więc wiedziała. Wiedziała, że nie jest człowiekiem. A mimo to zachowywała się tak, jakby nim była. Być może mówiła w sensie przenośnym; być może miała na myśli swe życie w lesie, tak samo, jak ja mógłbym powiedzieć: „Jestem prochem i pyłem.”

Czy wiedziała? Pragnąłem ją zapytać, płonąłem z chęci zajrzenia do jej umysłu, zobaczenia milczącej polany, na której kochała i którą pamiętała.

– Z czego zrobiono małe dziewczynki? – zapytałem.

Rozejrzała się bacznie wokół, zmarszczyła brwi i uśmiechnęła się, zaskoczona pytaniem, a potem na wpół rozbawiona, gdy mój uśmiech powiedział jej, że jest to rodzaj zagadki.

– Słodkich żołądki, rozgniecionych pszczoł i nektaru dzwonek – odparła.

Skrzywiłem twarz z niesmakiem.

– Jakie to okropne.

– No to z czego?

– Z cukru, wonności i wszelkiej... hmm... – Jak to szło? – ...słodkości.

Zmarszczyła brwi.

– Nie lubisz słodkich żołądki i pszczoł? Są dobre.

– Nie wierzę ci. Nawet brudni Celtowie nie jedliby pszczoł.

– A z czego zrobieni są mali chłopcy? – zapytała szybko. – Z krowiego łajna i pytań – odpowiedziała sobie z chichotem.

– Właściwie to z glist i ślimaków.

Wyglądała na usatysfakcjonowaną.

– Czasem też z tylnych części niedojrzałego płciowo psa – dodałem.

– My też mamy takie rzeczy. Pamiętam, jak Magidion mi mówił. Nauczył mnie bardzo wiele. – Uniosła rękę, by nakazać mi milczenie, podczas gdy się zastanawiała. – Osiem razy wołam na bitwę. Dziewięć na szczęście. Dziesięć na śmierć syna. Jedenaście na smutek. Dwanaście razy o zmierzchu na nowego króla.

Kim jestem?

– Kukułką – odparłem.

– Wiedziałaś!

– Zgadłem – odpowiedziałem zaskoczony.

– Wiedziałaś! Zresztą, to jest pierwsza kukułka. – Zastanawiała się przez chwilę intensywnie, po czym powiedziała: – Jedno białe to szczęście dla mnie. Dwa białe to szczęście dla ciebie. Trzy białe znaczą śmierć. Cztery białe przyniosą miłość.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Końskie kopyta – odparłem.

Guiwenneth klepnęła mnie mocno w nogę.

– Wiedziałaś!

Roześmiałem się.

– Po prostu zgaduję.

– To jest pierwszy obcy koń, którego widzisz pod koniec zimy – wyjaśniła. – Jeśli ma cztery białe kopyta, wykuj podkowę, a zobaczysz w obłokach tego, kogo pokochasz, jadącego na tym samym koniu.

– Opowiedz mi o dolinie. I białym kamieniu.

Wbiła we mnie wzrok, a potem zmarszczyła brwi. Nagle stała się bardzo smutna.

– To miejsce, w którym leży mój ojciec.

– Gdzie to jest? – zapytałem.

– Daleko stąd. Któregoś dnia... – Odwróciła wzrok. Zastanowiłem się, w jakich to wspomnieniach się pograżała? W jakich smutnych reminiscencjach?

– Któregoś dnia, co?

– Któregoś dnia chciałabym tam pójść – odpowiedziała cicho. – Któregoś dnia chciałabym zobaczyć miejsce, w którym Magidion go pochował.

– Chciałbym udać się tam z tobą – stwierdziłem.

Jej zażwione spojrzenie spotkało się na chwilę z moim. Uśmiechnęła się. A potem rozpromieniła.

– Dziura w kamieniu. Oko na kości. Pierścień zrobiony z cierni. Odgłos kuźni. Wszystkie te rzeczy... – zawahała się, spoglądając na mnie.

– Odstraszą duchy? – zasugerowałem.

Zwaliała się na mnie z krzykiem: – Skąd to wiesz?

Bardzo późnym popołudniem ruszyliśmy powoli z powrotem ku domowi. Guiwenneth odrobinę zmarzła. O ile pamiętam, był dwudziesty siódmy sierpnia. Dzień chwilami przypominał jesień, a chwilami lato. Rankiem w powietrzu unosił się chłodek, pierwszy, wywołujący dreszcze zwiastun nowej pory roku. W ciągu dnia rozkwitało lato, teraz zaś jesień ponownie ukazała swój krajobraz. Liście rosnące na samych wierzchołkach drzew zdradzały pierwsze oznaki żółknięcia. Z jakiegoś powodu byłem przygnębiony. Idąc, otoczyłem dziewczynę ramieniem. Czułem, jak jej unoszące się na wietrze włosy łaskoczą mi twarz, a prawa dłoń dotyka mojej piersi. Mojego nagle ponurego nastroju nie poprawił nawet dobiegający od strony domu warkot motocykla.

– Keeton! – oznajmiła z radością Guiwenneth.

Poprowadziła mnie truchtem przez resztę drogi, aż do grupy rzadko rosnących drzewek tworzących gaj. Przeszliśmy lasek krętą drogą, docierając do porośniętej roślinnością bramy. Przedarliśmy się przez

splątane podszybie zarastające płot, który otaczał oczyszczony z drzewek ogród. Większą jego część skrywał cień. Zwisały nad nim mroczne gałęzie owijającego się wokół domu dębu.

Keeton stał pod tylnymi drzwiami, machając ręką i wznosząc w górę dzban piwa produkowanego domowym sposobem na lotnisku Mucklestone.

– Mam coś jeszcze – zawołał, gdy Guiwenneth podbiegła do niego i pocałowała go w policzek. – Cześć, Steven. Skąd ten smutek?

– Zmiana pór roku – odparłem. Wyglądał na rozpromienionego i szczęśliwego. Jego jasne włosy rozczochrały się podczas jazdy. Całą twarz miał brudną, poza miejscami wokół oczu, które osłoniły gogle. Śmierdział olejem i trochę też trzodą chlewną.

Jego dodatkową niespodzianką była ćwiartka świni do upieczenia na rożnie. Tusza wyglądała na bladą i wątłą w porównaniu z chudymi, szarymi zwierzakami, które Guiwenneth przesywała włócznią w głęboko położonych obszarach lasu. Jednakże myśl o wieprzowinie bardziej soczystej i mniej ostrej niż dzikie świnię, do których się przyzwyczaiłem, uradowała mnie niezmiernie.

– Barbecue! – oznajmił Keeton. – Dwaj Amerykanie na lotnisku pokazali mi, jak to się robi. Na dworze. Dziś wieczorem, jak się umyję. Barbecue dla trojga, z piwem, śpiewem i gramy towarzyskimi. – Nagle zrobił lekko zaniepokojoną minę. – Nie przerwałem ci czegoś, staruszk?

– Nie, nie, staruszk.

Jego anglicyzmy często brzmiały afektownie i irytowały mnie.

– Ma potąd – zwrócił się do Guiwenneth, obrzucając mnie rozbawionym spojrzeniem.

Na dobrego boga Cernunnosa, jakże się teraz cieszę, że Keeton wprosił się do nas akurat w owym momencie, w ciągu tych godzin. Choć byłem zły z powodu jego obecności w chwili, gdy próbowałem zbliżyć się trochę do Guin, nigdy nie dziękowałem owemu niebiańskiemu opiekunowi goręcej,



niż później tej nocy, choć, pod pewnym względem, żałowałem, że nie zginąłem.

Ogień płonął. Guiwenneth rozpałała go, podczas gdy Keeton zmontował prymitywny rożen. Świnie otrzymał w zapłacie za dwa dni pracy na sąsiadującej z lotniskiem farmie. Jego samolot był wówczas w naprawie. Pilot ucieszył się z okazji pracy w gospodarstwie, gdzie z radością przyjęto jego pomoc. Dobrze płatna robota przy odbudowie Coventry i Birmingham odciągnęła ze środkowych hrabstw Anglii wielu parobków.

Aby upiec świnie na rożnie, potrzeba znacznie więcej czasu, niż to wydawało się Keetonowi. Las i gaj ogarnęła ciemność. W domu włączyliśmy światła, by skąpały w przyjemnej łunie teren ogrodu, gdzie siedzieliśmy przykucnięci i rozmawialiśmy przy skwierczącym mięsie i płonącym jasno ognisku. Zająłem się płytami, wykorzystując kolekcję tanecznej muzyki zgromadzoną przez rodziców w ciągu lat. Stary, sponiewierany gramofon master's voice wciąż spowalniał obroty. Wpływ piwa, które przywłaszczył sobie Keeton, sprawiał, że nieustanne zwalnianie głosów wzbudzało w nas historyczną wesołość.

O dziesiątej wyciągnęliśmy z ogniska pieczone kartofle, które zjedliśmy z masłem, piklami oraz cienkimi plasterkami pocerniałego mięsa skrojonego z prosiaka. Gdy zaspokoiliśmy głód, Guiwenneth zaśpiewała nam piosenkę w swym języku. Keeton po chwili był w stanie przygrywać jej na małej harmonijce. Gdy poprosiłem ją, by przetłumaczyła słowa, uśmiechnęła się tylko, stuknęła mnie palcem w nos i zaproponowała: – Wyobraź sobie!

– To było o tobie i o mnie – podjąłem próbę. – O miłości, namiętności, potrzebie, długim życiu i dzieciach.

Potrząsnęła głową i oblizała palec, którym właśnie wytarła resztki naszego cennego przydziału masła.

– W takim razie o czym? – zapytałem. – O szczęściu? Przyjaźni?

– Ty niepoprawny romantyku – szepnął Keeton. Okazało się, że miał rację, gdyż pieśń Guiwenneth wcale nie mówiła o miłości, a przynajmniej nie takiej, jaką sobie wyobrażałem.

Przetłumaczyła tekst tak, jak potrafiła.

– Jestem córką wczesnych godzin poranka. Jestem łowczynią, która w świetle brzasku... która w świetle brzasku... – Wykonała gorączkowe ruchy oznaczające rzucanie.

– Ciska? – zasugerował Keeton. – Zarzuca sieć?

– Która w świetle brzasku zarzuca sieć na polanę pełną słońek. Jestem sokołem, który patrzy, jak słońki wzbijają się do lotu i wpadają w sieć, jestem rybą, która... rybą, która... – Wykonała biodrami i ramionami przesadne ruchy na boki.

– Wije się – odpowiedziałem.

– Szamocze się – poprawił Keeton.

– Jestem rybą, która shamocze się w wodzie – ciągnęła – płynąc ku wielkiej, szarej skale znaczącej głębokie rozlewisko. Jestem córką rybaka, który przeszywa rybę włócznią. Jestem cieniem wysokiego, białego kamienia, pod którym leży mój ojciec, cieniem, który wędruje wraz z dniem ku rzece, w której pływa ryba, ku lasom, w których polana słońek jest niebieska od kwiatów. Jestem deszczem, który każe zającowi uciekać, przegania łanię w gąszcz i gasi ogień w środku okrągłego domu. Moimi wrogami są grom oraz naziemne stwory, które pełzają w nocy, ale ja się nie boję. Jestem sercem mego ojca i jego ojca. Lśniaca jak żelazo, szybka jak strzała, silna jak dąb. Jestem krajem.

Te ostatnie słowa: „Lśniaca jak żelazo, szybka jak strzała, silna jak dąb. Jestem krajem.” – zaśpiewała piskliwym głosem, dopasowując je do melodii i rytmu oryginału. Gdy skończyła, uśmiechnęła się i ukloniła.

– Brawo – zawołał głośno Keeton.

Wpatrywałem się w nią przez chwilę ze zdziwieniem.

– A więc to wcale nie o mnie – stwierdziłem.

Guiwenneth roześmiała się.

– O nikim innym jak o tobie – odparła. – Dlatego to zaśpiewałam.

Moje słowa miały być żartem, lecz teraz zbiła mnie z tropu. Nie zrozumiałem jej. Ten skubany Keeton jednak w jakiś sposób to pojął. Mrugnął do mnie.

– Dlaczego nie pójdziecie oboje zbadać terenu. Ja tu zaczekam. No jazda!

Uśmiechnął się.

– Co, u diabła, jest grane? – zapytałem. Powiedziałem to bardzo cicho. Gdy jednak podniosłem się na nogi, Guiwenneth uczyniła to samo. Obciągnęła jaskrawoczerwoną, wełnianą kamizelkę i zlizwała z palców resztki masła oraz świńskiego tłuszczu, nim wyciągnęła do mnie lepką dłoń.

Podeszliśmy do granicy ogrodu i pocałowaliśmy się szybko w miejscu, gdzie rosły młode dąbki. W lesie coś się skradało, być może lisy albo dzikie psy przyciągnięte wonią pieczonego mięsa. Keeton był dziwnie skuloną postacią widoczną na tle płomieni oraz żarzących się iskier ogniska.

– On rozumie cię lepiej ode mnie – odezwałem się.

– Widzi nas oboje. Ty widzisz tylko mnie. Lubię go. To bardzo miły mężczyzna. Ale nie jest moim krzemiennym grotem.

Las wydawał się żywy od ruchu. Nawet Guiwenneth była zdziwiona.

– Powinniśmy uważać na wilki i dzikie psy – powiedziała.

– Mięso...

– W tym lesie chyba nie może być wilków – odparłem. – Dzikiego widziałem. Mówiłaś mi też o dzikich niedźwiedziach...

– Nie wszystkie stworzenia tak szybko przychodzą na skraj lasu. Wilki to stadne zwierzęta. Stado mogło przebywać głęboko w lesie, w dzikiej puszczy. Potrzebowały dużo czasu, by tu dotrzeć. Być może.

Spojrzałem w mrok. Wydawało się, że noc szepcze coś złowieszczo. Zwróciłem się z drzeniem z powrotem w stronę ogrodu. Wyciągnąłem ręce

do Guiwenneth.

– Wracajmy dotrzymać mu towarzystwa.

W tej samej chwili, gdy wypowiadałem te słowa, ciemna postać Keetona podniosła się na nogi. Jego głos był przyciszony, lecz naglący.

– Mamy gości.

Między drzewami rosnącymi gęsto wzdłuż płotu dostrzegłem migotanie pochodni. Głośny hałas powodowany przez zbliżających się ludzi zakłócił nagle szaloną noc. Wróciłem z Guiwenneth do ogniska, na obszar plamy światła padającej z kuchni. Za nami, tam gdzie przed chwilą staliśmy, również pokazały się pochodnie. Szerokim łukiem zbliżały się do ogrodu. Czekaliśmy, starając się usłyszeć jakiś dźwięk, który zdradziłby ich naturę.

Przed nami rozbrzmiała niesamowita melodia Jaguth, grana na wysoko brzmiących piszczałkach, które słyszałem już przedtem. Oboje z Guiwenneth wymieniliśmy szybkie, zachwycone spojrzenia.

– Jaguth. Znowu do nas przyszli! – powiedziała.

– Akurat na czas, by dokończyć naszą świnie – powiedziałem z żalem. Keeton znieruchomiał ze strachu. Nie podobało mi się to, jak te niezwykle, ludzkie stworzenia skradały się ku nam przez mrok.

Guiwenneth podeszła do bramy, by ich przywitać. Krzyknęła coś w swym niezwykłym języku. Zacząłem iść za nią. Wziąłem żagiew z ogniska, by trzymać ją tak, jak oni swe pochodnie. Słodki dźwięk piszczałki nie milknął.

– Co to za ludzie? – zapytał Keeton.

– Starzy przyjaciele, nowi przyjaciele – odparłem. – Jaguth. Nie ma powodu się bać...

W tej samej chwili zdałem sobie sprawę, że piszczałka umilkła, a Guiwenneth zatrzymała się kilka kroków ode mnie. Rozejrzała się wokół, spoglądając na migoczące w ciemności światła. W chwilę później obejrzała się na mnie z pobladłą twarzą, szeroko wybałuszonymi oczyma i rozdziawionymi ustami. Przeszła nagle od zachwyty do przerażenia.

Postąpiła krok ku mnie z moim imieniem na wargach. Zaraziłem się jej nagłą paniką. Wyciągnąłem do niej rękę...

Rozległ się dziwny dźwięk – przypominający świst wiatru czy ochrypły, niemelodyjny gwizd – a potem głuchy łoskot i zdyszany krzyk Keetona. Spojrzałem na niego. Cofał się szybko, wygięty do tyłu. Trzymał się za piersi. Oczy miał mocno zaciśnięte z bólu. W chwilę później padł na ziemię z rozpostartymi ramionami. Z jego ciała sterczało trzystopowe drzewce.

– Guin! – krzyknąłem, odrywając wzrok od Keetona. Nagle wszędzie wokół nas las eksplodował jasnym ogniem, który ogarnął pnie, gałęzie i liście. Ogród otoczyła wielka, huczająca ściana płomienia. Wypadły z niej dwie ciemne, ludzkie postacie. Światło lśniło w metalowych zbrojach oraz krótkich mieczach, które trzymały w dłoniach. Wahały się przez chwilę, spoglądając na nas.

Jedna z nich nosiła złotą maskę jastrzębia. Jej oczy były zaledwie szparkami, uszy zaś wznosiły się nad czubkiem głowy niczym krótkie rogi. Druga miała matowy, skórzany hełm przytrzymywany szerokimi rzemykami. Jastrząb roześmiał się głośno.

– O Boże, nie... – krzyknąłem, lecz Guiwenneth wrzasnęła do mnie: – Łap za broń!

Przemknęła obok mnie ku miejscu, gdzie stał jej oręż, oparty o tylną ścianę domu.

Pognałem za nią, złapawszy swą włócznię o krzemiennym grocie oraz miecz, który dał mi Magidion. Odwróciliśmy się, oparci plecami o ścianę, i spojrzeliśmy na makabryczną bandę zakutych w zbroje mężczyzn, których mroczne sylwetki wychynęły z płonącego lasu i rozbiegły się po ogrodzie.

Nagle dwaj wojownicy popędzili na nas, jeden na Guiwenneth, a drugi na mnie. Mnie wybrał jastrząb.

Runął na mnie tak szybko, że ledwo zdążyłem podnieść włócznię i pchnąć ją w jego kierunku. Wydarzenia zwały się w rozmazaną plamę wygładzonego metalu, ciemnych włosów i spoconego ciała. Jastrząb odbił

mój cios małą, okrągłą tarczą, a potem zdzielił mnie mocno w bok głowy tępą gałką miecza. Opadłem chwiejnie na kolana. Spróbowałem się podnieść, lecz oberwałem tarczą w łeb. Uderzyłem twarzą o twardą i suchą ziemię. Gdy się ocknąłem, skrępował mi już ręce z tyłu, a włócznię wepchnął pod pachy, wiążąc mnie jak indyka.

Przez chwilę czy dwie przyglądałem się, jak Guiwenneth walczy. Broniła się z furją, która mnie zdumiała. Widziałem, jak wbiła sztylet w bark napastnika. Potem ze skraju ogrodu nadbiegł drugi jastrząb. Zwróciła się ku niemu. Ujrzałem w metalu błysk ognia.

Wydało mi się, że dłoń mężczyzny poleciała w stronę drewnitni. Pojawił się trzeci i czwarty. Okrzyk bojowy Guiwenneth brzmiał jak skrzeczący wrzask oburzenia. Ruszała się tak szybko, że obserwując ją, straciłem orientację.

Oczywiście było ich dla niej zbyt wielu. W końcu przewrócono ją, rozbrojono i podrzuciono wysoko w górę. Złapali ją dwaj jastrzębie i choć się opierała, związali ją w taki sam sposób jak mnie.

Pięciu wysokich, ciemnowłosych wojowników nadal siedziało przykucniętych na skraju ogrodu, obserwując koniec starcia.

Mój jastrząb złapał mnie za włosy i zmusił do wstania na nogi, a potem powlókł zgiętego w pól przez ogród w stronę ognia. Rzucił mnie na ziemię w odległości kilku stóp od Guiwenneth. Spoglądała na mnie przekrwionymi oczyma przez loki rozczochranych włosów zasłaniających jej twarz. Wargi miała wilgotne. Widziałem łzy, jasne cętki lśniące w blasku ognia.

– Steven – wyszeptała. Zdałem sobie sprawę, że bolą ją obrzmiałe wargi.  
– Steven...

– To nie może się dzieć – wyszeptałem.

Poczułem, że mnie również napływają do oczu łzy. W głowie mi się kręciło. Wszystko wydawało się tak nierealne. Ciało miałem odrętwiałe na skutek szoku i gniewu. Dźwięk płonącego lasu był głośny, niemal ogłuszający.

Z ognia wciąż wychodzili mężczyźni. Niektórzy prowadzili wielkie konie o ciemnych grzywach, które zaniepokojone rżały i stawały dęba. Ostre krzyki komend przebijały się głośno przez trzask płonącego lasu. Z naszego małego ogniska wzięto żagwie, które wykorzystano do urządzenia blisko domu niewielkiej kuźni. Pozostali członkowie owej bandy mężczyzn zaczęli z szopy i kurników wyłamywać deski. W ciągu tych kilku minut zamieszania, pięć ciemnych postaci wciąż siedziało przykucniętych tuż pod pierścieniem ognia. Teraz podniosły się na nogi i zbliżyły do nas. Najstarszy, który był wodzem, minął ognisko, przy którym przykucnęło już kilku jastrzębi czekających, by podzielić się upieczoną świnia. Napastnik schylił się i za pomocą noża o szerokim ostrzu wykroił sobie potężną porcję z zadu. Wepchnął ją do ust i wytarł palce o gruby płaszcz. Podeszedł do Guiwenneth i zrzucił z siebie ów strój, odsłaniając nagi do pasa tułów. Brzuch miał okazały i obwisły, ramiona grube, a klatkę piersiową potężną. Był to silny mężczyzna, który w średnim wieku się zaniedbał. Zauważyłem, że jego ciało pokrywa siatka blizn i pręg. Na szyi nosił puszczalną z kości. Zagrał na niej, szydząc z nas.

Przykucnął obok dziewczyny i wyciągnął rękę, by unieść jej podbródek. Odsunął włosy z jej twarzy i wykręcił brutalnie żuchwę, by spojrzeć na swą ofiarę. Uśmiechał się pod siwiejącą brodą. Guiwenneth splunęła na niego. Roześmiał się i ten śmiech...

Zmarszczyłem brwi. Odwaga opuściła mnie całkowicie. Siedziałem w blasku ognia, cierpiąc ból, nie mogąc się poruszyć, i wpatrywałem się w tego gruboskórnego, postarzałego wodza.

– Wreszcie cię znalazłem – powiedział.

Jego głos sprawił, że przeszył mnie ból i dreszcz niepokoju.

– Ona jest moja! – krzyknąłem przez łzy, które nagle popłynęły.

Christian popatrzył na mnie i dźwignął się powoli na nogi.

Stał nade mną, stary mężczyzna, zniszczony wojną i obdarty. Jego spodnie cuchnęły moczem. Miecz, który miał zatknięty za szerokim,

skórzanym pasem, wisiał złowieszczo blisko mojej twarzy. Nagłym ruchem podniósł moją głowę za włosy. Drugą dłonią pogłaskał się po splątanej, siwiejącej brodzie.

– Upłynęło tyle czasu, bracie – powiedział zwierzęcym, ochryplym szeptem. – Co mam z tobą zrobić?

Za jego plecami zniknęła już ćwiartka świni. Jastrzębie żarli z zapalem i spluwali w ogień, rozmawiając szeptem. Z domu dobiegał odgłos młota uderzającego w metal. Odbywała się tam gorączkowa naprawa broni oraz uprząży wielkich rumaków, które były przywiązane nie opodal mnie.

– Jest moja – powtórzyłem cicho, wpatrując się w niego przez łyzy. – Zostaw nas w spokoju, Chris.

Spoglądał na mnie przez kilka sekund w przerażającej ciszy. Nagle wyciągnął rękę, podniósł mnie gwałtownie i pchał do tyłu tak długo, aż uderzyłem mocno w drewnianą ścianę szopy. Ryczał przy tym z gniewu. Jego nieświeży, cuchnący oddech przyprawiał mnie o mdłości. Twarz, odległa od mojej o kilka cali, gdy wpatrywał się we mnie z wściekłością, była zwierzęca, nie ludzka, lecz mimo to zaczynałem teraz poznawać oczy, nos i wargi mojego brata, przystojnego młodzieńca, który opuścił dom zaledwie rok temu.

Krzyknął coś grubym głosem i jeden z jego starszych wojowników rzucił mu kawał sznura z pętlą na końcu. Powróż był szorstki i kłujący. Christian przełożył mi go przez głowę, zacisnął na mojej szyi i przerzucił wolny koniec liny nad szopą. W chwilę później sznur napiął się, a pętla podciągnęła w górę, aż stanąłem na palcach. Mogłem oddychać, lecz nie byłem w stanie rozluźnić mięśni. Zacząłem z wysiłkiem wciągać powietrze. Christian uśmiechnął się i uniósł śmierdzącą dłoń, by zatkać mi nozdrza i usta.

Przebiegł mi palcami po twarzy. Był to niemal zmysłowy dotyk. Gdy usiłowałem zaczerpnąć oddechu, odsłonił moje usta. Z wdzięcznością wciągnąłem do płuc powietrze. Przez cały czas przypatrywał mi się z



zainteresowaniem, jak gdyby rozpaczliwie poszukiwał jakiegoś wspomnienia tego, co nas kiedyś łączyło, braterskiej przyjaźni. Jego palce niczym kobiece pieściły moje czoło, policzki, brodę oraz miejsce, gdzie sznur stykał się z rozdartą skórą na szyi. W ten sposób odnalazł amulet w kształcie liścia dębu, który nosiłem. Na jego widok zmarszczył brwi. Położył sobie srebrny liść na dłoni i wpatrzył się w niego.

– Skąd to masz? – zapytał, nie spoglądając na mnie. Wyglądał na zdumionego.

– Znalazłem.

Przez krótką chwilę nie mówił nic. Potem zerwał mi rzemień z szyi i uniósł dębowy liść do swych warg.

– Gdyby nie to, zginąłbym. Kiedy go zgubiłem, sądziłem, że mój los jest przypieczętowany. Teraz go odzyskałem. Odzyskałem wszystko...

Odwrócił się, by spojrzeć na mnie. Szukał wzrokiem mych oczu, mojej twarzy.

– Upłynęło tyle lat... – wyszeptał.

– Co się z tobą stało? – zdołałem wydyszeć. Sznur dławił mnie i drażnił skórę. Christian przyglądał się moim cierpieniom, poruszeniom moich warg, ciemnymi, lśnącymi oczyma, w których nie było współczucia.

– Zbyt wiele rzeczy – odparł. – Szukałem zbyt długo. Wreszcie jednak ją znalazłem. Zbyt długo uciekałem... – Odwrócił ode mnie tęskne spojrzenie. – Być może ucieczka nigdy się nie skończy. On wciąż mnie ściga.

– Kto?

Popatrzył na mnie.

– Bestia. Urscumug. Stary. Żeby oślepl! Niech go piekło pochłonie! Idzie za mną jak pies, który zwęszył trop. Zawsze jest niedaleko. Zawsze w lesie. Zawsze tuż pod fortem. Zawsze, zawsze bestia. Jestem zmęczony, bracie. Naprawdę zmęczony. Nareszcie... – Spojrzał na bezwładną postać dziewczyny. – Nareszcie mam jedyną rzecz, której pragnąłem. Guiwenneth, moją Guiwenneth. Jeśli zginę, zginiemy razem. Nie dbam już o to, czy

mnie kocha. Będę ją miał. Wykorzystam ją. Uczyni śmierć dobrą. Zainspiruje mnie do podjęcia ostatniej próby zabicia bestii.

– Nie mogę ci pozwolić jej zabrać – powiedziałem to bez nadziei w głosie.

Christian zmarszczył brwi, a potem się uśmiechnął. Nie powiedział jednak nic. Oddalił się w stronę ognia. Szedł powoli, pogrążony w myślach. Zatrzymał się i popatrzył na dom.

Jeden z jego ludzi, długowłose wojownik odziany w łachmany, podszedł do ciała Harry’ego Keetona, odwrócił je i przeciął nożem koszulę, po czym wznosił nóż nad jego piersią. Zatrzymał się i powiedział coś w obcym języku. Christian popatrzył na mnie, po czym odpowiedział wojownikowi. Ten podniósł się ze złością na nogi i wrócił sztywnym krokiem do ognia.

– Człowiek z moczarów się gniewa – wyjaśnił Christian. – Chcieli zjeść jego wątrobę. Są głodni. Świnia była mała. – Uśmiechnął się. – Powiedziałem „nie”. Z uwagi na twoje uczucia.

Podszedł do domu i zniknął wewnątrz. Wydawało mi się, że nie było go przez długi czas. Guiwenneth tylko raz podniosła wzrok. Twarz miała mokrą od łez. Popatrzyła na mnie. Jej wargi poruszyły się, lecz nie dosłyszałem żadnego dźwięku. Nie wiedziałem, co chce mi powiedzieć.

– Kocham cię, Guin – zawołałem. – Wydostanę nas stąd. Nie martw się.

Jednak moje słowa nie zrobiły na niej wrażenia. Jej zmaltretowana twarz ponownie opadła na dół. Dziewczyna klęczała przy ogniu, związana i strzeżona.

Wokół mnie, w ogrodzie, zapanowała bezładna aktywność. Jeden z koni wpadł w panikę. Stanął dęba i wierzgał, usiłując zerwać postronek. Niektórzy z mężczyzn łazili z kąta w kąt, inni kopali dół, a jeszcze inni przykucnęli przy ogniach, rozmawiając i śmiejąc się głośno. W nocy płonący las stanowił przerażający widok.

Gdy Christian ponownie wyszedł z domu, jego siwo-czarna, wystrzępiona broda była zgolona, a długie, przetłuszczone włosy uczesane i

związane w kitkę. Twarz miał szeroką i silną, nawet jeśli jego policzki były lekko obwisłe. Niesamowicie przypominał ojca, takiego, jakim go zapamiętałem z lat przed moim wyjazdem do Francji. Christian był jednak grubszy i mocniej umięśniony. W jednym ręku trzymał miecz i pas, a w drugiej butelkę wina o równo utraconej szyjce. Wina?

Podszedł do mnie, pociągnął z flaszki i oblizał ze smakiem wargi.

– Tak myślałem, że nie znajdziesz zapasu – oznajmił. – Czterdzieści butelek najlepszego bordo. Nie umiem sobie wyobrazić słodszy smaku. Napijesz się trochę? – Pomachał mi przed nosem obtłuczoną butelką. – Łyk przed śmiercią. Toast za braterskie uczucia, za przeszłość. Za zwycięstwo i klęskę. Napij się ze mną, Steve.

Potrząsnąłem głową. Christian przez chwilę wydawał się zawiedziony. Następnie odrzucił głowę do tyłu i zaczął łać sobie czerwone wino w rozwarte usta. Przerwał dopiero wtedy, gdy się zakrztusił. Roześmiał się. Podał butelkę najbardziej groźnie wyglądającemu ze swych kompanów, człowiekowi z moczarów, temu, który miał ochotę rozpruć zwłoki Harry'ego Keetona. Ów wypił resztki i cisnął flaszkę w las. Pozostałość ukrytego zapasu wina, którego nie udało mi się odkryć, wyniesiono na zewnątrz w zaimprovizowanych workach i rozdzielono między jastrzębi, którzy mieli go transportować.

Pożar lasu zaczął przygasać. Bez względu na to, co go spowodowało, jaki był to rodzaj magii, zaklęcie traciło moc. W powietrzu unosił się silny zapach drzewnego popiołu. Na skraju ogrodu pojawiły się nagle dwie bardzo dziwne postacie, które zaczęły biec wzdłuż jego obwodu. Były niemal nagie. Ich ciała – poza twarzami, które były czarne – pokrywała biała kreda. Włosy miały długie, lecz podtrzymywane skórzanymi opaskami przewiązаныmi wokół ciemienia. W rękach trzymały długie pałki wykonane z kości, którymi wskazywały na drzewa. Tam gdzie przeszły, płomienie rozpały się na nowo i pożar wybuchał równie wściekle jak przedtem.

Wreszcie wrócił do mnie Christian. Zdałem sobie sprawę, że przyczyną zwłoki, dziwnego wrażenia przerwy, był fakt, że nie wiedział, co ze mną zrobić. Wyciągnął nóż i wbił go z impetem w drewno szopy obok mnie. Oparł się całym ciężarem na rękojeści, wspierając brodę na dłoniach. Skupił spojrzenie nie na mnie, lecz na pociągniętych smołą deskach. Był zmęczonym, znużonym człowiekiem. Mówiło mi o tym wszystko, od jego oddechu aż po wory pod oczyma.

– Postarzałeś się – odezwałem się, wskazując na oczywisty fakt.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się ze znużeniem, po czym zaczął mówić powoli: – Tak. Chyba się postarzałem. Dla mnie upłynęło wiele lat. Zapuściłem się daleko w głąb, próbując uciec przed bestią. Ona jednak była związana z sercem lasu i nie mogłem przed nią umknąć. To jest dziwny świat, Steven. Niezwykły i straszliwy świat ukryty za polaną na górskim grzbiecie. Stary wiedział tak dużo, a zarazem tak mało. Wiedział o sercu lasu. Widział je, słyszał o nim, albo je sobie wyobrażał, ale jedyna prowadząca tam droga, którą znał... – przerwał i popatrzył na mnie osobiście.

Potem uśmiechnął się raz jeszcze i wyprostował. Dotknął mojego policzka i potrząsnął głową.

– Co, na leśną nimfę Handryamę, mam z tobą zrobić?

– Co ci przeszkadza zostawić mnie i Guiwenneth, byśmy żyli szczęśliwie tak długo, jak nam się uda? Zrobić to, co musisz zrobić i wrócić, albo porzucić las i przenieść się na otwartą przestrzeń. Wróć do nas, Christian.

Ponownie wsparł się na nożu, znajdował się tak blisko mnie, że z łatwością mógłbym dotknąć wargami jego twarzy. On jednak nie patrzył na mnie.

– Nie potrafiłbym już tego zrobić – odparł. – Przez jakiś czas, gdy wędrowałem ku wnętrzu, tak, wtedy mogłem wrócić. Jednak pragnąłem jej. Wiedziałem, że gdzieś tam będzie, gdzieś głęboko w lesie. Podążałem

śladem legend o niej, zapuszczałem się w góry i doliny, gdzie je opowiadano. Zawsze wydawało mi się, że spóźniłem się o kilka dni. Bestia skradała się za mną. Dwukrotnie stoczyłem z nią bój, ale nie przyniósł on rozstrzygnięcia. Stałem, mój bracie, na wzgórzu, najwyższym wzgórzu, gdzie zbudowano kamienny kaprys i zająłem do serca lasu, miejsca, gdzie będę bezpieczny. Teraz, gdy odszukałem już moją Guiwenneth, tam właśnie się udam. Gdy się tam znajdę, mam nadzieję, że odzyskam jej miłość. Tam też chcę dożyć swych lat. Tam będę bezpieczny. Bezpieczny przed bestią. Przed starym.

– Idź tam sam, Chris – odezwałem się. – Guiwenneth kocha mnie i nic tego nie zmieni.

– Nic? – powtórzył i znów uśmiechnął się ze znużeniem. – Czas może zmienić wszystko. Nie mając nikogo innego, kogo mogłaby pokochać, pokocha mnie...

– Spójrz na nią, Chris – powiedziałem gniewnie. – Branka. Zrozpaczona. Nie zależy ci na niej bardziej niż na twoich jastrzębiach.

– Zależy mi na tym, żeby ją mieć – odparł cicho z groźbą w głosie. – Polowałem zbyt długo i zapuściłem się podczas łowów zbyt daleko, by przejmować się bardziej subtelnymi aspektami miłości. Zmuszę ją, by mnie pokochała, nim nadejdzie zgon. Będę się nią cieszył aż do tej chwili...

– Ona nie jest twoja, Chris. To mój mitotwór...

Zareagował z nagłą gwałtownością. Walnął mnie pięścią w policzek tak mocno, że dwa moje zęby wygięły się do tyłu. Przez ból i krew wypełniającą mi usta usłyszałem, jak mówi: – Twój mitotwór nie żyje! Ona jest moja. Twoją zabiłem przed kilkoma laty. Jest moja! Gdyby nie to, nie zabierałbym ci jej.

Wyplułem krew z ust.

– Być może nie należy do żadnego z nas. Ma własne życie, Chris.

Potrząsnął głową.

– Zgłaszam do niej pretensje. Nie ma o czym dyskutować.

Gdy zacząłem mówić, uniósł dłoń i ścisnął brutalnie moje wargi, uciszając mnie. Drzewce włóczni wepchnięte pod pachy sprawiało mi taki ból, że byłem pewien, iż zaraz mi pękną kości. Pętla wpiła się mocniej w moją skórę.

– Czy mam pozwolić ci żyć? – zapytał niemal zadumany.

Z gardła wyrwały mi się jakieś dźwięki. Ścisnął mi wargi jeszcze mocniej. Wyrwał nóż z desek i wymierzył go we mnie. Dotknął mojego nosa jego zimnym czubkiem, a następnie opuścił ostrze i trącił nim delikatnie moje podbrzusze.

– Mógłbym pozwolić, by życie pozostało w twym ciele... ale cena... – trącił mnie jeszcze raz – ...cena byłaby bardzo wysoka. Nie mógłbym się zgodzić, byś żył... jako mężczyzna... po tym, gdy poznałeś kobietę, do której zgłaszam pretensje...

Groza sparaliżowała mnie, gdy dotarło do mnie, na jaki pomysł wpadł mój brat. Krew uderzyła mi do głowy. Doznałem szoku. Niemal nie mogłem dostrzec Christiana.

Puścił moje wargi, lecz nadal zakrywał mi usta dłonią. Ze strachu, oniemiały z przerażenia, zacząłem płakać. Moim ciałem wstrząsało łkanie, które rodziło się głęboko wewnątrz. Christian zbliżył się, mrużąc oczy. Zmarszczył brwi, niezadowolony z wielu rzeczy.

– Och, Steve – powiedział. Powtórzył ową znużoną, smutną wypowiedź. – Mogłoby być... jak mogłoby być? Dobrze? Nie sądzę, by mogło być dobrze. Niemniej chciałbym cię znać w ciągu minionych piętnastu lat. Były chwile, gdy tęskniłem za twym towarzystwem, chciałem z tobą porozmawiać albo być... – Uśmiechnął się. Palcem wskazującym otarł mi łzy z policzków. – Być normalnym człowiekiem wśród innych normalnych ludzi – dokończył.

– To może wrócić – wyszeptałem.

On jednak potrząsnął głową, nadal zasmucony.

– Niestety nie.

Po wypełnionej myślami przerwie spojrział na mnie i dodał: – I żałuję tego.

Zanim któryś z nas zdążył powiedzieć coś więcej, zza płonących drzew dobiegł przerażający dźwięk. Christian odwrócił się ode mnie i popatrzył w stronę lasu. Wyglądał tak, jakby przeżył szok; szok, który niemal doprowadził go do furii.

– Nie tak blisko... nie może być tak blisko...

Był to ryk dzikiej bestii. Stłumiła go odległość oraz hałas czyniony przez otaczającą mnie bandę wojowników, nie rozpoznałem więc od razu wrzasku dzikopodobnego stwora, Urscumuga. Gdy dźwięk zabrzmiał po raz drugi, okazał się znajomy.

Towarzyszył mu odległy jęk, a także trzask łamanych i odrzucanych na bok drzew oraz gałęzi. W ogrodzie jastrzębie, wojownicy i dziwni ludzie pochodzący z niemożliwych do rozpoznania kultur, przystąpili szybko do akcji. Zebrali ekwipunek, założyli uprząże pięciu koniom i zaczęli wykrzykiwać rozkazy, przygotowując się do odwrotu.

Christian skinął na dwóch ze swych jastrzębi, którzy podnieśli Guiwenneth na nogi, wyciągnęli jej spod pach drzewce włóczni, rzucili dziewczynę na szeroki grzbiet konia i sprawnie związali pod jego brzuchem.

– Steven! – krzyknęła, usiłując mnie zobaczyć.

– Guiwenneth! O mój Boże, nie!

– Szybko! – krzyknął Christian.

Powtórzył rozkaz w innym języku. Głos Urscumuga słychać było coraz wyraźniej. Szarpałem krępujący mnie sznur, lecz związano go zbyt mocno i pewnie.

Drużyna najemników przemieszczała się szybko w kierunku lasu po południowej stronie ogrodu, gdzie dwóch z nich zważyło płot, nim przystąpili do przeskakiwania przez płomienie trawiące gaj, by uciec z ogrodowej polany.

Wkrótce większość z nich zniknęła. Pozostał tylko Christian, człowiek z moczarów i jeden z dziwnych, pomalowanych na biało Neolityków. Ów starożytny wojownik trzymał konia, na którym leżała związana Guiwenneth. Człowiek z moczarów zniknął za szopą. Poczułem, jak pociągnął za pętlę, która zacisnęła mi się na szyi.

Christian zbliżył się do mnie. Ponownie potrząsnął głową. Ogień wokół nas płonął jasno. Odgłosy zbliżania się bestii były coraz wyraźniejsze. Oczy zaszyły mi łzami. Christian stał się ciemną plamą na tle jasnego płomienia.

Bez słowa sięgnął dłońmi do mojej twarzy, nachylił się nade mną i przycisnął wargi do moich ust. Pocałunek trwał dwie albo trzy sekundy.

– Było mi ciebie brak – powiedział cicho. – I nadal będzie.

Następnie cofnął się, spojrział na człowieka z moczarów i bez chwili zwłoki, i bez emocji nakazał mu: – Powieś go.

Odwrócił się plecami i wydał głośno rozkaz stojącemu przy koniu mężczyźnie. Ten poprowadził zwierzę w stronę płonącego gaju.

– Chris! – krzyknąłem.

Brat jednak mnie zignorował.

W chwilę później poczułem, jak szarpnięcie uniosło mnie nad ziemię. Pętla wpiła się głęboko, gwałtownie mnie dusząc. Zachowałem jednak świadomość i choć stopy dyndały mi nad gruntem, udawało mi się oddychać. Wilgoć zamgliła mi wzrok. Ostatnią rzeczą, którą widziałem, były długie, piękne włosy Guiwenneth opadające z boku zwierzęcia, które ją niosło. Zahaczyły o zniszczony płot. Miałem wrażenie, że jeden kasztanowaty kosmyk, albo i dwa, pozostał z tyłu, zaczepiony o drewno.

Potem zaczęła zamykać się wokół mnie ciemność. Usłyszałem huk morza uderzającego o skały oraz ogłuszające skrzeczenie drapieżnego ptaka czy jakiegoś podobnego padlinożernego stworzenia. Jasny ogień przerodził się w jasną plamę. Moje wargi poruszyły się, lecz nie mogłem wydać żadnego dźwięku...



Między moim wiszącym ciałem a płonącymi drzewami poruszyło się coś ciemnego. Zamrugalem powiekami i rozpaczliwie spróbowałem krzyknąć. W tej krótkiej chwili odzyskałem wzrok. Zdałem sobie sprawę, że patrzę na nogi i dolną część tułowia Urscumuga. Odór zwierzęcego potu i łajna był przytłaczający. Stwór pochylił się nade mną. Załzawionymi oczyma widziałem ostre, odrażające rysy człowieka-dzika, pomalowane na białą i obramowane sterczącym głogiem oraz liśćmi. Usta otworzyły się i zamknęły w osobliwej imitacji mowy. Słyszałem jedynie syczący dźwięk. Dostrzegałem jego skośne, przenikliwe oczy. Oczy mojego ojca. Otaczająca je twarz krzywiła się i uśmiechała, całkiem jakby wypełniała się radością, że wreszcie dopadł jednego ze swych niepoprawnych synów.

Wokół mojego pasa zamknęła się wyposażona w pazury dłoń. Zacisnęła się mocno i uniosła mnie ku połyskującym szczękcom. Usłyszałem śmiech, ludzki, jak mi się zdawało, po czym potrząśnięto mną tak mocno – jak pies potrząsa ptakiem – że straciłem świadomość i owa przerażająca chwila przeszła do królestwa snów.

Nagle rozległ się dźwięk przywodzący na myśl rój os, który stopniowo ucichł. Usłyszałem śpiew ptaków. Oczy miałem otwarte. Kształty i cienie wirowały wokół mnie, zmieniając formy. Stopniowo przerodziły się w obraz nocy, gwiazd, chmur i ludzkiej twarzy.

Całe ciało oprócz szyi miałem odrętwiałe. Zaczynałem odnosić wrażenie, że ktoś wbija mi w nią igły aż do kości. Sznur, na którym mnie powieszono, nadal ją otaczał, lecz obok mnie, na zimnej ziemi, leżał jego odcięty koniec.

Usiadłem powoli. Nasze ognisko wciąż jasno płonęło. W powietrzu unosiła się przykra woń popiołu, krwi i zwierzęcia. Odwróciłem się i ujrzałem Harry'ego Keetona.

Spróbowałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem ruszyć językiem. Nie rozległ się żaden dźwięk. Oczy zaszyły mi łzami. Keeton wyciągnął rękę i

poklepał mnie po ramieniu. Leżał na boku, wsparty na jednym łokciu. Z piersi wstrętnie sterczało mu złamane drzewce strzały. Podnosiło się i opadało z każdym wysiłonym oddechem.

– Zabrali ją – powiedział. Potrząsnął głową, dzieląc mój żal. Skinąłem głową, choć było to trudne. – Nie mogłem nic poradzić... – ciągnął Keeton.

Sięgnąłem po odcięty sznur i wydałem z siebie ochrypły dźwięk, pytając pilota, co się zdarzyło.

– Ta bestia – odparł. – Ten odyńcowaty stwór. Podniósł cię do góry. Potrząsnął tobą. Mój Boże, co za stworzenie. Chyba myślał, że nie żyjesz. Obwąchał cię dokładnie, a potem zostawił wiszącego. Przeciąłem sznur twoim mieczem. Myślałem, że jest już za późno.

Spróbowałem powiedzieć: „dziękuję”, lecz nie wydałem z siebie żadnego dźwięku.

– Zostawili to – oznajmił Keeton.

Pokazał mi srebrny, dębowy liść. Christian musiał go zgubić. Wyciągnąłem po niego rękę i zacisnąłem palce na zimnym metalu.

Leżeliśmy w ciemniejącym ogrodzie, wpatrując się w jasne strumienie iskier wzbijające się ku niebu z tłących się drzew. Twarz Keetona wydawała się niesamowicie blada w blasku ognia. W jakiś sposób obaj ocaliliśmy życie. Blisko świtu pomogliśmy sobie nawzajem wrócić do domu, gdzie ponownie padliśmy z nóg, dwa zbolełe, poranione stworzenia, drżące i wstrząśnięte.

Płakałem przynajmniej przez godzinę nad Guiwenneth, z gniewu, nad utratą wszystkiego, co kochałem. Keeton zachował milczenie. Zaciskał mocno szczęki, trzymając się prawą dłonią za ranę powstałą od strzały, jakby chciał zatamować upływ krwi.

Byliśmy parą zrozpaczonych wojowników.

Przeżyliśmy jednak ten dzień, a gdy odzyskałem siły, poszedłem do dworu, by wezwać pomoc dla rannego lotnika.

# CZĘŚĆ TRZECIA

*Serce lasu*

# KU WNĘTRZU

Z dziennika ojca, grudzień 1941:

Napisałem do Wynne-Jonesa, nakłaniając go do powrotu. Spędziłem ponad pięć tygodni w głębi puszczy, tymczasem w Oak Lodge upłynęło tylko około dwóch. Nie miałem żadnego poczucia przesunięcia w czasie, gdyż zima w lesie była równie łagodna i długotrwała, jak w domu. Śniegu było mało, nie więcej niż drobna zadymka. Niewątpliwie upływ czasu – nasuwa mi się wniosek, że ma on charakter „relatywistyczny”? – jest tym większy, im bardziej człowiek zbliża się do serca lasu.

Odkryłem czwartą ścieżkę wiodącą do jego środka, drogę przejścia poza zewnętrzne strefy ochronne, choć wrażenie dezorientacji jest silne. Trasa jest niemal nazbyt oczywista: przepływający przez las strumień, który C i S nazywają „byстрыm potokiem”. Po dwóch dniach podróży ku wnętrzu maleńka rzeczka rozrasta się do rozmiarów prawdziwej rzeki! Nie potrafię sobie wyobrazić, jak równoważy się przepływ wody. Czy w pewnym punkcie przeradza się w gwałtowny strumień? Rzekę taką jak Tamiza?

Szlak prowadzi przez świątynię koni, Kamienny Wodospad, aż do miejsca, gdzie są ruiny, a zapewne ciągnie się jeszcze dalej. Spotkałem *shamiga*. Pochodzą z Europy, z wczesnej epoki brązu, sprzed być może dwóch tysięcy lat przed naszą erą. Są płodnymi twórcami legend. Tak zwaną „opowiadającą życie” jest młoda dziewczyna – pomalowana na zielono – ma niewątpliwie talenty „parapsychiczne”. *Shamiga* są mitycznym ludem, wiecznymi strażnikami rzecznych brodów. Dzięki nim poznałem naturę wewnętrznego królestwa oraz drogę do serca lasu, która prowadzi poza strefę ruin i „wielkiej rozpadliny”. Słyszałem o potężnym ogniu, który powstrzymuje pierwotną puszcze leżącą w samym sercu królestwa.

Martwię się tym, iż wciąż czuję się zmęczony. Muszę wrócić do Oak Lodge, ponieważ podróż jest zbyt wyczerpująca, zbyt trudna. Być może młodszy człowiek... kto wie? Muszę zorganizować ekspedycję. Las wciąż stawia mi przeszkody, broni się z tym samym wigorem, który na początku sprawił, że podróż nawet przez jego peryferie była przerażającym doświadczeniem. *Shamiga* jednak mają w rękach wiele kluczy. Są przyjacielem wędrowca. Spróbuję odkryć ich ponownie, nim nadchodzące lato dobiegnie końca.

*Shamiga są przyjacielem wędrowca. Mają w rękach wiele kluczy.*

*Nie mam żadnego poczucia przesunięcia w czasie...*

*Dziewczyna działa na mnie niepowstrzymanie. J widziała to, ale cóż mogę zrobić? To leży w samej naturze mitotworu...*

Jakże wielką pociechą stał się dla mnie ten niekompletny, nie dający mi spokoju dziennik w dniach po owej bolesnej, rozdzierającej serce nocy. *Shamiga* mieli w rękach klucze do wielu spraw. Bystry potok był drogą prowadzącą głębiej w las. A ponieważ Christian pochodził z zewnątrz, pocieszałem się myślą, że on również jest skazany na „szlaki” i że będę w stanie za nim podążyć.

Czytałem dziennik tak, jakby od niego zależało moje życie. Być może obsesja miała swe pozytywne strony. Zamierzałem wyruszyć za bratem, gdy tylko odzyskam siły i gdy Keeton będzie w stanie podróżować. Nie sposób było odgadnąć, które z prostych spostrzeżeń bądź komentarzy ojca będą miały w jakiejś późniejszej fazie kluczowe znaczenie.

Harry Keeton otrzymał pomoc medyczną w bazie lotniczej stanowiącej ośrodek jego działań. Rana nie wyglądała zbyt groźnie, z pewnością jednak uszkodzenie było poważne. Wrócił do Oak Lodge trzy dni po napadzie. Rękę miał na temblaku. Jego ciało było słabe, lecz duch mocny i witalny. Siłą woli nakazywał sobie wrócić do zdrowia. Wiedział, jakie są moje zamiary i chciał wyruszyć ze mną. Podobała mi się myśl o jego towarzystwie.

Mnie musiały zagoić się dwie rany. Przez trzy dni nie mogłem mówić i byłem w stanie przełykać jedynie płyny. Czułem się słaby i wytrącony z równowagi. Moje członki odzyskały siłę, ale rozpacz nawiedzała mnie, ukazując mi uporczywie przed oczyma obraz Guiwenneth przerzuconej brutalnie przez koński grzbiet i wiezionej gdzieś poza zasięg mego wzroku. Myśl o niej nie pozwalała mi zasnąć. Wypłakałem więcej łez, niż uznałbym to za możliwe. W pewnej chwili, jakieś trzy dni po napadzie, mój gniew osiągnął punkt szczytowy. Dałem mu irracjonalny wyraz w serii ataków hysterii. Świadkiem jednego z nich był lotnik, który stawiał czoło mej obelżywej napaści i pomógł mi się uspokoić.

Musiałem ją odzyskać. Legendarna postać czy nie, Guiwenneth z zielonej puszczy była kobietą, którą kochałem. Moje życie nie mogło toczyć się dalej, dopóki ona nie będzie znowu bezpieczna. Pragnąłem rozwalić i zmiażdżyć czaszkę swego brata w taki sam sposób, w jaki rozwalałem wazony i krzesła w owej serii gwałtownych napadów szału.

Musiałem jednak odczekać tydzień. Po prostu nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak mam się przedzierać przez gęsty bór, nie ulegając przy tym kompletnemu wyczerpaniu. Odzyskałem głos, wróciły mi siły, przygotowałem się i poczyniłem plany.

Datę wyruszenia ustaliłem na siódmy września.

Harry Keeton przybył do Oak Lodge na godzinę przed świtem. Słuchałem warkotu jego motocykla przez kilka minut, nim jasne światło reflektora omiotło ciemny korytarz i hałaśliwy silnik umilkł. Przebywałem w dębowej klatce, zwinięty w rozwidleniu, w którym spędziłem tak wiele czasu z Guiwenneth. Myślałem, rzecz jasna, o niej. Byłem zły na Keetona za to, że się spóźnił, a jednocześnie za to, że przyjechał i wyrwał mnie z melancholii.

– Jestem gotowy – oznajmił, wchodząc przez frontowe drzwi. Był wilgotny od kropli rosy. Pachniał wygarbowaną skórą i benzyną. Poszliśmy

do jadalni.

– Wyruszymy z pierwszym brzaskiem – stwierdziłem. – To znaczy, jeśli możesz się ruszać.

Keeton aż za dobrze przygotował się do wyprawy. Potraktował spodziewaną podróż bardzo poważnie. Miał na sobie skórzany kombinezon motocyklisty, pilotkę z tego samego materiału, ciężkie buciory i wypchany plecak, u pasa zaś dwa noże. Jeden z nich był narzędziem o szerokim ostrzu, którego zapewne zamierzał używać jak maczety podczas przedzierania się przez gąszcz. Gdy lotnik się ruszał, grzechotały garnki i rondle.

– Pomyślałem sobie, że mądrze będzie się przygotować – powiedział, ściągając z ramion ogromny wór.

– Przygotować do czego? – zapytałem z uśmiechem. – Niedzielnej pieczeni? Walca w lesie? Przyniosłeś ze sobą swój styl życia. Nie będziesz tego wszystkiego potrzebować. A już z pewnością nie zdołasz tego dźwigać.

Ściągnął obcisłą pilotkę i podrapał się po płowych włosach. Ślad po oparzeniu na dolnej części jego twarzy był jaskrawoczerwony. Oczy mu błyszczały, częściowo z podniecenia, a częściowo z zażenowania.

– Myślisz, że przesadziłem?

– Jak z twoim barkiem?

Wyciągnął rękę i zamachnął się nią na próbę.

– Goi się dobrze. Nienaruszony. Jeszcze dwa, trzy dni, a będę jak nowy.

– W takim razie na pewno przesadziłeś. Nie dasz rady dźwigać tego plecaka na jednym ramieniu.

Wyglądał na lekko zmartwionego.

– A co z tym?

Mówiąc to, zdjął karabin lee-enfield, który miał przewieszony przez plecy. Była to ciężka broń, wiedziałem to z własnego doświadczenia. Śmierdziała smarem w miejscach, gdzie ją wyczyścił i zabezpieczył przed

wodą. Z kieszeni skórzanego płaszcza wyciągnął pudełko z amunicją. Z kieszeni na piersi wydobył rewolwer, naboje do niego zaś z zasuwanej na zamek błyskawiczny kieszeni nogawic. Podczas tego procesu rozładowywania objętość Keetona zmniejszyła się o połowę. Znacznie bardziej przypominał teraz szczupłego lotnika z minionych dni.

– Pomyślałem sobie, że mogą się przydać – powiedział.

Pod pewnym względem miał rację, potrząsnąłem jednak głową. Jeden z nas musiałby je nieść, a wędrówka przez gęstą puszcze nie sprzyjała dźwiganiu niedorzecznie ciężkich ładunków. Ramię Keetona goiło się szybko, lecz z pewnością zaczęłoby cierpieć, gdyby naraził ranę na zbyt wiele ocierania i nacisku. Moje obrażenia również się goiły i czułem się silny, ale nie na tyle, bym mógł obciążyć swą szyję dodatkowymi dwudziestoma funtami karabinu.

W lesie z pewnością są karabiny. Raz już zetknąłem się z rusznicą. Nie miałem pojęcia, czy w puszczy występują postacie bohaterów z bardziej współczesnych epok ani też jaką broń mogą posiadać.

– Może rewolwer – stwierdziłem. – Harry... człowiek, na poszukiwanie którego wyruszamy, żyje w sposób prymitywny.

Wybrał miecz i włócznię. Zamierzam rzucić mu wyzwanie w taki sam sposób.

– Potrafię to zrozumieć – odparł cicho Keeton. Sięgnął po rewolwer i schował go do kabury pod pachą.

Rozpakowaliśmy jego plecak, wyjmując z niego rozmaite przedmioty, co do których zgodziliśmy się, że będą raczej zawadą niż pomocą. Zabraliśmy wystarczające na tydzień zapasy żywności w postaci chleba, sera, owoców i solonej wołowiny. Wzięcie ze sobą maty i lekkiego namiotu wydawało się dobrym pomysłem. Pełne manierki też się zapewne przydadzą na wypadek, gdybyśmy znaleźli tylko zatrutą wodę. Brandy, spirytus do celów leczniczych, plastry, krem antyseptyczny, maść przeciwgrzybicza, bandaże: wszystko to wydawało się niezbędne. Zapakowaliśmy jeszcze po talerzu dla



nas obu, emaliowane kubki, zapaliki oraz mały zapas całkowicie suchej słomy. Resztę zawartości naszych plecaków stanowiły ubrania, po jednym komplecie na zmianę dla obydwu. Najcięższym przedmiotem była nieprzemakalna peleryna, którą dostałem z dworu. Skórzany kombinezon Keetona również był sporym brzemieniem, lecz wydawało się, że warto go zabrać, chronił ciało przed utratą ciepła i zabezpieczał przed wodą.

Wszystko to spakowaliśmy z myślą o podróży przez zagajnik, który potrafiłbym obieć wkoło przez niewiele więcej niż godzinę! Jak szybko obaj zaakceptowaliśmy nadprzyrodzoną część lasu Ryhope!

Christian zabrał oryginał mapy. Rozłożyłem kopię, którą sporządziłem z pamięci i pokazałem Keetonowi trasę, jaką zamierzałem wyruszyć, wzdłuż rzeczki, ku miejscu zaznaczonemu jako „kamienny wodospad”. Oznaczało to przejście przez dwie strefy, z których jedną, jak pamiętałem, oznaczono jako „strefę oscylującego podejścia”.

Christian miał nad nami jakiś tydzień przewagi, byłem jednak pewien, że potrafię odnaleźć ślady jego marszu.

O pierwszym brzasku wziąłem w rękę swą włócznię o kamiennym grocie i przypiąłem celtycki miecz, który dał mi Magidion. Następnie, uroczyście, zamknąłem na klucz tylne drzwi do Oak Lodge. Keeton rzucił jakiś kiepski żarcik o kartkach dla mleczarzy, ucichł jednak, gdy zwróciłem się w stronę dębowego gaju i ruszyłem przed siebie.

Wszędzie widziałem obrazy Guiwenneth. Serce waliło mi szybko, gdy wspominałem jastrzębi wyskakujących spomiędzy płonących drzew, które zregenerowały się szybko i porosły już pełnym, letnim listowiem. Dzień miał być upalny i bezwietrzny. Dębowy gaj wydawał się nienaturalnie cichy. Przeszliśmy przez jego rzadkie podszycie i wydostaliśmy się na leżącą dalej, otwartą, połyskującą rosą przestrzeń. Następnie ruszyliśmy w dół zbocza ku bystremu potokowi oraz porośniętemu mchem ogrodzeniu, które zdawało się strzec lasu duchów przed położoną na zewnątrz krainą śmiertelników.

*Odkryłem czwartą drogę wiodącą do głębszych stref lasu. Sam strumień. Wydaje się to teraz tak oczywiste. Trasa wodna! Jestem przekonany, że można ją wykorzystać, by dotrzeć do samego serca lasu. Ale czas, zawsze czas!*

Keeton pomógł mi wyrwać starą bramę z miejsca, gdzie przybito ją do drzewa. Była na wpół zagrzebana w piaszczystym brzegu strumienia. Oderwała się od gwoździ, przyczepionych do niej wodorostów, zgnilizny, mchu i dzikiej róży. Za bramą potok stawał się szerszy i głębszy. Tworzył niebezpieczne rozlewisko otoczone splątanymi zaroślami głogu. Wszedłem do wody na bosaka, z podwiniętymi nogawkami, i zacząłem brodzić wzdłuż brzegu, uważnie trzymając się korzeni i gałęzi tej pierwszej, całkiem naturalnej strefy ochronnej. Dno rozlewiska było z początku śliskie, a potem miękkie. Nogi opływała mi zimna i pienista woda.

W chwili gdy wkroczyliśmy w ten sposób na obszar ociekającego wilgocią lasu, ogarnął nas ziąb, poczucie odcięcia od rozjaśniającego się na zewnątrz dnia.

Keeton posuwał się naprzód, ślizgając się po dnie. Pomogłem mu wygramolić się z wody na błotnisty brzeg. Musieliśmy się schylić, by przedrzeć się przez gąszcz pokrytych łapiącymi za ubranie cierniami chaszczy oraz krzewów dzikiej róży. Posuwaliśmy się wzdłuż brzegu. Widniały tam resztki płotu sprzed dziesięcioleci, tak przegniłe, że rozpadały się przy dotknięciu. Pomyślałem, że witający jutrzeńkę chór ptaków jest przytłumiony, choć nad nami, wysoko wśród ciemnych liści, poruszało się ich wiele.

Mrok nagle się rozproszył. Wyszliśmy na bardziej odsłonięty odcinek brzegu, gdzie usiedliśmy, by wysuszyć stopy i wciągnąć buty.

– To nie było takie trudne – stwierdził Keeton, wycierając krew z zadrapanego cierniem policzka.

– Dopiero zaczęliśmy – odparłem.

Roześmiał się.

- Chciałem nas tylko podtrzymać na duchu. – Rozejrzał się wokół. – Jedno jest pewne. Twój brat i jego gromadka tędy nie przechodzili.
- Będą jednak zmierzać w stronę rzeki. Wkrótce natrafimy na ich trop.

Zamierzam prowadzić ten dziennik jako świadectwo tego, co mnie spotyka. Jest kilka powodów. Zostawiłem list, który je wyjaśnia. Mam nadzieję, że ktoś kiedyś przeczyta mój pamiętnik. Nazywam się Harry Keeton. Mieszkam w Buxford na Middleton Gardens 27. Mam trzydzieści cztery lata. Dziś jest siódmy września 1948. Data jednak nie ma już znaczenia. To jest DZIEŃ PIERWSZY.

Spędzamy swą pierwszą noc w lesie duchów. Szliśmy przez dwanaście godzin. Żadnego śladu Christiana, koni czy G. Jesteśmy w miejscu odkrytym przez ojca Stevena. Nazwał je Polaną Małego Kamienia. Dotarliśmy tu przed zmierzchem. To doskonały punkt, by wrócić do siebie po wysiłku towarzyszącym wędrówce oraz by coś zjeść. Tak zwany mały kamień jest masywnym blokiem piaskowca o wysokości czternastu stóp (zgodnie z naszą oceną) oraz obwodzie dwudziestu kroków. Jest bardzo wyszczerbiony, zerodowany, zwietrzały itd. Steven znalazł na nim niewyraźne znaki, w tym również inicjały swego ojca: GH. Jeśli to jest mały kamień, to ciekawe...

Jestem dogłębnie wyczerpany. Bark bardzo mi dokucza, zdecydowałem się jednak na „bohaterskie” rozwiązanie i nie wspomnę o tym, o ile S nic nie zauważy. Całkiem nieźle radzę sobie z dźwiganiem plecaka, ale gramolenia się i fizycznego wysiłku jest znacznie więcej, niż oczekiwałem. Rozbiliśmy namiot. Wieczór jest ciepły. Las wydaje się całkiem normalny. Szum strumienia słyhać wyraźnie, choć jest to nie tyle strumień, co mała rzeka. Gęste podszycie zmusiło nas do oddalenia się od brzegu. W lesie daje się już wyczuć coś, co przeczy doświadczeniu. Wielkie drzewa, gigantyczne i naturalne, bez śladów przycinania czy zbierania gałęzi, porastają wielkie połacie kniei. Sprawiają wrażenie, jakby były ustawione w jakimś obronnym szyku. Gdy zasłona liści jest gęsta, podszycie jest rzadkie i idzie się łatwo. Oczywiście jednak jest bardzo ciemno. Odpoczywamy pod tymi gigantycznymi drzewami w całkiem naturalny sposób. Cały las oddycha i wzdycha. Jest tu dużo kasztanowców,

więc puszcza nie jest „pierwotna”, rośnie w niej też jednak wielka obfitość dębów i leszczyny oraz całe gaje jesionów i buków. Sto lasów w jednym.

Keeton zaczął prowadzić dziennik owej pierwszej nocy, lecz robił to tylko przez kilka dni. Sądzę, że miał on być tajemnicą, jego ostatnim świadectwem dla świata na wypadek, gdyby coś mu się przytrafiło. Potyczka w ogrodzie, rana od strzały, która omal go nie zabiła, moja relacja o tym, jak niewiele brakowało, by stał się pieczoną wątrobą, wszystko to wzbudziło w nim złe przeczucia, których głębszą naturę pojąłem dopiero znacznie później.

Zaglądamy co noc ukradkiem do dziennika, gdy mój towarzysz już spał, przekonałem się, że cieszy mnie owo małe ognisko normalności. Dowiedziałem się, na przykład, że jego bark sprawia mu kłopoty i pilnowałem, by go sobie zbyt nie przeciążał. Był też nader pochlebnego zdania o mnie: „Steven jest dobrym, zdeterminowanym piechurem. Jego stanowczość, świadomie czy nieświadomie, wiedzie go nieomylnie ku wnętrzu. Dodaje mi wiele otuchy, mimo gniewu i żalu, które gotują się tuż pod powierzchnią”.

Dziękuję ci, Harry. W ciągu tych pierwszych kilku dni podróży ty również dodawałeś mi wiele otuchy.

Pierwszego dnia nasza wędrówka była długa, lecz prosta. Drugiego było inaczej. Choć podążaliśmy wzdłuż „trasy wodnej”, ochronne bariery lasu wciąż bardzo utrudniały nam życie.

Po pierwsze, dezorientacja. Łapaliśmy się na tym, że wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Niekiedy można było zauważyć zmianę kierunku postrzegania. Dręczyły nas zawroty głowy. Wśród podszycia zapadała nadnaturalna ciemność. Odgłos rzeki przemieszczał się z lewej strony na prawą. Przerażało to Keetona, a i mnie niepokoiło. Im bliżej brzegu wędrowaliśmy, tym mniej wyraźny był ów efekt. Samą rzekę jednak osłaniała przed nami, praktycznie nie do przebycia, bariera ciernistych krzewów.

W jakiś sposób pokonaliśmy pierwszą strefę ochronną. Las zaczął nas straszyć. Wydawało się, że drzewa się poruszają. Spadały na nas konary... jedynie w naszej wyobraźni, lecz nim zdaliśmy sobie z tego sprawę, zdążyliśmy zareagować wywołującym wyczerpanie szokiem. Niekiedy mieliśmy wrażenie, że ziemia drży i się rozstępuje. Czuliśmy wyziewy, ogień, coś przypominającego odór rozkładu. Gdy szliśmy uparcie naprzód, złudzenia znikwały.

Keeton napisał w swym dzienniku: „To samo nękanie, którego doświadczyłem uprzednio. I równie przerażające. Czy jednak znaczy to, że jestem blisko? Nie mogę zacząć oczekiwać zbyt wiele”.

Potem rozpętał się wiatr. Ta burza z pewnością nie była złudzeniem. Wicher zawodził między drzewami. Zrywał z nich liście. Gałązki, jeżyny, ziemia, kamienie, wszystko to na nas runęło. Musieliśmy się skryć. Trzymaliśmy się drzew w obawie o własne życie. Groziło nam, że wichura zdmuchnie nas z powrotem tam, skąd przyszliśmy. By uciec przed tym niewiarygodnym huraganem, musieliśmy przedzierać się przez cierniste krzaki porastające brzeg rzeki. Potrzebowaliśmy całego dnia, by pokonać nie więcej niż jakieś pół mili. Gdy wreszcie rozbiliśmy obóz na noc, byliśmy posiniaczeni, pokaleczeni i wyczerpani.

Nocą prześladowały nas głosy zwierząt. Ziemia wibrowała, namiotem gwałtownie trzęsło, a w ciemności jarzyły się światła rzucające na brezent niesamowite, drobne cienie. Nie spaliśmy nawet minuty. Następnego dnia jednak najwyraźniej przedarliśmy się przez barierę ochronną. Pokonaliśmy spory kawałek drogi i na koniec przekonaliśmy się, że możemy z większą łatwością dotrzeć do rzeki.

Keeton zaczął doświadczać tworzenia się premitotworów. Czwartego dnia stał się podenerwowany. Od tego czasu podrywał się wstrząśnięty, nakazywał mi sykiem zachowanie ciszy i przykuczał, by przeszukać wzrokiem las. Wyjaśniłem mu, jak odróżniać prawdziwe postacie od urojonych kształtów premitotworów, lecz po przerażających przeżyciach

pierwszych dni nie czuł się spokojny. Nie uspokoił się jeszcze przez długi czas. Co do prawdziwych form mitotworowych, owego pierwszego, spokojnego dnia słyszeliśmy jedną, ale nie widzieliśmy żadnej.

Czy jednak na pewno?

Dotarliśmy do miejsca zaznaczonego na mapie ojca jako „Kamienny Wodospad”. Często czynił o nim wzmianki. Rzeka – nasz maleńki bystry potok – poszerzyła się do około dziesięciu stóp. Była rwącym strumieniem krystalicznie czystej wody płynącym przez rzadki las porastający brzegi, które były raczej piaszczyste niż błotniste. Miejsce sprawiało wrażenie odsłoniętego. Cudownie byłoby w nim obozować i w rzeczy samej znaleźliśmy pozostałości obozowiska: kawałki sznura oraz wgłębienia na drzewach w miejscach, gdzie wbito w nie złącza. Nie było jednak żadnych śladów ani znaków ognia i choć poczułem nagłą radość na myśl, że jesteśmy na tropie Christiana, musiałem przyznać, że obozował tu mitotwór i to dawno temu.

W miarę oddalania się od rzeki, teren wznosił się coraz bardziej stromo, pokryty lasem cienkich drzew, głównie buków. Wyrastały z ziemi, która była usiana wielkimi głazami oraz wyszczerbionymi, ciemnymi wyniosłościami skalnymi. Na mapie widniał skrót prowadzący przez owo wzniesienie. Odcinał on zakręt rzeki, którego brzeg zaznaczono jako „niebezpieczny odcinek”.

Odpoczęliśmy, a potem oddaliliśmy się od strumienia i ruszyliśmy przez bukowy las. Właziliśmy na strome stoki, czepiając się smukłych pni drzew. Każda kamienna wychodnia przypominała jaskinię. Przed wieloma z nich widać było oznaki bytowania zwierząt.

Droga była trudna. Rzeka pod nami zniknęła z zasięgu naszego wzroku i słuchu. Cisza leśna otoczyła nas całkowicie. Z uwagi na obolały bark Keeton z trudem posuwał się naprzód. Twarz miał tak czerwoną, że straszliwe blizny po poparzeniu w ogóle nie były widoczne.

Minęliśmy omszałe skały na grani i zaczęliśmy schodzić ku rzece po ich przeciwnej stronie. Na stoku stał wielki głaz pochylony pod ostrym kątem. Wyglądał – Keeton również zwrócił uwagę na ten fakt – jak menhir, który się omsknął. Zahamowaliśmy ostro i pobieглиśmy w jego stronę. Uderzyliśmy mocno i gwałtownie w jego gładką powierzchnię. Keetonowi zaparło dech w piersiach.

– Co ty na to! – zawołał, przebiegając palcem wzdłuż wzoru, który wykuto głęboko w kamieniu. Było to oblicze wilka na tle diamentu. Erozja zatarła drobniejsze szczegóły.

– Ciekawe czy kogoś tu pochowano?

Okrażył głaz, wciąż się o niego opierając. Rozejrzałem się wokół i zdałem sobie sprawę, że z podszycia bukowego lasu wznosi się co najmniej dziesięć podobnych, choć mniejszych monolitów.

– To cmentarz – wyszeptalem.

Keeton stał pod imponującym pomnikiem, podnosząc ku niemu wzrok. Gdzieś na zboczu rozległ się trzask pękającego drewna i głośny łoskot kamienia osuwającego się ku rzece.

Grunt lekko się zatrząsł. Rozejrzałem się niespokojnie, zastanawiając się, czy coś się zbliża.

– Chryste Panie! – krzyknął Keeton. Przeniosłem natychmiast wzrok z powrotem na niego. Zobaczyłem, że gramoli się z obłędem w oczach w moją stronę. Minęło około sekundy, nim dotarło do mnie, co się dzieje.

Potężny głaz zaczął się poruszać, obalać powoli do przodu.

Keeton zdołał umknąć. Monolit przewrócił się majestatycznie, złamał dwa młode, smukłe drzewka i ześliznął się powoli jakieś czterdzieści jardów w dół zbocza, pozostawiając po sobie wielką, ziejącą wyrwę.

Przysunęliśmy się do czeluści i zajrzeliśmy do niej ostrożnie. Na dnie dziury, ledwie widoczne pod ubitą ziemią, leżały ludzkie kości, wciąż zakute w zbroję. Spoglądając na nas czaszkę roztrzaskał cios. Smukły, ostro zakończony hełm z zielonego, lecz jaskrawego metalu ułożono nad

głową. Ręce wojownika skrzyżowano na spłaszczonym napierśniku. Metal wyglądał na wypolerowany, choć był zaśniedziały. Keeton sądził, że to brąz.

Gdy tak staliśmy, spoglądając z czcią na zwłoki, z napierśnika opadła ziemia i szkielet zaczął się poruszać. Keeton krzyknął przerażony. Poczułem, że każdy narząd w moim ciele skręca się ze strachu. Był to jednak tylko wąż, jaskrawo ubarwiona żmija. Wyśliznęła się spod klatki piersiowej i próbowała wpełznąć po ziemnym stoku grobu.

Ten krótki ruch całkowicie pozbawił nas obu odwagi.

– Boże Wszechmogący.

To było wszystko, co powiedział Keeton. Dodał jedynie: – Zmiatajmy stąd.

– To tylko szkielet – odparłem. – Nie zrobi nam krzywdy.

– Jemu ktoś zrobił krzywdę – ujął trafnie Keeton.

Złapaliśmy plecaki i zaczęliśmy ześlizgiwać się w dół zbocza, ku zapewniającym lepszą ochronę drzewom nad rzeką. Roześmiałem się, gdy znaleźliśmy się ponownie w miejscu, które wydawało się bezpieczne, lecz Keeton wciąż wpatrywał się przez gęsto rosnące drzewa w kamienną grań, na której stał megalit.

Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzałem łatwy do rozpoznania błysk światła w zielonym metalu. Po krótkiej chwili zniknął.

Dzień piąty. Piąta noc. Zimniej. Jestem bardzo zmęczony. Bark mocno mi doskwiera. Steven również wykończony, lecz bardzo zdeterminowany. Incydent z monolitem był bardziej przerażający, niż potrafię się do tego przyznać. Ściga nas wojownik. Jestem o tym przekonany. Widzę błyski światła w jego zbroi. Słyszę hałas jego wędrówki przez podszycie. Steven mówi, że powinienem o tym zapomnieć. Mamy broń, która pozwoli nam poradzić sobie ze ścigającymi. Wierzy w nasze siły. Jednak myśl o walce z tym stworem... Okropność!



Prześladują mnie owe obrazy na granicy pola widzenia. S opowiadał mi o nich, nim wyruszyliśmy, ale nie miałem pojęcia, jak silnie potrafią wyprowadzać z równowagi. Postacie, grupy, nawet zwierzęta. Czasami dostrzegam je bardzo wyraźnie. Przerazające wizje. S mówi, że zaczynam je kształtować, że one nie istnieją i że bym, zanim się do nich nie przyzwyczaję, spróbował koncentrować się tylko na tym, co widzę przed sobą.

Dziś w nocy widzieliśmy na drugim brzegu wilki, które próbowały nas wywęszyć. Było ich razem pięć. Wielkie bestie roztaczające zjełczałą woń. W dodatku tak pewne siebie. Nie wydały żadnego dźwięku. Były całkiem realne. Oddaliły się bezgłośnie w stronę skraju lasu.

Idziemy już przez pięć dni. Według moich obliczeń w sumie sześćdziesiąt godzin. Mój zegarek się zepsuł – z powodów, których nie potrafię podać. Steven nie wziął swojego. Maszerujemy jednak w przybliżeniu sześćdziesiąt godzin, a to oznacza co najmniej osiemdziesiąt albo dziewięćdziesiąt przebytych już mil. Nie dotarliśmy jeszcze do miejsca, w którym na moich fotografiach widać było postacie i budynki. Przyjrzeliliśmy się tym zdjęciom w świetle pochodni. Moglibyśmy przejść cały las już ze dwadzieścia razy, a wciąż jesteśmy na jego skraju.

Boję się. To jednak z pewnością jest las duchów. A jeśli S ma rację we wszystkim, co mówi, awatar oraz miasto będą i tutaj, i szkodę będzie można naprawić. Boże, czuwaj nade mną i prowadź mnie!

„Awatar oraz miasto będą i tutaj...”

„Szkodę można będzie naprawić...”

Przeczytałem te słowa raz jeszcze, gdy Keeton spał cicho tuż obok. Ogień tlił się słabo. Był niewiele więcej niż migotliwym płomieniem. Dołożyłem do niego dwie szczapy drewna. Iskry posypały się w noc. W ciemności wokół nas słyhać było odgłos skradania się, wyraźny i odbierający odwagę, oraz nieustanny szum bystrego potoku.

„Awatar oraz miasto będą i tutaj...”

Popatrzyłem na drzemiącego Keetona, po czym schowałem ostrożnie mały notes z powrotem do wodoszczelnej kieszeni jego plecaka.

A więc związek łączący Keetona z lasem Ryhope – lasem duchów, jak go nazywał – był czymś głębszym. Nie tylko ciekawość skłoniła go, by mi towarzyszył. Był już kiedyś w podobnej puszczy. Spotkało go tam coś więcej, niż mi wyznał.

Czy natknął się w tamtym lesie na mitotworową postać? Awatar, ziemskie wcielenie Boga? Jaką szkodę miał na myśli? Swój ślad po oparzeniu?

Jak bardzo chciałbym z nim o tym porozmawiać. Nie mogłem jednak wyjawić, że czytałem jego dziennik, a on tylko przelotnie wspominał o lesie duchów we Francji. Miałem nadzieję, że z czasem powierzy mi swą tajemnicę: strach, poczucie winy czy żądzę zemsty.

Zwinęliśmy obóz w godzinę po pierwszym brzasku. Nocą niepokoiły nas dzikie zwierzęta, zapewne wilki. Spoglądając na mapę, którą mieliśmy ze sobą, odnosiliśmy niesamowite wrażenie widząc, jak daleka droga pozostała jeszcze przed nami i jak blisko skraju lasu wciąż byliśmy. Szliśmy już tak wiele dni, a mimo to nasza podróż ledwie się zaczęła. Keetonowi zaakceptowanie zmieniających się relacji przestrzeni i czasu sprawiało wielkie trudności. Co do mnie, zastanawiałem się, co uczyni z nami dzika puszcza.

Jeszcze do niej bowiem nie dotarliśmy. Keeton powiedział mi, że teren cmentarza pokrywał w pradawnych czasach las odroślowy. Las Ryhope, rosnąc dziko, powrócił na swym skraju do naturalnej postaci, lecz wszędzie pełno było śladów obecności człowieka. Keeton pokazał mi, co miał na myśli: wielki, pienny dąb, który minęliśmy na dole, zasiał się sam i wyrósł do swych majestatycznych rozmiarów bez ludzkiej ingerencji, w pobliżu zaś rósł buk, który zgrabnie ścięto na wysokości dziesięciu stóp nad ziemią, aczkolwiek kilkaset lat temu. Powstała w efekcie wiązka nowych odrośli, która wyrosła z przyciętego drzewa, pogrubiała do kilku potężnych,

przypominających pnie konarów sięgających do nieba i rzucających na podszycie głęboki cień.

Czy jednak przycinał go człowiek, czy też mitotwór?

Przechodziliśmy przez strefy zamieszkane przez takie niezwykle leśne istoty jak Gałęźnik, Zieloni Jasiowie czy Artur, a według dziennika ojca również przez całe społeczności: shamiga, bandy banitów, cygańskie wioski, wszystkie mityczne ludy kojarzone, czy to ze względu na strach czy na magię, z gęstym lasem.

Niewykluczone też, że mijaliśmy strefę genezy samej Guiwenneth. Jak wiele Guiwenneth w Penn Ev istniało? Guiwenneth, córka wodza. Jak wiele ich wędrowało po tej rozległej puszczy? Był to świat umysłu i ziemi, królestwo leżące poza zasięgiem rzeczywistych praw rządzących przestrzenią i czasem, olbrzymi obszar, w którym było pod dostatkiem miejsca dla tysiąca takich dziewcząt, wytworów ludzkich umysłów z miasteczek i wiosek otaczających majątek, na którego terenie rósł las Ryhope.

Jakże za nią tęskniłem! Keeton miał rację, pisząc o furii kipiącej tuż pod powierzchnią. Były chwile, gdy ogarniał mnie niepohamowany gniew. Niemal nie mogłem znieść obecności swego towarzysza. Oddalałem się sztywnym krokiem w gąszcz, tłukłem we wszystko, co było pod ręką, dygotałem z wściekłości z powodu tego, co zrobił nam mój brat.

Upłynęło już wiele dni od napadu. Z pewnością był o całe mile przed nami. Nie trzeba było zwlekać! Miałem teraz tak mało szans, by ją odnaleźć. Las był ogromną krainą, pierwotnym miejscem, nieskończenie szerokim.

Okresy depresji mijały. W połowie szóstego dnia wędrówki odnalazłem dowód obecności Christiana w postaci, której się nie spodziewałem, dowód, który wskazał niedwuznacznie, że mój brat bynajmniej nie jest aż tak daleko przed nami.

Już niemal od godziny wędrowaliśmy wzdłuż brzegu rzeki tropem jelenia. Kobierzec szczyru trwałego i orlic był tu rzadki. Na odcinkach pokrytych miękkim błotem ślad małego rogacza był tak wyraźny, że nawet dziecko mogłoby go dostrzec. Drzewa skupione były blisko wody. Ich sięgające nad rzekę gałęzie niemal spotykały się ponad nią, tworząc niesamowity, milczący tunel. Snopy światła przebijały się przez prześwity w listowiu, wspaniale oświetlając świat zmarłych, przez który ścigaliśmy naszą zwierzynę.

Jeleń był mniejszy, niż się spodziewałem. Stał, dumny i czujny, nie opodal gąszczu, w miejscu, gdzie brzeg rzeki był szeroki i suchy. Zwierzę było tak znakomicie wtopione w tło ciemnego lasu znajdującego się za nim, że Keeton miał trudności z jego zauważeniem. Zbliżyłem się ostrożnie, kryjąc się, z rewolwerem mojego towarzysza w rękę. Zbyt mocno pragnąłem świeżego mięsa, by miała mi przeszkadzać haniebna metoda polowania. Wystrzeliłem jedną kulę, tuż nad odbytem zwierzęcia. Odpryski kręgosłupa podziurawiły skórę na odcinku dwóch stóp wzdłuż grzbietu. Jeleń został okaleczony. Skoczyłem na niego, kładąc szybki kres jego męczarniom. Sprawiwszy go tak, jak pokazywała mi Guiwenneth, rzuciłem z uśmiechem na twarzy surowy comber Keetonowi i powiedziałem mu, by rozpałił ognisko. Lotnik był blady i zde gustowany. Odskoczył od surowego, okrwawionego mięsa, po czym popatrzył na mnie zdumiony.

– Już to kiedyś robiłeś.

– W rzeczy samej. Będziemy przez jakiś czas jeść do syta.

Zachowamy kilka funtów pieczonego mięsa na jutro. Zabierzemy też dwa udźce. Tyle, ile zdołamy udźwignąć.

– A reszta?

– Resztę zostawimy. Odwróci na chwilę od nas uwagę wilków.

– Na pewno? – wyszeptał. Podniósł ostrożnie jeleni comber i zaczął strzepywać z niego zeschnięte liście oraz ziemię.

Gdy zbierał drewno na ognisko, wciągnął głośno powietrze z przerażenia i zawołał mnie. Stał za gąszczem, wpatrując się w grunt. Podszedłem do niego. Ponownie poczułem odór, na który – muszę przyznać – zwróciłem uwagę już wtedy, gdy zacząłem tropić jelenia: smród rozkładającego się zwierzęcia znacznych rozmiarów.

Źródłem tego odoru były ludzkie zwierzęta w liczbie dwóch. Keetona lekko zemdliło. Zamknął oczy.

– Popatrz na mężczyznę – powiedział.

Schyliłem się, spoglądając przez mrok, i zobaczyłem, co miał na myśli. Mostek ofiary rozłupano takim samym ruchem, jaki człowiek z moczarów chciał zastosować wobec samego Keetona, by wydobyć ze zwłok wątrobę.

– To Christian – stwierdziłem. – On ich zabił.

– Nie żyją od dwóch, trzech dni – ocenił Keeton. Widywałem trupy we Francji. Są wiotkie, widzisz? – Schylił się, wciąż dygocząc, i poruszył kostką dziewczyny. – Zaczynają puchnąć. Cholera. Była młoda... popatrz na nią...

Usunąłem zarośla otaczające zwłoki. Zabici z pewnością byli młodzi. Kochankowie, pomyślałem, oboje zupełnie nadzy, choć dziewczyna miała jeszcze na szyi łańcuszek z kości, a chłopak wokół łydek pasma wygarbowanej skóry. Wyglądało na to, że sandały, które nosił, zdarto z trupa w zbyt brutalny sposób. Pięści dziewczyny były zaciśnięte. Wyciągnąłem rękę. Palce rozwarły się z wielką łatwością. W obu dłoniach trzymała po jednym, złamanym piórze kuropatwy. Pomyślałem o płaszczu Christiana, który był obramowany podobnymi ozdobami.

– Powinniśmy ich pochować – oznajmił Keeton. Zauważyłem, że w oczach ma łzy. Jego nos był wilgotny. Lotnik schylił się i wyjął dłoń chłopaka z dłoni jego kochanki, po czym odwrócił się, zapewne po to, by poszukać dobrego miejsca na pogrzeb.

– Kłopoty – wyszeptał.

Ja również się odwróciłem. Doznałem szoku na widok otaczającego nas pierścienia rozgniewanych mężczyzn. Wszyscy poza jednym – starszym facetem, który był ich wodzem – naciągnęli łuki i wymierzili strzały we mnie albo w Keetona. Jeden z nich dygotał. Jego łuk się kołysał, a strzała wędrowała między moją twarzą a piersią. Po szarej farbie, którą ów mężczyzna pomalował sobie twarz, spływały wielkie strugi łez.

– On strzeli – syknął Keeton. Zanim zdążyłem odpowiedzieć: „Wiem”, ów wyraźnie zrozpaczony osobnik wypuścił strzałę.

W tej samej chwili stojący obok niego starszy mężczyzna uniósł laskę i uderzył nią w brzeg łuku. Strzała spowodowała jedynie nagły, szokujący dźwięk. Przemknęła między Keetonem a mną i wbiła się w rosnące głębiej w lesie drzewo.

Pierścień tajemniczych mężczyzn nie ruszył się z miejsca. Wszyscy mierzyli w nas. Zrozpaczony strzelec stał bez ruchu, zbity z tropu i rozgniewany. Łuk zwisał bezwładnie u jego boku. Wódz wystąpił naprzód. Patrzył nam prosto w oczy. Zauważył, że w ręku trzymam włócznię z kamiennym grotem. Pachniał słodko. Dziwne zjawisko. Słodko jak jabłka, całkiem jakby wysmarował sobie ciało sokiem z tych owoców. Włosy miał splecione w pięć warkoczy i pomalowane, tworzyły niebieskie oraz czerwone zwoje spirali.

Spojrzał na leżące za nami ciała obojga młodych i powiedział coś otaczającym go ludziom. Łuki opuszczono, a strzały zdjęto z cięciw. Wódz zorientował się już, że nie żyją od wielu dni, lecz aby się upewnić przebiegł palcem po grocie mojej włóczni. Zachichotał, po czym sprawdził mój miecz, który zrobił na nim spore wrażenie, oraz noże Keetona, które go zdziwiły.

Oba ciała wyciągnięto na otwartą przestrzeń w pobliżu rzeki i opleciono sznurem. Zrobiono dwie pary noszy, bardzo prymitywnych, i z czcią ułożono na nich zwłoki. Wódz grupy przykucnął nad dziewczyną,

wpatrując się w jej twarz. Usłyszałem, jak mówi: – Uth guerig... uth guerig...

Mężczyzna, który był ojcem dziewczyny (albo chłopaka, trudno to było określić) ponownie rozplakał się bezgłośnie.

– Uth guerig – szepnąłem na głos.

Starszy mężczyzna spojrział na mnie. Wyrwał pióro kuropatwy z prawej dłoni dziewczyny i zmiażdżył je we własnej.

– Uth guerig! – powtórzył gniewnie.

A więc słyszeli o Christianie. Był *uth guerig*, cokolwiek to znaczyło.

Morderca. Gwałciciel. Człowiek bezlitosny.

*Uth guerig!* Nie odważyłem się im powiedzieć, że jestem bratem tego krwiożerczego monstrum.

Jeleń stał się źródłem lekkiego zamieszania. Ostatecznie należał do nas. Combry i całą tuszę przyniesiono w pobliże. Krąg mężczyzn cofnął się. Niektórzy z nich wskazywali z uśmiechem, że powinniśmy zabrać mięso. Nie trzeba było wiele gestykulacji, by ich powiadomić, iż jest ono naszym darem dla nich. Ledwie zdążyłem się uśmiechnąć i potrząsnąć głową, gdy cała szóstka stłoczyła się razem, zarzuciła sobie wielkie kawały mięsa na ramiona i oddaliła się wzdłuż brzegu rzeki ku swej osadzie.

# OPOWIADAJĄCA ŻYCIE

Szósta noc. Jesteśmy u ludzi, którzy strzegą przejść przez rzekę. Nazywają się *shamiga*, tak mi powiedział Steven, który zapamiętał ich nazwę z relacji swego ojca. Pogrzeb dwojga młodych, których znaleźliśmy, był dziwnie wzruszający, a także niepokojąco seksualny. Pochowano ich po drugiej stronie rzeki, w lesie, wśród innych grobów, usypując wysoko ziemię. Ciało obojga zmarłych pomalowano w białe spirale, kręgi i krzyże. Wzór na dziewczynie był inny niż na chłopaku. Pochowano ich we wspólnym grobie. Ciało mieli wyprostowane, a ręce złożone na piersi. Do czubka członka chłopaka przywiązano kawałek sznurka, który następnie owiązano mu wokół szyi, by upozorować erekcję. Kanał dziewczyny otwarto pomalowanym kamieniem. Steven jest przekonany, że uczyniono to po to, by się upewnić, że na tamym świecie pozostaną aktywni seksualnie. Nad grobem usypano wysoki kopiec.

*Shamiga* są mitotworami, legendarną grupą, plemieniem z bajki. Dziwnie jest o tym pomyśleć. Dziwniej niż być z *Guiwenneth*. Są legendarnym ludem, który strzeże przejść przez rzeki, a po śmierci na nich straszy. Legenda głosi, że podczas powodzi zamieniają się w umożliwiające przejście kamienie. Istnieje kilka bajek powiązanych z *shamiga*. Wszystkie w naszych czasach już zapomniano, lecz Steven poznał fragment jednej opowieści mówiącej o dziewczynie, która weszła do wody, pochyliła się, by pomóc przejść wodzowi, a ten zabrał ją, aby posłużyła jako fragment muru kamiennego fortu.

*Shamiga* najwyraźniej nie specjalizują się w szczęśliwych zakończeniach. Stało się to jasne później, gdy odwiedziła nas „opowiadająca życie”. Kilkunastoletnia dziewczyna, całkiem naga i pomalowana na zielono. Dość zatrważająca. Coś stało się ze Stevenem. Wydawał się świetnie rozumieć jej słowa.



O zmierzchu, po pogrzebie, *shamiga* urządzili ucztę ze świeżo zabitego przez nas jelenia. Rozpalono wielkie ognisko, a wokół nas, w odległości około dwudziestu stóp, rozmieszczono krąg pochodni. Przy ogniu zgromadzili się *shamiga*. Zauważyłem, że więcej jest mężczyzn niż kobiet, dzieci było tylko czworo. Wszyscy jednak mieli na sobie jaskrawe tuniki albo spódniczki oraz sięgające pasa płaszcze. Ich chaty – położone z dala od rzeki, w miejscu, gdzie grunt oczyszczono – były prymitywnymi konstrukcjami zbudowanymi na planie kwadratu i krytymi cienkimi strzechami. Każdy budynek podtrzymywany był przez prosty szkielet z twardego drewna. Widząc hałdy odpadków oraz pozostałości starych domów – a także sam cmentarz – mogliśmy stwierdzić, że osada istnieje już od wielu pokoleń.

Dziczyna, upieczona na rożnie i polana sosem z ziół oraz dzikiej wiśni, była znakomita. Dobre wychowanie wymagało jedzenia mięsa za pomocą gałązek, zaostrzonych i rozszczepionych na kształt widelców. Do odrywania go od tuszy używano jednak palców.

Gdy uczta się skończyła, było jeszcze całkiem jasno. Dowiedziałem się, że pogrążony w żałobie mężczyzna był ojcem dziewczyny. Chłopak był *inshan*: z innej osady. Przez chwilę trwała prymitywna rozmowa przy użyciu języka znaków. Nie podejrzewano, byśmy byli złymi ludźmi. Wzmianki o *uth guerig* zbywano nieuprzejmym wzruszeniem ramion. To nie był nasz interes. Pytania o nasze pochodzenie spotkały się z odpowiedziami, które zdziwiły zebranych dorosłych, po chwili stali się podejrzliwi.

Nagle wśród naszych gospodarzy zaszła zmiana. Rozległ się niecierpliwy gwar, któremu towarzyszyło mnóstwo tłumionego podniecenia. Ci spośród zebranych członków klanu, którzy nie patrzyli na mnie i na Keetona z sympatią i ciekawością, rozejrzeli się wokół, spoglądając w przestrzeń za pochodniami, obserwując mrok, las i łagodną rzekę. Gdzieś nienaturalnie zapiszczał ptak. Rozległ się chwilowy krzyk

ekscytacji. Starszy z plemienia, który nosił imię Durium, pochylił się ku mnie i krzyknął: – Kushar!

Znalazła się między nami, nim zdałem sobie z tego sprawę. Przeszła między *shamiga* – ciemna, szczupła postać rysująca się na tle płonącego pierścienia pochodni. Dotykała uszu, oczu i ust wszystkich dorosłych. Niektórym wręczała małe, zakrzywione gałązki. Większość trzymała je w ręku z czcią, choć dwóch czy trzech *shamiga* wykopało w ziemi małe grobki i pochowało jej dary u swych stóp.

Kushar przykucnęła przed Keetonem i mną, po czym uważnie się nam przyjrzała. Była pomazana zieloną farbą, a jej oczy otaczały cienkie kręgi białej i czarnej ochry. Nawet zęby miała zielone. Włosy – długie i ciemne – uczesane były bardzo prosto. Jej piersi były zaledwie pączkami. Kończyny miała cienkie. Poza głową, jej ciała nie porastały żadne włosy. Odnosiłem wrażenie, że ma tylko dziesięć albo dwanaście lat, lecz jakże trudno było to ocenić!

Przemówiła do nas, a my odpowiedzieliśmy jej we własnym języku. Jej ciemne oczy, lśniące w blasku pochodni, wpatrzone były częściej we mnie niż w Keetona. To mnie dała gałązkę, którą ucałowałem. Dziewczyna roześmiała się krótko, po czym otoczyła mi dłoń swą drobną ręką i delikatnie ścisnęła.

Przyniesiono dwie pochodnie, które zatknięto po obu jej bokach. Usadowiła się w wygodniejszej pozycji klęczącej, zwrócona w moją stronę. Potem zaczęła mówić. Wszyscy *shamiga* spojrzeli na nas. Dziewczyna (Czy miała na imię Kushar? Czy też było to słowo na określenie tego, czym była?) zamknęła oczy i przemówiła w tonacji nieco wyższej niż ta, która moim zdaniem byłaby dla niej normalna.

Z jej ust płynęły potoczyste, syczące i niezrozumiałe słowa. Keeton popatrzył na mnie niespokojnie. Wzruszyłem ramionami. Po mniej więcej minucie wyszeptałem: – Ojcu udawało się jakoś zrozumieć...

Nie powiedziałem nic ponad to, gdyż Durium spojrzał na mnie ostro i pochylił się w moją stronę, wyciągając rękę w gniewnym geście, który niewątpliwie znaczył: „Cisza!”

Kushar nie przestawała mówić. Oczy wciąż miała zamknięte. Nie była świadoma wykonywanych wokół niej gestów. Powoli docierały do mnie bardzo wyraźnie odgłosy rzeki, trzask płonących pochodni, szelest lasu. Omal się nie poderwałem, gdy dziewczyna powiedziała dwukrotnie: – Uth guerig! Uth guerig!

– Uth guerig! – odrzekłem na głos. – Opowiedz mi o nim!

Oczy dziewczyny otworzyły się. Przestała mówić. Na jej twarzy odmalował się szok. Pozostali otaczający mnie *shamiga* również byli wstrząśnięci. Nagle stali się niespokojni, podenerwowani. Durium dał głośny wyraz swej irytacji.

– Przykro mi – powiedziałem cicho. Spojrzałem na niego, a potem z powrotem na dziewczynę.

*...powtarza opowieść z zamkniętymi oczyma, aby uśmiechy bądź zasepione miny słuchaczy nie stały się przyczyną zmiany kształtu postaci występujących w relacji...*

Słowa, z listu ojca do Wynne-Jonesa, były w moim umyśle dręczącymi okruchami poczucia winy. Zastanowiłem się, czy zmieniłem coś w kluczowym momencie i czy opowieść już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Kushar wciąż się na mnie gapiła. Jej dolna warga lekko drżała. Przez krótką chwilę zdawało mi się, że w oczach dziewczyny wezbrały łzy, lecz jej nagle powilgotniałe spojrzenie odzyskało jasność. Keeton zachował milczenie. Jego dłoń spoczywała na kieszeni, w której trzymał rewolwer.

– Teraz cię znam – stwierdziła Kushar. Przez chwilę byłem zbyt zaskoczony, by zareagować.

– Przykro mi – powtórzyłem.

– Mnie też – odrzekła. – Nic złego jednak się nie stało. Opowieść się nie zmieniła. Nie rozpoznałam cię.

– Nie jestem pewien, czy pojmuję... – zacząłem.

Keeton przyglądał się nam obojgu osobliwie.

– Czego nie pojmujesz? – zapytał.

– O co jej chodzi...

Zmarszczył brwi.

– Rozumiesz jej słowa?

Obrzuciłem go przelotnym spojrzeniem.

– A ty nie?

– Nie znam jej języka.

*Shamiga* zaczęła wydawać z siebie syczący dźwięk będący oczywistym znakiem, że chcą ciszy i kontynuowania opowieści.

Dla Keetona dziewczyna wciąż mówiła językiem z czasów dwa tysiące lat przed naszą erą. Ja jednak teraz ją rozumiałem. W jakiś sposób wszedłem do świadomości młodej opowiadającej życie. Czy to właśnie miał na myśli ojciec, wspominając o dziewczynie i o jej „niewątpliwych talentach parapsychicznych”? A jednak, zdumiewający fakt nawiązania przez nas porozumienia sprawił, że przestałem myśleć o tym, co się naprawdę wydarzyło. Wówczas, gdy siedziałem na brzegu rzeki, słuchając szepczącego głosu przeszłości, nie mogłem jeszcze wiedzieć, jak niszczycielska zmiana we mnie zaszła.

– Jestem opowiadającą życie tego ludu – oznajmiła i ponownie zamknęła oczy. – Słuchaj, nic nie mówiąc. Życia nie można zmieniać.

– Opowiedz mi o uth guerig – poprosiłem.

– Życie Przybysza na razie odeszło. Mogę ci opowiedzieć tylko to życie, które widzę. Słuchaj!

Po tych naglących słowach umilkłem...

Przybysz! Christian był Przybyszem!

...by słuchać historii, które powtarzała opowiadająca życie.

Pierwszą zapamiętałem z łatwością. Inne zniknęły z mojej pamięci, gdyż niewiele dla mnie znaczyły i były niejasne. Ostatnia wywarła na mnie silny wpływ, ponieważ wiązała się zarówno z Christianem, jak i z Guiwenneth.

Oto pierwsza opowieść Kushar:

Owego dawnego dnia, podczas życia tego ludu, wódz Parthorlas ściął głowę własnemu bratu, Diermadasowi, i uciekł do swego kamiennego fortu. Pościg był zawzięty. Czterdziestu mężczyzn z włóczniami, czterdziestu mężczyzn z mieczami i czterdzieści psów wysokości jelenia. Parthorlas ich jednak prześcignął, niosąc głowę brata w lewej dłoni.

Owego dnia rzeka wystąpiła z brzegów i *shamiga* wyruszyli na łowy, wszyscy poza dziewczyną Swithoran, której kochankiem był syn Diermadasa, znany jako Kimuth Mówca Jastrzębi. Dziewczyna Swithoran weszła do wody i pochyliła głowę, by ułatwić Parthorlasowi przejście. Stała się kamieniem tak gładkim, jak każdy leżący w rzece. Jej plecy wystawały z wody, białe i czyste. Parthorlas postawił na niej nogę i przeskoczył na drugi brzeg, po czym sięgnął za siebie i wyciągnął głaz z rzeki.

Skrył go w prawej dłoni. Jego fort wybudowano z kamieni, a w południowym murze była luka. Owego dnia Swithoran stała się częścią fortu, wepchnięta w dziurę, by powstrzymać zimowe wichry.

Kimuth Mówca Jastrzębi wezwał klany ze swego *tuad*, to znaczy ziem, nad którymi panował, i nakazał, by złożyły mu hołd, jako że Diermadas nie żył. Tak też uczyniły po miesiącu targów. Następnie Kimuth Mówca Jastrzębi poprowadził je i kazał przystąpić do oblężenia kamiennego fortu.

Trwało ono przez siedem lat.

W pierwszym roku Parthorlas wypuszczał jedynie strzały na zgromadzony na równinie pod fortem zastęp. W drugim roku Parthorlas ciskał metalowe włócznie. W trzecim roku robił noże z drewnianych wozów i w ten sposób powstrzymywał rozwścieczonych wojów. W czwartym roku rzucał bydło i dzikie świnie, które trzymał w forcie. Zostawił sobie tylko tyle, by

wyżywić siebie i swą rodzinę. W piątym roku, nie mając broni i dysponując jedynie niewielką ilością żywności i wody, rzucił na armię zgromadzoną na równinie swą żonę i córki. To sprawiło, że rozpierzchły się po świecie na więcej niż sześć pór roku. Potem rzucił synów, lecz Mówca Jastrzębi odrzucił ich z powrotem, co przestraszyło Parthorlasa jeszcze bardziej, gdyż jego synowie byli niczym kury z przetrąconym grzbietem i dziobali się nawzajem, by zdobyć jego względy. W siódmym roku Parthorlas zaczął rzucać kamienie tworzące mury jego fortu. Każdy z nich ważył dziesięć razy więcej od mężczyzny, lecz Parthorlas ciskał nimi aż do horyzontu. Z czasem dotarł do ostatnich fragmentów swego muru, które powstrzymywały zimowe przeciągi. Nie rozpoznał gładkiego, białego głazu z rzeki i cisnął nim w samego wodza Kimutha Mówcę Jastrzębi, zabijając go.

Swithoran uwolniła się od kształtu kamienia i zapłakała nad martwym wodzem.

– Tysiąc mężczyzn zginęło przez dziurę w murze – powiedziała. – A teraz mam dziurę w piersi. Czy mamy z tego powodu zabić następną tysiąc?

Wodzowie klanów naradzili się nad tą sprawą, po czym wrócili nad rzekę, gdyż właśnie była pora, kiedy z morza nadpływały wielkie ryby. Miejsce w dolinie stało się znane jako *Issaga ukirik*, co znaczy „gdzie dziewczyna znad rzeki powstrzymała wojnę”.

Gdy opowiadała tę historię, *shamiga* szeptali i śmiali się, przeżywając każde zdanie i każdy obraz. Dostrzegalem w opowieści bardzo niewiele rzeczy budzących wesołość. Dlaczego głośniej śmiali się z opisu pościgu (osiemdziesięciu mężczyzn i czterdzieści psów) i kamiennego fortu niż z wizji Parthorlasa ciskającego swą żonę, córki i synów? (I dlaczego, jeśli już o tym mowa w ogóle pozwalali sobie na śmiech? Z pewnością Kushar słyszała tę reakcję!) Potem nastąpiły inne opowieści. Keeton, słuchający jedynie płynnego dźwięku obcego języka, miał ponurą minę, cierpliwie

jednak czekał na koniec opowieści. Historie były mało znaczące. Większość z nich już zapomniałem.

Następnie, po godzinie mówienia, bez przerwy na zaczerpnięcie tchu, Kushar opowiedziała legendę o Przybyszu. Zapisałem ją piórem na papierze, szukając jednocześnie zawartych w niej wskazówek, nieświadomy, że sama opowieść zawierała w sobie ziarna ostatecznego konfliktu, który był jeszcze tak daleki w czasie i w lesie.

Owego dawnego dnia, podczas życia tego ludu, na nagie wzgórze położone za kamieniami otaczającymi kręgiem magiczne miejsce o nazwie Veruambas, wszedł Przybysz. Wbił w ziemię włócznię i przykucnął obok niej. Przez wiele godzin przyglądał się kamieniom. Ludzie zgromadzili się na zewnątrz wielkiego, kamiennego kręgu, po czym przeszli przez rów. Pierścień miał czterysta kroków średnicy. Otaczający go wykop wypełniono wodą na wysokość pięciu ludzi. Wszystkie kamienie były zwierzętami, które ongiś były ludźmi. Każdy miał mowę kamienia, by szeptał do niego modlitwy kapłanów.

Najmłodszego z trzech synów wodza Aubriagasa wysłano na wzgórze, by przyjrzał się Przybyszowi. Wrócił bez tchu w piersiach, krwawiący z rany na szyi. Powiedział, że Przybysz jest niczym bestia, odziany w nogawice i kurtkę z niedźwiedziego futra, że jego hełm ma wielką niedźwiedzią czaszkę, a buty zrobione są z jesionowego drewna i wygarbowanej skóry.

Na wzgórze wysłano drugiego syna Aubriagasa. Wrócił z posiniaczoną twarzą i obitymi barkami. Powiedział, że Przybysz ma czterdzieści włóczni i siedem tarczy, a u pasa wiszą mu wysuszone głowy pięciu wielkich wojowników, z których wszyscy byli wodzami. W żadnej z czaszek nie było oczu. Za wzgórzem, w niewidocznym miejscu, obóz rozbiła towarzysząca mu świta dwudziestu wojowników. Każdy z nich był mistrzem i każdy bał się swego dowódcy.

Następnie wysłano najstarszego z braci, by przyjrzał się Przybyszowi. Wrócił, trzymając w rękach własną głowę. Ta przemówiła krótko, nim Przybysz na wzgórze zaszczekał najcięższą z tarcz.

Oto co powiedziała:

– On nie jest jednym z nas, nie jest z naszego rodu, ani z naszego kraju, ani z tej pory roku, ani z żadnej pory, podczas której żyło nasze plemię. Jego słowa nie są naszymi słowami; jego metal pochodzi z otchłani głębszych niż jaskinie ghuli; jego zwierzęta są bestiami z mrocznych miejsc; jego słowa brzmią jak słowa umierającego i nie mają znaczenia; jego litości nie sposób dostrzec; dla niego miłość jest czymś pozbawionym znaczenia; dla niego smutek jest śmiechem; dla niego wielkie klany naszego ludu są bydłem, które się zarzyna i podaje na stół. Przybył tu, by nas zniszczyć, gdyż niszczy wszystko, co jest dla niego obce. Jest gwałtownym wichrem czasu. Musimy mu się przeciwstawić lub zginąć, albowiem on nigdy nie przyłączy się do naszego plemienia. Jest Przybyszem. Ten, który może go zabić, jest jeszcze daleko. Przybysz pożarł trzy wzgórza, wypił cztery rzeki i przez rok spał w dolinie blisko najjaśniejszej gwiazdy. Teraz potrzeba mu stu kobiet i czterystu głów. Potem opuści te strony, by wrócić do swego dziwnego królestwa.

Przybysz zaszczekał swą najcięższą bojową tarczą. Głowa najstarszego brata zapłakała, rzucając żalosne spojrzenia na tę, którą kochał za życia. Następnie przyprawiono dzikiego psa, przywiązano mu głowę do pleców i wysłano go do Przybysza. Ten wydłubał głowie oczy i przytroczył ją sobie do pasa.

Przez dziesięć dni i nocy Przybysz chodził wokół kamiennej świątyni, zawsze jednak znajdował się poza zasięgiem strzał. Wysłano dziesięciu najlepszych wojowników, by z nim porozmawiali. Wrócili z płaczącymi głowami w rękach, by pożegnać się z żonami i dziećmi. W ten sposób ze świątyni wysłano wszystkie dzikie psy, objuczone wojennymi trofeami obcego.

Kamienie-wilki w wielkim kręgu wysmarowano wilczą krwią i mówcy wyszeptali imiona Gulgarotha i Olgaroga, wielkich wilczych bogów z czasów dzikich puszczy.



Na kamieniach-jeleniach wymalowano rysunki rogaczy i mówcy wezwali Munnosa i Clumuga, jelenie o ludzkich sercach.

A na wielkim kamieniu-dziku położono zabitego odyńca, który uśmiercił dziesięciu ludzi, jego krew zaś rozsmarowano na ziemi. Mówca tego kamienia, najstarszy i najmędrszy z mówców, wezwał Urshacama, by się pojawił i zabił Przybysza.

O świcie jedenastego dnia, strzegące bram kości nieznanomych podniosły się i skrzecząc pierzchły w bagnisty las. Było ich ośmiu, niesamowicie białych, wciąż odzianych w szaty, w których złożono ich w ofierze. Duchy owych nieznanomych uleciały w postaci czarnych wron i świątynia została bez ochrony.

Następnie z kamienia-wilka wyszły wielkie duchy wilków, olbrzymie kształty, bure i dzikie. Przeskoczyły przez ogień i wielki rów. Podążyły za nimi rogate bestie z dawnych czasów, jelenie biegające na tylnych nogach. One również przeszły przez dym ognisk. Ich krzyki budziły strach. Bestie były niewyraźnymi kształtami w mgłę zimnego poranka. Nie zdołały zabić Przybysza i uciekły do jaskiń duchów pod ziemią.

Na koniec, duch odyńca przecisnął się przez pory w kamieniu, chrząknął, powąchał poranne powietrze i pochleptał rosę, która utworzyła się na dzikiej trawie otaczającej kamień. Był dwukrotnie wyższy od człowieka. Jego kły były ostre jak sztylet wodza i długie jak zasięg ramion dorosłego mężczyzny. Popatrzył, jak Przybysz biega szybko wokół kręgu, trzymając swobodnie w dłoniach włócznie i tarcze. Następnie pobiegł ku północnej bramie.

Owego świtu, we mgłę, Przybysz krzyknął po raz pierwszy i choć nie cofnął się, duch Urshacama go przeraził. Wsadzwszy ametysty w miejsce oczu, odesłał głowę najstarszego syna Aubriagasa z powrotem do świątyni, gdzie plemiona tłoczyły się w swych skórzanych namiotach, aby im powiedzieć, że wszystko, czego żąda, to ich najmocniejsza włócznia, świeżo zarżnięty najśłodszy wół, najstarszy gliniany dzban wina i najpiękniejsza córka. Później odejdzie.

Wszystkie te rzeczy wysłano, lecz córka – uważana za piękniejszą od legendarnej Swithoran – wróciła, odesłana jako brzydka. (Nie czuła się bynajmniej z tego powodu nieszczęśliwa.) Wysłano inne, lecz choć reprezentowały najróżniejsze typy kobiecej urody, Przybysz odrzucił wszystkie.

Na koniec, młody wojownik-szaman Ebbrega zebrał gałązki i konary dębu, czarnego bzu oraz głogu i ukształtował z nich kości dziewczyny. Otoczył je ciałem ze zbutwiałych liści, gnoju z chlewów oraz twardych odchodów zajęcy i owiec. Wszystko to pokrył wonnymi kwiatami z leśnych polan, niebieskimi, różowymi i białymi, w prawdziwie pięknych kolorach. Pobudził ją do życia miłością, a gdy usiadła przed nim, naga i zmarznięta, odział ją w piękną, białą tunikę i splótł jej włosy w warkocz. Gdy Aubriagas i pozostali starsi ją ujrzeli, zaniemówili. Była piękna, jeszcze nigdy takiej nie widzieli. To odebrało im mowę. Kiedy zapłakała, Ebbrega ujrzał, co zrobił i spróbował ją zabrać dla siebie, lecz wódz powstrzymał go i dziewczynę odprowadzono. Nazwano ją Muarthan, co znaczy „kochająca stworzona ze strachu”. Poszła do Przybysza i dała mu dębowy liść wykonany z cienkiego brązu. Przybysz stracił dla niej głowę, bardzo mocno ją pokochał. To, co wydarzyło się z nimi później, nie dotyczy życia tego ludu. Wystarczy powiedzieć, że Ebbrega nigdy nie przestał szukać dziecka, które stworzył, i szuka go nadal.

Kushar skończyła opowieść i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się do mnie przelotnie, po czym zmieniła pozycję na wygodniejszą. Keeton miał ponurą minę. Wsparł brodę na kolanach. Patrzył jakimś dziwnym, nieobecnym, znudzonym wzrokiem. Gdy dziewczyna przestała mówić, podniósł oczy i spojrzał na mnie.

– Skończyło się? – zapytał.

– Muszę to zapisać – odparłem. Udało mi się zanotować tylko jedną trzecią opowieści, gdyż byłem zbyt zaabsorbowany odsłaniającymi się przede mną obrazami, zbyt zafascynowany tym, co mówiła Kushar. Keeton zauważył podniecenie w moim głosie. Dziewczyna przechyliła głowę i

popatrzyła na mnie zaintrygowana. Ona również zauważyła, że jej opowieść silnie mnie poruszyła. *Shamiga* oddalali się z pochodniami w rękach. Dla nich wieczór już się skończył. Ja jednak dopiero zaczynałem rozumieć i spróbowałem skłonić Kushar, by została.

A więc Christian był Przybyszem. Nieznajomym zbyt silnym, zbyt obcym i zbyt potężnym, by można go było poskromić. Przybysz musiał dla wielu społeczności stanowić zagrożenie. Istniała różnica między nieznajomymi a Przybyszami. Nieznajomi, wędrowcy z innych osad, potrzebowali wsparcia plemion. Można im było pomóc lub złożyć ich w ofierze, w zależności od kaprysu. W rzeczy samej, historia opowiedziana przed chwilą przez Kushar napomykała o kościach nieznajomych strzegących bram wielkiego kręgu, którym z pewnością było Avebury w Wiltshire.

Przybysz był jednak kimś innym. Budził przerażenie, gdyż nic o nim nie było wiadomo. Używał nieznannej broni; mówił całkowicie obcym językiem; jego zachowanie nie odpowiadało normom; jego stosunek do spraw miłości i honoru bardzo się różnił od tego, który tu uchodził za normalny. To owa obcość czyniła go w oczach miejscowej społeczności niszczycielską i pozbawioną litości bestią. Christian faktycznie stał się teraz niszczycielski i bezlitosny.

Porwał Guiwenneth, ponieważ poświęcił życie osiągnięciu tego celu. Jednak już jej nie kochał, nie był pod jej silnym wpływem. Niemniej, porwał ją. Jak to wyraził? „Zależy mi na tym, żeby ją mieć. Polowałem zbyt długo i zapuściłem się podczas łowów zbyt daleko, by przejmować się bardziej subtelnymi aspektami miłości”.

Historia opowiedziana przez Kushar była fascynująca, gdyż zawierała bardzo wiele szczegółów, które potrafiłem rozpoznać: dziewczyna stworzona z puszczy, natura wysłana, by poskromić to, co nienaturalne; symbol dębowego liścia, talizman, który nadał nosiłem; stwórca dziewczyny nie chcący się z nią rozstać; sam Przybysz bojący się tylko

jednego, ducha odyńca, Urshacama: Urscumuga! A także gotowość przyjęcia ofiary z bydła, wina i dziewczyny w zamian za powrót do „swego dziwnego królestwa”, tak jak Christian zmierzał teraz do samego serca lasu Ryhope!

Zastanawiałem się, co wydarzyło się później. Być może nigdy nie miałem się tego dowiedzieć. Dziewczyna, opowiadająca życie, wydawała się dostrojona jedynie do zbiorowych wspomnień własnego ludu. Wypadki i historie przekazywano ustnie i być może zmieniały się z każdym ich powtórzeniem. Dlatego *shamiga* upierali się przy dziwnej zasadzie milczenia podczas opowieści. Bali się, że prawda umknie pod wpływem reakcji słuchaczy.

Niewątpliwie niewiele już prawdy pozostało w tej opowieści. Głowy, które mówiły, dziewczyny stworzone z leśnych kwiatów i gnoju... być może w rzeczywistości wydarzyło się jedynie to, że banda wojowników wywodzących się z innej kultury zagroziła osadzie w Avebury, lecz ugłaskano ich bydłem, winem oraz małżeństwem z jedną z córek pomniejszego wodza. Niemniej mit o Przybyszu wciąż budził przerażenie. Niepokój towarzyszący spotkaniu z nieznanym pozostawał czymś trwałym i głęboko zakorzenionym.

– Poluję na uth guerig – oznajmiłem. Kushar wzruszyła ramionami.

– To oczywiste. Pościg będzie długi i trudny.

– Jak dawno temu zabił dziewczynę?

– Przed dwoma dniami. Ale to nie musiał być sam Przybysz.

Jego wojownicy strzegą go podczas odwrotu przez dziką puszcę, do *Lavondyss*. Sam uth guerig może wyprzedzić cię o tydzień albo więcej.

– Co to jest *Lavondyss*?!

– Królestwo leżące za ogniem. Miejsce, gdzie ludzkie duchy nie są związane z porami roku.

– Czy *shamiga* znają dzikopodobną bestię? Urscumuga?

Kushar zadrżała. Oplotła cienkie ramiona wokół ciała.

– Bestia jest blisko. Przed dwoma dniami słyszano ją w dolinie jeleni, nie opodal warowni.

Dwa dni temu Urscumug przebywał w pobliżu! A to oznaczało, że Christian również był blisko. Bez względu na to, co robił i dokąd się udawał, nie znajdował się tak daleko przede mną, jak mi się zdawało.

– Urshacam – ciągnęła – był pierwszym Przybyszem.

Chodził po wielkich, lodowych dolinach. Patrzył, jak z jałowej ziemi wyrastają wysokie drzewa. Strzegł puszczy przed naszym ludem i ludem, który był przed nami, a także ludem, który przybył do kraju po nas. Jest wiecznie żyjącą bestią. Czerpie pożywienie z ziemi i słońca. Był ongiś człowiekiem. Wraz z innymi skazano go na wygnanie, by żył w lodowych dolinach tego kraju. Magia zmieniła ich wszystkich, nadając im wygląd zwierząt. Magia uczyniła ich wiecznie żyjącymi. Wielu moich współplemieńców zginęło dlatego, że Urshacam i jego kuzyni się gniewali.

Wpatrywałem się przez chwilę w Kushar, zdumiony tym, co powiedziała. Epoka lodowa skończyła się siedem czy osiem tysięcy lat przed czasem jej ludu (który uważałem za kulturę osiadłą w Wessex we wczesnej epoce brązu). Mimo to wiedziała o lodzie i jego wycofaniu się... Czy było możliwe, by opowieści przetrwały tak długo? Opowiadania o lodowcach, nowych lasach oraz posuwaniu się ludzkich społeczeństw na północ, przez bagna i skute lodem wzgórza? Urscumug. Pierwszy Przybysz. Jak to napisał ojciec w swym dzienniku?

Mnie jednak spieszno jest odnaleźć pierwotny obraz... Podejrzewam, że legenda o Urscumugu była tak potężna, że przetrwała od neolitu aż do drugiego tysiąclecia przed naszą erą, a niewykluczone, że nawet dłużej. Wynne-Jones sądzi, że Urscumug może pochodzić z czasów jeszcze przedneolitycznych.

Kłopot z *shamiga* polegał na tym, że ich opowiadająca życie nie potrafiła powtarzać historii na życzenie. Podczas kontaktu ojca z nimi nie

pojawiły się wzmianki o Urshacamie. Najwyraźniej jednak pierwotny mitotwór – pierwsza z legendarnych postaci, które tak zafascynowały starego – pochodził z samej epoki lodowej. Stworzyły go umysły ludzi obrabiających krzemień oraz łowców-zbieraczy z owych mroźnych czasów, którzy walczyli, by powstrzymać las, podążali na północ za cofającym się zimnem i zasiedlali żyzne, górskie doliny stopniowo odsłaniające się podczas owej trwającej stulecia wiosny.

Nagle, nie mówiąc już ani słowa, Kushar odeszła po cichu. Obie pochodnie zgaszono. Było już późno. *Shamiga* udali się do swych niskich chat, kilku jednak wyniosło zwierzęce skóry do ognia i położyło się przy nim. Obaj z Keetonem rozbiliśmy nasz małeńki namiot i wczłgaliśmy się do środka.

Nocą słychać było głośny, irytujący, niepokojący zew sowy. Ani na chwilę nie milkł odgłos rzeki pluskającej o ułatwiające przejście przez nią kamienie, których strzegli *shamiga*.

Rankiem zniknęli. Ich chaty były opuszczone. Grób dwojga młodych rozkopał pies albo szakal. Ogień jeszcze się tlił.

– Gdzie, u licha, się podziali? – wyszeptał Keeton, gdy wyprostowaliśmy się po opłukaniu twarzy w rzece. Zostawili nam kilka pasków mięsa owiniętych pieczołowicie w cienkie płótno.

Było to dziwne i nieoczekiwane odejście. To miejsce wyglądało na dom owej społeczności. Sądziłbym, że niektórzy z nich powinni byli pozostać. Stan wody na rzece był wysoki. Ułatwiające przejście głazy zniknęły pod powierzchnią. Keeton popatrzył na nie.

– Chyba jest więcej kamieni niż wczoraj – powiedział.

Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem. Czy miał rację?

Rzeka wezbrała wskutek deszczów, które rozpadały się gdzieś za nami. Czy kamieni faktycznie było trzy razy więcej niż wczoraj?

– Czysty wytwór wyobraźni – stwierdziłem, drżąc lekko.

Wsunąłem na ramiona plecak.

– Nie jestem tego pewien – odparł Keeton i podążył za mną wzdłuż brzegu rzeki, głębiej w las.

# OPUSZCZONE MIEJSCA

Dwa dni po rozstaniu z *shamiga* natrafiliśmy na leżącą w gruzach kamienną wieżę, „warownię”, tę samą budowlę, którą Keeton sfotografował z samolotu. Wznosiła się w pewnej odległości od rzeki. Porastało ją mnóstwo roślinności. Stanęliśmy w podszyciu, gapiąc się na widoczne po drugiej stronie polany imponujące, szare mury, szpary okien oraz pnącza i dzikie wino, które oplątywały powoli budynek.

– Jak sądzisz, co to jest? – zapytał Keeton. – Wieża strażnicza? Kaprys?

Wieża nie miała szczytu. Drzwi były kwadratowe, obudowane ciężkimi, kamiennymi blokami, a nadproże ozdobnie rzeźbione.

– Nie mam pojęcia.

Podeszliśmy do budynku. Natychmiast zauważyliśmy, że grunt jest zryty i zdeptany. Widać było niezbyt wyraźne ślady koni oraz pozostałości po dwóch ogniskach. A także głębsze, szersze tropy jakiegoś wielkiego stworzenia, które zatarły poprzednie.

– Byli tutaj! – zawołałem. Serce waliło mi szybko. Nareszcie znalazłem jakiś namacalny znak tego, jak blisko Christiana jesteśmy. Coś go zatrzymało. Wyprzedzał mnie o dwa dni albo i mniej.

Wewnątrz warowni unosiła się wciąż silna woń popiołu. Łupieżcza banda zabrała się tutaj do roboty, naprawy i przekuwania broni. Snopy światła wpadały do mrocznego wnętrza przez szpary okien. Dziurę w miejscu, gdzie ongiś był dach, zakrywało listowie. Widziałem jednak wystarczająco dobrze, by dostrzec miejsce w kącie, gdzie przetrzymywano Guiwenneth. Na stos gnijącej słomy, który wciąż tam leżał, zarzucono być może płaszcz. Dwa długie, połyskujące kosmyki jej włosów zaczepiły się o szorstki kamień tego barbarzyńskiego miejsca. Zdjąłem je i owinąłem



ostrożnie wokół palca. Gapiłem się na nie w półmroku przez długi czas, walcząc z nagłym przypływem rozpaczy, który omal mnie nie zalał.

– Spójrz na to! – zawołał nagle Keeton.

Wróciłem do niskich drzwi. Wyszędłszy na zewnątrz przez plątaninę dzikiego wina i głogu, zobaczyłem, że lotnik wyciął z nadproża całą roślinność, by lepiej odsłonić rzeźbę.

Była to panoramiczna scena przedstawiająca las i ogień. Po obu stronach nadproża widać było drzewa. Wszystkie wyrastały z jednego korzenia o kształcie węża, który ciągnął się przez kamień. Zwisało z niego osiem ślepych, ludzkich głów. Ukazano las rosnący gęsto wokół centralnego ognia, w środku którego stał nagi człowiek, mężczyzna. Jego postać przedstawiono szczegółowo, pomijając twarz. Wzwiedziony fallus był nieproporcjonalnie wielki. Postać wznosiła ręce nad głową, dzierżąc w nich miecz i tarczę.

– Herkules – wyraził przypuszczenie Keeton. – Taki jak kredowy olbrzym w Cerne Abbas. No wiesz, ta postać na zboczu.

Było to równie dobre przypuszczenie, jak każde inne.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem sypiącą się w gruzy, kamienną warownię, pomyślałem, że zbudowano ją tysiące lat temu, a potem pochłonął ją las, mniej więcej w taki sam sposób, jak teraz działo się to z Oak Lodge. Zapuściliśmy się jednak tak daleko w głąb tej dziwnej krainy, o wiele mil więcej od skraju lasu niż było to fizycznie możliwe, jakże więc gmach mógłby być dziełem ludzkich rąk? Pozostawała jeszcze możliwość, że w miarę jak las stawał się coraz większy, zwiększała się również dystorsja czasu na jego terenie...

Keeton wypowiedział słowa, o których wiedziałem, że są prawdziwe: – Cały budynek jest mitotworem. A mimo to nic dla mnie nie znaczy...

Zaginiona warownia. Obrócona w gruzy kamienna budowla budząca fascynację w umysłach ludzi, którzy mieszkali pod spadzistymi strzechami, w domostwach z wikliny i błota. Nie mogło być innego wytłumaczenia.

W rzeczy samej, warownia wyznaczała rubieżę niesamowitego, niepokojącego obszaru wypełnionego podobnymi legendarnymi, zaginionymi budynkami.

Las nie wydawał się dziwny, lecz gdy wędrowaliśmy przez jasne podszycie wzdłuż wydeptanych przez zwierzynę ścieżek oraz naturalnych grzbietów, dostrzegliśmy mury oraz ogrody otaczające owe wałce się, opuszczone gmachy. Widzieliśmy dom o ozdobnych szczytach, którego okna były puste, a dach na wpół zawalony. Był tam też pięknie zaplanowany budynek w stylu elżbietańskim, którego ściany porosły szarozielonym mchem, a zmurszałe belki się kruszyły. W ogrodzie stały przypominające marmurowe widma posągi. Ich twarze przypatrywały się nam spomiędzy plątaniny bluszczu i róż, a palce wyciągniętych rąk coś wskazywały.

W pewnym miejscu w samym lesie zaszła subtelna zmiana. Stał się on mroczniejszy, a jego zapach ostrzejszy. Zdecydowana dotąd przewaga liściastych drzew uległa dramatycznej odmianie. Opadający w dół stok pokrywał sosnowy bór o rzadkich koronach.

Powietrze wydawało się rzadsze. Unosiła się w nim ostra woń drzew. Natychmiast natknęliśmy się na wysoki, drewniany, pokryty jaskrawymi dachówkami dom o zamkniętych żaluzjami oknach. Wielki wilk leżał zwinięty w kłębek na otaczającej budynek polanie. Tworzył ją ogołocony z liści ogród, nie trawiasty, lecz pełen sosnowych szpilek, suchych jak kość. Zwierzę zwęszyło nas i dźwignęło się na nogi. Uniosło pysk i przerażająco zawyło.

Wycofaliśmy się do rzadkiego, sosnowego lasu i tą samą drogą, którą tu dotarliśmy, oddaliliśmy się od owego starego, germańskiego budynku ukrytego w borze.

Niekiedy liściasta puszcza przeredzała się i podszycie stawało się zbyt gęste, byśmy mogli przez nie wędrować. Musieliśmy wtedy omijać nieprzebytą plątaninę, usiłując zachować orientację w terenie. W takich

rozległych gąszczach widzieliśmy przegniłe ściany ze słomy i wikliny pokryte tynkiem, a czasem też ciężkie słupy lub kamienne kolumny – dzieła kultur niemożliwych do rozpoznania na podstawie tych pozostałości. Zajrzawszy na pewną dobrze ukrytą polanę zobaczyliśmy baldachy ze skór i futer, resztki ogniska oraz stos jelenich i owczych kości. Obozowisko w gęstym lesie. Sądząc z ostrego zapachu popiołu wyczuwalnego w powietrzu, tego miejsca jeszcze nie opuszczono.

Pod koniec dnia wyszliśmy jednak z lasu i stanęliśmy przed najbardziej zdumiewającym i zapadającym w pamięć mitotworem. Dojrzeliliśmy go przez rzedniejące drzewa: wysokie wieże, zakończone blankami mury; mroczna, posępna, kamienna budowla niedaleko od nas.

Był to zamek z najbardziej szalonych snów o krainie baśni. Ponura, porośnięta zielskiem forteca z czasów rycerzy, gdy ich etos był raczej romantyczny niż okrutny. Dwunasty wiek, pomyślałem, albo o stulecie wcześniej. To nie miało znaczenia. Był to obraz zamczyska z czasów po splądrowaniu i porzuceniu wielkich twierdz, gdy wiele z nich popadło w ruinę, a niektóre z nich pochłonęły bardziej odległe lasy Europy. Otaczający go teren był trawiasty, dokładnie wypasiony przez małe stadko chudych, szarych owiec. Gdy wynurzyliśmy się zza osłony drzew i ruszyliśmy ku nieruchomym wodom fosy, owe zwierzęta rozpierzchły się, becząc gniewnie.

Słońce stało nisko. Weszliśmy w cień potężnych murów i przystąpiliśmy do powolnego zwiedzania zamku. Trzymaliśmy się z dala od sąsiadującego z fosą zdradzieckiego stoku. Wysokie szpary okien dawały ongiś łucznikom szeroki widok na oblegające zamek siły. Gdy sobie o tym przypomnieliśmy, cofnęliśmy się ku krzewom znajdującym się na granicy lasu. Nie dostrzegliśmy jednak ani nie usłyszeliśmy żadnych oznak ludzkiej obecności wewnątrz fortu.

Zatrzymaliśmy się i popatrzyliśmy na najwyższą ze strażniczych wież. Z podobnych więzień mityczne dziewczęta, takie jak Roszponka, spuszczały

swe złociste włosy jako linę dla dzielnych rycerzy.

– Niewątpliwie było to bolesne doświadczenie – zauważył Keeton. Roześmialiśmy się i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wróciliśmy na zalany słonecznym blaskiem teren i podeszliśmy do bramy. Most zwodzony był podniesiony, lecz wyglądał na przegniły i zniszczony. Keeton chciał zajrzeć do środka, ja jednak czułem bliżej nieokreślone obawy. Wtedy właśnie zauważyłem liny zwisające z dwóch blanków na murze. W tej samej chwili Keeton dostrzegł ślady ognia na wypasionym przez owce brzegu. Rozejrzeliśmy się wokół i rzeczywiście trawa była zryta kopytami.

Mógł to być tylko Christian. Nadal podążaliśmy jego tropem. Dotarł do zamku przed nami i wdrapał się na mury, by splądrować wnętrze.

A może się nie wdrapał?

W fosie twarzą w dół pływała ludzka postać. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero po chwili. Była naga. Ciemne włosy i białe pośladki pokrywał zielony szlam. Wąski pas różowości mniej więcej pośrodku pleców, przypominający plamę jasnoczerwonych alg, wskazywał na ranę, która spowodowała śmierć tego jastrzębia.

Ledwie zdążył opuścić mnie dreszcz niepokoju wywołany widokiem martwego wojownika, gdy usłyszałem za zwodzonym mostem jakiś odgłos.

– Koń – stwierdził Keeton.

Usłyszałem rżenie tego zwierzęcia i skinąłem głową.

– Sugeruję, byśmy dokonali strategicznego odwrotu – powiedziałem.

Keeton jednak się wahał, spoglądając na drewnianą bramę.

– No chodź, Harry...

– Nie. Zaczekaj... Chciałbym zobaczyć, co jest w środku...

W tej samej chwili, gdy postąpił parę kroków naprzód, przyglądając się otworom strzelniczym widocznym nad bramą, rozległo się skrzypienie drewna i brzęk napiętych lin. Olbrzymi most zwodzony runął w dół.

Uderzył w zewnętrzny brzeg o parę cali od zdumionej postaci Keetona. Gwałtowny wstrząs ziemi sprawił, że przygryzłem sobie język.

– Chryste!

To było wszystko, co powiedział Keeton. Cofnął się ku mnie, szukając ręką rewolweru, który miał w kieszeni na brzuchu. W wysokiej bramie pojawiła się postać na koniu. Pogoniła wierzchowca kopniakiem i opuściła krótką lancę z błękitnymi proporczykami.

Odwróciliśmy się i uciekliśmy do lasu. Rumak pogalopował za nami. Kopyta uderzały głośno w twardą ziemię. Rycerz krzyknął coś do nas. Jego głos był gniewny. Słowa brzmiały znajomo, lecz były niezrozumiałe. Przypominały trochę francuski. Zdążyłem dostrzec bardzo niewiele szczegółów jego wyglądu. Miał jasne włosy i rzadką brodę. Na głowie nosił tylko ciemną opaskę, choć z tyłu siodła przytroczył ciężki, stalowy hełm. Był odziany w kolczugę i ciemne skórzane bryczesy. Koń był czarny z trzema białymi kopytami...

*„Trzy białe znaczą śmierć!” Rymowanka Guiwenneth powróciła do mnie z paralizującą siłą.*

...i ozdobiony najprostszym czerwonym rzędem: na wodzach i na szyi, z wyszywaną w zdobny deseń derką zwisającą pod brzuchem.

Rumak parskął za naszymi uszami, wałąc głośno kopytami w darń. Zbliżał się do nas z każdym krokiem. Rycerz kopnął go, każąc mu przyśpieszyć. Kolczuga grzechotała, a lśniący hełm uderzał hałaśliwie w jakąś metalową część siodła. Obejrząwszy się podczas ucieczki, zauważyłem, że napastnik pochylił się lekko w lewo, trzymając lancę nisko, gotów szarpnąć nią w górę, gdy uderzy w nasze ciała.

Wpadliśmy jednak w chłodne podszybie na kilka sekund przed tym, nim lanca ugodziła gniewnie w wyniosły krzew tarniny. Rycerz zmusił kopniakiem wierzchowca do zagłębienia się w las. Pochylał się nisko nad kłębem konia, przyciskając ostrożnie lancę do boku zwierzęcia. Obaj z

Keetonem okrążaliśmy go, trzymając się blisko krzaków i pni, i starając się skryć przed jego wzrokiem.

Po chwili czy dwóch zawrócił i ponownie wyjechał w światło zmierzchu. Przez kilka minut galopował w obie strony wzdłuż krzewów, po czym zsiadł z konia.

Teraz zdałem sobie sprawę, jak potężny był to mężczyzna. Miał co najmniej sześć i pół stopy wzrostu. Wytyczał sobie drogę przez cierniste krzewy, wymachując obusiecznym mieczem. Przez cały czas krzyczał coś w swym pseudofrancuskim języku.

– Dlaczego jest tak cholernie wściekły? – wyszeptał Keeton.

Rycerz usłyszał jego słowa. Spojrzał w tę stronę, dostrzegł nas i pobiegł ku nam. Słońce odbijało się migotliwie w jego kolczudze.

Wtem rozległ się strzał. Nie z broni Keetona. Był to dziwny, głuchy dźwięk. Wilgotne, pachnące mchem powietrze nagle przesyciła gryząca woń siarki. Rycerza odrzuciło do tyłu. Nie padł jednak na ziemię. Spojrzał ze zdumieniem na prawo od nas, trzymając się za bark, o który otarła się kula. Ja również popatrzyłem w tę stronę. Widmowa postać kawalera, który strzelił do mnie przy stawie u młyna, była ledwie dostrzegalna. Gorączkowo ładował swą ciężką rusznicę.

– To nie może być ten sam człowiek – powiedziałem na głos. Mitotwór jednak zwrócił się ku mnie i uśmiechnął. Nawet jeśli jego geneza była inna, była to ta sama postać, którą spotkałem uprzednio.

Rycerz wycofał się z zarośli i przywołał swego konia. Zaczął zdejmować z niego rządy. Klepięciem pałasza w zad obdarzył zwierzę wolnością.

Kawaler zniknął w mroku. Poprzednim razem próbował mnie zabić, teraz zaś ocalił przed potencjalnie śmiertelnym atakiem. Czy mnie śledził?

Gdy przyszła mi do głowy ta niesamowita myśl, Keeton skierował mą uwagę na tę część otaczającego nas lasu, z której po raz pierwszy dostrzegliśmy zamek. Stała tam jakaś postać połyskująca zielonkawo w przygasającym świetle. Twarz miała upiorną i ściągniętą. Była zakuta w

zbroję i przyglądała się nam. Zapewne podążała za nami od spotkania przy Kamiennym Wodospadzie.

Pozbawiony odwagi przez tę trzecią zjawę Keeton ruszył jako pierwszy przez zieloną puszcę trasą, którą zmierzaliśmy uprzednio. Wkrótce straciliśmy z oczu wielką fortecę. Z tyłu nie dochodziły do nas żadne odgłosy pościgu.

Czwartego dnia po rozstaniu z *shamiga* natrafiliśmy na drogę. Rozdzieliliśmy się. Przebijaliśmy się przez gęsty las, poszukując ścieżki wydeptanej przez dziki czy jelenie, czegokolwiek, co ułatwiłoby posuwanie się naprzód. Rzekę zostawiliśmy z lewej strony. Zagłębiła się w płytkim jarze i nie sposób było wędrować wzdłuż jej brzegów.

Krzyk Keetona nie przestraszył mnie, ponieważ nie było w nim bólu. Przedarłem się ku lotnikowi przez cierniste krzewy. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że stoi na swego rodzaju polanie.

Wylazłem z podszycia na porośniętą zielskiem, rozpadającą się drogę z cegły. Miała około piętnastu stóp szerokości. Po obu jej stronach biegły rynsztoki. Drzewa tworzyły nad nią coś w rodzaju sklepienia, tunel z listowia, przez który przesączało się światło słońca.

– Dobry Boże – odezwałem się. Keeton, stojący na środku tego niewiarygodnego traktu, zgodził się ze mną. Zrzucił z siebie plecak i zatrzymał się z dłońmi wspartymi na biodrach.

– Chyba rzymska – powiedziałem.

Kolejne przypuszczenie, lecz w tym przypadku trafne.

Szliśmy drogą przez kilka minut, ciesząc się swobodą ruchów po tak wielu godzinach przedzierania się przez las. Wokół nas słychać było przenikliwy śpiew ptaków. Bez wątpienia żywiły się one latającymi owadami, od których roiło się na otwartej przestrzeni.

Keeton był skłonny sądzić, że droga jest autentyczną konstrukcją, którą pochłonał las, z pewnością jednak znajdowaliśmy się zbyt głęboko, by

mogło tak być w rzeczywistości.

– W takim razie jakie jest jej przeznaczenie? Nie miesam fantazji o zaginionych gościńcach i zaginionych szlakach.

Nie na tym jednak rzecz polegała. W dawnych czasach tajemnicza droga wiedąca poza znane tereny mogła być silnym mitycznym obrazem. W ciągu stuleci uległ on degeneracji, pamiętam jednak, jak moi dziadkowie opowiadali o „ścieżkach wrózek”, które można było dostrzec tylko podczas pewnych nocy.

Po kilkuset jardach marszu Keeton zatrzymał się i wskazał ręką na dziwaczne totemy, które umieszczono po obu stronach rozsypującej się drogi. Były na wpół skryte w podszyciu. Oczyszcilem jeden z nich z liści. Wstrząsnął mną widok, który mnie przywitał: rozkładająca się ludzka głowa z rozwartymi szeroko ustami, w które wepchnięto długą, zwierzęcą kość. Głowę nadziano na trzy zaostrzone drewniane paliki. Stojący po drugiej stronie traktu Keeton zatykał sobie nos, by nie czuć smrodu rozkładu.

– Tu mamy kobietę – poinformował mnie. – Odnoszę wrażenie, że jest to ostrzeżenie.

Ostrzeżenie czy nie, szliśmy dalej przed siebie. Mógł to być jedynie wytwór wyobraźni. Otaczające nas drzewa spowiła cisza. Wśród gałęzi słyhać było jakieś ledwie słyszalne dźwięki, ale nie były to ptasie trele.

Zauważyliśmy następne totemy. Przywiązywano je do nisko wiszących konarów, a niekiedy umieszczano na krzakach. Miały postać szmacianych zwierzątek, małych woreczków z barwnej tkaniny, na których wyrysowano w prymitywny sposób kończyny. Niektóre poprzebijano kośćmi i paznokciami. Wszystkie te odbierające odwagę ofiary nasuwały na myśl działanie sił nadprzyrodzonych.

Przeszliśmy pod ceglany łukiem wznoszącym się nad drogą i przeleźliśmy przez martwe drzewo, które za nim leżało. Przekonaliśmy się, że wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń, do zniszczonego ogrodu. Z



plataniny zielska, polnych kwiatów i dziko rosnących jeżyn sterczały kolumny i posągi. Przed nami znajdowała się willa o niewątpliwie rzymskim charakterze.

Kryty czerwoną dachówką dach częściowo się zapadł. Ściany, ongiś białe, zmatowiały pod wpływem czasu i żywiołów. Drzwi wejściowe były otwarte. Weszliśmy do zimnej, niesamowitej posesji. Część mozaik i marmurowej posadzki była nietknięta. Te pierwsze były przepiękne. Widniały na nich zwierzęta, myśliwi, sceny z życia wiejskiego oraz bogowie. Przeszliśmy po nich ostrożnie. Większa część podłogi zwała się już do hypokaustum.

Dokonailiśmy obchodu willi. Zbadaliśmy łaźnię z jej trzema głębokimi basenami, wciąż wyłożonymi marmurem. W dwóch pokojach ściany były pomalowane. Spoglądały z nich na nas twarze dwojga Rzymian w starszym wieku, pogodnych i pięknie odzianych... jedynymi skazami były straszliwe wgłębienia, które zrobiono mieczem na gardłach obojga, waląc nim w ścianę.

W głównym pokoju, na marmurowej podłodze, widać było ślady kilku ognisk. Do dołu na odpadki znajdującego się w kącie wrzucono zwęglone, poobgryzane zwierzęce kości. Ogniska były jednak zimne, dawno wygasłe.

Postanowiliśmy zostać tu na noc. Byłaby to odmiana po rozbijaniu małego namiotu w ciasnych, nierównych przestrzeniach między dotkniętymi plagą owadów drzewami. W walącej się willi obaj czuliśmy się podenerwowani. Zdawaliśmy sobie sprawę, że spędzamy noc w miejscu będącym produktem strachu bądź nadziei z jakiejś innej epoki.

Na swój sposób willa stanowiła odpowiednik warowni oraz wielkiego zamku, którego mury minęliśmy parę dni temu. Było to tajemnicze, zaginione miejsce. Niewątpliwie snuto na jego temat romantyczne opowieści. Do której jednak kultury należało? Czy był to kres rzymskiego marzenia, miejsce, w którym mieszkali ostatni Rzymianie? Legiony wycofały się z Brytanii z początkiem piątego wieku, zostawiając tysiące

swych rodaków narażonych na ataki anglosaskich najeźdźców. A może domostwo wiązało się z rzymsko-brytyjskim mitem o ocaleniu, albo było marzeniem Sasów, willą, w której mogło być zakopane złoto, bądź też w której czaiły się jeszcze duchy legionów? Miejsce pielgrzymek czy zjaw? W Keetonie i we mnie wzbudzało tylko strach.

Z drewna, które znaleźliśmy w szczątkach systemu ogrzewczego, rozpaliliśmy małe ognisko. Gdy nadeszła ciemność, jego zapach – albo może woń jedzenia – przyciągnął gości.

Ja usłyszałem to pierwszy: odgłos skradania się dochodzący z łaźni, po którym nastąpiło wypowiedziane szeptem ostrzeżenie. Później zapadła cisza. Keeton dźwignął się na nogi. Wyciągnął rewolwer. Wyszedłem na zimny korytarz prowadzący z naszego pokoju do łaźni i zapaliłem małą latarkę, by ujawnić intruzów.

Zaskoczyłem ich, lecz nie przestraszyłem. Gapili się na mnie, stojąc za kręgiem światła i osłaniając lekko oczy. Mężczyzna był wysoki i mocnej budowy. Kobieta, również wysoka, trzymała w rękach małe zawiniątko. Chłopiec, który im towarzyszył, zastygł bez ruchu z twarzą pozbawioną wyrazu.

Mężczyzna przemówił do mnie w języku brzmiącym jak niemiecki. Zauważyłem, że lewą dłoń trzyma na gałce długiego, skrytego w pochwie miecza. Potem kobieta uśmiechnęła się i również coś powiedziała. Napięcie na chwilę zniknęło.

Poprowadziłem ich do głównego pokoju. Keeton rozpałił ogień i przystąpił do pieczenia na rożnie części mięsa z naszych zapasów. Goście przykucnęli na podłodze po drugiej stronie ogniska, wpatrując się w jedzenie, pokój i samego Keetona.

Byli niewątpliwie Sasami. Mężczyzna miał na sobie ciężki, wełniany ubiór. Nogawice i luźną koszulę przewiązał skórzanymi rzemieniami. Na to wszystko miał założone ciężkie futro. Włosy, długie i jasne, splecione były z przodu w dwa warkocze. Kobieta również miała włosy blond. Ubrana

była w przewiązanej w talii luźną tunikę w kratkę. Chłopiec stanowił miniaturową wersję mężczyzny, lecz siedział w milczeniu, wpatrzony w ogień.

Gdy się najedli, wyrazili wdzięczność, a potem się przedstawili: mężczyzna nazywał się Ealdwulf, kobieta Egwearda, chłopiec zaś Hurthig. Było jasne, że willa wzbudza w nich strach. My zaś budziliśmy w nich zdziwienie. Za pomocą gestów spróbowałem wytłumaczyć, że badamy obszar lasu, lecz przez kilka minut mój przekaz nie mógł do nich dotrzeć. Egwearda wpatrywała się we mnie ze zmarszczonymi brwiami i pobladłą twarzą. Była śliczna, mimo wywołanych poddenerwowaniem i trudami podróży bruzd wokół oczu.

I nagle coś powiedziała: słowo brzmiące jak *Cunnasman*. Ealdwulf wciągnął głośno powietrze. Jego ogorzałą twarz rozjaśniło zrozumienie.

Zadał mi jakieś pytanie, powtarzając to słowo. Wzruszyłem ramionami, nie rozumiejąc go.

Wyrzekł następne słowo albo słowa. *Elchempa*. Skierował na mnie palec. Raz jeszcze powiedział *Cunnasman*. Za pomocą dłoni wskazał „ścigać”. Pytał mnie, czy kogoś ścigam. Skinąłem energicznie głową.

– Tak – odparłem i dodałem: – *Ja!*

– *Cunnasman* – wydyszała Egwearda. Przesunęła się, by móc sięgnąć ręką nad ogniem i dotknąć mej dłoni.

– Jest w tobie coś dziwnego – stwierdził Keeton. – Przynajmniej dla tych ludzi. I dla *shamiga*.

Egwearda sięgnęła po zawiniątko. Mały Hurthig zakwilił i odsunął się szybko, spoglądając z lękiem na odwijaną tkaninę. Kobieta położyła tłumoczek przy ogniu. Poczułem się zбитy z tropu tym, co ukazało się w migotliwym świetle.

Przedmiotem, który dźwigała jakby było to dziecko, okazała się zmumifikowana, męska ręka obcięta tuż poniżej łokcia. Palce były długie i mocne. Na środkowym znajdował się jaskrawy, czerwony kamień. W tej

samej paczce umieszczono złamany, stalowy sztylet. Jego wysadzana klejnotami rękojeść była zaledwie fragmentem ozdobnej broni, którą był ongiś.

– Aelfric – powiedziała cicho i położyła delikatnie dłoń na martwej kończynie. Mężczyzna, Ealdwulf, uczynił to samo. Następnie Egwearda zakryła groteskową relikwię. Chłopiec wydał z siebie jakiś dźwięk. W tej samej chwili zdałem sobie sprawę, że jest niemy. Był też całkiem głuchy. Jego oczy lśniły jednak świadomością, która wydawała się niesamowita.

Kim byli ci ludzie?

Siedziałem przy ognisku i gapiłem się na nich. Kim byli? Z jakiego historycznego okresu, zastanawiałem się. Niemal z pewnością wywodzili się z piątego wieku naszej ery, pierwszych dziesięcioleci germańskiej penetracji Brytanii. W innym razie jak mogliby być powiązani z willą? W szóstym wieku puszcza i osuwiska pokryły już większość rzymskich pozostałości tego rodzaju.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co reprezentowali, lecz w pewnym okresie musiała krążyć opowieść o dziwnej rodzinie, niemym synu, mężu i żonie, noszących ze sobą cenną relikwię króla czy wojownika, poszukujących czegoś, szukających zakończenia swej historii.

Nie przypominałem sobie żadnej legendy o Aelfricu. Nie zachowała się jej spisana wersja. Z czasem opowieść ta zniknęła też z tradycji ustnej. Od tej chwili istniała tylko jako nieświadome wspomnienie.

Sasi mogli nic dla mnie nie znaczyć, jak jednak wskazał Keeton, ja niewątpliwie znałem coś dla nich. Było to tak, jakby... jakby mnie znali, a przynajmniej o mnie słyszeli.

Ealdwulf mówił coś do mnie, wskrobując na marmurze jakieś linie. Po chwili zaczęło do mnie docierać, że rysuje mapę. Dałem mu papier i ołówek z niewielkich zapasów, które ze sobą zabrałem. Teraz dojrzałem, co chce przedstawić. Zaznaczył willę i drogę oraz odległy, kręty strumień – bystry potok – teraz rozlewający się w gigantyczny nurt płynący przez

puszczę. Wyglądało na to, że przed nami znajduje się wąwóz o stromych stokach, porośnięty lasem, a rzeka wiję się przez jego wąskie dno.

– Freya! – powiedział Ealdwulf i wskazał, że powinienem ruszyć w górę rzeki. Powtórzył to słowo, poszukując oznak zrozumienia. – Drichtan! Freya! – rzekł raz jeszcze.

Wzruszyłem ramionami, by dać wyraz kompletnej dezorientacji. Ealdwulf wciągnął z irytacją powietrze i popatrzył na Egwearde.

– Freya! – stwierdziła kobieta. Wykonała zabawne ruchy dłońmi. – Drichtan!

– Przykro mi. Nie rozumiem po sasku.

– Wiccan – powiedziała. Zaczęła szukać innych sposobów, by wyrazić to pojęcie, potem jednak wzruszyła ramionami i dała za wygraną.

Zapytałem, co znajduje się po drugiej stronie wąwozu. Gdy Ealdwulf zrozumiał pytanie, narysował płomienie, wskazał na nasze małe ognisko i gestem zasygnalizował ogień o gigantycznych rozmiarach. Wydawało się też, że jest bardzo przeciwny temu, bym tam się udał.

– Elchempa – powiedział i dźgnął ołówkiem ogień. Patrzył na mnie. Raz jeszcze dźgnął płomienie. – Feor buend! Elchempa!

Potrząsnął głową. Następnie stuknął mnie w pierś.

– Cunnasman. Freya. Her. Her!

Dotykał mapy w miejscu, gdzie narysowano na niej rzekę, w pewnej odległości od najbliższego przejścia przez wąwóz.

– Sądzę – powiedział cicho Keeton – że on mówi krewny.

– Krewny?

– Cunnasman. – Keeton popatrzył na mnie. – To możliwe.

– A *Elchempa*? Pewnie Przybysz.

– El. Obcy. Tak, to chyba może być prawda. Twój brat udaje się w stronę ognia, ale Ealdwulf chce, żebyś ruszył w górę rzeki i odnalazł *Freya*...

– Czymkolwiek może być...

– Egwearda wspominała o *wiccan* – ciągnął Keeton. To może być czarownica, albo mędrzec. Zapewne to nie jest dokładnie to, co chcieli...

Z pewnymi trudnościami zapytałem Ealdwulfa o *Elchempa*. Jego dramatyczne gesty symbolizujące zabijanie, palenie i ćwiartowanie nie pozwoliły mi wątpić, że mówi o Christianie. Mój brat znany był w lesie jako łupieżca. Wszędzie się go bano.

Obecnie jednak wyglądało na to, że Ealdwulf odnalazł nową nadzieję. Byłem nią ja. Przypomniałem sobie słowa małej Kushar: *Teraz cię znam. Nic złego jednak się nie stało. Opowieść się nie zmieniła. Nie rozpoznałam cię.*

– Czekali na ciebie – stwierdził Keeton. – Znają cię.

– Jak to możliwe?

– Może dotarły do nich wieści od *shamiga*, albo to sam Christian mówił o tobie.

– Ważne jest, że wiedzą, iż jestem tutaj. Jednak skąd ta ulga? Czy sądzą, że potrafię okiełznać Christiana? – Dotknąłem swej szyi. Blizny po sznurze były szorstkie i wciąż wrażliwe. – Jeśli tak, to się mylą.

– W takim razie po co go ścigasz? – zapytał cicho.

– Żeby go zabić i uwolnić Guiwenneth – odpowiedziałem bez zastanowienia. Roześmiał się.

– Sądzę, że to mogłoby załatwić sprawę.

Czułem się zmęczony, lecz bliska obecność dawnych Sasów odbierała mi odwagę. Niemniej jednak Ealdwulf nieugięcie nalegał, byśmy obaj z Keetonem położyli się spać. Gestykulował i powtarzał słowo *slaip!*, którego znaczenie było oczywiste.

– *Slaip!* Ich willa where d'yon!

– Będę cię strzegł – przetłumaczył Keeton z uśmiechem. – To łatwe, gdy już złapie się rytm.

Egwearda podeszła do nas, rozłożyła na posadzce płaszcz i zwinęła się spokojnie obok. Ealdwulf skierował się ku otwartym drzwiom i wyszedł

przez nie w noc. Wyciągnął miecz i wbił go w ziemię, po czym przykucnął za nim, z kolanami po obu stronach lśniącego ostrza.

W tej pozycji pilnował nas przez resztę nocy. Rankiem jego broda i ubranie były wilgotne od rosy. Gdy usłyszał, że się poruszyłem, podniósł się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wrócił do pokoju i strząsnął wilgoć z ciała. Wziął w rękę mój miecz i wyciągnął go ze skórzanej pochwy. Zmarszczył brwi, gdy uniósł celtycką zabawkę do oczu i porównał ze swym hartowanym, stalowym ostrzem. Moja broń była zakrzywiona i zwęzła się ku końcowi. Miała tylko połowę długości miecza Ealdwulfa. Sas potrząsnął głową z powątpiewaniem, potem jednak uderzył jedną klingą o drugą i najwyraźniej zmienił zdanie. Zważył w ręku dar, który otrzymałem od Magidiona, przeszył nim dwukrotnie powietrze i skinął głową na znak aprobaty.

Powtórzył gardłowym tonem radę, że powinienem trzymać się rzeki i zapomnieć o wszystkich pomysłach pościgu za Cudzoziemcem, po czym oddalił się razem z Egwardą. Ich nieszczęsny, niemy syn szedł przed nimi, muskając dłonią mokre paprocie, które w wielkiej obfitości porastały opuszczony ogród.

Obaj z Keetonem zjedliśmy śniadanie, to znaczy wmusiliśmy w siebie po garści zwilżonej wodą owsianki. W jakiś sposób ten prosty rytuał, zapomnienie o czasie na moment jedzenia i kontemplacji, stał się radosnym początkiem dnia.

Cofnęliśmy się po rzymskiej drodze tą samą trasą, którą przyszliśmy, po czym weszliśmy do lasu w miejscu, gdzie przez gęste zarośla prowadziło coś, co wyglądało na naturalną groblę. Nie miałem pojęcia, w jakim miejscu opuścimy gąszcz, choć jeśli bystry potok nadal biegł po łuku, tak jak przedstawiała to mapa Ealdwulfa, mieliśmy przeciąć go jeszcze raz.

Przez cały dzień albo i dłużej nie widzieliśmy żadnego śladu pozostawionego przez Christiana. Całkowicie zgubiliśmy jego trop. Moją jedyną nadzieją było teraz odnalezienie miejsca, w którym przeszedł przez

rzekę. W tym celu Keeton i ja musielibyśmy na chwilę się rozstać, by zbadać brzegi bystrego potoku po obu stronach.

– A więc nie skorzystasz z rady Sasa? – zapytał Keeton.

– To Guiwenneth pragnę, a nie błogosławieństwa jakiegoś przesądneho poganina. Jestem pewien, że chciał dobrze, ale nie mogę pozwolić, by Christian zyskał aż taką przewagę...

W moich myślach żył dziennik ojca...

*...nie było mnie dziewięćdziesiąt dni, lecz w Oak Lodge upłynęły tylko dwa tygodnie...*

I Christian, zawsze Christian. Pamiętam jeszcze tę chwilę, gdy doznałem szoku, ujrawszy go jako starzejącego się mężczyznę.

*Chciałbym cię znać w ciągu minionych piętnastu lat.*

A był nieobecny tylko jakieś osiem miesięcy!

Każdy dzień przewagi, który Christian zdobywał nade mną, mógł być tygodniem albo miesiącem. Być może w centrum puszczy, za ogniem – w sercu królestwa, zwanym przez Kushar *Lavondyss* – znajdowało się miejsce, gdzie czas nie miał żadnego znaczenia. Gdy mój brat przekroczy tę linię, odejdzie zbyt daleko ode mnie, do krainy tak dla mnie obcej, jak Londyn byłby obcy dla Kushar. Wszelka nadzieja na odnalezienie go przepadnie.

Ta myśl przeszywała mnie dreszczem, a także przerażała. Wyłoniła się na powierzchnię nieproszona, całkiem jakby wyrosła gdzieś i czekała na odpowiednią chwilę, by dać się poznać. Nagle przypomniałem sobie, jak Kushar opisała *Lavondyss: Miejsce, gdzie ludzkie duchy nie są związane z porami roku.*

Wizja Christiana zapuszczającego się w bezkresne królestwo czasu przeszyła mnie zimnym dreszczem niepokoju. Wiedziałem, że mam rację.

Nie można było stracić ani godziny, zmarnować ani chwili...



# NEKROMANTA

Wkrótce po opuszczeniu willi przekroczyliśmy granicę między dwiema strefami lasu. Znaleźliśmy się na otwartym terenie. Weszliśmy na szeroką, jasną polanę. Wysoka trawa była lepka od rosy i pokryta połyskującymi pajęczynami, które drżały na wietrze.

Na jej środku stało imponujące drzewo, kasztanowiec. Jego korona była rozłożysta i gęsta. Listowie sięgało niemal do ziemi.

Po przeciwnej stronie drzewo traciło jednak swą wspaniałość w szokujący sposób. Pokrywała je rdza i groteskowe pasożyty. Jego liście były brązowe i gnijące. Z lasu, nad polaną, sięgały ku niemu potężne sznury pnączy oraz wysysających soki pasożytniczych roślin, które wczepiały się w konary.

Niekiedy drzewo drżało i przez sieć owych pijawek, aż do granicy lasu, przebiegały potężne fale spazmatycznej aktywności. Sama ziemia była płataniną korzeni, powoju i dziwnych, lepkich wypukłości, które sięgały kilka cali w powietrze i kołysały się, jakby szukały ofiar.

Kasztanowiec był niedawnym dodatkiem do brytyjskiego krajobrazu. Rósł w Anglii dopiero od kilkuset lat. Keeton sądził, że opuściliśmy już średniowieczny las i wchodzimy na obszar bardziej pierwotnej puszczy. W rzeczy samej, wkrótce pilot skierował moją uwagę na większą częstotliwość występowania leszczyn i wiązów. Dęby, jesiony oraz wyniosłe, pienne buki zaczęły się stawać rzadsze.

W lesie dawała się wyczuć nowa, mroczniejsza i posepniejsza atmosfera. Zapach stał się ostrzejszy i bogatszy, jak butwiejące liście i łajno. Odgłosy życia ptaków były cichsze. Listowie drżało pod wpływem powiewów, których nie mogliśmy wyczuć. Otaczające nas podszycie było znacznie

mroczniejsze. Te promienie słońca, którym udawało się przebić przez gęstą osłonę, czyniły to w zdumiewająco jaskrawych snopach żółtego, mglistego światła uwidaczniającego ociekające wodą liście oraz lśniąca korę, przez co odnosiłem wrażenie, że wszędzie wokół znajdują się obserwujące nas, milczące postacie.

Gdzie tylko spojrzeliśmy, widzieliśmy butwiejące pnie drzew. Niektóre stały jeszcze, podtrzymywane przez sąsiadów, większość jednak runęła już w las. Porastały je teraz pnącza oraz mech i roiły się na nich owady.

Pozostawaliśmy uwięzieni w tym nie kończącym się półmroku przez długie godziny.

W pewnej chwili zaczęło padać. Niepewne światło nad nami zniknęło całkowicie. Wlekliśmy się przez mokre podszycie w przerażającym mroku. Gdy deszcz przestał padać, z drzew wciąż skapywała nieprzyjemnie wilgoć, choć plamy światła powróciły.

Przez pewien czas słyszeliśmy odgłos rzeki, nie będąc właściwie tego świadomi. Nagle Keeton, który szedł jako pierwszy, zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Słyszałeś to?

Teraz zwróciłem uwagę na odległy odgłos bystrego potoku. W szumie wody było COŚ dziwnego, całkiem jakby niósł się echem i docierał z bardzo daleka.

– Rzeka – powiedziałem.

Keeton potrząsnął z poirytowaniem głową.

– Nie. Nie rzeka... głosy.

Podszedłem do niego. Przez kilka dalszych sekund staliśmy w milczeniu.

I wtedy je usłyszałem! Głos mężczyzny, pobrzmiwający podobnym, przypominającym echo tonem, a potem rżącą skargę konia oraz odległy huk i łoskot spadających ze stoku kamieni.

– Christian! – krzyknąłem.

Odepchnąłem na bok Keetona i zacząłem biec. Podążył za mną, utykając. Przemknęliśmy przez zarośla, klucząc między gęsto rosnącymi drzewami. Tłukliśmy gwałtownie laskami w blokujące nam drogę splątane, cierniste krzewy.

Ujrzałem przed sobą światło. Las zaczął się przerzedzać. Był to mglisty, zielonkawy blask, trudny do zauważenia. Gnałem przed siebie, choć plecak krępował mi ruchy. Wypadłem z rozświetlonego lasu. Jedynie dzięki temu, że rzuciłem się szaleńczo w prawo i rozpaczliwie chwyciłem się sękatego korzenia drzewa, uratowałem się przed runięciem głową do wąwozu, który nagle przede mną się pojawił.

Keeton nadbiegł za mną. Dźwignąłem się na nogi i wyciągnąłem ręce, zatrzymując go na chwilę, nim on również zdał sobie sprawę, że grunt zniknął, opadając w niemal pionowym urwisku ku lśniącemu pasemku rzeki widocznemu pół mili w dole.

Cofnęliśmy się z wysiłkiem w bezpieczne miejsce, po czym przysunęliśmy się z powrotem do przepaści. W dół z pewnością nie prowadziła żadna ścieżka. Przeciwległe urwisko nie było aż tak dramatycznie strome. Porastał je las. Drzewa, rzadko rozsiane jarząby mączne i dęby, czepiały się rozpaczliwie każdej szczeliny i grani. Na szczycie urwiska bór znowu stawał się gęstszy.

Ponownie usłyszałem odległy, głuchy głos. Tym razem, gdy przeszukiwałem wzrokiem przeciwległą ścianę wąwozu, zacząłem dostrzegać ruch. Kamienie osuwały się i spadały między przywierającymi do skał krzakami aż do rzeki na dole.

Pojawił się mężczyzna prowadzący posuwającego się z wysiłkiem, stojącego dęba konia w górę ścieżki, która wyglądała na niewiarygodnie wąską.

Za rumakiem stąpały następne postacie. Ich zbroje i skórzane stroje lśniły. Mężczyźni pchali, bądź ciągnęli, kilka opornych zwierząt jucznych. Tą samą granią holowano powoli w górę wóz, który ześliznął się i utknął na

kilka sekund, gdy koło zsunęło się ze ścieżki. Nastąpiło gwałtowne poruszenie, któremu towarzyszyło mnóstwo krzyków i rozkazów.

Patrząc na tę kolumnę posuwających się w dużych odstępach wojowników, zdałem sobie sprawę, że ciągnie się ona daleko w górę zbocza. Nagle pojawiła się tęga, odziana w płaszcz postać Christiana, który prowadził konia z czarnym rzędem! Kształt przerzucony bezwładnie przez kłęb zwierzęcia wyglądał na kobiecy. Słońce połyskiwało w rudych włosach. A może było to tylko rozpaczliwe oszustwo mojej wyobraźni?

Zanim zdążyłem się zastanowić, czy to rozsądne posunięcie, wykrzyknąłem nad przepaścią imię Christiana. Cała kolumna zatrzymała się i spojrzała na mnie, gdy niosący się echem głos rozproszył się w dali. Keeton wessał do płuc powietrze w geście frustracji.

– No to teraz nas załatwiłeś – wyszeptał.

– Chcę, żeby wiedział, że go ścigam – odparłem. Czułem się jednak zawstydzony tym, że utraciłem to, co mogło stanowić naszą siłę, uderzenie z zaskoczenia. – Musi być jakaś ścieżka w dół – stwierdziłem. Ruszyłem przez podszycie równoległe do szczytu urwiska.

Keeton powstrzymywał mnie przez chwilę, po czym wskazał na parów. Cztery albo pięć postaci ześlizgiwało się po stromej grani, schodząc szybko w dół między drzewami.

– Jastrzębie – oznajmił Keeton. – Widzę sześciu. Chyba sześciu. Tak jest, tam! Popatrz.

Mała grupka kierowała się w dół zbocza. Trzymali swobodnie broń, pomagając sobie rękoma, by zachować równowagę na zdradzieckim ześlizgu ku rzece.

Tym razem Keeton podążył za mną. Pognaliśmy przez las wzdłuż krawędzi urwiska, uważając na luźne kamienie i wystające z ziemi korzenie, które mogłyby spowodować nasz upadek.

Gdzie była ścieżka?

Moja frustracja narastała w miarę, jak upływały minuty, a jastrzębie schodzili coraz niżej, ginąc nam z oczu. Dotrą nad rzekę za godzinę. Będą mogli tam na nas zaczekać. Musieliśmy zejść na dół przed nimi.

Byłem tak zaabsorbowany poszukiwaniem śladów ścieżki, którą zszedł mój brat, że minęło kilka sekund, nim zauważyłem drżący, czarny kształt stojący przede mną.

Dźwignął się gwałtownie na nogi, wypuszczając z płuc potężny, wibrujący oddech, czemu towarzyszył niski syczący dźwięk, który ogłuszał w równym stopniu, jak atakował smrodem. Keeton wpadł na mnie, krzyknął i zatoczył się do tyłu.

Urscumug kołysał się z boku na bok. Jego paszcza się poruszała. Namalowana na uzbrojonym w kły pysku, zniekształcona, biała twarz człowieka, którego tak się kiedyś bałem, krzywiła się i uśmiechała. Wielka włócznia, którą trzymał w łapie, wyglądała na wykonaną z całego pnia drzewa.

Keeton zniknął w podszyciu. Podążyłem cicho za nim. Przez chwilę wydawało się, że wielka dzikopodobna bestia w ogóle nas nie zauważyła. Teraz jednak jej słuch wykrył naszą obecność. Rozpoczęła pościg. Kluczyła między drzewami, poruszając się w ten sam zdumiewający sposób co poprzednio, była szybka i zdeterminowana. Keeton pognał w jedną stronę, a ja uciekłem w drugą. Urscumug zatrzymał się, uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Jego pierś podnosiła się i opadała, ostra sierść na ciele jeżyła się, a korona cierniowa z gałęzi, którą nosił, szeleściła, gdy odwracał się to w tę, to w tamtą stronę. W bladym świetle jego kły zdawały się być wysoko położonymi, jasnymi punktami. Wyciągnął rękę i ułamał gałąź drzewa. Zaczął uderzać nią w podszycie, nadal nasłuchując.

Potem odwrócił się i garbiąc się i kołysząc, ruszył z powrotem ku wąwozowi. Tam zatrzymał się, spoglądając nad przepaścią na składający się z koni i wojowników orszak Christiana. Cisnął gałąź w rozpadlinę, po czym ponownie spojrzał w moją stronę i uniósł głowę.

Przysięgam, że wydawało mi się, iż śledzi moje ruchy, gdy podkradałem się z powrotem ku miejscu, którego strzegł. Być może był chory albo ranny. Omal nie krzyknąłem głośno pod wpływem szoku, którego doznałem, gdy dłoń Keetona dotknęła mojego barku. Nakazując mi całkowite milczenie, wskazał na początek wąskiej, prowadzącej w dół stoku ścieżki.

Uważając na każdy krok, zaczęliśmy schodzić owym szlakiem. Gdy po raz ostatni spojrzałem na mitotwór ojca, był wysokim, czarnym kształtem, kołyszącym się lekko i wpatrującym w dal. Jego nozdrza drżały, a oddech był cichym, spokojnym, kontemplacyjnym dźwiękiem.

Żadna wędrówka nigdy nie była trudniejsza czy bardziej przerażająca niż to zejście w dół, ku dolinie rzeki. Nie potrafię określić, ile razy źle się czegoś uchwyciłem, ile razy traciłem równowagę, wpadałem w poślizg i zjeżdżałem w dół po pełnej ostrych kamieni i splątanych korzeni grani. Uniknąłem zagłady jedynie dzięki temu, że łapałem się czegoś odruchowo. Czasem też podawał mi pomocną dłoń Keeton. Równie często odwdzięczałem mu się taką samą przysługą. Zaczęliśmy schodzić w dół, niemal dotykając się dłońmi, aby w razie czego jeden drugiego mógł podtrzymać.

Koński nawóz, ślady kół oraz lin na pniach wykrzywionych przez wiatr drzew świadczyły o tym, iż tym niebezpiecznym zejściem, przed kilkoma godzinami czy może całym dniem, szedł Christian.

Nie widzieliśmy już jastrzębi, którzy zmierzali, by stawić nam czoło. Gdy się zatrzymywaliśmy i wsłuchiwalismy w głęboką ciszę, do naszych uszu dobiegał jedynie świergot ptaków, choć raz czy dwa usłyszeliśmy gdzieś w oddali głosy Christiana i zasadniczej grupy, która prawie już dotarła na płaskowyż wewnętrznego królestwa.

Schodziliśmy w dół przez ponad godzinę. Na koniec grań rozszerzyła się i stała się czymś bardziej przypominającym naturalną ścieżkę wiodącą ku wielkiej, zielonej połaci lasu, dywanowi listowia, przez który gdzieniegdzie

dostrzegaliśmy błysk wielkiej rzeki. W górze piętrzyły się szare ściany wąwozu, złowieszcze i zasłaniające widok.

Gdy wreszcie znaleźliśmy się na dole, panowała tam złowroga cisza. Przez moment czuliśmy, że jesteśmy obserwowani. Podszycie było rzadkie. Rzeka płynęła wartko w odległości jakichś stu jardów, niewidoczna w głębokim cieniu milczącego lasu.

– Już tu są – wyszeptał Keeton. Trzymał w ręku swego smith and wesson. Przykucnął za gęstymi krzewami janowca, spoglądając zza nich na rzekę.

Podbiegłem do najbliższej mnie rosnącego drzewa. Keeton podążył za mną. Doścignął mnie i zbliżył się do rzeki. Nad nami przeleciał głośno ptak. Po prawej stronie jakieś zwierzę, być może mały jeleń, poruszało się niespokojnie w gąszczu. Widziałem długą linię jego grzbietu i słyszałem ciche parsknięcia.

Posuwając się ukradkiem, przemykając między drzewami, dotarliśmy do suchego, lekko piaszczystego brzegu, gdzie wijące się korzenie leszczyn i wiązów tworzyły ciąg dołów i studni, w których się kryliśmy. Rzeka miała w tym miejscu około czterdziestu jardów szerokości. Była głęboka i wartka. Na środku była jasna, lecz korony rosnących na brzegu drzew rzucały na większą jej część cień. Teraz, późnym popołudniem, światło słabło i druga strona bystrego potoku pogrążała się w mroku. To miejsce wyglądało groźnie.

Być może jastrzębie mimo wszystko nie dotarli tu jeszcze. A może obserwowali nas z mroku na przeciwległym brzegu?

Musieliśmy przeprowadzić się przez rzekę. Keetona napełniała obawą myśl o próbowaniu tego w tej chwili. Mówił, że powinniśmy poczekać do świtu. W ciągu nadchodzącej długiej nocy jeden z nas będzie stał na straży, a drugi spał. Jastrzębie musieli gdzieś tu być. Po prostu czekali z atakiem na właściwy moment.

Zgodziłem się z nim. Po raz pierwszy ucieszyłem się, że zabrał rewolwer. Powinien on zapewnić nam przynajmniej taktyczną przewagę, szansę na rozproszenie przeciwnika, gdy będziemy przechodzić na drugi brzeg.

Snułem te jałowe rozważania przez nie więcej niż dziesięć minut, gdy jastrzębie niespodziewanie na nas runęli. Siedziałem przykucnięty nad rzeką, na wpół skryty po zawietrznej stronie pnia wiązu, wypatrując w cieniach po drugiej stronie rzeki oznak ruchu. Keeton podniósł się i podszedł ostrożnie do brzegu. Usłyszałem jego zdyszany krzyk, a potem świst strzały, która wpadła z pluskiem do wody daleko od nas. Lotnik rzucił się do ucieczki.

Byli już po naszej stronie bystrego potoku. Rzucili się na nas nagle i szybko, biegnąc i podskakując w szaleńczych zygzakach. Dwóch z nich miało łuki. Kolejna strzała stuknęła w pień drzewa tuż obok mnie. Jej drzewce się złamało. Pobiegłem za Keetonem tak szybko, jak tylko mogłem. Mocne uderzenie w plecy popchnęło mnie do przodu. Bez oglądania się wiedziałem, że plecak uratował mi życie.

Nagle rozległ się pojedynczy strzał i straszliwy krzyk. Obejrzałem się za siebie. Jeden z jastrzębi stał nieruchomo, zasłaniając twarz dłońmi. Między palcami ściekała mu krew. Jego kompani rozpierzchli się na boki. Martwy wojownik osunął się na kolana, a potem na brzuch.

Keeton znalazł głębsze obniżenie terenu, skryte za zasłoną z gęstego janowca oraz płotem z korzeni drzew, które oddzielały nas od jastrzębi. Strzały przemykały nam nad głowami. Jedna zahaczyła moją kostkę, odbiwszy się od gałęzi. Skaleczenie było płytkie, lecz niewiarygodnie bolesne.

I wtedy Harry Keeton zrobił coś bardzo głupiego. Wstał i wycelował bez najmniejszego pośpiechu w najaktywniejszego z napastników. W tej samej chwili, gdy rewolwer wystrzelił, kamień z procy wytrącił broń z dłoni



lotnika. Pomknęła po suchym gruncie, oddalając się o wiele jardów. Keeton się skrył. Trzymał się za dłoń, chuchając na skaleczony i stłuczony palec.

Strażnicy Christiana runęli na nas niczym pięć psów z piekła rodem, wyjąc i pokrzykując: gibkie, niemal nagie postacie, chronione tylko najprostszymi skórzanymi pancerzami. Jedyne maski jastrzębi były wykonane z metalu – one i krótkie, połyskujące miecze, które dzierżyli.

Obaj z Keetonem umykaliśmy przed tymi wojownikami niczym jelenie przed ogniem. Biegliśmy rączo mimo plecaków i ciężkiego, ochronnego ubrania. Wyobrażenie bólu towarzyszącego podrzynaniu gardła nożem było potężnym bodźcem pozwalającym znaleźć siły do odwrotu.

Gdy przebiegałem od jednej osłony do drugiej, najbardziej przerażało mnie to, jak bardzo byliśmy nieprzygotowani. Bez względu na całą naszą gadaninę i moje poczucie siły, gdy przyszło co do czego, okazaliśmy się totalnie bezradni. Nawet trzydziestka ósemka nie zdała się na wiele przeciw prostym umiejętnościom wyszkolonych żołnierzy. Byliśmy w lesie dziećmi, naiwnymi brzdącami bawiącymi się w sztukę przetrwania.

Gdybym faktycznie musiał się wówczas zmierzyć z Christianem, posiekałby mnie na kawałki. Atakując go wyposażony we włócznie o kamiennym grocie, celtycki miecz oraz masę gniewu, nie wskórałbym wiele więcej, niż gdybym na niego krzyczał.

Ziemia usunęła mi się spod nóg. Keeton wciągnął mnie do kolejnego „leju po bombie”. Odwróciłem się i uniosłem włócznie, patrząc jak jeden z jastrzębi zbliża się do nas w podskokach.

To, co wydarzyło się później, było bardzo dziwne.

Wojownik zatrzymał się. Każdy napięty, falujący ruch jego ciała mówił mi, że ogarnął go nagły strach, choć żółta, ptasia maska nic nie zdradzała. Cofnął się. Wokół nas rozpętał się raptownie zimny wiatr.

Powietrze zrobiło się ciemne. Wszelkie światło odpłynęło z brzegu rzeki, całkiem jakby słońce nieoczekiwanie przesłoniła czarna, burzowa chmura. Drzewa wokół mnie zaczęły się kołysać i giąć. Konary

zaskrzypiały. Pokryte liśćmi gałązki zadrżały i zaszeleściły. Wokół pierwszego z jastrzębi owinęło się coś mglistego i przypominającego widmo. Mężczyzna krzyknął i pobiegł ku swym kompanom.

Z ziemi wzbily się potężne słupy pyłu. Wody rzeki chlusnęły w górę, całkiem jakby walczyły w niej wielkie, morskie bestie. Otaczające nas drzewa zaczęły drzeć niemal gorączkowo, hałaśliwie gubiąc gałęzie. Powietrze było lodowato zimne. Upiorne, uśmiechnięte kształty żywiołaków przemykały i płynęły przez niesamowitą mgłę, która unosiła się nad ziemią, nie dając się rozproszyć wiatrowi.

Keeton był przerażony. Na jego brwiach i czubku nosa uformowały się kryształki lodu. Drżał gwałtownie, wciskając się głębiej w swój skórzany kombinezon motocyklisty. Ja również dygotałem. Oddech mi zamarzał, a oczy piekły mnie od lodu. Drzewa stały się białe, ozdobione delikatnymi płatkami śniegu. Dziwny śmiech oraz głosy wrzeszczących jak banshee, gwałtownych, zrodzonych z umysłu form, odcinały tę część lasu od wszystkiego, co naturalne.

– Co to takiego, do licha? – wyjąkał Harry Keeton przez szczękające zęby.

– Przyjaciel – odparłem i wyciągnąłem rękę w uspokajającym geście.

To Freya przyszedł do mnie.

Keeton popatrzył na mnie spod pokrytych szronem powiek. Otarł sobie dłonią twarz. Wokół nas cała okolica była biała od śniegu i lodu. Wysokie, płynące postacie unosiły się bezgłośnie w powietrzu. Niektóre zbliżały się, by się nam przyjrzeć. Miały twarze o ostrych rysach i wąskie, psotne oczy. Inne były po prostu wirami, dużymi, mrocznymi kształtami, których przemieszczaniu się przez powietrze towarzyszyły dźwięki bach i bum, przypominające jakieś niesamowite implozje.

Jastrzębie uciekli z wrzaskiem. Widziałem, jak jednego coś dźwignęło w górę i zgięło w pół, a potem wykręcało i zgniatało dalej, aż wreszcie lepka ciecz zaczęła skapywać z trupa... trupa, który unosił się w powietrzu

podtrzymywany niewidzialnymi dłońmi. Poszarpane, rozbryzgane szczątki ciśnięto do rzeki. Zniknęły pod krystaliczną taflą wody. Następny jastrząb, szarpiący się i opierający, poleciał na spotkanie śmierci na drugi brzeg, gdzie nadział się na wyszczerbiony kikut konaru. Nie potrafiłem dostrzec, co stało się z pozostałymi, lecz wrzaski trwały przez kilka minut, a aktywność poltergeistów nie traciła na intensywności.

Wreszcie zapadła cisza. Powietrze ociepliło się, a biały całun zniknął. Obaj z Keetonem energicznie potarliśmy zgrabiące dłonie. Zbliżyło się do nas kilka wysokich, widmowych postaci, niewyraźnych, mglistych, przypominających nieco ludzi. Unosiły się nad nami, spoglądając w dół. Ich włosy falowały w niesamowity, powolny sposób. Drżały im dłonie. Długie, zwężające się ku końcowi palce, wskazywały na coś, próbując to schwytać. Stwory skierowały na nas swe lśniące oczy – jaśniejące studnie świadomości znajdujące się nad szerokimi, uśmiechniętymi ustami. Keeton przyglądał się tym duchom przerażony i wstrząśnięty. Jeden z nich sięgnął w dół i uszczypnął w nos lotnika, który zapiszczał ze strachu. Żywiołaki roześmiały się chichotliwie. W owym śmiechu brzmiało coś niewłaściwego, jakiś fałszywy dźwięk, leśne echo, które nie pochodziło z ich ust, lecz wydawało się rozbrzmiewać wszędzie wokół nas.

I wtedy pojawiło się światło, złocisty, rozproszony blask towarzyszący uroczystemu nadpłynięciu łodzi. Otaczające nas żywiołaki drżały i wibrowały, wciąż wydając z siebie odgłos śmiechu. Wydawało się, że te, które były nagie, rozwiały się w dym, pozostałe zaś się od nas oddaliły. Trzymały się blisko zacienionych miejsc, zakamarków i szczelin gałęzi oraz korzeni, wciąż wbijając w nas spojrzenie błyszczących oczu.

Keeton wciągnął powietrze na widok stateczku. Gdy ja go ujrzałem, poczułem wielką ulgę. Po raz pierwszy od rozpoczęcia podróży pomyślałem o srebrnym amulecie w kształcie dębowego liścia. Sięgnąłem pod przemoczoną koszulę, by wydobyć medalion. Wyciągnąłem go w stronę człowieka, który patrzył na nas z łodzi.

Wydawała się ona znacznie bardziej na miejscu na tej szerokiej połaci wodnej niż na niewiarygodnie wąskim, bystrym potoku niedaleko domu. Jej żagiel zwisał luźno. Wy płynęła z mroku. Wysoki, odziany w płaszcz mężczyzna zeskoczył na brzeg i przywiązał cumę do końca korzenia. Światło pochodziło z pochodni płonącej na dziobie. Wrażenie, że świeci sam nieznajomy, było złudzeniem. Nie miał już na głowie hełmu z ozdobnym grzebieniem. Obaj z Keetonem przyglądaliśmy się, jak zrzucił z siebie płaszcz, sięgnął po jasną żagiew i wbił ją w brzeg rzeki, po czym przeszedł obok niej, tak że jej łuna otoczyła blaskiem jego masywną postać.

Zbliżył się i pochylił, by podnieść nas na nogi.

– Sorthalan! – powiedział głośno. Powtórzył to słowo, tym razem uderzając pięścią w swą pierś. – Sorthalan!

Wyciągnął rękę do wiszącego na mojej szyi amuletu, dotknął go i uśmiechnął się, aż zadrżała jego gęsta broda. To, co wówczas powiedział, w płynnym języku przypominającym ten, którym mówiła Kushar, nie znaczyło dla mnie nic. Mimo to odniosłem wrażenie, że padły słowa: „Czekałem na ciebie”.

Godzinę po zmierzchu Urscumug zlął z wysokiego urwiska, by przeprowić się przez rzekę w pościgu za Christianem. Pierwszą oznaką jego zbliżania się był ukradkowy ruch w lesie. Sorthalan zgasił pochodnię. Wysoko nad wodą świecił księżyc w kwadrze. Pogodna noc pozwalała dostrzec pierwsze gwiazdy. Musiało być około dziewiątej. Korony drzew czyniły mrok ciemniejszym.

Urscumug wyłonił się z lasu. Szedł powoli. W wieczornej ciszy słychać było wydawany przez niego dziwny, sapiący odgłos. Przyglądaliśmy się z ukrycia, jak wielka dzikopodobna postać zatrzymała się nad brzegiem rzeki i pochyliła, by podnieść bezwładne, zmiażdżone ciało jednego z jastrzębi. Stwór rozpruł zwłoki za pomocą kłów, przykucnął w zdumiewająco ludzki sposób i wysał miękkie wnętrzości martwego mitotworu, po czym cisnął

trupa do rzeki, warknął nisko i rozejrzał się wzdłuż brzegu. Jego lśniące spojrzenie zatrzymało się na nas na dłuższy czas, ale z pewnością nie dojrzał nic w mroku.

Biała maska wyobrażająca ludzką twarz wydawała się błyszczeć w świetle księżyca. Przysięgam też, że wargi rozchyliły się w niesłyszalnym przekazie, całkiem jakby duch ojca mówił coś bezgłośnie, uśmiechając się przy tym.

Nagle bestia wyprostowała się i weszła do wody. Wzniosła olbrzymie ramiona do poziomu barków, trzymając sękatą włócznię nieco nad głową. Poroże z cierni, które nosiła, zahaczało o drzewa na przeciwległym brzegu, lecz pomijając jeden czy dwa pomruki, nie usłyszeliśmy już żadnego pochodzącego od Urscumuga dźwięku. Po jakiejś godzinie kamienie osunęły się z łoskotem, poturlały się przez las i wpadły z cichym pluskiem do wody.

Na rzece, łódź kołysała się hałaśliwie unoszona przez prąd. Szarpała przytrzymującą ją cumę. Zajrzałem do środka stateczku. Był prostej, lecz eleganckiej konstrukcji. Miał wąski kadłub, było tam jednak wystarczająco dużo miejsca, by około dwudziestu ludzi mogło skulić się pod skózanymi zasłonami, które można było rozwiesić, aby osłonić pokład przed deszczem. Pojedynczy, prosto ustawiony żagiel pozwalał na płynięcie z wiatrem, w środku znajdowały się również dulki prymitywnej konstrukcji oraz cztery wiosła na spokojniejsze wody.

Ponownie to figuryнки przyciągnęły moją uwagę, maskarony wyrzeźbione na rufie i dziobie. Na ich widok przeszył mnie dreszcz niepokoju, ogarnęła mnie groza. Wydały mi się znajome. Dotknęły dawno stłumionej części mojej pamięci przekazującej wspomnienia o prapoczątkach ludzkiej rasy. Ich szerokie twarze o wąskich oczach i bulwiastych wargach same w sobie były dziełem sztuki, nierozpoznawalnym lecz absorbującym umysł.

Sorthalan wykopał dół na ognisko i zapalił suche drewno za pomocą krzemiennych narzędzi własnej roboty. Upiekł nad ogniem dwa gołębie i słonkę, lecz mięso na ptakach ledwo wystarczyłoby do zaspokojenia głodu mnie jednego, nie mówiąc już o apetycie całej naszej trójki.

Choć ten jeden raz nie przystąpiliśmy od razu do bezsensownego rytuału nieudolnego porozumiewania się kończącego się niezrozumieniem. Sorthalan jadł w milczeniu. Patrzył na mnie, lecz bardziej pochłaniały go własne myśli. W końcu, to ja spróbowałem nawiązać z nim kontakt. Wskazałem w kierunku, gdzie zniknął pierwotny mitotwór, i powiedziałem: – Urscumug.

Sorthalan wzruszył ramionami.

– Urshucum.

Podobnie brzmiące imię słyszałem niedawno z ust Kushar.

Spróbowałem czegoś innego. Naśladując palcami ruch, powiedziałem: – Ścigam *uth guerig*. Czy o nim słyszałeś?

Sorthalan przeżuł kęs, spoglądając na mnie, po czym zlizął z dwóch palców ptasi tłuszcz. Wyciągnął rękę i tymi samymi dwoma lepkiemi palcami ścisnął mi wargi.

Cokolwiek powiedział, znaczyło to: „Bądź cicho i jedz”.

Wykonałem jego polecenie.

Według mojej oceny był mężczyzną po pięćdziesiątce. Miał twarz pooraną głębokimi bruzdami, lecz jego włosy były jeszcze całkiem ciemne. Ubranie miał proste: płócienną koszulę z żebrowanym, skórzanym pancerzem, który sprawiał wrażenie całkiem skutecznej ochrony. Spodnie były długie i przewiązane paskami materiału. Jako butów używał płatów zszytej razem skóry. Sorthalan wyglądał bezbarwnie, wszystkie te materiały, które miał na sobie, miały taki sam jednolity, brązowy odcień. Jedynym wyjątkiem był noszony przez niego naszyjnik z zabarwionych kości. Bogato ozdobiony hełm zostawił w łodzi, lecz nie sprzeciwił się, gdy

Keeton przyniósł go do ogniska i przebiegł palcami po pięknie przedstawionych scenach łowów i wojny.

Keetonowi przyszło do głowy, że widoczne na hełmie z brązu złożone ze srebrnych punktów wzory przedstawiają życie samego Sorthalana. Zaczynały się nad wypukłością nad lewym okiem i przebiegały wzdłuż grzebienia aż do płyty powyżej prawego policzka, tworząc subtelnie ciągłą scenę. Było tam jeszcze miejsce na wytrawienie jednego czy dwóch obrazków.

Seria ukazywała łodzie na burzliwym morzu; porośnięte lasem ujście rzeki; osadę; wysokie, złowieszcze postacie; widma i ogień; i na koniec, samotną łódź z sylwetką mężczyzny na dziobie.

Keeton nie mówił nic, lecz wspaniały artyzm wytrawionych scen wyraźnie go poruszył i zrobił na nim wrażenie.

Sorthalan owinął ciało płaszczem. Sprawiał wrażenie pogrążonego w płytkiej drzemce. Keeton pogrzebał kijkiem w ogniu i rzucił na jasne węgielki nowy kawałek drewna. Musiało już być niedaleko do północy. Obaj spróbowaliśmy zasnąć.

Mogłem jednak tylko drzemać nerwowo. W pewnej chwili, w środku nocy, usłyszałem głos Sorthalana, który szeptał coś cicho. Otworzyłem oczy i usiadłem. Zobaczyłem, że siedzi obok śpiącego głęboko lotnika, dotykając jedną ręką jego głowy. Słowa szamana przypominały rytualną pieśń. Ogień tlił się już bardzo słabo. Rozpaliłem go z powrotem. W jego odnowionym blasku dostrzegłem pot zalewający twarz Sorthalana. Keeton poruszył się, lecz się nie obudził. Nekromanta dotknął wolną ręką jego warg i spojrzał na mnie. Zaufałem mu.

Po chwili cicho wyśpiewywane słowa umilkły. Szaman dźwignął się na nogi, zrzucił z siebie płaszcz i podszedł do wody. Schylił się, by umyć ręce i opłukać twarz. Nagle przykucnął, wpatrzony w nocne niebo. Jego głos zabrzmiał donośniej. Syczące, niepewne dźwięki języka, którym mówił,

poniosły się echem w ciemności. Keeton obudził się i usiadł, pocierając oczy.

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

Przyglądaliśmy się temu przez kilka minut, coraz bardziej zaintrygowani. Powiedziałem Harry’emu Keetonowi, co robił z nim Sorthalan, lotnik nie okazał jednak strachu ani zaniepokojenia.

– Kim on jest? – zapytał.

– Szamanem. Czarownikiem. Nekromantą.

– Sas nazywał go Freya. Myślałem, że to bóg Wikingów albo coś.

– Bóg wyrósł ze wspomnień o potężnych ludziach – zasugerowałem. – Być może wczesna postać Freyi była czarownikiem.

– To zbyt skomplikowane na tak wczesną godzinę – odparł, ziewając Keeton.

Nagle obaj poderwaliśmy się zaskoczeni, słysząc za sobą w podszyciu jakieś poruszenie. Sorthalan wciąż był na miejscu, pochylony nad wodą, lecz teraz już milczał.

Obaj z Keetonem wpatrzyliśmy się w ciemność. Narastający szelest zwiastował zbliżanie się niewyraźnej, ludzkiej sylwetki, która zawahała się, kołysząc się lekko w mroku. Jej zarys był ledwie widoczny w blasku ognia.

– Halo! – rozległ się brzęczy bardzo niepewnie i mało kulturalnie męski głos. Słowo zabrzmiało raczej jak „Alo!”.

Po tym głośnym przywitaniu postać zbliżyła się. Wkrótce pojawił się przed nami młody mężczyzna. Zatrzymał się niezdecydowany w strefie żywiołaków, otoczony widmami oraz upiornymi postaciami tworzącymi świętę Sorthalana. Wydawało się, że popędzają go one naprzód, on zaś ma opory. W owej chwili rozpoznałem tylko jego mundur. Żołnierz był obdarty i nie miał ekwipunku – ani plecaka, ani karabinu. Kurtka koloru khaki była rozpięta pod szyją. Jego spodnie w udach były luźne, lecz w łydkach ciasno związane owijaczami z tkaniny. Na rękawach miał jeden pasek.



Był w tak oczywisty sposób żołnierzem brytyjskiej armii z czasów pierwszej wojny światowej, że w pierwszej chwili nie chciałem uwierzyć własnym oczom. Przyzwyczałem się do wzrokowej diety złożonej z prymitywnych, dzierzących żelazny oręż postaci, że tak znajomy i oczywisty widok wydał mi się nieprawdopodobny.

Gdy przybysz odezwał się ponownie, wciąż niepewnie, w jego głosie zabrzmiały liczne cockneyowskie samogłoski.

– Czy mogę podejść? No kurde, koledzy, tu jest sakramencki ziąb.

– No to chodź – odparł Keeton.

– Nareszcie! – zawołał radosnym tonem nasz nocny gość.

Postąpił ku nam kilka kroków. Zobaczyłem jego twarz...

I Keeton też!

Wydaje mi się, że wciągnął głośno powietrze. Przeniosłem wzrok z jednego na drugiego.

– O Boże – powiedziałem.

Keeton cofnął się, ujrawszy swego sobowtóra. Piechociarz nie sprawiał wrażenia, by cokolwiek zauważył. Wszedł na teren naszego obozu i potarł energicznie ramiona. Gdy się do mnie uśmiechnął, spróbowałem odwzajemnić ten gest, lecz niepewność, którą poczułem na widok wiernej kopii mego towarzysza podróży, musiała być widoczna.

– Zdawało mi się, że czuję kurczaka.

– To był gołąb – odparłem – ale już go nie ma.

Mówiący cockneyem piechociarz wzruszył ramionami.

– Mówi się trudno. Ale sakramencko zgłodniałem. Nie mam czym zapolować jak należy. – Przeniósł wzrok z jednego na drugiego z nas. – Macie może szluga?

– Niestety – odpowiedzieliśmy jednym głosem.

Wzruszył ramionami.

– Mówi się trudno – powtórzył, po czym się rozpromienił.

– Nazywam się Billy Frampton. Straciliście kontakt z jednostką?

Przedstawiliśmy się. Frampton przykucnął przy ognisku, które paliło się teraz jasno. Zauważyłem, że Sorthalan zbliżył się i okrążył nas, by stanąć za nowo przybyłym. Frampton sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył szamana. Jego świeża twarz, połyskujące oczy oraz wiecheć jasnych włosów tworzyły wizerunek młodszego Harry'ego Keetona bez śladu po oparzeniu.

– Ja wracam do okopów – mówił Frampton. – Mam szósty zmysł, no nie? Zawsze miałem, nawet w Londynie jako szkrab. Raz żem zabłądził w Soho, jakem miał ze cztery lata, ale trafiłem z powrotem do Mile End. Dobre poczucie kierunku. Nic wam nie będzie, koledzy. Trzymajcie się mnie, a wszystko będzie grało.

Mówiąc, marszczył brwi i spoglądał niespokojnie na rzekę. W chwilę później popatrzył na mnie. Jego oczy miały jakiś szalony wyraz, czaiła się w nich bliska paniki niepewność.

– Dziękuję, Billy – odparłem. – Kierujemy się ku centrum. W górę urwiska położonego na drugim brzegu.

– Mów mi Spud. Wszyscy kumple tak mi mówią.

Keeton wypuścił głośno powietrze z płuc. Zadrżał. Obaj mężczyźni wymienili długie spojrzenia.

– Spud Frampton – wyszeptał Keeton. – Chodziłem z nim do szkoły. Ale to nie on. Był gruby i miał ciemne włosy...

– Spud Frampton to ja – odparł z uśmiechem nasz gość. – Trzymajcie się mnie, koledzy. Trafimy z powrotem do okopów. Poznałem już te lasy jak wewnątrz starej „Cockney Pride”.

Był, rzecz jasna, kolejnym mitotworem. Patrzyłem na niego, gdy mówił. Nieustannie rozglądał się wokół. Sprawiał wrażenie, że odczuwa ostrą, pogłębiającą się rozpacz. Coś tu było nie w porządku i on o tym wiedział. Już sam fakt jego istnienia wydawał się czymś niewłaściwym. O ile jakikolwiek mitotwór można nazwać naturalnym w lesie zjawiskiem, Spud Frampton był nienaturalny. Intuicja podpowiedziała mi dlaczego. Szeptem

podzieliłem się swą teorią z Keetonem, podczas gdy Spud wpatrywał się w ogień i powtarzał coraz bardziej rozpaczliwym tonem: – Trzymajcie się mnie, koledzy.

– Sorthalan stworzył go z twojego umysłu.

– Kiedy spałem...

Tak jest. Sorthalan nie posiadał takiego talentu jak mała Kushar, sięgnął więc do składnicy pamięci Harry’ego Keetona i odnalazł najnowszą z zabezpieczonych tam form mitotworowych. Za pomocą magii lub parapsychicznych mocy, którymi władał, nekromanta w ciągu jakiejś godziny uformował mitotwór i przywołał go do obozu. Dał mu rysy twarzy Keetona oraz nazwisko jego szkolnego kolegi. Za pośrednictwem Spuda Framptona mag z epoki brązu mógł z nami rozmawiać.

– Rozpoznaję go – stwierdził Keeton. – Mój ojciec wspominał o nim. Albo o nich. Jednym był Lejowy Sam. Ojciec opowiedział mi też kilka historii o kapralu cockneyu. Mówili na niego Piekielny Harry. Wszystkie opowieści dotyczyły „powrotu do domu”. Piekielny Harry był kapralem, który wślizgiwał się we mgłę do leju po pocisku, w którym się skryłeś, wyruchany jak ta lala, całkowicie zagubiony i w jakiś sposób prowadził cię do domu. Robił to jednak z fasonem. Jedną grupę zagubionych żołnierzy znad Sommy we Francji zawiódł prosto do ich zagród na szkockich wyspach. „Niech mnie wyruchają, koledzy, cosik miarkowałem, że mnie stopy bolą...” – Keeton uśmiechnął się. – Podobne rzeczy.

– Formy mitotworowe tworzyły się jeszcze tak niedawno – odezwałem się cicho. Byłem zdumiony. Potrafiłem sobie jednak bez trudu wyobrazić, w jaki sposób groza i dezorientacja towarzyszące życiu w okopach Flandrii mogły spowodować uformowanie się udręczonego wcielenia „nadziei”, postaci, która z niezachwianą pewnością potrafiła przewodzić, być źródłem nowej inspiracji oraz dodać przerażonym i zagubionym żołnierzom odwagi.

Niemniej spoglądając na naszego znajomego, ową pośpiesznie stworzoną postać bohatera, dostrzegałem jedynie jego dezorientację i

niepewność. Powołano go do życia w określonym celu, a był nim język, nie mit.

Zbliżył się Sorthalan. Grubas przykucnął, opierając delikatnie dłoń na barku żołnierza. Frampton poderwał się lekko, po czym na mnie spojrzał.

– On się cieszy, że miałeś odwagę, by przyjść.

– Jaki on? – zapytałem, marszcząc brwi. Nagle zrozumiałem, co się dzieje. Wargi Sorthalana poruszały się, lecz nie towarzyszył temu żaden dźwięk. Podczas gdy on przemawiał bezgłośnie, Frampton zwracał się do mnie. Jego cockneyowski akcent pozostawał w osobliwym kontraście z opowiadaną przez niego legendą. Żołnierz powtórzył słowami obrazkową opowieść na hełmie Sorthalana.

– Nazywa się Sorthalan, co znaczy „pierwszy przewoźnik”. W krainie jego ludu nadchodziła wielka burza. Ów kraj leży daleko stąd, a burza oznaczała nową magię i nowych bogów. Sama ziemia odrzucała ziomek Sorthalana. W owym czasie był on jeszcze duchem w łędźwiach starego kapłana, Mithana. Mithan dostrzegł w przyszłości czarną chmurę, lecz nie było nikogo, kto powiódłby plemiona przez ląd i morze ku leżącym dalej, porośniętym lasem wyspom. Mithan był za stary, by jego duchy mogły uformować niemowlęta w brzuchach kobiet. Znalazł więc wielki głaz z wyżłobioną przez wodę bruzdą na jego powierzchni. Umieścił swego ducha na kamieniu, a kamień na wysokim szczycie. Głaz rósł przez dwie pory roku. Potem Mithan zepchnął go na dół. Kamień pękł. W środku kryło się zwinięte niemowlę. Tak oto narodził się Sorthalan. Mithan karmił dziecko tajemnymi ziołami z łąk i lasów. Gdy Sorthalan osiągnął wiek męski, wrócił z dzikich ostępów do plemion i kazał ich rodzinom się zebrać. Każda z nich wybudowała łódź i zawiozła ją na wozie nad siwe morze. Pierwszy przewoźnik poprowadził ich przez fale i wzdłuż wybrzeża wyspy, przeszukując urwiska, ciemne lasy i ujścia rzek, aby znaleźć miejsce, w którym mogliby bezpiecznie przybić do brzegu. Napotkał zarośnięte trzcinami bagna, gdzie pływały dzikie gęsi i kurki wodne. Zapuszczali się w

głęb łądu setką kanałów i wkrótce znaleźli głębszy szlak wodny biegnący między porośniętymi lasem wzgórzami i urwistymi wąwozami. Łodzie przybijały do brzegu jedna za drugą, a rodziny oddalały się od rzeki, by sformować własne plemiona. Jedni przeżyli, inni zaś nie. Była to podróż w mroczne, pełne duchów zakamarki świata, bardziej przerażająca niż wszystkie, które dotąd planowano. Kraj był zamieszkany, a pozostający w ukryciu tubylcy atakowali intruzów swymi kamieniami i włóczniami. Przywołali moce ziemi, moce rzeki i duchy, które jednoczyły całą naturę, po czym wysłali je przeciw nieproszonym gościom. Stary kapłan jednak dobrze wyszkolił Sorthalana. Ten wchłonął złośliwe duchy w obręb własnego ciała i nad nimi zapanował. Wkrótce na rzece pozostał tylko pierwszy przewoźnik. Popłynął na północ, a wraz z nim duchy kraju. Zawsze żegluję po rzekach, czekając na wezwanie swych plemion. Zawsze jest gotów służyć pomocą, wraz ze świątą złożoną z owych starożytnych mocy.

Sorthalan, wykorzystując ludzkiego pośrednika, opowiedział nam własną legendę. Bardziej niż cokolwiek innego świadczyło to o jego mocy. Mimo to moc ta była ograniczona. Nie potrafił osiągnąć tego, czego dokonała Kushar. Wydawało się też, że on również czekał na mnie, podobnie jak *shamiga*, rycerz i rodzina Sasów.

– Dlaczego cieszy się, że przyszedłem? – zapytałem.

Teraz na Framptona przyszła kolej, by poruszać bezgłośnie ustami.

W chwilę później odpowiedział na głos: – Cudzoziemca trzeba zlikwidować. To obcy, intruz, który niszczy las.

– Sprawiasz wrażenie wystarczająco potężnego, by zlikwidować każdego człowieka – odparłem. Sorthalan uśmiechnął się i potrząsnął głową, odpowiadając z cockneyowskim akcentem.

– Legenda mówi wyraźnie: to Krewniak zabije Cudzoziemca. Albo zginie. Tylko Krewniak.

Legenda? Nareszcie padły słowa potwierdzające moje narastające podejrzenia. Sam stałem się częścią legendy. Christian i jego brat, Cudzoziemiec i jego Krewniak, odgrywali role napisane przez mit, być może wywodzący się z początków czasu.

– Czekałeś na mnie – stwierdziłem.

– Królestwo czekało – odparł Sorthalan. – Nie byłem pewien, czy jesteś Krewniakiem, zobaczyłem jednak, jaki wpływ wywarł na ciebie dębowy liść. Zacząłem sprawiać siłą swej woli, byś się nim okazał.

– Spodziewano się mnie.

– Tak.

– Mam wypełnić swą rolę w legendzie.

– Zrobić to, co trzeba zrobić. Usunąć z królestwa obcego.

Odebrać mu życie. Położyć kres zniszczeniom.

– Czy jeden, zwykły człowiek może być tak potężny?

Sorthalan roześmiał się, choć jego rzecznik zachował powagę.

– Cudzoziemiec nie jest kimś zwykłym. To nie jest zwykły człowiek.

Nie jest częścią...

– Ja też nie jestem...

– Jesteś Krewniakiem. Jasną stroną obcego. To ciemna strona niszczy. Dotarł tak daleko, ponieważ strażnika wywabiono ku skrajowi lasu.

– Jakiego strażnika?

– Urshucuma. Urshuca byli najstarszymi z Cudzoziemców, ale stali się bliscy ziemi. Urshucum, którego widziałeś, zawsze strzegł wejścia do doliny mówiących z płomieniem, ale przywołano go na skraj lasu. Poza tymi kniejami istnieje potężna magia.

Rozległ się głos. Strażnik odszedł i serce królestwa zostało odsłonięte. Cudzoziemiec pożera to serce. Tylko Krewniak może go powstrzymać.

– Albo zginąć z jego ręki...

Sorthalan nie skomentował tych słów. Jego szare oczy o przeszywającym wzroku spojrzały na mnie spod zmrużonych powiek, jakby

wciąż szukały znaków świadczących, że jestem człowiekiem zdolnym wypełnić mityczną rolę.

– W jaki sposób Urshucum mógł jednak strzec tych... – o czym to Sorthalan wspominał? – ...mówiących z płomieniem? – zapytałem. – To przecież mój ojciec go stworzył. Z tego. – Puknąłem się w głowę. – Ze swego umysłu. Tak jak ty stworzyłeś tego człowieka.

Spud Frampton nie udzielił żadnej odpowiedzi, która świadczyłaby, że zrozumiał moje okrutne słowa. Popatrzył na mnie ze smutkiem, po czym powiedział to, co nakazał mu nekromanta.

– Twój ojciec jedynie wezwał strażnika. Wszystko, co istnieje w królestwie, jest tu od zawsze. Urshucuma przywołano na jego skraj i zmieniono tak, jak ongiś zmienił go Sion.

To mi nic nie mówiło.

– Kim był Sion?

– Wielkim władcą. Szamanem. Władcą mocy. Panował nad porami roku tak, że wiosna następowała po lecie, a potem lato po wiosnie. Potrafił obdarzyć ludzi mocą pozwalającą im latać jak pustułki. Jego głos był tak donośny, że sięgał pod niebiosy.

– I to on zmienił Urshuca?

– Było też dziesięciu pomniejszych władców – odparł Sorthalan. – Bali się rozrastającej się mocy Siona i dlatego przeciwko niemu wystąpili. Ponieśli jednak klęskę. Sion wykorzystał magię, by zamienić ich w leśne zwierzęta. Wygnał ich do kraju, gdzie właśnie kończyła się najdłuższa zima. Była to kraina, w której teraz jesteśmy, ongiś pokryta lodem. Gdy ów stopniał, wróciły lasy, a ich strażnikami stali się Urshuca. Sion obdarzył ich mocą bliską nieśmiertelności. Tak jak drzewa, Urshuca rośli, lecz nie umierali. Każdy z nich udał się nad rzekę bądź do doliny i wybudował tam zamek, by strzec drogi do świeżo wyrosłej zielonej puszczy. Stali się bliscy ziemi i byli przyjaciółmi tych, którzy osiedlili się tam, by polować i żyć jej darami.

Zadałem narzucające mi się pytanie: – Jeśli Urshuca byli przyjaciółmi człowieka, to dlaczego ten jest tak gwałtowny? Poluje na mojego brata, a mnie bez wahania zabiłby, gdyby mnie tylko złapał.

Sorthalan skinął głową. Wargi Framptona niemal się nie poruszały, gdy wydobywały się z nich słowa jego twórcy.

– Nadszedł lud, który miał ze sobą mówiących z płomieniem. Potrafili oni panować nad ogniem. Potrafili sprawiać, że spadał z nieba. Potrafili wskazać palcem na wschód i sprawić, by płomienie się tam rozprzestrzeniły. Potrafili splunąć na ogień i zamienić go w żarzący się węgielek. Gdy przybyli mówiący z płomieniem, zaczęli palić lasy. Urshuca stawili im gwałtowny opór.

Rozmowa urwała się na jakąś minutę. Sorthalan podniósł się na nogi, odwrócił się od nas i imponującym strumieniem oddał mocz w ciemność.

– Tej nocy, gdy zjawił się Christian, byli z nim ludzie panujący nad płomieniem – wyszeptał Keeton.

Nie zapomniałem o nich. Nazywałem ich Neolitykami. Wyglądali na najbardziej prymitywnych z członków świty Christiana, najwyraźniej jednak ich umysły potrafiły panować nad ogniem i płomieniami.

Potrafiłem sobie bez trudu wyobrazić prostą, historyczną podstawę, z której wyrastały legendy o Urscumugu i mówiących z płomieniem. Wizja, która mnie nawiedziła, przedstawiała czas, gdy ostatni gładził epoki lodowej dobiegał szybko końca. Lód dotarł aż do środkowych hrabstw Anglii. W ciągu stuleci, gdy się cofał, klimat był zimny, grunt w dolinach bagnisty i zdradziecki, a stoki jałowe i zamrożone. Pojawiły się sosny, rzadki las jodłowy, będący zapowiedzią wielkich bawarskich puszczy naszych czasów. Następnie zaczęły zapuszczać korzenie pierwsze z drzew liściastych, wiązy, cierniste krzewy, leszczyny, a potem lipy, dęby i jesiony. Spychały one iglaste bory na północ, tworząc gęstą pokrywę zielonych puszczy, która częściowo przetrwała do dziś.



W ciemnych, pustych przestrzeniach ocienionych koronami drzew żyły dziki, niedźwiedzie i wilki, a na polanach i w górskich dolinach pasły się jelenie, które od czasu do czasu wspinały się na wysoko położone granie, gdzie las stawał się rzadszy, a jeżyny i inne cierniste krzewy tworzyły pełne słońca zarośla.

Ludzkie zwierzęta wróciły jednak do zielonej puszczy, posuwając się na północ, ku zimnu. I zaczęły karczować knieję. Używały ognia. Cóż to musiała być za umiejętność: rozniecić ogień, zapanować nad nim i wypalić las, by stworzyć miejsce pod osadę. A jeszcze większych umiejętności wymagać musiało oparcie się kontrofensywie drzew.

Z pewnością doszło do zawziętej walki o przetrwanie. Puszcza była zdesperowana, zdeterminowana, chciała za wszelką cenę utrzymać panowanie nad krajem. Człowiek i jego ogień byli zdecydowani do tego nie dopuścić. Zwierzęta owego pierwotnego boru stały się ciemnymi siłami, mrocznymi bogami. Sam las uważano za rozumny, sądzono, że tworzy duchy i banshee, by wysłać je przeciw słabowitym, ludzkim intruzom. Opowieści o Urscumugu, strażniku kniei wzbudzały strach przed obcymi, przed następnymi falami najeźdźców, którzy mówili nieznanymi językami i przynosili ze sobą nowe umiejętności.

Przed Przybyszami.

A ludzi, którzy władali ogniem, niemal ubóstwiono jako „mówiących z płomieniem”.

– Jakie jest zakończenie legendy o Przybyszu? – zapytałem Sorthalana, gdy ponownie usiadł.

Wzruszył ramionami w bardzo współczesnym geście. Naciągnął na barki ciężki płaszcz, związując z przodu szorstkie sznurki. Wyglądał na zmęczonego.

– Każdy Cudzoziemiec jest inny – odparł. – Krewny wyruszy, by się z nim zmierzyć. Wyniku nie sposób przewidzieć. To nie pewność sukcesu

sprawia, że cieszymy się z twojej obecności w królestwie. To nadzieja na sukces. Bez ciebie królestwo zwiędnie niczym ścięty kwiat.

– W takim razie opowiedz mi o dziewczynie – poprosiłem.

Sorthalan najwyraźniej był bardzo zmęczony. Keeton również stał się niespokojny i zaczął ziewać. Tylko piechociarz wyglądał na w pełni rozbudzonego, lecz wbił wzrok w jakiś punkt w oddali.

W jego oczach nie było widać nic prócz kierującej nim woli szamana.

– Jakiej dziewczynie?

– Guiwenneth.

Sorthalan ponownie wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– To imię nic mi nie mówi.

Jak nazywała ją Kushar? Sprawdziłem to w notatkach. Sorthalan raz jeszcze potrząsnął głową.

– Dziewczyna stworzona z miłości pod wpływem nienawiści – zasugerowałem. Tym razem nekromanta zrozumiał.

Pochylił się ku mnie i oparł dłoń na moim kolanie. Powiedział coś głośno w swym języku i popatrzył na mnie pytająco. Potem, jakby sobie o nim przypomniał, pochylił nieco głowę w stronę zobojętniałego piechociarza, którego spojrzenie nabrało ostrości.

– Dziewczyna jest z Cudzoziemcem.

– Wiem – odparłem. – To właśnie powód, dla którego go ścigam – dodałem. – Chcę ją odzyskać.

– Jest z nim szczęśliwa.

– Nieprawda.

– Należy do niego.

– Nie godzę się z tym. Ukradł mi ją...

Sorthalan zareagował nagłym zdziwieniem.

– Ukradł mi ją i zamierzam ją odzyskać – ciągnąłem.

– Nie ma dla niej życia poza królestwem – stwierdził Sorthalan.

– Sądzę, że jest. Życie ze mną. Takie właśnie życie wybrała, a Christian pogwałcił jej wybór. Nie chcę być jej właścicielem ani panem. Po prostu ją kocham. A ona kocha mnie. Jestem tego pewien. – Pochyliłem się ku niemu. – Czy znasz jej historię?

Sorthalan odwrócił się i zamyślił głęboko. Wyraźnie wstrząsnęły nim moje rewelacje.

– Wychowywali ją przyjaciele jej ojca – nie ustępowałem. – Nauczono ją magii i życia w lesie, a także władania bronią. Czy mam rację? Trzymano ją w ukryciu, dopóki nie została kobietą.

Strzegły jej Nocne Łowy. Po raz pierwszy zakochała się, gdy przywiodły ją one z powrotem do kraju jej ojca, do doliny, gdzie go pochowano. Tyle wiem. Wiem jeszcze, że duch ojca połączył ją z Rogatym Bogiem. Jednak co wydarzyło się później? Co stało się z tym, który ją kochał?

Zdarzyło się jednak, że zakochała się w synu wodza, a ten był zdecydowany ją zdobyć.

Słowa z dziennika zachowały się w moim umyśle. Czy jednak ta wersja nie była zbyt współczesna, by Sorthalan mógł rozpoznać szczegóły?

Nekromanta zwrócił się nagle w moją stronę. Jego oczy zapłonęły. Wydawało się, że się uśmiecha. Był podekscytowany i to w bardzo pozytywnym sensie.

– Nic nie jest rozstrzygnięte, dopóki się nie rozstrzygnie – odpowiedział za pośrednictwem Framptona. – Nie umiałem sobie wytłumaczyć obecności dziewczyny. Teraz rozumiem. Zadanie stało się łatwiejsze, Krewniaku!

– Dlaczego?

– Ze względu na to, czym ona jest – odrzekł Sorthalan. – Cudzoziemiec ją poskromił, lecz teraz jest już za rzeką. Nie zostanie przy nim. Znajdzie siłę, by uciec...

– I wróci na skraj lasu!

– Nie – odpowiedział Sorthalan. Potrząsnął głową w tej samej chwili, w której Frampton wyrzekł to słowo. – Uda się do doliny. Do białego

kamienia, do miejsca, gdzie pochowano jej ojca. Będzie wiedziała, że to dla niej jedyna nadzieja na wyzwolenie.

– Nie będzie jednak wiedziała, jak tam trafić!

Dziennik ojca wspominał o „smutku” Guiwenneth wywołanym tym, że nie mogła odnaleźć doliny, która oddychała.

– Ucieknie w stronę ognia – wyjaśnił Sorthalan. – Dolina wiedzie ku miejscu, w którym on płonie. Zaufaj mi, Krewniaku. Odkąd przekroczyła rzekę, znalazła się bliżej ojca niż kiedykolwiek dotąd. Znajdzie drogę. Musisz tam być, by ją spotkać i stoczyć bój z tym, kto ją będzie ścigał!

– Jednakże co wydarzyło się po tym starciu? Historie muszą mówić...

Sorthalan roześmiał się. Złapał mnie za ramiona i potrząsnął mną.

– W przyszłych latach będą mówiły wszystko. W tej chwili opowieść nie ma jeszcze zakończenia.

Stałem bez ruchu jak głupi. Harry Keeton potrząsał głową w niedowierzaniu. Nagle Sorthalanowi przyszło na myśl coś jeszcze. Jego spojrzenie powędrowało za moje plecy. Wypuścił mnie z potężnego uścisku.

– Trzech, którzy szli z tyłu, trzeba będzie zostawić – powiedział w jego imieniu Frampton.

– Trzech, którzy szli z tyłu?

– Gdy Cudzoziemiec pustoszył królestwo, zgromadził wokół siebie grupę ludzi. Krewny uczynił to samo. Jeśli jednak dziewczyna kieruje się do doliny, istnieje lepszy sposób na to, byś mógł ją spotkać i trzech trzeba będzie na razie zostawić.

Przeszedł obok mnie i krzyknął w mrok. Zaniepokojony i zdziwiony Keeton dźwignął się na nogi. Sorthalan wypowiedział jakieś słowa we własnym języku. Żywiołaki zgromadziły się wokół nas, tworząc jasną, migotliwą zasłonę.

W bijący od nich blask weszły z ciemności nocy trzy sylwetki. Szły niepewnie. Pierwszy zjawiał się kawaler, a potem rycerz. Za nimi, trzymając

swobodnie u boku miecz i tarczę, podążała trupio blada postać człowieka z kamiennego grobu. Upiorny, mityczny stwór, zrodzony raczej z grozy niż nadziei, trzymał się z dala od pozostałej dwójki.

– Spotkasz ich jeszcze kiedyś, w innym czasie – oznajmił Sorthalan.

Wciąż myślałem o tym, że nawet nie słyszałem, jak schodzą z urwiska! Niemniej wrażenie, że ktoś mnie śledzi, okazało się autentyczną intuicją, a nie irracjonalnym lękiem.

Bez względu na to, co przekazali sobie szaman i wojownicy, trzech mężczyzn, którzy mogliby mi towarzyszyć w innej opowieści, odeszli w czarny jak smoła las i zniknęli nam z oczu.

Do siedzącej obok mitotworowej formy powróciła na chwilę świadomość Billy’ego Framptona. Oczy piechociarza rozjaśniły się lekko. Uśmiechnął się.

– Warto by się trochę przekimać, koledzy. Jutro musimy zapychać zdrowy kawał drogi, aż do okopów. Pieruńsko nam pomoże, jak się trochę prześpimy.

– Czy dasz radę doprowadzić nas do centrum? – zapytał swego sobowtóra Keeton. – Czy potrafisz wskazać nam drogę do doliny białego kamienia?

Mina Framptona wyrażała głębokie zakłopotanie.

– Kurde, kolego. O co w tym wszystkim chodzi? Sakramencko bym się ucieszył, gdybym wrócił do okopu i zafasował fajny talerz wołowiny z puszki...

Wypowiadając te słowa, zmarszczył brwi, zadrżał i rozejrzał się wokół. Na jego twarz wróciła niepewność. Zaczął gwałtownie dygotać.

– Coś jest nie tak... – wyszeptał, przenosząc wzrok z jednego na drugiego z nas.

– Co jest nie tak? – zapytałem.

– Całe to miejsce. Chyba mi się śni. Nie słyszę dział. Nie czuję się normalnie. – Potarł palcami policzki i brodę niczym przemarznięty człowiek przywracający w swym ciele krążenie krwi. – Coś jest po prostu nie tak – powtórzył. Popatrzył na nocne niebo i kołyszące się na wietrze liście. Wydało mi się, że w oczach zalśniły mu łzy. Uśmiechnął się. – Może się uszczypnę. Może mi się śni i za chwilę się obudzę. Tak jest. Obudzę się i wszystko znów będzie jak należy.

Powiedziawszy to, pociągnął za płaszcz Sorthalana, zwinął się obok niego i zasnął niczym dziecko.

Co do mnie, również udało mi się chwilę pospać. Keetonowi chyba też. Obudziliśmy się raptownie, jakiś czas przed świtem. Brzeg rzeki zaczął być widoczny w świetle nadchodzącego dnia.

Tym, co nas obudziło, był nagły, odległy strzał.

Sorthalan, owinięty w swój płaszcz, spoglądał na nas spod przymrużonych, wilgotnych od rosy powiek. Jego twarz niczego nie wyrażała. Nigdzie nie było śladu Billy’ego Framptona.

– Strzał – stwierdził Keeton.

– Tak. Słyszałem go.

– Mój rewolwer...

Spojrzeliliśmy ku miejscu, gdzie zaatakowali nas jastrzębie, po czym rzuciliśmy z siebie proste nakrycia. Przemarznięci i obolali od spania na twardej ziemi, pobiegliśmy w stronę brzegu rzeki.

Keeton pierwszy zobaczył broń. Krzyknął do mnie. Stanęliśmy pod drzewem, spoglądając na rewolwer. Był zawieszony na cienkiej gałęzi. Keeton dotknął go delikatnie i powąchał lufę, by upewnić się, że przed chwilą z niego strzelano.

– Na pewno zaczepił go w ten sposób, by nie wpadł za nim do rzeki – stwierdził Keeton. Odwróciliśmy się i popatrzyliśmy na płynące wody, lecz nie było tam żadnych śladów krwi ani samego piechociarza.

– Wiedział – ciągnął lotnik. – Wiedział, czym jest. Wiedział, że nie ma prawdziwego życia. Zakończył sprawę w jedyny honorowy sposób.

*Może mi się śni. Tak jest. Obudzę się i wszystko znów będzie jak należy.*

Nie wiedziałem dokładnie dlaczego, ale na moment ogarnął mnie przesadny smutek i raczej irracjonalny gniew na Sorthalana, który – jak mi się zdawało – stworzył człowieka po to tylko, by zrobić z niego użytek, a potem go odrzucić. Prawda, rzecz jasna, wyglądała tak, że Billy Frampton nie był bardziej realny niż duchy, które kręciły się wśród listowia wokół naszego obozu.

# DOLINA

Nie było jednak zbyt wiele czasu na rozważania nad śmiercią Framptona. Gdy wróciliśmy do obozu, Sorthalan zwinął już skóry, na których spaliśmy, i stał na pokładzie małej łodzi, przygotowując się do odpłynięcia.

Podniosłem plecak i włóczę, po czym pomachałem do szamana ręką. Było mi trudno się uśmiechnąć.

Jakaś dłoń popchnęła mnie od tyłu. Poleciałem ku rzece. Keetona w podobny sposób kierowano w stronę łodzi. Sorthalan wykrzyknął do nas jakieś słowo na znak, że powinniśmy wskoczyć na pokład.

Otoczające nas żywiołaki przypominały bezustanny wiatr. Dotyk palców na mojej twarzy i szyi niepokoił, a zarazem uspokajał. Sorthalan wyciągnął rękę, by pomóc nam wejść na łódź. Skuliliśmy się w śródkręciu, na szorstkich siedzeniach. Całą wewnętrzną stronę kadłuba pokrywały pomalowane, wyrzeźbione bądź też po prostu wydrapane symbole i twarze. Być może były to znaki rodzin, które wyruszyły w podróż z pierwszym przewoźnikiem. Na dziobie widniało spoglądające ku nam, wykrzywione w grymasie oblicze niedźwiedzia. Jego oczy były osobliwie skośne, a dwa krótkie i grube rogi sugerowały raczej dziwną krzyżówkę boskich postaci niż zwykłe zwierzę.

Nagle żagiel załopotał głośno i rozwinął się. Sorthalan zaczął chodzić po łodzi, przywiązując takielunek. Stateczek zakołysał się jeden raz, po czym wskoczył na rzekę, odwrócił się i popłynął z prądem. Żagiel wydał się i napiął, liny zaskrzypiały i strzeliły w górę. Łódź przechyliła się ostro. Sorthalan stanął za długim sterem, owinięty płaszczem. Wbił wzrok w coraz przepastniejszy wąwóz rozciągający się przed nami. Nad powierzchnią unosiły się maleńkie krople wody, które chłodziły nasze



skóry. Słońce stało nisko. Na wzburzoną rzekę wciąż padały mroczne cienie wysokich urwisk. Żywiołaki unosiły się między drzewami oraz nad wodą widoczną przed nami, sprawiając, że jej powierzchnię pokrywały fale niesamowitego światła.

Na polecenie Sorthalana obaj zajęliśmy miejsca przy takielunku. Wkrótce nauczyliśmy się, jak naciągać i luzować żagle, by w pełni wykorzystać wiatry wczesnego poranka. Rzeka płynęła przez rozpadlinę, tworząc łuki i zakola. Ślizgaliśmy się po jej powierzchni, mknąc naprzód szybciej, niż człowiek mógłby biec.

Zrobiło się zimniej. Cieszyłem się, że mam nieprzemakalną pelerynę. Otaczający nas krajobraz zaczął wykazywać oznaki zmiany pory roku: ciemnienie listowia, a potem jego rzednienie.

Otaczał nas zimny, późnojesienny las rosnący w niegościnnym, zdającym się ciągnąć bez końca wąwozie. Szczyty urwisk były tak wysoko nad nami, że można było dostrzec niewiele szczegółów, choć przymrużając oczy z uwagi na jasne niebo, zauważyłem kilkakrotnie na górze jakiś ruch. Od czasu do czasu wielkie głazy wpadały ciężko i hałaśliwie do rzeki za nami, przez co łódź kołysała się gwałtownie. Sorthalan uśmiechał się tylko i wzruszał ramionami.

Wydawało się, że prąd niesie stateczek coraz szybciej i szybciej. Przemknęliśmy przez bystrza. Sorthalan po mistrzowsku sterował, a Keeton i ja trzymaliśmy się kurczowo dulek w obawie o życie. W pewnej chwili zbliżyliśmy się niebezpiecznie do ścian rozpadliny i tylko gorączkowe halsowanie uratowało nas przed katastrofą.

Sorthalan nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Jego żywiołaki stały się mrocznym, posępnym rojem kształtów unoszącym się z tyłu i nad nami. Czasami jednak wijąca się smuga światła strzelała do przodu, przemykając przez jesienny las porastający brzegi wąwozu.

Dokąd zmierzaliśmy? Próby uzyskania odpowiedzi na to pytanie wywoływały gest palca wyciągniętego ku górze, w stronę płaskowyzu

leżącego na bliższym środku brzegu.

Wypłynęliśmy na słońce. Rzeka stała się oślepiającym, lśniącem złotem. Żywiołaki stłoczyły się przed nami, tworząc mroczną zasłonę, przez którą przedostawały się tylko przyćmione promienie. Znowu znaleźliśmy się w cieniu. Wciągnęliśmy głośno powietrze na widok ogromnej, kamiennej fortecy wznoszącej się znad samego brzegu rzeki i zajmującej całe urwisko po naszej prawej stronie. Był to zdumiewający widok. Seria wież, wieżyczek i zakończonych blankami murów wydawała się piąć w górę po gołej skale. Sorthalan skierował łódź na drugą stronę rzeki i skinieniem nakazał nam pochylić głowy. Wkrótce przekonałem się dlaczego. W stateczek i w wodę wokół nas uderzył grad bełtów.

Gdy znaleźliśmy się poza ich zasięgiem, kazano mi wyrwać krótkie, drewniane strzały z zewnętrznej powierzchni kadłuba. Było to zadanie trudniejsze, niż mogłoby się zdawać.

Na ścianach wąwozu widzieliśmy też inne rzeczy. Najciekawszą z nich była ogromna, zardzewiała, metalowa postać o kształcie człowieka.

– Talos! – wydyszał Keeton. Przemknęliśmy szybko obok giganta. Wiatr szarpał hałaśliwie żagiel. Olbrzymia, metalowa maszyna o wzroście stu lub więcej stóp była zmiażdżona o skały i częściowo pochłonięta przez drzewa. Jedno ramię sterczało nad rzeką. Przepłynęliśmy w cieniu potężnej dłoni, na wpół spodziewając się, że opadnie nagle w dół i nas pochwyci. Ten talos był jednak martwy. Zostawiliśmy za sobą jego smutną, ślepą twarz.

Silny przypływ obaw kazał mi powtarzać raz za razem po angielsku: – Dokąd, do diabła, płyniemy, Sorthalanie?

Christian był już teraz o wiele mil, wiele dni drogi od nas.

Widać było, że rzeka biegnie po łuku, całkiem jakby omijała płaskowyż. Pokonaliśmy już bardzo wiele mil. Dzień miał się ku końcowi. Nagle Sorthalan przybił do brzegu, przycumował statek i rozbił obóz. Wieczór był zimny i bardzo wietrzny. Skupiliśmy się przy ogniu i spędziliśmy kilka godzin w milczeniu, nim zwinęliśmy się w kłębek, by zasnąć.

Następny dzień wyglądał tak samo. Przerazająca podróż przez skaliste płycizny, nie mające końca bystrza i wielkie, pełne wirów rozlewiska, w których wodę przesywały niewiarygodnie wielkie ryby o srebrzystych grzbietach.

Kolejny dzień żeglugi, kolejny dzień oglądania ruin, postaci oraz śladów prymitywnej działalności na otaczających nas urwiskach. W pewnym punkcie przepłynęliśmy pod osadą jaskiniowców. Skarłowaciałe drzewa wykarczowano, odsłaniając skalną powierzchnię. W tych przyprowadzających o zawrót głowy ścianach wykuto, bądź ukształtowano, prawie dwadzieścia grot. Gdy przepływaliśmy tamtędy, z góry spoglądały na nas twarze, lecz nie zdołałem dostrzec więcej szczegółów.

Trzeciego dnia Sorthalan krzyknął radośnie i wskazał ręką przed siebie. Spojrzałem w przód nad burtą, mrużąc oczy, by nie oślepiło mnie jasne słońce. Zobaczyłem, że nad rzeką wznosi się wysoki, walący się most łączący ze sobą szczyty urwisk.

Sorthalan skierował łódź do wewnętrznego brzegu, zwinął żagiel i pozwolił, by mały stateczek płynął z prądem wzdłuż wybrzeża, aż wreszcie znalazł się pod olbrzymią, kamienną konstrukcją. Przemknął nad nami wielki cień. Ogrom mostu zapierał dech w piersiach. Wyryto na nim dziwaczne twarze oraz zwierzęce postacie. Podtrzymujące go kolumny ukształtowano z samego urwiska. Całość chyliła się ku upadkowi. W tej samej chwili, gdy wyłaziliśmy na brzeg, wielki głaz, dwukrotnie wyższy ode mnie, oddzielił się z hałasem od łuku znajdującego się nad nami, potoczył bezgłośnie i przerażająco ku wodzie, a potem wpadł do niej z bryzgiem, który omal nas nie zalał.

Niemal natychmiast zaczęliśmy wspinaczkę. To, co wydawało się zniechęcającą perspektywą, okazało się znacznie łatwiejsze, niż się spodziewałem, ponieważ w prymitywnie wyciosanych kolumnach było pod dostatkiem miejsc do oparcia dla rąk i nóg. Subtelne kształty świty Sorthalana były wyraźnie widoczne wokół nas. Zdałem sobie sprawę, że

żywiołaki nam pomagają, gdyż mój plecak i włócznia wydawały się znacznie lżejsze niż poprzednio.

Nagle bagaż odzyskał pełen ciężar. Pilot i ja wciągnęliśmy powietrze. Keeton stał niepewnie na stromej kolumnie, trzysta jardów albo i więcej nad rzeką i nagle po raz pierwszy był zdany na własne siły. Sorthalan wciąż pisał się w górę, wołając nas w swym starożytnym języku.

Zaryzykowałem jedno spojrzenie w dół. Łódź była tak maleńka, a rzeka tak odległa, że zabołał mnie żołądek. Jęknąłem głośno.

– Trzymaj się – zawołał Keeton. Podniosłem wzrok. Uspokoił mnie jego uśmiech.

– Dotąd nam pomagały – poskarżyłem się, gramoląc się za nim w górę.

– Są powiązane z łodzią – odpowiedział. – Mogą odejść tylko na określoną odległość. Nie szkodzi. Jesteśmy już prawie na miejscu. Jeszcze tylko jakieś pół mili...

Przez ostatnie sto jardów wspinaliśmy się po pionowej powierzchni samego mostu. Wiatr szarpał mnie i przeszkadzał, całkiem jakby za mój plecak ciągnęły dłonie próbujące oderwać mnie od wielkiej konstrukcji. Wspinaliśmy się po jednej z uśmiechniętych twarzy maskaronów, wykorzystując kamienne nozdrza, oczy i wargi jako punkty oparcia dla rąk. Na koniec poczułem, jak mocne dłonie Sorthalana złapały mnie za ramiona i wciągnęły w bezpieczne miejsce.

Ruszyliśmy dziarskim krokiem na płaskowyż, mijając walącą się bramę mostu oraz rosnące za nią drzewa. Teren wznosił się w górę, a potem opadał. Wyszliśmy na skalisty pagórek, z którego rozpościerał się szeroki widok na zimowy krajobraz wewnętrznego królestwa.

Najwyraźniej Sorthalan zamierzał nam towarzyszyć tylko do tego miejsca. Jego legenda, jego cel, wiązała go z rzeką. Przyszedł nam z pomocą w chwili potrzeby, a teraz wskazał mi drogę wiodącą do Guiwenneth. Najkrótszą drogę.

Wyszukał obszar nagiej skały i za pomocą ostrego kamienia wskrobał mapę, którą miałem zapamiętać. W oddali widziałem na horyzoncie niewyraźne zarysy bliźniaczych szczytów ośnieżonych gór. Szaman wskazał je na swym rysunku, a potem narysował dolinę między nimi a menhir. Pokazał, którą dolina wiedzie do lasu graniczącego z fragmentem wielkiej ściany płomienia. Nie dostrzegalem stąd żadnego dymu. Odległość była zbyt wielka. Potem Sorthalan zaznaczył drogę, którą przyplłynęliśmy. Znajdowaliśmy się bliżej doliny niż miejsce, w którym Christian przekroczył rzekę. Jeśli Guiwenneth faktycznie uciekła mojemu bratu i skierowała się, wiedzona kaprysem bądź instynktem, ku grobowi swego ojca, Christiana czekała podróż dłuższa o kilka dni.

Byliśmy bliżej kamienia niż on.

Ostatni gest Sorthalana był interesujący. Wyciągnął moją włócznię o krzemiennym grocie z plecaka, do którego ją schowałem, i zrobił na drzewcu, w odległości około dwóch stóp od grotu, znak oka. Przebijała je runa kształtu odwróconego „V” z zakrętasem na jednym ogonku. Następnie szaman stanął między nami, położył dłonie na naszych ramionach i popchnął nas lekko w stronę zimowej krainy.

Gdy widziałem go po raz ostatni, przykucnął na nagiej skale, wpatrzony w dal. Kiedy pomachałem do niego ręką, odwzajemnił ten gest, po czym podniósł się i zniknął między rosnącymi z tyłu drzewami, kierując się z powrotem ku mostowi.

Straciłem rachubę czasu, ale chyba jest to DZIEŃ DZIESIĄTY. Chłód robi się coraz bardziej dotkliwy. Obu nas niepokoiła myśl, że możemy nie być odpowiednio wyekwipowani do podróży przez bardzo zimne środowisko. W ciągu ostatnich czterech dni dwukrotnie padał śnieg. W obu przypadkach były to tylko niewielkie zadymki. Płatki śniegu unosiły się między nagimi konarami zimowego lasu, pozostając na ziemi tylko krótką chwilę. Była to jednak złowieszcza zapowiedź tego, co ma nastąpić. Z wyżej położonych miejsc, gdzie las staje się rzadszy, góry wyglądają

odpychająco i złowrogo. Z pewnością zbliżamy się do nich, lecz upływają kolejne dni i wydaje się, że w ogóle nie posuwamy się naprzód.

Steven jest coraz bardziej podenerwowany. Czasami pogrąża się w ponurym milczeniu, a czasami krzyczy gniewnie, winiąc Sorthalana za to, co uważa za grę na zwłokę. Robi się dosyć dziwny. Bardziej przypomina teraz swego brata. Widziałem przelotnie C w ogrodzie i choć S jest młodszy, włosy ma teraz rozczochrane, a brodę gęstą. Chodzi w ten sam wyzywający sposób. Coraz bieglej włada mieczem i włócznią, podczas gdy moje umiejętności walki dzidą czy nożem są równe zeru. Zostało mi siedem nabojów do rewolweru.

Co do mnie, wciąż fascynuje mnie myśl, że Steven sam stał się mityczną postacią! Jest mitotworem królestwa mitotworów. Gdy już zabije C, rozkład krainy ulegnie odwróceniu. A ponieważ jestem z nim, sądzę, że sam stanowią część mitu. Czy pewnego dnia będzie się opowiadać historie o Krewnym i jego towarzyszu, owym naznaczonym stygmatami Kee, czy Kiciusiu, czy jakie tam zmiany zajdą w nazwiskach? O Kiciusiu, który ongiś potrafił latać nad ziemią, a później wędrował z Krewnym przez dziwne krajobrazy, wchodził na wielki most i mierzył się z niezwyklejmi bestiami. Jeśli staniemy się legendą dla rozmaitych historycznych ludów rozsianych po tym królestwie... co będzie to oznaczało? Czy w jakiś sposób naprawdę zostaniemy częścią historii? Czy w prawdziwym świecie pojawią się przekręcone opowieści o Stevenie i o mnie oraz o naszej podróży mającej na celu pomstwienie dokonanego przez Przybysza porwania? Nie pamiętam zbyt wiele z folkloru, ale intryguje mnie myśl, że opowieści – może o królu Arturze i jego rycerzach (sir Kay) – są wygładzonymi wersjami naszego obecnego przedsięwzięcia!

Imiona zmieniają się wraz z epokami i kulturą. Peregu, Peredur, Percival? I Urscumug zwany też Urshucumem. Bardzo wiele myślałem o fragmentarycznej legendzie, która się z nimi wiąże. Zesłani na wygnanie do bardzo dalekiego kraju, ale ten kraj był Anglią i to Anglią pod sam koniec epoki lodowej. Jednakże kto ich wygnał? I skąd? Wciąż myślę o władcy mocy, który potrafił zmieniać pogodę, którego głos niósł się echem między gwiazdami. Sion. Władca Sion. Zastanawiam się nad nazwami, na

wpół zapamiętanymi słowami. Ursh. Sion. Być może Ziemia. Być może nauka. Strażnicy Ziemi wygnani przez naukę?

Czy najdawniejsi ludowi bohaterowie albo legendarne postacie nie wywodzą się z przeszłości, ale z...

Fantazje! Czyste fantazje. Na szczęście ożył we mnie racjonalnie myślący człowiek. Zapuściłem się na setki mil w głąb królestwa położonego poza zasięgiem normalnych praw przestrzeni i czasu, nauczyłem się jednak akceptować niezwykłość jako rzecz normalną. Niemniej jednak, nadal nie potrafię zaakceptować tego, o czym jestem przekonany, że jest nienormalne.

Zastanawiam się, co stało się z przyjacielem Krewnego? Co mówi legenda o wiernym Kiciusiu? Co mnie czeka, jeśli nie znajdę Awatara?

Zaczęliśmy głodować. Puszcza była niegościnnym i pozornie nie zamieszkanym miejscem. Widziałem trochę dzikich ptaków, ale nie miałem żadnego pomysłu, jak je złapać. Przekraczaliśmy strumienie i szliśmy brzegiem małych jezior, lecz jeśli były w nich ryby, postanowiły dobrze się ukryć przed naszym wzrokiem. Gdy raz jeden zobaczyliśmy małą łanię, poprosiłem Keetona o rewolwer, lecz nie chciał mi go dać. Na chwilę zbity z tropu, pozwoliłem zwierzęciu uciec, choć pognałem za nim między rzadko rozsianymi zagajnikami i cisnąłem włócznią ze wszystkich sił.

Keeton zrobił się przesądny. W jakimś miejscu, w ciągu ostatnich kilku dni, zdołał zgubić wszystkie kule poza siedmioma. Tych strzegł jak oka w głowie. Znalazłem go, jak się im przyglądał. Jedną zaznaczył własnymi inicjałami.

– Ta jest moja – oznajmił – ale jedna z pozostałych...

– Co z jedną z pozostałych?

Skierował na mnie udręczone spojrzenie zapadłych oczu.

– Nie możemy niczego brać z królestwa, nie ponosząc ofiar – powiedział. Popatrzył na pozostałe sześć kul w swej dłoni. – Jedna z nich

należy do Łowcy. Jest jego własnością i Łowca zniszczy coś cennego, jeśli przez pomyłkę ją wykorzystam.

Być może miał na myśli legendę o jagad. Tego nie wiem. Nie chciał już jednak używać rewolweru. Wzięliśmy z królestwa zbyt wiele. Musiał nadejść czas, by odwdzińczyć się za tę przysługę.

– A więc przez głupi kaprys skazesz nas na głód! – stwierdziłem gniewnie.

Oddech mu zamarzał. Na jego rzadkich wąsach osadzała się wilgoć. Poparzona skóra na brodzie i żuchwie stała się blada.

– Głód nam nie grozi – odparł cicho. – Po drodze są wioski.

Sorthalan nam je pokazał.

Staliśmy, napięci i gniewni, w pokrytym lodem lesie, spoglądając na sypiący z szarych niebios rzadki śnieżek.

– Kilka minut temu poczułem drzewny dym – powiedział nagle. Nie możemy być daleko.

– No to się przekonajmy, dobra? – odparłem. Przepchnąłem się obok niego i ruszyłem dziarsko naprzód po twardej ściółce leśnej.

Mojej twarzy doskwierało zimno, mimo że wyrosła mi broda. Pokrywający całe ciało skórzany kombinezon Keetona ogrzewał go, lecz moja nieprzemakalna peleryna, choć dobrze chroniła przed deszczem, nie dawała zadowalającej izolacji cieplnej. Potrzebowałem ubrania ze zwierzęcej skóry oraz grubej, futrzanej czapy.

W kilka minut po tej krótkiej, nieprzyjaznej konfrontacji ja również poczułem woń płonącego drewna. Produkowano tam węgiel drzewny, na leśnej porębie. Nad głębokim dołem, w którym płonął pozostawiony bez opieki ogień, wznosił się ziemny kopiec. Podążyliśmy wydeptaną ścieżką ku otaczającej wioskę palisadzie, ledwie widocznej w oddali, po czym przywitaliśmy mieszkańców tonem tak przyjaznym, jak to tylko było możliwe.



Wioskę zamieszkiwała społeczność dawnych Skandynawów – nie mogę powiedzieć „wikingów”, choć w skład ich początkowej legendy z pewnością wchodziły jakieś elementy charakteryzujące tych wojowników. Trzy długie domy ogrzewane wielkimi, nieosłoniętymi ogniskami, wychodziły na podwórko pełne zwierząt i dzieci. Ślady dawnych zniszczeń były jednak bardzo widoczne. Czwarty dom doszczętnie spalono, a za wioską usypano kopiec innego rodzaju niż ten, który służył do wyrobu węgla drzewnego – kurhan, w którym, jak nam powiedzieli, spoczywało około osiemdziesięciu ich kuzynów pomordowanych kilka lat temu przez...

No cóż, oczywiście.

Przez Przybysza!

Nakarmili nas dobrze, choć jedzenie z ludzkich czaszek odbierało nam odwagę. Siedzieli wokół nas: wysocy, jasnowłosi mężczyźni w ciężkich futrach; wysokie, kościste kobiety w wyszywanych w ozdobne wzory płaszczach; wysokie, jasnookie dzieci o włosach – zarówno u chłopców, jak i u dziewczynek – splecionych w korony. Zaopatrzyli nas w suszone mięso i jarzyny oraz dzban kwaśnego „ale”, który zamierzaliśmy wyrzucić, gdy tylko znajdziemy się za palisadą. Chcieli podarować nam broń, co było zdumiewające, gdyż miecz w każdej z dawnych kultur nie tylko reprezentował bogactwo, lecz był również narzędziem i to nawet w normalnych warunkach bardzo trudnym do zdobycia. Odmówiliśmy. Przyjęliśmy jednak w darze ciężkie kozuchy z reniferowej skóry. Jednym z nich zastąpiłem swą pelerynę. Wyposażono go w kaptur. Wreszcie było mi ciepło!

Opatuleni w te nowe okrycia wyruszyliśmy w mglisty, lodowaty poranek. Podążaliśmy leśnymi ścieżkami, lecz za dnia mgła zgęstniała, co spowolniło nasz marsz. Było to przyprawiające o frustrację doświadczenie, które nie poprawiło mi humoru. W głębi mojego umysłu nieustannie tkwił obraz Christiana zbliżającego się do ognia, do królestwa *Lavondyss*, gdzie ludzkie duchy nie były związane z porami roku. Widziałem też wyraźnie za

jego plecami Guiwenneth, związaną i zrozpaczoną. Nawet myśl o jej podróży na skrzydłach wiatru ku dolinie ojca zaczynała wiązać się z rozpaczliwą udręką. Ta wędrówka trwała zbyt długo. Z pewnością dotrą na miejsce przed nami!

Później mgła się podniosła, choć temperatura spadła jeszcze bardziej. Las był posepnym, szarym miejscem ciągnącym się wokół nas bez końca. Niebo było zachmurzone i ciemne. Często wdrapywałem się na wyższe drzewa i spoglądałem, by się uspokoić na bliźniacze szczyty majaczące przed nami.

Puszcza stawała się coraz bardziej pierwotna. Rosły tam gęste gaje leszczyn i wiązów, a na wyżej położonych terenach zaznaczała się coraz większa przewaga brzoź, lecz wydawało się, że dodające otuchy dęby prawie zniknęły. Od czasu do czasu natrafialiśmy jednak na posepny zagajnik otaczający wolną od drzew, zimną polanę. Zamiast bać się tych przesiek, obaj z Keetonem traktowaliśmy je jak sanktuaria, dające ulgę sercu i miło nas witające. Każdego dnia, gdy nadciągał zmierzch, chwila odnalezienia podobnej dolinki oznaczała czas na rozbiście obozu.

Wędrowaliśmy przez tę lodowatą krainę cały tydzień. Jeziora były zamrożone. Z odsłoniętych gałęzi drzew na skraju polan bądź otwartych obszarów zwisały sople. Kiedy padał deszcz, kryliśmy się, przygnębieni i nieszczęśliwi. Woda zamarzała i cała okolica błyszczała.

Wkrótce góry stały się znacznie bliższe. W powietrzu unosił się zapach śniegu. Las przerzedził się. Spoglądaliśmy wzdłuż grani, którymi ongiś zapewne wiodły stare ścieżki. Z tego wysoko położonego terenu dostrzegaliśmy w oddali dymy, obiecującą schronienie wioskę. Keeton stał się bardzo cichy, lecz również bardzo podniecony. Gdy zapytałem go, czy coś jest nie w porządku, potrafił tylko odpowiedzieć, że czuje się bardzo samotny i że zbliża się czas rozstania.

Myśl o utracie towarzystwa Keetona nie była przyjemna. Niemniej jednak lotnik zmienił się z upływem dni. Był coraz bardziej przesądny, w

coraz większym stopniu świadomy swej mitologicznej roli. W prowadzonym przez siebie dzienniku – w zasadniczej części prozaicznym sprawozdaniu z podróży i bólu (bark wciąż mu doskwierał) – raz za razem zadawał pytanie: co w przyszłości ze mną się stanie? Co legenda mówiła o dzielnym K?

Ja już dawno przestałem przejmować się tym, jak kończy się legenda o Przybyszu. Sorthalan mówił, że ta opowieść nie ma jeszcze zakończenia. Uznałem, że chodzi mu o to, iż przebieg wypadków nie jest jak dotąd przesądzony, że czas i sytuacja są zmienne. Martwiłem się tylko o Guiwenneth, której twarz prześladowała mnie, a zarazem inspirowała. Wydawało mi się, że dziewczyna zawsze jest ze mną. Czasami, gdy wiatr zawodził żałobnie, miałem wrażenie, że słyszę jej płacz. Tęskniłem za premitotworową aktywnością: mógłbym wtedy dostrzec jej sobowtóra i znaleźć pocieszenie w tej iluzorycznej bliskości. Jednakże od chwili, gdy minęliśmy strefę opuszczonych budynków, wszelka aktywność tego rodzaju ustała dla Keetona również, choć w jego przypadku zniknięcie poruszających się na krawędzi pola widzenia kształtów stanowiło wybawienie.

Ujrzeliśmy przed sobą wioskę. Zdaliśmy sobie sprawę, że dotarliśmy w przeszłość do czegoś, co było tak prymitywne, że niemal obce. Na ziemnym nasypie wznosiła się drewniana palisada. Przed wałem ciągnęło się kilka jardów ostrych jak brzytwa skalnych odłamków powbijanych w ziemię niczym prymitywne gwoździe. Było to proste umocnienie i łatwo je było sforsować. Znajdujące się za palisadą chaty zbudowano z kamienia. Wzniesiono je wokół wgłębionych podłóg. Skrzyżowane, drewniane belki stanowiły podporę torfowych dachów, niekiedy pokrytych jedynie strzechą. Cała osada sprawiała wrażenie raczej podziemnej niż naziemnej. Gdy weszliśmy przez bramę w nasypie, widzieliśmy tylko matowe kamienie i czuliśmy wyłącznie intensywną woń torfu zarówno świeżego, jak i płonącego.

Na spotkanie wyszedł nam starzec, podtrzymywany przez dwóch młodszych mężczyzn. Wszyscy dzierżyli długie, zakrzywione laski. Ubrani byli w wystrzępione, pozszywane ze sobą zwierzęce skóry, które tworzyły bluzy przechodzące na dole w spodnie przewiązane u łydek skózanymi rzemieniami. Na głowach nosili jaskrawe opaski, z których zwisały pióra i kości. Młodszy mężczyźni byli gładko ogoleni, stary zaś miał nierówną, białą brodę sięgającą mu do piersi.

Gdy się zbliżyliśmy, wyciągnął ku nam ręce, w których trzymał gliniany garnek zawierający ciemnoczerwoną pastę. Przyjąłem dar, lecz najwyraźniej należało uczynić coś więcej, za pierwszą trójką pojawiły się następne, zbite w grupę postacie. Przyglądali nam się mężczyźni i kobiety, opatuleni mocno dla ochrony przed zimnem. Zauważyłem kości leżące na podniesionych platformach za przysadzistymi chatami. A w powietrzu unosiła się woń pieczonej cebuli!

Podąłem gliniany garnek staremu i pochyliłem się do przodu, wyobrażając sobie, że oczekuje się ode mnie, iż pomaluję w jakiś sposób swą twarz. Wyglądał na zadowolonego. Dotknął palcem ochry, mazał szybko kreski na obu moich policzkach, a potem udekorował mego towarzysza w taki sam sposób. Wziąłem od niego garnek i ruszyliśmy dalej w głąb wioski. Keeton wciąż był podekscytowany.

– On tu jest – powiedział po chwili.

– Kto?

Moje pytanie pozostało jednak bez odpowiedzi. Lotnik całkowicie pogrzył się we własnych myślach.

Był to neolityczny lud. Jego język stanowił przerażającą serię krtaniowych spółgłosek i przeciągłych dyftongów. Był to niesamowity i niezrozumiały sposób komunikacji opierający się nawet fonetycznemu zapisowi. Rozejrzałem się po posępnej, odpychającej osadzie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby świadczyć o związku z mitem, lecz nie dostrzegłem tam nic wzbudzającego zainteresowanie oprócz olbrzymiego

kurhanu o białym froncie, wznoszącego się na pagórku zwróconym w stronę gór oraz wspaniałego zestawu bogato zdobionych głazów otaczających centralny budynek. Prace przy rzeźbieniu tych kamieni wciąż się toczyły. Nadzorował je chłopiec nie więcej niż dwunastoletni. Przedstawiono go nam jako *Ennik-tig-encruik*, zauważyłem jednak, że mówiono do niego „tig”. Przyglądał się nam równie uważnie, jak my z kolei obserwowaliśmy wydziobywanie rysunków za pomocą jelenich poroży i kamieni.

Przypomniały mi się megalityczne groby na zachodzie, szczególnie w Irlandii, kraju, w którym byłem z rodzicami, kiedy miałem jakieś dziesięć lat. Te wielkie grobowce przez tysiące lat stanowiły milczące skarbnice mitu i folkloru. Były baśniowymi zamkami, w których nocami często widywano mały ludek w złotych zbrojach wyjeżdżający z ukrytych przejść pod kopcami.

Czy tutejsi mieszkańcy powiązani byli w jakiś sposób z najdawniejszymi wspomnieniami o grobowcach?

Nigdy nie miałem otrzymać odpowiedzi na to pytanie. Zapusciliśmy się już zbyt daleko w centrum, dotarliśmy zbyt głęboko w ukryte wspomnienia człowieka. Z tą prymitywną epoką mógł się łączyć jedynie mit o Przybyszu i o najstarszych ze wszystkich Przybyszów: Urshuca.

Nad okolicą zapadł szary, dokuczliwie zimny zmierzch. Góry i otaczające je doliny spowiła zamarzająca mgiełka. Las przerodził się w gęstwinę złowieszczych, czarnych kości, ramion wznoszących się w górę przez lodowatą mgłę. Paleniska w ziemiankach buchnęły dymem przez otwory w torfowych dachach. Powietrze stało się słodkie od zapachu płonącej leszczyny.

Keeton zrzucił nagle futro i plecak, pozwalając im opaść na ziemię. Mimo moich pytań, zignorował mnie, podobnie jak starca. Przeszedł obok niego, kierując się na drugi koniec wioski. Siwowłosy członek starszyzny obserwował go, marszcząc brwi. Zawołałem Keetona po imieniu, lecz

zdawałem sobie sprawę, że to daremne. Bez względu na to, co nagle opętało lotnika, był to wyłącznie jego interes.

Zaprowadzono mnie do głównej chaty i nakarmiono do syta jarzynową zupą, w której pływały raczej nieapetyczne kawały drobiu. Najsmaczniejszym pokarmem, jaki mi zaoferowano, był zbożowy suchar o smaku orzechów i lekkim posmaku słomy. Całkiem niezły.

Wczesnym wieczorem, gdy byłem nasycony, lecz czułem się bardzo samotny, wyszedłem na podwórko za chatami, gdzie jasno płonęły pochodnie rzucające na palisadę płaskorzeźbę cieni. Wiał lodowaty, orzeźwiający wiatr. Żagwie skwierczały głośno. Dwóch albo trzech Neolityków obserwowało mnie, rozmawiając ze sobą cicho. Pod baldachimem, gdzie paliło światło, rozległo się ostre uderzenie kości o kamień. Jakiś artysta pracował do późnej nocy, pragnąc niecierpliwie przedstawić symbole ziemi, które przywoływał chłopiec „tig”.

Gdy wpatrzyłem się w noc, dostrzegłem, że w oddali, wśród gór, płoną inne ognie. Owe punkty światła były z pewnością osadami. Jeszcze dalej jarzyła się jednak silniejsza, szeroko rozlewająca się łuna podświetlająca niesamowicie mgłę. Ściana ognia, podtrzymywana przez mówiących z płomieniem, granica między rozprzestrzeniającym się lasem i otwartymi terenami leżącymi dalej, znalazła się już w zasięgu naszego wzroku. Tu właśnie świat lasu mitotworów przechodził w beczasową strefę, której nie sposób będzie zbadać.

Keeton zawołał mnie po imieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem w mroku jego chudą postać pozbawioną ochronnego stroju.

– Co się dzieje, Harry? – zapytałem, podchodząc do niego.

– Czas odejść, Steve – odparł. Zobaczyłem, że w oczach ma łzy. – Ostrzegałem cię...

Odwrócił się i poprowadził mnie do chaty, w której się zatrzymał.

– Nie rozumiem, Harry. Dokąd chcesz odejść?

– Bóg wie – odpowiedział cicho. Schylił się i wszedł przez niskie wejście do ciepłego, cuchnącego wnętrza. – Wiedziałem jednak, że do tego dojdzie. Nie wyruszyłem z tobą tylko dla rozrywki.

– Mówisz bez sensu, Harry – powiedziałem, prostując się.

Chata była mała, lecz mogło w niej spać około dziesięciu dorosłych osób. Na środku klepiska palił się mocno ogień. Po bokach izby rozłożono coś w rodzaju mat. W jednym z kątów walały się gliniane naczynia. W innym zgromadzono narzędzia z kości i drewna. Z niskiego dachu zwisały pasma trawy i sitowia. Wewnątrz przebywał tylko jeden mieszkaniec. Siedział po drugiej stronie ognia. Zmarszczył brwi, gdy wszedłem. Poznał mnie tak samo, jak ja jego. Miecz położył obok podtrzymującego dach słupa. Wątpię, by ów mężczyzna mógł stanąć prosto w tak maleńkiej chatce, nawet gdyby chciał to zrobić.

– Stiv'n! – zawołał. Jego akcent był tak podobny do akcentu Guiwenneth!

Podszedłem do niego, opadłem na kolana i z poczuciem niewiarygodnej dezorientacji, lecz jednocześnie z wielką przyjemnością, przywitałem Magidiona, wodza Jaguth.

Co dziwne, moja pierwsza myśl brzmiała, że będzie na mnie zły, bo nie zdołałem obronić Guiwenneth. Ten nagły przyptyw lęku musiał sprawić, że u jego kolan wyglądałem jak dziecko. Owo uczucie opuściło mnie jednak. To sam Magidion i jego Jaguth ją zawiedli. Poza tym coś z nim było nie w porządku. Po pierwsze, był sam. Po drugie, wydawał się podenerwowany i smutny, a jego uścisk na moim ramieniu – gest przywitania – był niepewny i krótki.

– Utraciłem ją – powiedziałem. – Guiwenneth. Zabrali mi ją.

– Guiwenneth – powtórzył cichym głosem. Wyciągnął rękę i wepchnął gałąź głębiej do ognia, wywołując snop iskier oraz nagłą falę gorąca, która buchnęła od przygasających węgielków.

Zobaczyłem wtedy, że w oczach potężnego mężczyzny lśnią łzy.

Spojrzałem na Keetona. Ten przyglądał się Magidionowi ze skupieniem i troską, których nie potrafiłem pojąć.

– Wezwano go – oznajmił Keeton.

– Wezwano?

– Sam opowiadałeś mi historię o Jaguth...

Natychmiast zrozumiałem! Magidiona, w jego własnym czasie, wezwała jagad. Najpierw Guillauca, potem Rhyddercha, a teraz Magidiona. Został obecnie rozdzielony z pozostałymi. Mieliśmy przed oczyma samotną, wypełniającą misję postać słuchającą kaprysów leśnego bóstwa, które było równie niezwykle, jak starożytne.

– Kiedy to się stało?

– Kilka dni temu.

– Mówiłeś z nim o tym?

Keeton wzruszył tylko ramionami.

– W takim stopniu, w jakim to było możliwe. Jak zwykle. To jednak wystarczyło.

– Wystarczyło? Nadal nie rozumiem.

Popatrzył na mnie. Sprawiał wrażenie, że coś go odrobinę gnębi. Uśmiechnął się półgębkiem.

– Wystarczyło, by dać mi cień nadziei, Steve.

– „Awatar”?

Choć czułem wstyd, wypowiadając to słowo, Keeton roześmiał się tylko.

– W pewnym sensie chciałem, byś przeczytał to, co pisałem. – Sięgnął do kieszeni swych spodni motocyklisty i wyciągnął z niej wilgotny notes, który dorobił się już niewielkich oślich uszu. Ścisnął go przez chwilę w dłoni, a potem mi go podał. W jego oczach pojawiła się jakaś nieokreślona nadzieja, co było odmianą w porównaniu z ponurym facetem, jakim stał się w ciągu kilku ostatnich dni. – Zatrzymaj go, Steve. Zawsze chciałem, by tak się stało.

Wziąłem notes do ręki.



– Moje życie jest pełne dzienników.

– Ten wygląda paskudnie. Mimo to w Anglii jest jedna czy dwie osoby...

– Roześmiał się, mówiąc te słowa. Potrząsnął głową. – Jedna czy dwie osoby w domu... cóż, ich nazwiska są na odwrocie. To ludzie, którzy są dla mnie ważni. Po prostu ich powiadom, dobra?

– O czym?

– Gdzie jestem. Dokąd odszedłem. Że jestem szczęśliwy. Zwłaszcza o tym, Steve. Że jestem szczęśliwy. Możesz nie zechcieć zdradzić tajemnicy lasu...

Poczułem głęboki smutek. Twarz Keetona widoczna w blasku ogniska była spokojna, niemal promienna. Wpatrywał się w Magidiona, który spoglądał na nas obu. Sądzę, że nie wiedział, co o nas sądzić.

– Odchodzisz z Magidionem... – stwierdziłem.

– Nie ma ochoty mnie zabrać, ale to zrobi. Wezwała go jagad, lecz jego misja wiąże się z miejscem, które widziałem w tym lesie we Francji. Dostrzegłem je tylko przelotnie. To jednak wystarczyło. Cóż to za miejsce, Steve. Magiczne. Wiem, że będę mógł się od tego uwolnić... – Dotknął śladu po poparzeniu na twarzy. Ręka mu drżała, a wargi się trzęsły. Zdałem sobie sprawę, że wspomniał o swej ranie po raz pierwszy, odkąd go znałem. – Nigdy nie czułem się cały. Czy potrafisz to zrozumieć? Ludzie tracili na wojnie ręce i nogi, i żyli dalej normalnie. Ja jednak nigdy nie czułem się cały. Zabłądziłem w lesie duchów. To był taki sam las, jak Ryhope. Jestem tego pewien. Zaatakowało mnie... coś... – Spojrzały na mnie przerażone, zapadnięte oczy. – Cieszę się, że się na to nie natknęliśmy, Steve. Teraz się cieszę. Poparzyło mnie swym dotykiem. Broniło miejsca, które widziałem. Cóż to za piękne miejsce. Co można poparzyć, można i uleczyć. W tym królestwie kryje się nie tylko broń, przechowuje się nie tylko legendy o wojownikach oraz obrońcach prawa i podobne rzeczy. Jest tu również piękno, spełnienie życzeń o bardziej... Nie wiem, jak to opisać. Utopia?

Pokój? Coś jakby wizja przyszłości każdego ludu. Miejsce przypominające niebo. Może nawet samo niebo.

– Przeszedłeś taki kawał drogi, by znaleźć niebo – powiedziałem cicho.

– Pokój – odparł. – To chyba jest odpowiednie słowo.

– I Magidion zna to... pokojowe miejsce?

– Widział je kiedyś. Słyszał o zwierzęcym bogu, który go strzeże, „awatarze”, jak go nazywam. Widział miasto. Widział jego światła oraz lśnienie jego ulic i okien. Zdołał obejść je wkoło, obserwując jego wieże i słuchając nocnych wołań kapłanów. To niewiarygodne miejsce, Steve. Obrazy tego miasta zawsze mnie prześladowały. I, wiesz co, to prawda... – Zmarszczył brwi. Mówiąc to, zdał sobie nagle z czegoś sprawę. – Chyba śniłem o nim jeszcze w dzieciństwie, na długo przed rozbiciem się w lesie duchów. Śniłem o nim. Czy je stworzyłem? – Roześmiał się. – Może i tak. Mój pierwszy mitotwór. Może i tak.

Byłem dogłębnie wyczerpany, czułem jednak, że muszę się dowiedzieć od Keetona tyle, ile tylko zdołam. Miałem go utracić. Myśl o jego odejściu napędzała mnie straszliwym lękiem. Być w tym królestwie sam, zupełnie sam...

Nie mógł mi już powiedzieć nic więcej. Pełen zestaw faktów jego opowieści wyglądał tak, że rozbił się w lesie duchów wraz ze swym nawigatorem i obaj powlekli się, przerażeni i głodujący, przez puszcę równie gęstą i niesamowitą, jak las Ryhope. Walczyli o przetrwanie przez dwa miesiące. Na miasto natknęli się przez czysty przypadek. Przyciągnęło ich to, co uznali za światła ludzkiej osady mieszczącej się na skraju lasu. Miasto jarzyło się w nocy. Było dla nich obce. Nie przypominało żadnego znanego z historii. Owo promienne, cudowne miejsce trafiało do ich emocji. Ruszyli ku niemu na oślep. Strzegły go jednak stworzenia o przerażających mocach. Jeden z tych „awatarów” wypuścił na Keetona ogień i poparzył go od ust aż do brzucha. Jego towarzysz zdołał jednak przemknąć obok strażnika. Gdy oślepiony przez łyzy niemal niezdolny

powstrzymać wrzasków bólu Keeton po raz ostatni widział nawigatora, kroczył on po jasnych ulicach niczym odległa sylwetka pochłaniana przez barwy.

Awatar zaniósł go daleko od miasta i wypuścił na skraju lasu. Stało się to dla niego ostrzeżeniem. Złapał go niemiecki patrol. Resztę wojny spędził w szpitalu w obozie jenieckim. Po jej zakończeniu nie udało mu się odszukać lasu duchów, mimo wszelkich czynionych przez niego wysiłków.

Jeśli chodzi o Magidiona, nie można było wiele dodać. Wezwanie nadeszło przed kilkoma dniami. Opuścił Jaguth i ruszył ku sercu królestwa, do tej samej doliny, do której ja się teraz udawałem. Również dla niego i jego towarzyszy od miecza była ona potężnym symbolem, ośrodkiem duchowej siły. Był tam pochowany ich wódz, dzielny Peredur. Każdy z nich, gdy go wezwano, odbywał pielgrzymkę do kamienia, nim przeszedł albo do centrum – przez płomień, a potem w beczas – albo z powrotem na zewnątrz, co najwyraźniej było przeznaczeniem Magidiona.

Nic nie wiedział o Guiwenneth. Pokochała ze szczerego serca i więzy łączące ją z Jaguth uległy zerwaniu. Jej ból przywołał ich do Oak Lodge, tak wiele tygodni temu. Chcieli ją pocieszyć, zapewnić, że może, z ich błogosławieństwem, wybrać sobie tego dziwnego, chudego, młodego mężczyznę na kochanka. Pozostawiła ich jednak w swej opowieści. Wyszkolili ją i wychowali, a teraz musiała się udać do doliny, która oddychała, by wywołać ducha Peredura. W historii, którą opowiadał mój ojciec, Jaguth jej towarzyszyli. Czas i warunki zmieniły jednak szczegóły i w wersji, którą przeżywałem, Guiwenneth stała się nieszczęsną ofiarą skazaną na powrót do swej doliny jako branka złego, bezlitosnego brata.

Miała oczywiście zatriumfować. Jakże mogłoby być inaczej? Jej legenda utraciłaby znaczenie, gdyby nie zwyciężyła swego gnębiciela, nie zatriumfowała i nie stała się dziewczyną władającą mocą.

Dolina była blisko. Magidion już ją odwiedził. Wracał teraz przez wewnętrzne królestwo lasu tą samą drogą, którą przyszedł.

Gdy ogień wreszcie zgasł, zasnąłem jak kłoda. Keeton również zapadł w sen. W nocy obudził mnie jego płacz. Wstaliśmy obaj przed pierwszym brzaskiem. Było przejmująco zimno. Nawet w chacie zamarzał nam oddech. Do środka weszła kobieta, która zaczęła rozpalać ogień. Magidion odświeżył się, podobnie jak Keeton. Musieli skruszyć lód, który utworzył się na ciężkim kamiennym garze pełnym wody.

Wyszliśmy na dwór. Nie było tam nikogo poza nami, choć już ze wszystkich chat wzbijały się pierwsze, cienkie wstęgi dymu. Drząc gwałtownie, zdałem sobie sprawę, że lada moment spadnie znów śnieg. Cała neolityczna osada lśniła jasno od szronu. Drzewa górujące nad palisadą wyglądały jak kryształ.

Keeton sięgnął do kieszeni skórzanego kombinezonu, wyciągnął rewolwer i mi go zaoferował.

– Może powinienes to wziąć – zaproponował.

Potrząsnąłem głową.

– Dziękuję. Nie sądzę. Zresztą nie byłoby w porządku ruszać przeciw Christianowi z artylerią.

Wpatrywał się we mnie przez krótką chwilę, po czym uśmiechnął się żałośnie, niemal fatalistycznie. Schował broń.

– Tak zapewne będzie lepiej – stwierdził.

Nagle, po najkrótszym z pożegnań, Magidion ruszył w stronę bramy. Keeton podążył za nim z wielkim plecakiem na grzbiecie. Jego otulone futrem ciało wydawało się grube, ale i tak w porównaniu z ozdobionym jelenim porożem mężczyzną, który ruszył w świt jako pierwszy, pilot wyglądał na maleńkiego. Przy bramie Keeton zawahał się i odwrócił. Uniósł rękę, by mi pomachać.

– Mam nadzieję, że ją odnajdziesz – zawołał.

– Odnajdę, Harry. Odnajdę i zabiorę z powrotem do domu.

Czekał przy bramie. Upłynęła długa, pełna niepewności pauza, nim zawołał: – Żegnaj, Steve. Byłeś najlepszym z przyjaciół.

Zatkało mnie tak, że niemal nie mogłem się odezwać.

– Żegnaj, Harry. Uważaj na siebie.

I nagle zabrzmiał warkliwy rozkaz Magidiona. Lotnik odwrócił się i odszedł szybko w mrok między drzewami.

Obyś znalazł swój spokój ducha, dzielny K! Oby twoja opowieść okazała się szczęśliwa!

Na wiele godzin ogarnęła mnie straszliwa depresja. Skuliłem się w małej chatce, wpatrzony w ogień. Od czasu do czasu czytałem fragmenty dziennika Keetona, na chwilę się od nich odrywałem, a później znów do nich wracałem. Czułem się przytłoczony samotnością. Wpadłem w panikę. Na razie nie byłem w stanie kontynuować podróży.

Starzec z białą brodą przyszedł, by usiąść koło mnie. Cieszyłem się z jego obecności.

Depresja, rzecz jasna, minęła.

Harry odszedł. Niech mu sprzyja szczęście. Wspomniał, że od doliny dzieliły mnie tylko dwa albo trzy dni drogi. Magidion już tam był. Nie opodal kamienia znajdowała się chatka łowcy. Mogłem tam zaczekać na przybycie Guiwenneth.

A także Christiana. Do chwili konfrontacji zostało zaledwie kilka dni.

Opuściłem otoczoną palisadą wioskę wczesnym popołudniem. Z szarego nieba zaczął sypać rzadki śnieg. Starzec poznał moją twarz innymi ochrowymi barwnikami i sprezentował mi małą figurynkę z kości słoniowej wyobrażającą niedźwiedzia. Nie mam pojęcia, do czego miały służyć farba i rzeźba, ucieszyłem się jednak z obu podarków i wepchnąłem niedźwiedzi talizman głęboko do kieszeni spodni.

Tej nocy omal nie zamarzłem na śmierć. Skuliłem się pod brezentowym namiotem na polanie, przez którą – choć wydawała się osłonięta – okrutny wichur dął nieustannie od północy aż do świtu. Przetrzymałem jakoś zimno

i następnego dnia wyszedłem na otwartą przestrzeń i wdrapałem się na szczyt zbocza, skąd mogłem spojrzeć nad lasem na odległe góry.

Miałem dotąd wrażenie, że dolina Peredura leży między tymi imponującymi, ośnieżonymi szczytami. Teraz przekonałem się, jak nieprawdziwe było to przekonanie, jak bardzo wprowadziła mnie w błąd mapa Sorthalana.

Z tego punktu obserwacyjnego po raz pierwszy dostrzegłem olbrzymią ścianę ognia. Teren podnosił się i opadał, tworzył serię stromych, porośniętych lasem wzgórz. Dolina kryła się gdzieś między nimi, lecz bariera płomieni, która wznosiła się nad ciemną puszcza, tworząc wstęgę jaskrawej żółci łączącą się z całunem siwego dymu, leżała wyraźnie po tej stronie gór.

One same znajdowały się w królestwie po drugiej stronie, w nie-miejscu, w którym czas tracił znaczenie.

Następną noc spędziłem pod osłoniętym nawisem skalnym w schronieniu, które można było ogrzać małym ogniskiem. Nie miałem ochoty go rozpalać, gdyż moja kryjówka znajdowała się wysoko i ktoś mógłby zauważyć płomienie. Ciepło było jednak najcenniejsze w owej posępnej, mroźnej krainie.

Gdy siedziałem w tej jaskini, dręczył mnie głód, nie ciągnęło mnie jednakże do skąpych zapasów, które miałem ze sobą. Wpatrywałem się w ciemny krajobraz oraz odległą łunę ognia mówiących z płomieniem. Niekiedy wydawało mi się, że słyszę odgłosy palącego się drewna.

Nocą do moich uszu dobiegło rzenie konia. Rozległo się gdzieś między oświetlonymi blaskiem księżyca drzewami poniżej nawisu, pod którym się skryłem. Przesunąłem się przed przygasające ognisko, próbując przesłonić jego światło. Dźwięk był stłumiony i odległy. Czy słyszać było też inne głosy? Czy ktokolwiek wędrowałby przez tak ciemną i zimną noc?

Nie usłyszałem już nic więcej. Drżąc z niepokoju, wczołgałem się z powrotem do jaskini, by zaczekać na świt.

Rankiem okolicę pokrył śnieg. Nie był głęboki, lecz czynił wędrówkę niebezpieczną. Między drzewami łatwiej było dostrzec ziemię i uniknąć krętych korzeni oraz ukrytych dołów. Las szeleścił i szeptał w białym bezruchu. Zwierzęta poruszały się w zasięgu mojego słuchu, lecz nigdy nie było ich widać. Czarne ptaszyska skrzeczały i zataczały kręgi nad nagimi gałęziami.

Śnieg zaczął padać gęściej. Gdy wlokłem się naprzód przez las, zacząłem odnosić wrażenie, że mnie prześladuje. Za każdym razem, gdy gałąź poruszała się, zrzucając śnieżną czapę na ziemię, wprost wyskakiwałem z własnej skóry.

Rankiem w pewnej chwili owładnął mną dziwny przymus. Zapewne zrodził się częściowo ze strachu, a częściowo ze wspomnienia o owym koniu, który rżał i żalił się wśród mroźnej nocy. Nabrałem przekonania, że ktoś mnie śledzi. Zacząłem biec.

Przez chwilę truchtałem swobodnie. Ostrożnie odnajdywałem drogę przez zasypany śniegiem las, uważając na korzenie oraz ukryte pod zaspami wyboje. Za każdym razem, gdy zatrzymywałem się i odwracałem, by wpatrzeć się w milczącą knieję, odnosiłem wrażenie, że słyszę ukradkowe poruszenia. Puszcza była zacienioną, dezorientującą mieszaniną bieli i szarości. W owych cieniach nic się jednak nie poruszało, pomijając odrobinę płatków śniegu spadających z gałęzi w delikatnym akompaniamencie do mojej coraz bardziej panicznej ucieczki.

W kilka minut później do moich uszu dobiegł łatwy do rozpoznania stukot końskich kopyt oraz tupot nóg biegnących ludzi. Wpatrywałem się intensywnie w śnieg i szare prześwity między drzewami. Rozległ się cichy głos, na który odpowiedziano z prawej strony. Koń zarżał raz jeszcze. Słyszałem szelest stóp na miękkim gruncie.

Zwróciłem się w stronę doliny i zacząłem gnać ze wszystkich sił w obawie o własne życie. Za mną, próby maskowania pościgu wkrótce ustały. Rżenie rumaka było głośne i regularne. W okrzykach ludzi brzmiała nuta

triumfu. Gdy się oglądałem, widziałem postacie kluczące przez las. Jeździec i jego koń sprawiali za białą zasłoną wrażenie olbrzymów.

Potknąłem się podczas biegu i wyrznięłem mocno o drzewo. Odwróciłem się niczym osaczone zwierzę. Wysunąłem włócznię o krzemiennym grocie. Ku swemu zdumieniu, ujrzałem, że po obu moich stronach przez śnieg skaczą wilki. Niektóre rzuciły na mnie nerwowe spojrzenia, lecz pobiegły dalej. Rozejrzawszy się wokół, zobaczyłem wielkiego jelenia, który gnał między drzewami, ścigany przez żarłoczną sforę. Na krótką chwilę straciłem orientację. Czy całe wrażenie pościgu było wywołane jedynie przez naturalne odgłosy?

Jeździec był tam jednak naprawdę. Wierzchowiec potrząsnął głową, gdy popędzono go kopniakiem. Każdy jego krok wzbijał śnieg w powietrze. Człowiek z moczarów siedział na nim okrakiem, spowity w płaszcz. Sprawiał wrażenie zamroczonego. Trzymał swój oszczep o śmiercionośnym grocie z arogancką swobodą. Popatrzył na mnie przymrużonymi oczyma, po czym zmusił raptownie konia do biegu i uniósł broń.

Umknąłem w bok, płacząc się w korzeniach. Mój plecak kołysał się, krępując mi ruchy. Podczas biegu zamachnąłem się na oślepa włócznią w stronę napastnika. Rozległ się zwierzęcy ryk bólu. Poczulem mocne szarpnięcie bronią. Trafiłem konia, rozpruwając mu bok. Zachwiał się, po czym stanął dęba. Człowiek z moczarów zleciał z jego grzbietu. Roześmiał się, gdy usiadł na śniegu. Wciąż na mnie patrzył. Potem zaczął się dźwigać na nogi. Sięgnął po oszczep.

Zareagowałem bez zastanowienia. Dźgnąłem go włócznią. Pękła w miejscu, gdzie Sorthalan wystrugał czuwające oko. Człowiek z moczarów popatrzył głupio na odłamek drewna sterczący mu z piersi, po czym podniósł wzrok na moją drżącą postać. Wciąż wyciągałem złamane drzewce w jego stronę. Zatoczył oczyma i padł na plecy z rozdziawionymi ustami.

Śnieg zaczął przysypywać jego twarz.



Zostawiłem go tam, gdzie leżał. Cóż więcej mogłem uczynić? Odrzuciłem na bok złamane drzewce i ruszyłem niepewnie przed siebie przez las, zastanawiając się, gdzie podziąła się reszta bandy. I gdzie ukrywa się Christian.

Cały dygocząc doznałem szoku po zabójstwie człowieka z moczarów, zatopiony w nerwowych myślach wyszedłem z lasu u wejścia do doliny, gdzie dął żałobny wicher.

Przede mną, otoczony śniegiem, stał kamień Peredura, wielki, owiewany wiatrem obelisk wznoszący się nad okolicą na wysokość co najmniej sześćdziesięciu stóp. Podeszedłem do szarego megalitu, porażony i głęboko poruszony milczącą powagą monumentu. Pozbawiony ozdób gładko uformowano z jednego bloku i ociosano w prosty sposób najprymitywniejszymi z narzędzi. Zwężał się on nieco ku szczytowi i pochylał lekko w stronę ściany ognia płonącej na drugim końcu doliny. Jeden z boków pomnika pokrywał naniesiony przez wiatr śnieg, który na wpół zasłonił wyrytego w prymitywny sposób ptaka nieokreślonego gatunku. Był to najstarszy znak symbolizujący Peredura, mnie kojarzący się z mitem o ocaleniu. Tutaj więc znajdował się kamień Peredura wzniesiony dla wszystkich epok, w których znano legendę, kamień Peredura wszystkich imion, jakimi go nazywano, cel wędrówki uratowanej przez ptaki dziewczyny, we wszelkich postaciach, w których występowała w ciągu stuleci.

Guiwenneth. Jej twarz była przede mną, piękniejsza niż przedtem. Jej oczy błyszczały z radości. Widziałem ją wszędzie, gdzie tylko spojrzałem: na wzgórzach, w białych gałęziach, na tle odległej, ciemnej ściany dymu.

– *Inos c'da, Stivv'n* – powiedziała i roześmiała się, zakrywając dłonią usta.

– Tęskniłem za tobą – wyznałem.

– Mój krzemieny grot – wyszeptała, dotykając palcem mojego nosa. – Masz siłę. Mój najdroższy krzemieny grot...

Wiatr był przejmująco zimny. Wiał od wzgórz za moimi plecami. Zasilał i rozniecał wzniesioną przez mówiących z płomieniem barierę otaczającą najskrytsze królestwo. Głos dziewczyny ucichł, a jasna twarz ponownie roztopiła się w śniegu. Obszedłem wkoło kamień, uważając, by nie zaskoczyli mnie jastrzębie Christiana. O mało nie krzyknąłem na głos ogarnięty nadzieją, że będzie tam siedziała Guiwenneth, czekając na mnie.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, były płytkie odciski stóp wiodące ku drzewom i odległym płomieniom. Śnieg niemal już je zasypał, lecz wyraźnie wskazywały, że ktoś niedawno był przy kamieniu, a potem poszedł w głąb doliny.

Ruszyłem po śladach. Niemal nie miałem odwagi myśleć o tożsamości tego, kto je zostawił. Drzewa skupiały się gęsto na dnie głębokiej doliny. Śniegu na początku było sporo, wkrótce jednak zniknął z gruntu, gdy ciepło bijące od ściany ognia stało się silniejsze.

Odgłos trzasków i huku płomieni wciąż narastał. Wkrótce dostrzegałem już je pomiędzy drzewami. W chwilę później cały las przede mną przerodził się w gorejącą ścianę. Przeszedłem przez strefę zwęglonych szkieletów pni. Ich poczerniałe gałęzie przypominały zeszywniałe kończyny ofiar pożarów. Małe, zwęglone pozostałości dębów i leszczyn oraz wszystkich innych drzew pierwotnego lasu rysowały się na tle jaśniejących płomieni. Przypominały powykęcane ludzkie postacie.

Jedna z nich poruszyła się, idąc równoległe do ognia. Zniknęła w cieniu wysokiego drzewa. Schowałem się szybko. Wyglądałem z ukrycia przez chwilę, nim przemknąłem do bliższego punktu obserwacyjnego. Próbowałem wcisnąć się za skąpą zasłonę, mrużąc jednocześnie oczy, by dojrzeć cokolwiek na tle jasnego blasku przede mną. Ponownie coś się ukradkiem poruszyło. Wysoka postać – zbyt wysoka jednak, by była to Guiwenneth. Niosła ze sobą coś błyszczącego.

Przykucnąłem, po czym podbiegłem do małego głazu i skryłem się za nim. Nie widziałem już żadnego ruchu. Wyszedłem ostrożnie po

zawietrznej stronie pochyłego, zwęglonego dębu.

Podniósł się z ziemi niczym widmo, nie dalej niż pięć kroków ode mnie. Cień wyłaniający się z cienia. Poznałem go natychmiast. Dzierżył miecz o długim ostrzu. Ociekał potem. Rozebrał się do koszuli, przepoczonej, ciemnoszarej wełnianej rozpiętej aż do pasa oraz luźnych spodni z tkaniny przewiązanych w łydkach, by nie trzepotały na wietrze. Na jego twarzy widniały dwa świeże skaleczenia. Jedno z nich przecinało powiekę. Wyglądał na nikczemnego i gwałtownego. Uśmiechał się. Miał ciemną brodę. Trzymał miecz z taką swobodą, jakby był on zrobiony z drewna. Podeszedł do mnie powoli, mówiąc: – A więc przyszedłeś mnie zabić, bracie. Przyszedłeś dokonać tego czynu.

– Czy sądziłeś, że nie przyjdę?

Zatrzymał się, uśmiechnął i wzruszył ramionami. Wbił miecz w ziemię. Wydawało się, że się na nim wsparł.

– Czuję się trochę rozczarowany – ciągnął spokojnie. – Nie masz włóczni z epoki kamiennej.

– Zostawiłem jej grot w ciele twego zastępcy. Człowieka z moczarów. Tam w lesie.

Christian zrobił zaskoczoną minę. Zmarszczył lekko brwi. Rzucił spojrzenie na ogień widoczny tuż za kamieniem Peredura.

– Człowieka z moczarów? Sądziłem, że sam wysłałem go do podziemnego świata.

– Najwyraźniej nie wysłałeś – odparłem ze spokojem. Moje myśli gnały jednak jak szalone. Co chciał przez to powiedzieć?

Czy pragnął dać mi do zrozumienia, że w jego bandzie doszło do wojny domowej? Czy był teraz sam, sam i opuszczony przez swój oddział?

W moim bracie widoczny był cień znużenia, niemal fatalizmu. Wciąż spoglądał na ogień, gdy jednak przesunąłem się lekko w jego stronę, natychmiast zareagował. Machnął w moim kierunku lśniącym czerwono

mieczem. Okrążył mnie powoli, aż ogień błysnął w jego oczach i na zakrzepłej krwi pokrywającej mu twarz.

– Muszę przyznać, Steven, że jestem pod wrażeniem twojej wytrwałości. Myślałem, że powiesiłem cię w Oak Lodge. Potem wysłałem sześciu ludzi, żeby rozprawili się z tobą nad rzeką.

Zastanawiam się, co się z nimi stało?

– Wszyscy leżą w wodzie twarzą w dół, teraz już dobrze nadgryzieni przez ryby.

– Pewnie zastrzeleni – stwierdził z goryczą.

– Tylko jeden – odparłem. – Pozostali po prostu nie byli wystarczająco dobrymi szermierzami.

Christian roześmiał się z niedowierzaniem. Potrząsnął głową.

– Podoba mi się twój ton, Steve. Arogancki. To właśnie jest siła. Naprawdę jesteś zdecydowany zostać niosącym zemstę Krewnym.

– Chcę Guiwenneth. To wszystko. Zabicie cię jest mniej ważne. Zrobię to, jeśli będę musiał. Wolałbym jednak tego uniknąć.

Powolny, okrężny ruch Christiana ustał. Wyciągnąłem w groźnym geście swój celtycki miecz. Mój brat uniósł głowę, by przyjrzeć się broni.

– Fajna zabaweczka – stwierdził cynicznie, drapiąc się w brzuch przez ciemnoszary materiał koszuli. – Nie wątpię, że nadaje się do jarzyn.

– I na jastrzębi – skłamałem.

Christian był zaskoczony.

– Zabiłeś tym jednego z moich ludzi?

– Dwóch w głowę, dwóch w serce...

Przez króciutką chwilę mój brat milczał, potem jednak roześmiał się znowu.

– Cóż z ciebie za kłamca, Steve. Cóż za szlachetny kłamca.

Sam zrobiłbym to samo.

– Gdzie jest Guiwenneth?

– No właśnie. Oto jest pytanie. Gdzie jest Guiwenneth? No, gdzie?

– A więc uciekła od ciebie.

Ulga zatrzepotała w mojej piersi niczym ptak.

Uśmiech Christiana był jednak skwaszony. Poczułem, że gorąca krew napływa mi do twarzy. Żar bijący od ściany ognia był niemal obezwładniający. Huk i syczenie płomieni przerodziły się w lawinę przerażającego dźwięku.

– Niezupełnie – odparł powoli Christian. – Właściwie nie uciekła. Raczej ją... zwolniłem...

– Odpowiedz mi, Chris! Albo przysięgam, że cię zabiję!

Gniew sprawił, że moje słowa zabrzmiały śmiesznie.

– Miałem trochę kłopotów, Steve. Zwolniłem ją. Zwolniłem ich wszystkich.

– A więc twoja banda obróciła się przeciwko tobie.

– Teraz wszyscy obracają się w grobach – zachichotał zimno. – Byli głupi, sądząc, że zdołają mnie pokonać. Zabrakło im odczytania w folklorze. Przecież tylko Krewny może zabić Przybysza. Czuję się zaszczycony, bracie, zaszczycony tym, że pokonałeś tak długą drogę, by ze mną skończyć.

Jego słowa były niczym uderzenia młota. Pod słowem „zwolniłem” kryło się „zabiłem”. O Boże, czy uśmiercił również Guiwenneth? Ta myśl odebrała mi rozsądek. Zgrzany już tak, że padałem z nóg, czułem jedynie gniew i żar nienawiści. Pobiegłem w stronę Christiana, wymachując mieczem szeroko i gwałtownie.

Mój brat cofnął się, unosząc własny oręż. Roześmiał się, gdy żelazo trafiło w stal. Ciąłem ponownie, tym razem niżej. Dźwięk przypominał głuche uderzenie w dzwon. I ponownie, mierzyłem w głowę. I ponownie, pchnięcie w brzuch. Ramię mnie bolało, gdy Chris parował każdy mój atak wstrząsającym, okrutnym ciosem swego miecza. Wyczerpany, zatrzymałem się i wpatrzyłem w migotliwe cienie rzucane przez ogień na jego dziką, uśmiechniętą twarz.

– Co się z nią stało? – zapytałem, zdyszany i obolały.

– Zjawi się tu – odparł. – W swoim czasie. To zręczna dziewczynka... jeśli chodzi o nóż...

Mówiąc to rozpiął ciemną koszulę i pokazał mi narastającą plamę krwi na brzuchu, którą wcześniej brałem za ciemny pot.

– Dobry cios. Nie śmiertelny, ale prawie śmiertelny. Życie ze mnie wypływa, ale oczywiście... nie umrę... – Zakończył przemowę warknięciem: – Bo tylko Krewny może mnie zabić!

Gdy wypowiedział te słowa, w jego spojrzeniu pojawiła się zwierzęca wściekłość. Runął na mnie z niewiarygodną prędkością. Jego miecz był niewidoczny na tle ognia. Poczulem, jak przeszywa powietrze z obu stron mojej głowy. Zaraz potem wytrącił mi broń z ręki. Pomknęła na drugą stronę polany. Zatoczyłem się lekko do tyłu. Spróbowałem uchylić się przed czwartym uderzeniem Christiana. Miecz ciął poziomo w stronę mojej szyi i zatrzymał się na skórze.

Drżałem niczym liść. Wargi miałem obwisłe. W ustach czułem suchość. Byłem w szoku.

– A więc to jest ten wielki Krewny – ryknął. W jego słowach pobrzmiwały gniew i ironia. – To jest wielki wojownik, który przeszedł zabić własnego brata. Kolana mu się trzęsą, a zęby dzwonią. Żałosna imitacja żołnierza!

Nic, co mógłbym powiedzieć, nie odniosłoby pożądanego skutku. Gorące ostrze wbijało mi się powoli coraz głębiej w szyję. Wydawało się, że oczy Christiana niemal dosłownie buchają płomieniem.

– Chyba będą musieli napisać nową wersję legendy – wyszeptał z uśmiechem na twarzy. – Pokonałeś długą drogę po to tylko, by dać się upokorzyć, Steve. By skończyć jako szczerząca zęby, upstrzona przez muchy głowa nadziana na własny miecz.

Zdesperowany, rzuciłem się do tyłu. Dałem nurka, licząc w znacznej mierze na cud. Ponownie zwróciłem się w stronę brata. Wstrząsnął mną

widok obrzydliwej maski, którą stała się jego twarz. Wargi rozchyliły się, odsłaniając żółte teraz zęby. Wymachiwał w obie strony mieczem – z szybkością wiatru, z regularnością uderzeń serca. Za każdym razem, gdy sztych mnie mijał, jego koniuszek dotykał moich powiek, nosa lub warg. Cofałem się miarowo, a Christian podążał za mną, urągając mi swymi umiejętnościami.

Naraz podciął mi mieczem nogi, zadał bolesne uderzenie płazem w pośladki, a potem dźwignął się na nogi, trzymając ostrą krawędź oręża pod brodą. Tak jak poprzednio, w ogrodzie, popchnął mnie pod drzewo. Tak jak poprzednio, pokonał mnie. Tak jak poprzednio, scenę otaczał pierścień ognia.

A Christian był starym i znużonym człowiekiem.

– Nie dbam o legendy – powiedział cicho. Ponownie spojrzał na huczące płomienie. Jasny ogień lśnił w skorupie krwi i potu pokrywającej mu twarz. Brat zwrócił się ku mnie. Mówił powoli.

Jego twarz była blisko mojej, a oddech wydawał się zaskakująco słodki.

– Nie zabiję cię... Krewniaku. Mam już dość zabijania. Mam już dość wszystkiego.

– Nie rozumiem.

Christian wahał się przez chwilę, po czym, ku mojemu zaskoczeniu, puścił mnie i cofnął się. Postąpił kilka kroków w stronę ognia. Ja stałem w miejscu, przytrzymując się drzewa. Pamiętałem jednak, że mój miecz leży niedaleko.

– Pamiętasz łódkę, Steve? „Voyagera”? – zapytał zwrócony do mnie plecami, pochylony lekko, jakby dręczył go ból.

– Oczywiście, że pamiętam.

Byłem zdumiony. Cóż za moment na nostalgię. To jednak nie było zwykle sentymentalne wspomnienie. Christian ponownie zwrócił się ku mnie. Jarzył się teraz nowym uczuciem: podnieceniem.

– Pamiętasz, jak go znaleźliśmy? Ten dzień spędzony ze starą ciotką? Stateczek wypłynął z lasu Ryhope zupełnie jak nowy.

Pamiętasz to, Steve?

– Zupełnie jak nowy – zgodziłem się. – A minęło sześć tygodni.

– Sześć tygodni – powtórzył rozmarzonym tonem Christian. – Stary o tym wiedział, albo tak mu się zdawało.

Odsunąłem się od drzewa i zbliżyłem ostrożnie do brata.

– Wspominał o zakłóceniu czasu. W swym dzienniku. To była jedna z jego pierwszych trafnych uwag, choć kierował się tylko intuicją.

Christian skinął głową. Pozwolił, by jego miecz opadł. Zalewał go pot. Sprawiał wrażenie apatycznego, a potem cierpiącego ból. Wydawało się, że niemal chwieje się na nogach. Nagle odzyskał ostrość spojrzenia.

– Bardzo dużo myślałem o naszym małym „Voyagerze” – stwierdził. Podniósł wzrok i rozejrzał się wokół. – W tym królestwie jest coś więcej niż Robin Hood i Gałęźnik. – Wbił we mnie spojrzenie. – W legendach jest coś więcej niż bohaterowie. Czy wiesz, co leży za ogniem? Czy wiesz, co się tam kryje?

Z wielkim wysiłkiem wskazał mieczem za siebie.

– Nazywają to *Lavondyss* – odparłem.

Z trudnością postąpił krok naprzód. Jedną ręką trzymał się za bok, a w drugiej dzierżył miecz, którego używał jak laski.

– Mogą to sobie nazywać, jak chcą – rzekł. – Tam jest epoka lodowa. Ta sama, która panowała w Brytanii ponad dziesięć tysięcy lat temu!

– A za nią pewnie interglacja. I potem następne zlodowacenie i tak dalej, aż do czasów dinozaurów...

Christian potrząsnął głową. Przyglądał mi się ze śmiertelną powagą.

– Tylko epoka lodowa, Steve. Tak mi przynajmniej powiedziano. Ostatecznie... – znowu uśmiech – ...Ryhope jest bardzo małym lasem.

– Do czego zmierzasz, Chris?



– Za ogniem jest lód – odparł. – A wśród lodu... tajemne miejsce. Słyszałem o nim opowieści, pogłoski. Miejsce początku... ma coś wspólnego z Urscumugiem. A potem, za lodem, znowu jest ogień. Za ogniem puszcza. A dalej Anglia. Normalny czas. Myślałem o „Voyagerze”. Czy został pokiereszowany i uszkodzony, gdy żeglował przez królestwo? Z pewnością. Musiał tam być znacznie więcej niż sześć tygodni! Co jednak stało się z tymi uszkodzeniami? Może... zniknęły. Może gdy przepływał przez las, królestwo zabrało z powrotem czas, który na niego nałożyło. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Jak długo już tu jesteś? Trzy tygodnie? Cztery? A na zewnątrz mogło minąć tylko kilka dni. Królestwo nałożyło na ciebie czas. Niewykluczone jednak, że zabiera go z powrotem, jeśli przejdzie się przez nie we właściwy sposób.

– Wieczna młodość... – odezwałem się.

– Żadną miarą! – zawołał, jakby czuł się sfrustrowany moją nieumiejętnością zrozumienia. – Regeneracja. Kompensacja. Mam o czternaście czy piętnaście lat więcej, niż miałbym, gdybym został w Oak Lodge. Myślę, że królestwo pozwoli mi zrzucić z siebie te lata, a także blizny, ból i gniew... – Nagle zaczęło to brzmieć tak, jakby mnie błagał. – Muszę spróbować, Steve. Nie zostało mi już nic więcej.

– Zniszczyłeś królestwo – stwierdziłem. – Widziałem jego rozkład. Musimy walczyć, Chris. Trzeba cię zabić.

Przez chwilę nie odpowiadał nic, potem wydał dźwięk mieszczący się gdzieś między wzgardą a niepewnością.

– Czy naprawdę mógłbyś mnie zabić, Steve? – zapytał z cichą groźbą w głosie.

Nie odpowiedziałem. Miał oczywiście rację. Zapewne nie mógłbym. Potrafiłbym to uczynić pod wpływem chwili, lecz patrząc na tego rannego, słabnącego mężczyznę wiedziałem, że chyba nie zdołałbym zadać ciosu.

Niemniej... Niemniej tak wiele zależało ode mnie, od mojej odwagi, mojej stanowczości.

Zakręciło mi się w głowie. Żar bijący od ognia wyczerpywał, pozbawiał sił.

– W pewnym sensie już mnie zabiłeś – mówił mój brat. – Wszystkim, czego pragnąłem, była Guiwenneth. Nie mogłem jej jednak zdobyć. Zbyt mocno pokochała ciebie. To mnie zgubiło. Szukałem jej przez zbyt wiele lat. Ból towarzyszący jej odnalezieniu był zbyt wielki. Chcę opuścić królestwo, Steve. Pozwól mi odejść...

– Nie mogę cię powstrzymać – odparłem, zaskoczony jego słowami.

– Będziesz mnie ścigał. Potrzebuję spokoju. Muszę sam go odnaleźć. Potrzebna mi pewność, że nie będzie cię za moimi plecami.

– To mnie zabij – powiedziałem bez ogródek.

Potrząsnął głową i roześmiał się ironicznie.

– Wstałeś już z martwych dwa razy, Steven. Zaczynam się ciebie bać. Nie sądzę, bym spróbował zabić cię po raz trzeci.

– Cóż, dziękuję ci przynajmniej za to. Czy ona żyje? – dodałem cicho po chwili wahania.

Christian skinął powoli głową.

– Jest twoja, Steve. Tak właśnie będzie mówiła opowieść. Krewny okazał litość. Przybysz wstąpił na drogę poprawy i opuścił królestwo. Dziewczyna z zielonej puszczy połączyła się z ukochanym. Pocałowali się przy dużym, białym kamieniu...

Patrzyłem na niego. Wierzyłem mu. Jego słowa brzmiały jak pieśń wywołująca łzy w oczach.

– Zaczekam na nią. Dziękuję ci, że ją oszczędziłeś.

– To zręczna dziewczynka – powtórzył Christian, ponownie dotykając rany na brzuchu. – Miałem bardzo niewielki wybór.

Coś w jego słowach...

Odwrócił się do mnie plecami i ruszył w stronę ognia. Myśl, że nadchodzi moment radosnego pożegnania z moim bratem sprawiła, że zapomniałem na chwilę o Guiwenneth.

– Jak chcesz przejść na drugą stronę?

– Ziemia – odparł. Sięgnął po swój płaszcz. Jego kaptur był wypełniony glebą. Christian trzymał strój niczym płachtę. Wolną ręką zaczerpnął z gruntu garść piasku i rzucił go do ognia. Ten zaskwierczał i pociemniał nagle, całkiem jakby ziemia zasypała płomienie.

– To kwestia odpowiednich słów i wystarczającego zapasu gleby, którą się ciska w ogień – stwierdził. – Słów się nauczyłem, ale ilość Matki Ziemi stanowi pewien problem. – Rozejrzał się wokół. – Jestem raczej kiepskim szamanem.

– Dlaczego nie pójdziesz wzdłuż rzeki? – zapytałem, gdy zaczął kołysać płaszczem. – To z pewnością najłatwiejsza droga. „Voyager” przepłynął tamtędy.

– Rzeka jest zamknięta dla takich ludzi, jak ja – odparł.

Płaszcz zataczał wielki krąg wokół jego głowy.

– A poza tym, za ogniem leży *Lavondyss*. *Tir-na-nOc*, mój drogi Stevenie. Avalon. Niebo. Nazwij to, jak chcesz. To nieznaną krainą, początek labiryntu. Miejsce tajemnicy. Królestwo strzeżone nie przed człowiekiem, lecz przed ludzką ciekawością. Niedostępna kraina. Niepoznawalna, zapomniana przeszłość. – Obejrzał się na mnie, wymachując potężnie obciążonym płaszczem. – Gdy tak wiele zniknęło w mrokach czasu, musi istnieć mit gloryfikujący utraconą przez człowieka wiedzę. – Znowu zwrócił się ku ogniewi. Idąc naprzód, nie przestawał mówić. – Jednakże w *Lavondyss* istnieje miejsce, gdzie zachowała się ona do dziś. Tam właśnie udaję się najpierw, bracie. Życz mi szczęścia!

– Życzę szczęścia! – krzyknąłem, gdy sypnął ziemią z płaszcza. Płomienie zahuczały, po czym zgasły. Między zwęglonymi trupami drzew dojrzałem przez chwilę zlodowaciałe tereny leżące dalej.

Christian pobiegł przez szalejący ogień ku owemu otwartemu na chwilę przejściu – stary, ciężko zbudowany człowiek, który utykał lekko, gdy przeszywał go ból brzucha, a z rany wypływała krew. Miał osiągnąć coś,

czemu usiłowałem zapobiec – pomijając fakt, że był teraz sam, a nie z Guiwenneth. Mimo to nie mogłem niemal znieść myśli o tym, co się z nim stanie w beczasowym *Lavondyss*. Opuściła mnie nienawiść. Czułem teraz niepohamowany smutek wywołany tym, że zapewne nie miałem go już nigdy zobaczyć. Chciałem mu coś dać. Coś, co należałoby do niego, jakąś pamiątkę, jakiś fragment życia, które utraciłem. Gdy nawiedziło mnie to uczucie, pomyślałem o amulecie w kształcie liścia dębu, który wciąż wisiał na mojej szyi. Czułem na piersi jego ciepło. Zacząłem ścigać brata. Zerwałem naszyjnik i wyszarpnąłem ze skórzanej oprawy ciężki, srebrny liść.

– Chris! – krzyknąłem. – Zaczekaj! Liść dębu! Na szczęście!

I rzuciłem go za nim.

Zatrzymał się i odwrócił. Srebrny talizman zatoczył ku niemu łuk. Natychmiast zdałem sobie sprawę, co się stanie. Patrzyłem odrętwiały, zdjęty grozą, jak ciężki przedmiot uderzył go w twarz i obalił na plecy.

– Chris!

Ogień zamknął się wokół niego. Rozległ się długi, przerażający wrzask. Potem był już tylko huk podtrzymywanych przez magię ziemi płomieni, które odgrodziły mnie od straszliwego losu mego brata.

Nie mogłem niemal uwierzyć w to, co się stało. Opadłem na kolana, wpatrzony w ogień, głęboko wstrząśnięty i dygoczący jak w gorączce.

Nie mogłem jednak płakać. Bez względu na to, jak mocno się starałem, nie mogłem płakać.

# SERCE LASU

A więc dokonało się. Christian nie żył. Przybysz nie żył. Krewny zatriumfował. Legenda została rozstrzygnięta na korzyść królestwa. Zniszczenie i rozkład miały od tej chwili ustać.

Odwróciłem się od ognia i ruszyłem z powrotem przez gęsty las ku granicy śniegu i dalej w głąb doliny. Wokół mnie okolicę pokrywała biel. Jasny kamień wznoszący się wysoko nade mną był niemal niewidoczny w obficie syjącym śniegu. Przeszedłem obok niego, nie obawiając się już spotkania z najemnikami Christiana.

Uderzyłem w głaz mieczem. Jeśli spodziewałem się, że dźwięk poniesie się szerokim echem po dolinie, byłem w błędzie. Ucichł niemal natychmiast, choć nie szybciej niż głośny krzyk, którym wezwałem Guiwenneth. Trzy razy zawołałem ją po imieniu i trzy razy odpowiedziało mi jedynie szemranie śniegu.

Albo już tu była i odeszła, albo jeszcze się nie zjawiała. Christian dał mi do zrozumienia, że kamień faktycznie był miejscem jej przeznaczenia. Dlaczego się śmiał? O czym wiedział i co zachował w tak głębokiej tajemnicy?

Przypuszczam, że zdawałem sobie z tego sprawę już wówczas, lecz po tak pełnej cierpień wędrówce w pogoni za nią, owa myśl była zbyt bolesna. Nie byłem przygotowany, by przyjąć do wiadomości to, co oczywiste. Niemniej ta właśnie myśl przywiązała mnie do owego miejsca, powstrzymała przed odejściem. Musiałem poczekać na Guiwenneth, bez względu na wszystko.

Nic innego na świecie nie miało dla mnie tak wielkiego znaczenia.

Czekałem przez noc i cały dzień w chatce łowcy nie opodal pomnika Peredura. Ogrzewałem się przy ogniu z wiązowego drewna. Gdy śnieg przestał padać, zacząłem obchodzić wkoło kamień, wołając ją po imieniu, lecz bez rezultatu. Zapuściłem się w głąb doliny tak daleko, jak tylko się odważyłem i stanąłem w lesie, wpatrzony w ogromną ścianę ognia. Czuję, jak jej żar topi śnieg wokół mnie, przynosząc do tej najpierwotniejszej z puszczy niesamowite wrażenie lata.

Przyszła do doliny dopiero drugiej nocy. Kroczyła po pokrywie śniegu tak cicho, że omal ją przeoczyłem. Księżyc był w kwadrze, a noc pogodna i jasna. Ujrzałem dziewczynę. Przygarbiona i nieszczęsna, szła powoli między drzewami ku imponującemu, wyniosłemu monolitowi.

Z jakiegoś powodu nie wykrzyknąłem jej imienia. Wciągnąłem na siebie płaszcz i wyszedłem z małej zagrody, brodząc przez zasy w pościgu za przybyłą. Wydawało mi się, że chwieje się na nogach. Wciąż była przygarbiona, zgięta w pół. Księżyc, błyszczący za monolitem, czynił z kamienia swego rodzaju drogowskaz, który ją przyzywał.

Dotarła do miejsca, gdzie pochowano jej ojca. Stała na chwilę, podnosząc wzrok ku kamiennemu nagrobkowi. Po chwili zawołała Peredura. Jej głos był ochrypły, załamywał się z zimna, bólu i wyczerpania.

– Guiwenneth! – powiedziałem głośno, wychodząc spod drzew. Poderwała się szybko i odwróciła pośród nocy. – To ja. Steven.

Była blada. Oplotła sobie ciało ramionami. Wydawała się mała. Jej długie włosy zwisały w strąkach, mokre od śniegu.

Drżała. Gdy się zbliżałem, patrzyła na mnie przerażona. Zdałem sobie sprawę, że jestem teraz ze swą ciemną brodą i grubym futrem bardzo podobny do mego brata.

– Christian nie żyje – poinformowałem ją. – Zabiłem go. Znowu cię odnalazłem, Guin. Możemy wrócić do Oak Lodge. Możemy być razem, nie obawiając się niczego.

Wrócić do Oak Lodge! Ta myśl wypełniła mnie nadzieją. Całe życie bez cierpienia, bez zmartwień. O Boże, w owej chwili pragnąłem tego tak bardzo!

– Steve... – odezwała się cichutkim szeptem.

I osunęła się na kamień, ściskając się kurczowo rękami, jakby dręczył ją ból. Była wycieńczona. Wędrówka kosztowała ją bardzo wiele sił.

Podszedłem do niej szybko i uniosłem ją w ramionach. Wciągnęła głośno powietrze, jakbym sprawił jej ból.

– Wszystko w porządku, Guin. Niedaleko stąd jest wioska. Możemy tam odpoczywać tak długo, jak zechcesz.

Dotknąłem dłońmi jej ciepłego płaszcza. Ogarnął mnie straszliwy szok, gdy poczułem coś zimnego i lepkiego na jej brzuchu.

– Och, Guin! O Boże, nie...

A jednak to do Christiana należało ostatnie słowo.

Jej dłoń, uniesiona resztką sił, dotknęła mojej twarzy. Oczy dziewczyny zasłzyły mgłą. Smutne spojrzenie zatrzymało się na mnie. Niemal nie słyszałem jej oddechu.

Podniosłem wzrok na monolit.

– Peredurze! – zawołałem z rozpaczą. – Peredurze! Pokaż się.

Kamień wznosił się nad nami w milczeniu. Guiwenneth wtuliła się głębiej w moje objęcia i westchnęła cicho wśród zimnej nocy. Ścisnąłem ją tak mocno, że bałem się, iż złamie się jak gałązka. Musiałem jednak jakoś zatrzymać ciepło w jej ciele.

Nagle grunt zadrżał lekko, raz i drugi. Śnieg zaczął osypywać się ze szczytu głazu i z gałęzi drzew. Następny wstrząs, a potem jeszcze jeden...

– On tu idzie – powiedziałem milczącej dziewczynie. – Twój ojciec. Idzie tu. Pomoże ci.

To jednak nie ojciec Guiwenneth wychynął zza kamienia, trzymając w lewym ręku bezwładnego trupa człowieka z moczarów. To nie duch dzielnego Peredura stanął nad nami, kołysząc się lekko i oddychając w

ciemności miarowo i złowieszczo. Popatrzyłem na skąpane w blasku księżyca rysy twarzy człowieka, który rozpoczął to wszystko. Nie miałem siły zrobić nic innego niż dać pełnym goryczy krzykiem wyraz swemu rozczarowaniu. Wcisnąłem jednocześnie Guiwenneth głębiej pod płaszcz i pochyliłem nad nią głowę, starając się uczynić ją niewidzialną.

Musiał tam stać przez minutę albo i więcej. Cały ten czas czekałem, aż jego palce uściskną moje ramiona, unosząc mnie ku zagładzie. Gdy nic się nie działo, podniosłem wzrok. Urscumug wciąż tam stał. Wpatrywał się we mnie, mrugając powiekami. Jego paszcza otwierała się i zamykała, ukazując lśniące zęby. Nadal trzymał zwłoki człowieka z moczarów, lecz jednym, nagłym ruchem, który sprawił, że poderwałem się ze strachu, odrzucił trupa i sięgnął po mnie.

Jego dotyk był bardziej delikatny, niż byłbym skłonny uznać za możliwe. Pociągnął mnie za ramiona, sprawiając, że wypuściłem Guiwenneth z opiekuńczego uścisku. Uniósł ją i ułożył sobie jej ciało na prawym ramieniu tak łatwo, jak dziecko układa zabawkę.

Miał zamiar mi ją odebrać. Nie mogłem znieść tej myśli. Rozplakałem się. Patrzyłem na postać ojca przez potok łez.

Nagle Urscumug wyciągnął ku mnie lewą rękę. Gapiłem się na nią przez chwilę, po czym zdałem sobie sprawę, czego chce. Wstałem i wyciągnąłem do niego dłoń, która całkowicie zniknęła w jego łapie.

W ten sposób okrążyliśmy kamień, przeszliśmy po śniegu ku drzewom, a potem między nimi ku leżącej dalej ścianie ognia.

Tak wiele przemknęło przez mój umysł, gdy szedłem z ojcem. Jego mina nie była grymasem nienawiści, lecz łagodnym i smutnym wyrazem współczucia. W ogrodzie Oak Lodge, kiedy Urscumug potrząsnął mną tak mocno, być może chciał w ten sposób przywrócić życie mojemu ciału. W porośniętym lasem wąwozie, gdy ojciec zawahał się, starając się nas usłyszeć, być może przez cały czas wiedział, gdzie jesteśmy, i czekał, byśmy go minęli. Pomagał mi w pościgu za Przybyszem, a nie



przeszkadzał. Gdy sam – podobnie jak wszystko w królestwie – zaczął mnie potrzebować, ponownie odkrył w sobie współczucie.

Mój ojciec złożył Guiwenneth na gorącej ziemi. Ogień wzbijał się z hukiem pod niebiosami. Drzewa pokrywały się bąblami i obracały w węgiel. Sięgające w stronę ognistej bariery gałęzie spadały ogarnięte płomieniami. Żar tego nadnaturalnego piekła sprawiał, że zalewał mnie pot. Zdałem sobie sprawę, że owa walka jest wieczna. Ściana ognia zapewne nigdy się nie przesuwiała. Gdy drzewa w nią wrastały, pochłaniała je. Przez cały czas podtrzymywali ją mówiący z płomieniem, pierwsi prawdziwi bohaterowie współczesnej ludzkości.

Myślałem, że wszyscy troje mamy przejść przez barierę, byłem jednak w błędzie. Ojciec wyciągnął do mnie rękę i odepchnął mnie na bok.

– Nie odbieraj mi jej! – błagałem go. Jakże pięknie wyglądała! Jej twarz otaczały rude włosy, a skóra lśniła w blasku ognia.

– Proszę! Muszę być z nią!

Urscumug patrzył na mnie. Wielka bestia potrząsnęła powoli głową.

Nie. Nie mogłem z nią być.

Wtedy jednak uczynił coś cudownego, coś, co miało dodać mi odwagi i napęlić nadzieją na długie lata, które miały nadejść. Jego gest żył ze mną niczym przyjaciel podczas wiecznej zimy, gdy czekałem wraz z neolitycznymi ludami w pobliskiej wiosce, strzegąc kamienia Peredura.

Dotknął palcem ciała dziewczyny, a potem wskazał na ścianę ognia. Następnie zasygnalizował mi, że ona wróci. Do mnie. Wróci do mnie, znowu żywa. Moja Guiwenneth.

– Jak długo? – błagałem Urscumuga, by mi to powiedział. – Jak długo będę czekał? Jak długo to potrwa?

Nachylił się nad dziewczyną i ją podniósł. Wyciągnął ją ku mnie. Przycisnąłem wargi do jej zimnych ust. Zamknąłem oczy, cały drżałem. Przeciągałem pocałunek tak długo, jak tylko to było możliwe.

Mój ojciec ułożył ją bezpiecznie w swym uścisku i zwrócił się ku płomieniom. Rzucił na ścianę potężną garść ziemi. Ogień przygasł. Przez krótką chwilę widziałem leżące dalej góry, po czym dzikopodobna postać przeszła między zwęglonymi drzewami do beczasowego królestwa. Idąc, Urscumug otarł się o poczerniały pniak, który niesamowicie przypominał ludzką postać o ramionach wzniesionych nad głową. Figura rozsypała się. Po krótkiej chwili płomienie znów jasno się rozjarzyły. Zostałem sam ze wspomnieniem pocałunku i radością wywołaną widokiem łez w oczach ojca.

# KODA

Owego czasu, podczas życia tego ludu, olbrzym Mogoch otrzymał od Mojr zadanie i maszerował na północ bez wytchnienia przez sto dni. To przywiodło go do najdalszych granic znanego świata, gdzie zwrócił się w stronę bramy ognia strzegącej *Lavondyss*.

U wejścia do doliny stał monolit dziesięciokrotnie wyższy od człowieka. Mogoch wsparł na nim swą lewą stopę i zastanowił się, z jakiego powodu Mojrzy odciągnęły go tak daleko od jego plemiennego terytorium.

– Zdejmij stopę z głazu – zawołał jakiś głos.

Mogoch rozejrzał się wokół i zobaczył łowcę, który stał na usypanym z kamieni kopcu, spoglądając w górę.

– Nie zdejmę – odparł Mogoch.

– Zdejmij stopę z głazu – wykrzyknął łowca. – Pochowano tu dzielnego człowieka.

– Wiem – odpowiedział Mogoch, nie cofając jednak stopy. – Sam go pochowałem. Własnymi rękoma ustawiłem ten kamień nad jego ciałem. Znalazłem go we własnych ustach. Spójrz!

Uśmiechnął się, ukazując wielką szczerbę między zębami, miejsce, skąd wy dobył nagrobek dla dzielnego człowieka.

– Cóż – odrzekł łowca. – W takim razie wszystko w porządku.

– Dziękuję – powiedział Mogoch, zadowolony, że nie będzie musiał walczyć z nieznanym. – A jakie to wielkie czyny sprowadziły ciebie do granic *Lavondyss*?

– Czekałem na kogoś – wyjaśnił łowca.

– Mam nadzieję, że wkrótce się zjawi – oznajmił Mogoch.

– Jestem pewien, że się zjawi – rzekł łowca i odwrócił się od olbrzyma.

Mogoch użył dębu, żeby podrapać się w plecy, po czym zjadł na kolację jelenia, zastanawiając się, dlaczego wezwano go w to miejsce. W końcu jednak odszedł. Nadał jeszcze dolinie miano *ritha muireog*, co znaczy „tam, gdzie czeka łowca”.

Później jednak nazwano ją *imarn uklyss*, co oznacza „tam, gdzie dziewczyna wróciła przez ogień”.

Ale to już opowieść na inny czas i dla innych ludzi.

KONIEC (TOMU I)